

ARCHIPELAG

niezależny magazyn bukinistyczny

Numer 5 Lato 2011

STAMBUŁ W SIDŁACH
ORHANA PAMUKA

PAUL THEROUX
AKT ZNIKANIA W ŚWIECIE

NA DROGACH
TOMKA MICHNIEWICZA

MARIUSZ SZCZYGIEL
O KSIĄŻKACH SWEGO ŻYCIA

TEMAT NUMERU
Droga

ISSN 2082-6664

ARCHIPELAG REDAKCJA:

REDAKTOR NACZELNA:

Kamila Kunda, Londyn („Chihiro o świecie”:
chihiro.blox.pl)

ZESPÓŁ:

Anna Bittner, Berlin („Przeczytałam książkę”:
przeczytalamksiazke.blogspot.com)

Renata Borowiak, Poznań („tamaryszkowe pre-teksty”:
tamaryszek.wordpress.com)

Renata Długolecka, Edynburg („Moje miasto i mój świat”:
unainvitada.blox.pl)

Zosia Frankowska, Warszawa-Wejherowo („Kartkoteca”:
kartkoteca.blogspot.com)

Justyna Kowalczyk, Dąbrowa Górnicza („Bez oprawy”:
bezoprawy.blogspot.com)

Karolina Kunda-Kuwieckij, Warszawa

Monika Mellerowska, Grudziądz

Karolina Przybyła, Smolnica k. Gliwic („Stara szafa”:
stara-szafa.blogspot.com)

Ania Ready, Oksford („Tygiel”: magamara.blox.pl)

Stefania Szostok, Praga („Notatki z lektur”: libros.blox.pl)

Agnieszka Tatera, Ślesin k. Nakła („Życiowa pasja
bibliofila”: ksiazkowo.wordpress.com)

Joanna Wonko-Jędrzysek, Łódź („Herbatniki”:
mandzuria.wordpress.com)

Anna Maślanka, Rzeszów („Literackie skarby świata całego”:
literackie-skarby.blogspot.com)

WSPÓŁPRACA:

Magdalena Blum

Marta Górka

Klaudyna Hebda („Ziołowy Zakątek”:
ziolowyzakatek.blogspot.com)

Joanna Janowicz („Poczytalnia”: direlasua.wordpress.com)

Joanna Kusy („Zwyczajne pakistańskie życie”:
asjenka.blox.pl)

Joanna Marchewka

Natalia Szatkowska

Zuzanna Orlińska („Kiedy byłam małą...”:
kiedybylammala.art.pl)

Sylwia Pragłowska („Oko na warsztat”:
okonawarsztat.blogspot.com)

Izabela Rzyśko („Przestrzeń kultury”:
przestrenkultury.blogspot.com)

Paulina Surniak („Miasto książek”: miastoksiazek.blox.pl)

Katarzyna Wonko

KOREKTA:

zespół redakcyjny

PROJEKT GRAFICZNY I ŁAMANIE:

Monika Drzazgowska, Warszawa

(„Entelepentele”: entelepentele.com)

ZARZĄDZANIE STRONĄ INTERNETOWĄ:

Emilia Szmyt-Kustra, Warszawa

(„Fragmenty mojego świata”: elwiria.blox.pl)

OKŁADKA ARCHIPELAGU:

Sylwia Pragłowska

KONTAKT:

kamila.kunda@archipelag-magazyn.pl

promocja@archipelag-magazyn.pl

redakcja@archipelag-magazyn.pl

wspolpraca@archipelag-magazyn.pl

*Redakcja Archipelagu nie zwraca tekstów niezamówionych
i zastrzega sobie prawo do ich redagowania oraz skracania.
Z zasady nie publikujemy przedruków ani autorskiej prozy i poezji.*

OD REDAKCJI:

Uwielbiam chwile, gdy przed wyjazdem na wakacje wybieram i selekcionuję książki, które będę czytać z dala od domu. Już kilka tygodni wcześniej przed tym Wielkim Wydarzeniem układałam sobie osobny stos powieści, które będę musiała jakoś upchnąć do walizki czy plecaka. Gdy byłam nastolatką na dwutygodniowe wakacje z rodzicami z reguły zabierałam kilka specjalnie trzymanyh na tę okazję kryminałów Agathy Christie i książki, o których wiedziałam, że na pewno mnie wciągną – mój rekord to dwanaście książek na czternaście dni. Wszystkie wracały przeczytane. Od kilku lat uważnie dopasowuję lekturę do miejsca, w które akurat się udaję. Lubię podnosić wzrok znad książki i zachwycać się krajobrazem podobnym do tego, który ubrał w słowa pisarz czytanej właśnie przeze mnie lektury. Dały mi do myślenia słowa Paula Theroux, który – sam zazwyczaj dobierając książki do miejsca, w którym przebywa – w najnowszej *The Tao of Travel* radzi czytelnikom, by tego nie robili. Czasem faktycznie może lepiej zatopić się w innym świecie, który mamy dookoła... W tym roku niestety nigdzie nie wyjeżdżam, przynajmniej nie latem, ominie mnie więc przyjemność wyboru.

Podczas podróży przydaje się także jakiś magazyn, który można leniwie przeglądać na lotnisku czy na plaży, gdy ma się dość książki – zdarza się nawet w najlepszych rodzinach. Mimo iż *Archipelag* nie jest dostępny w wersji papierowej mam nadzieję jednak, że lektura piątego numeru pisma zapewni Wam wiele przyjemności i podsunie ciekawe tytuły, z którymi warto zapoznać się bliżej. Być może dostrzeżecie w księgarni w wakacyjnej miejscowości książkę opisywaną przez nas, która wciągnie Was do cna. Podzielcie się z nami, po jakie książki sięgneliście pod wpływem *Archipelagu* – bardzo jestem ciekawa Waszych wypowiedzi.

Życzę Wam udanych wakacji i urlopów, pełnych niezapomnianych wrażeń.

Kamila Kunda



SPIS TREŚCI:

5	PANTEON: <i>Współczesny wędrowiec. Salman Rushdie</i> [Magdalena Blum]
9	W PRZYBLIŻENIU: <i>Zaczarować czytelnika. Rozmowa z Mariuszem Szczygłem</i> [Stefania Szostok]
17	WOKÓŁ KSIĄŻKI: <i>Na granicy dwóch języków. Rozmowa z Antonią Lloyd-Jones</i> [Ania Ready]
21	SPOTKANIE Z AUTOREM: <i>Tybetańska podróż z Colinem Thubronem</i> [Kamila Kunda]
25	KSIĄŻKA INSPIRACJĄ: <i>Co jest po tamtej stronie – idealny sen czy koszmarna rzeczywistość?</i> <i>Alfred Kubin.</i> [Katarzyna Wonko]
29	SUBIEKTYWNY PUNKT WIDZENIA: <i>Erotyka książki</i> [Kamila Kunda]
31	KSIĄŻKI NASZYMI OCZAMI: Recenzje książek wydanych w Polsce
41	W OBJĘCIACH X MUZY: <i>W ich metodzie jest szaleństwo. Pieter Bruegel – Michael F. Gibson –</i> <i>Lech Majewski</i> [Joanna Marchewka]
 Temat numeru: DROGA	
46	<i>Stanowisko: Reporter. Jak zostać reporterem?</i> [Joanna Janowicz]
50	<i>Na drogach Tomka Michniewicza</i> [Joanna Wonko-Jędrzysek]
56	<i>Nie cel jest ważny, lecz droga</i> [Izabela Rzyśko]
61	<i>Grzeczne niegrzeczne dziewczynki</i> [Paulina Surniak]
65	<i>Medytacja drogi</i> [Karolina Kunda-Kuwieckij]
69	<i>Droga powrotna. Ucieczka z jądra ciemności</i> [Renata Borowiak]
75	<i>Paul Theroux. Akt znikania w świecie</i> [Kamila Kunda]
81	<i>Kupca galanteryjnego i żeglarza na koniu wędrówki ku zrozumieniu</i> [Anna Maślanka]
86	<i>Podążając ku wolności w przeszłości i dziś. Rozmowa z Tomkiem Grzywaczewskim</i> [Joanna Wonko-Jędrzysek]
93	<i>Książki drogi</i> [Karolina Kunda-Kuwieckij]
97	SZTUKMISTRZE Z DRUKARNI: <i>Miska chińskiego ryżu</i> [Karolina Kunda-Kuwieckij]
99	ULOTNIE: <i>Lekki popiół melancholii. Adam Zagajewski – Niewidzialna ręka</i> [Justyna Kowalczyk]
101	POCZTÓWKA Z...: <i>Stambuł w sidłach Orhana Pamuka</i> [Karolina Kunda-Kuwieckij]
106	Z OBCEGO PODWÓRKA: Recenzje książek niewydanych w Polsce
111	STOLICZKU NAKRYJ SIĘ: <i>Wariacje na temat polskiego stołu</i> [Klaudyna Hebda]
114	W KRAINIE DZIECIŃSTWA: <i>To są dwa różne światy. Rozmowa z Wandą i Bogusławem</i> <i>Orlińskimi</i> [Zuzanna Orlińska]
123	KSIĄŻKA NA WSZYSTKIE STRONY: <i>O kampanii bibliotekarzy „Olej stado! Bądź czarną owcą!”</i> [Marta Górską]
128	KSIĄŻKA NA WSZYSTKIE STRONY: <i>Happening czytelniczy w Gliwicach</i> [Karolina Przybyła]
129	KSIĄŻKA NA POWAŻNIE: <i>Wyróżnienia literackie wiosenną porą</i> [Justyna Kowalczyk]
133	KSIĄŻKA NA POWAŻNIE: <i>Światowy Dzień Książki w trzech miastach</i> [Asia Kusy, Ania Ready, Anna Bittner]
136	ZABAWY W BIBLIOTECIE: <i>Gra w tytuły</i> [Natalia Szatkowska]



SALMAN RUSHDIE

WSPÓŁCZESNY WĘDROWIEC

Magdalena Blum

Biografia Salmana Rushdiego (ur. 1947 roku w Bombaju) byłaby świetnym scenariuszem kina akcji – fatwa, ucieczka, życie w ukryciu, w ciągłej obawie o bezpieczeństwo swoje i najbliższych, książki drukowane potajemnie, bez nazwy wydawnictwa, aż po zabójstwa kilku naczelnych i tłumaczy, którzy odważyli się wydać *książkę zakazaną*. Wpleść można i wątek miłosny, cztery małżeństwa, w tym związek z piękną modelką i aktorką pochodzenia indyjskiego, Padmą Lakshmi. Sława, rozgłos, nagrody, tytuł szlachecki, spełniony *American dream*, ugruntowana pozycja w świecie literackim. Jednak historia życia pisarza byłaby

z pewnością filmem drogi. W życiu Rushdiego bowiem, tak jak i w jego dziełach, motywem centralnym jest wędrówka, przemieszczanie się i podróż. Wędrówka fizyczna, z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent. Przede wszystkim zaś wędrówka symboliczna, niedosłowna – wędrówka między kulturami, między tradycjami, między wszystkim tym, co odróżnia jeden naród od drugiego. Rushdie, a razem z nim jego bohaterowie, z którymi porównań nigdy nie unikał, są współczesnymi wędrowcami, redefiniującymi znaczenie domu, bezdomności, przynależności, granic i samej migracji.

Wyobraźmy sobie zatłoczony, kolorowy i przepiękny aromatami Bombaj lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, gdzie bogactwo miesza się ze skrajną nędzą; deszczowy i mglisty Londyn, wielokulturowy i rozdarty między imigrantami, napływającymi z wielu egzotycznych zakątków świata, a autochtonami, z niepokojem obserwującymi ten szybko gromadzący się kolorowy

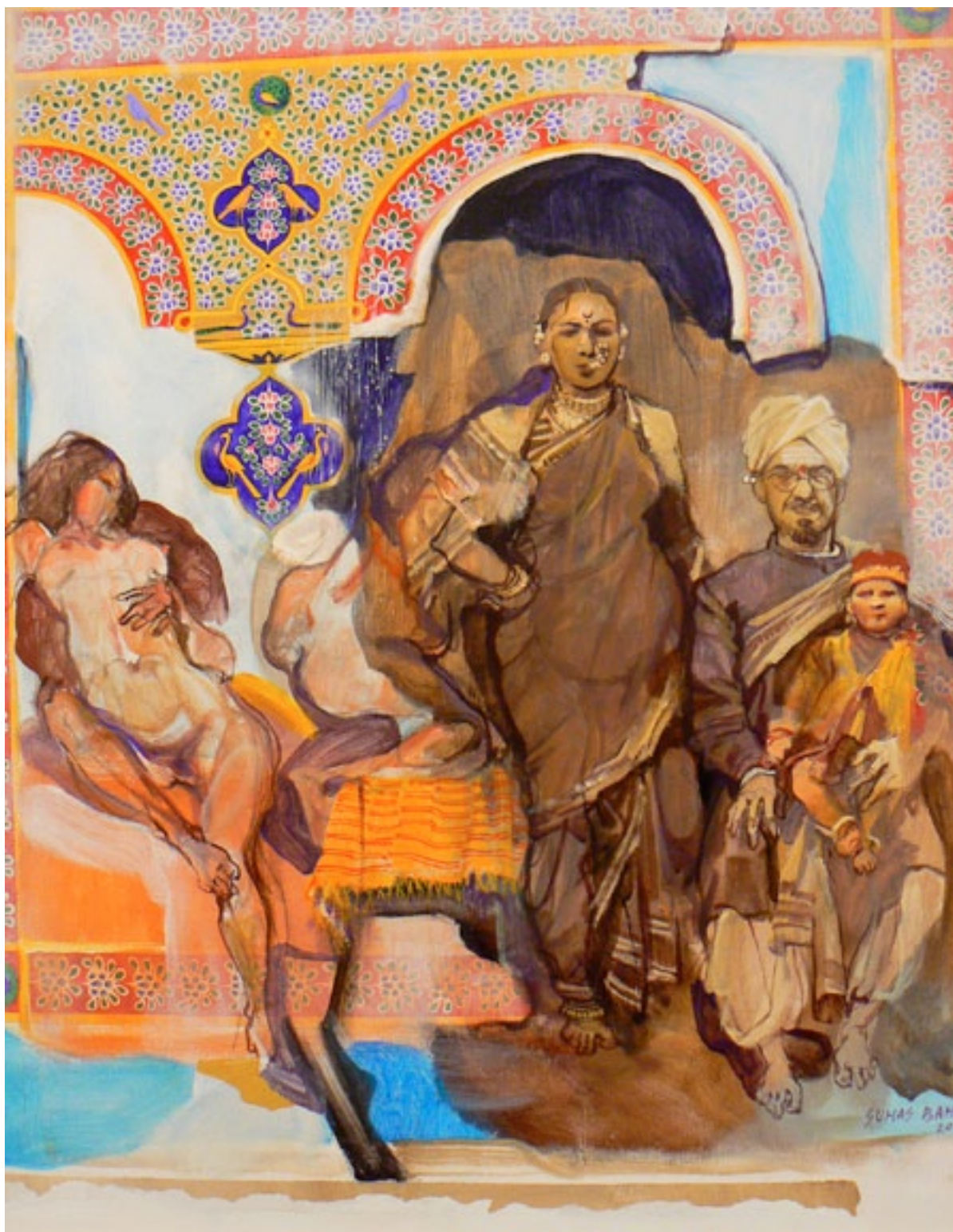
pochód. W końcu kulturalną stolicę świata, tętniący życiem Nowy Jork, gdzie prawo do życia po swojemu jest najlepiej chronionym prawem. Wyobraźmy sobie ludzi tam mieszkających, kulturowe hybrydy, obywateli świata, w którym nie da się już być kulturowo jednorodnym, w którym człowiek, nie ruszając się z miejsca, nasiąka niezliczonymi skrawkami kultur z drugiego końca globu. Wędrówka przestała mieć wymiar jedynie czasoprzestrzenny. Przestrzeń jest płynna, granice są płynne, tożsamości zmieniane są na naszych oczach, w różnicach można przebierać – niczym w ubraniach w szafie. To świat bohaterów powieści Rushdiego. To nasz świat.

Bohaterem *Dzieci północy* są Indie i Saleem Sinai, którzy urodzili się jednocześnie, pewnej gorącej nocy, 15 sierpnia 1947 roku. Jednak sam Rushdie, w jednym ze swoich esejów, pyta, czy Indie w ogóle istnieją? To państwo i jego naród nie posiadają jednego obowiązującego języka, dominującej kultury, religii czy rasy. W dodatku, współistniejące w ramach niego elementy często się wykluczają, tworząc pęknięcia, napięcia i konflikty. Tak wielokulturowe tło, odkrywane fragmentami, skrawkami, jak obrazy pojawiające się w pamięci głównego bohatera, ma swoje odzwierciedlenie w tożsamości Sinaia, który targany napięciami między swoimi licznymi jaźniami, fizycznie rozpada się na kawałki, a razem z nim mit o jednolitych kulturowo Indiach. Dla bohatera Indie, ten niezwykle obfity tłum, mieszanina smaków i aromatów, muzułmańskich polityków i hinduskich tradycji, bogów i gwiazd kina Bollywood staje się więzieniem tożsamości, czymś, od czego nie jest się w stanie uwolnić. Saleem miał w swojej osobie zjednoczyć całe Indie w jedną wspólną tożsamość. Ujednolicenie Indii, znalezienie punktów wspólnych okazało się niemożliwe.

Ciekawie zestawia Rushdie ze sobą miejsca, będące częścią podróży Saleema po subkontynencie, Bombaj i Indie oraz Karaczi i Pakistan. Bombaj to miasto kolorowe, przepełnione wieloma rasami, narodami i wyznaniami. Karaczi jest mu przeciwstawne. To miasto czyste, gdzie nic nowego nie mogło powstać. To pustynia, na której Sinai utracił swoje magiczne umiejętności kontaktowania się z Dziećmi Północy. Kosmopolityczny Bombaj jest miastem żywym, miastem twórczości, powstawania tego, co nowe i oryginalne. I taki jest też Saleem, jest ucieleśnieniem



Obraz indyjskiego malarza Suhasa Bahulkara
pt. *Down Memory Lane*
Fot. Kamila Kunda



wszystkich obywateli Indii w jednej osobie. Jest kondensacją wszystkiego, co indyjskie. Jest personifikacją indyjskiej tożsamości, łączącej ze sobą muzułmanów i hindusów, ciemnoskórych mieszkańców Północy i jasnoskórych południowców, braminów i nietykalnych, biednych i bogatych, nacjonalistów i fundamentalistów¹. To właśnie taka kulturowa hybryda, to pluralizm i tłum, nie kulturowa czystość i jednorodność jest siłą napędową współczesnych Indii.

Autor dzięki swojej perspektywie migranta jest nie tylko obserwatorem, ale także czynnym uczestnikiem współczesnej diaspory indyjskiej. Jego własna emigracja, życie na granicy kultur, w różnorodnym kulturowo Bombaju, wielonarodowych Londynie i Nowym Jorku rzuca pewne światło na jego twórczość. Gibril Farisza

¹ por. Salman Rushdie, *Dzieci Północy*, Wydawnictwo Rebis, Poznań 1999, str. 186.



☝ Suhas Bahulkar, *Nostalgia*

i Saladyn Czamcza, bohaterowie *Szatańskich wersetów*, przemierzają tę samą drogę, co pisarz, z Indii do Londynu. Rushdie w mistrzowski sposób, za pomocą bogatej symboliki, momentami niczym w przypowieści, ukazuje dzieje indyjskiego emigranta, którego samolot, ale też w pewnym sensie jego dotychczasowa tożsamość, rozpada się na kawałki, by tworzyć się na nowo w nowym miejscu.

Szatańskie wersety to opowieść o tym, jak nowość możliwa jest dzisiaj już tylko poprzez dekompozycję i hybrydyzację, o tym jak płynne i niestabilne są tożsamości i jak łatwo pękają. To także historia współczesnych narodów, redefiniowanych, rozproszonych i niejednorodnych. Eklektyczna wielokulturowość jest faktem, do którego bohaterowie muszą się dostosować. Mają dwa wyjścia. Każdy z nich wybiera inne – zasymilować się i narodzić się nowym człowiekiem, lub odrzucić swoje dawne Ja. Dla Fariszty i Czamczy żadne wyjście nie okazało się właściwe. Obaj są zdezorientowani, schizofreniczni i zagubieni w próbach określenia siebie w nowych warunkach.

Powieść zaczyna się w momencie, gdy dwaj indyjscy aktorzy, Gibril Fariszta i Saladyn Czamcza, spadają z nieba po wybuchu samolotu lecącego z Bombaju do Londynu. To kluczowy moment ich podróży. Spadają na terytorium Wielkiej Brytanii, ale nie są już tacy sami jak przed katastrofą. W powietrzu, swoistej poczekalni dla ich tożsamości, ulegają najpierw połączeniu w jedno, a następnie Gibril anielską, a Saladyn szatańską.

Kariera Gibrila Fariszty przebiegała znakomicie. Jest uznanym bollywoodzkim aktorem, grającym głównie role

świętych, aniołów i bogów. Niestety, granica między wcieleniami a rzeczywistością zaciera się coraz bardziej, aż w końcu Fariszta traci wiarę. Wielbiony przez tłumy, w pogoni za utraconą częścią swojej tożsamości, bohater wychodzi na ulice Londynu, by uzdrowić miasto i jego mieszkańców, z trąbką zwaną Azrailem, bogiem śmierci w dłoni. Zadaje mu się wtedy, że jest Archaniołem Gibrilem. „Aby narodzić się ponownie, najpierw musisz umrzeć”² – tak brzmiało przesłanie Gibrila spadającego z nieba gdzieś nad kanałem La Manche. Niestety, wkrótce okazuje się, że przemiana, redefinicja własnej tożsamości rzeczywiście nie jest możliwa, że oznacza ona schizofrenię i szaleństwo. Gibril wybiera śmierć.

Saladyn Czamcza wracał właśnie ze swojej pierwszej podróży do ojczyzny po latach na emigracji. Ubrany w prążkowany garnitur i melonik oraz mówiący z idealnym brytyjskim akcentem, mężczyzna demonstruje swoją maskę Anglika bez skazy. Niestety w czasie podróży do Indii zauważa pęknięcia w swojej nowej tożsamości, Zawodzi go jego akcent, a przecież jest aktorem używającym głosu. Na ziemię spada jako wcielenie diabła. Poniżany i wyśmiewany przez inspektorów imigracyjnych, zrzuca maskę i poddaje się temu niezwykle sugestywnemu wyobrażeniu imigranta. Jednak katastrofa lotnicza i jej magiczne konsekwencje stwarzają dla Czamczy możliwość odnalezienia siebie w zgiełku kultur, w których musi funkcjonować. Wybawienie przynosi mu pogodzenie się z ojcem i zaakceptowanie swojej indyjskości. Ta pierwotna tożsamość staje się dla niego bazą, punktem wyjścia. Nie musi on już błądzić, a jego osobowość jest spójna.

W *Ziemi pod jej stopami* Salman Rushdie idzie krok dalej. Areną wydarzeń są Indie i Anglia, ale przede wszystkim Nowy Jork. Przeniesienie akcji za ocean ma skutki, których nie da się przeoczyć. Ameryka to dla bohaterów miejsce, w którym każdy pochodzi nie-stąd, w którym bez trudu znaleźć można elementy włoskie, greckie, afrykańskie, polskie, południowoamerykańskie czy indyjskie. W miejscu takim jak Stany Zjednoczone nikt już nie jest nie u siebie i każdy może się tam czuć prawowitym mieszkańcem. Pojawia się kolejny model tworzenia tożsamości imigranta. Nie ma tu już napięcia i konfliktu dwóch osobowości, jakie obserwowaliśmy w *Szatańskich wersetach*. Pierwotna tożsamość współistnieje z nowymi.

² Salman Rushdie, *Szatańskie wersety*, (wydawnictwo nieznane), 1992, str. 11.

Komentują to słowa jednego z bohaterów powieści: „granice rozmywają się. Może wkrótce zupełnie znikną”³. Indie są co prawda punktem wyjścia dla całej historii, jednak bohaterowie – Raj, Wina i Ormus – poszukują dezorientacji, wykorzenienia. Indie to już nie Dom, to nie miejsce pogodzenia się z przeszłością i odnalezienia integralności. Indie to więzienie, to miejsce ogarnięte obsesją przynależności, a oni nie chcieli się tej obsesji poddać. Byli urodzonymi bezdomnymi.

Centralnym problemem powieści jest pytanie o fundamenty, o stałe punkty, na których można się oprzeć, o przystań, do której zawsze można wrócić. Z jednej strony człowiek pragnie poruszać się, podróżować, zmieniać miejsce. Raj twierdzi nawet, że nieprzynależność, wyzbycie się silnych związków z rodziną i miejscem jest najsilniej tłumioną cechą ludzkości, piętnowaną przez tych, którzy obawiają się przejściowości, niepewności i zmian. „Prawda wychodzi na jaw dopiero nocą, kiedy szybujemy, latamy, uciekamy”⁴. Z drugiej strony jest zagrażająca człowiekowi niepewność świata, jego ciągła metamorfoza. „Mapy mylą. Przez sporne terytoria granice pełzną, wiją się, pękają. Droga już nie prowadzi tam, gdzie wczoraj. Znika jezioro, góry wypiętrzają się, zapadają... Wschód to Zachód! Góra to dół! Wewnątrz jest Zewnątrz!... A wszystko zmierza ku najlepszemu na tym najlepszym ze światów”⁵. Ta pesymistyczna wizja pogłębiona jest obrazami ludzi przekształcającymi się w węże w rynsztokach, świnię w miejskich parkach, bestie czy przedziwne ptaszyska. „Może wymyka nam się z rąk nasze człowieczeństwo” – konkluduje autor⁶. Może...

Niestabilność i niepewność dominują w powieści. Hybrydyzacja tożsamości nie prowadzi już do powstania czegoś nowego, ale staje się jednym z naturalnych procesów współczesności. Fluidalność granic i różnic przestała być siłą napędową, a stała się zagrożeniem dla poczucia kontroli i bezpieczeństwa. Kultura to tylko maska, odzienie. Tradycja i historia narzucają niepotrzebne ograniczenia. Nawet ziemia pod stopami nie daje już oparcia... Czy to możliwe, żeby tak właśnie wyglądał współczesny świat...?

Rushdie jest fantastycznym obserwatorem i komentatorem rzeczywistości, czemu niejednokrotnie dał wyraz w swoich dziełach. Ze zgiełku symboli, językowych dwuznaczności, ironii, licznych dygresji i skrawków wspomnień bohaterów wynurza się niezwykle trafny komentarz o kondycji człowieka we współczesnym świecie. Jego podwójna perspektywa emigranta sprawiła, że konflikt między Domem a Dalą, między Starym a Nowym, czy między wielokulturowością a etniczną sterylnością staje się centralnym punktem niemal każdej jego powieści. Rushdie niezwykle przekonująco ukazuje współczesnego

wędrowca, człowieka ulegającego bezustannej metamorfozie, narażonego na ciągłą ekspozycję na miliony skrawków obcych mu kultur, tradycji, obrzędów, wiadomości, ludzi, utworów muzycznych, wspomnień, reklam, czy wartości. Bohaterowie Rushdiego to hybrydy, których proces formowania nigdy się nie skończy. Bombardowani obrazami, informacjami, opiniami i elementami innych kultur wyciekającymi z mediów, czyż nie jesteśmy również takimi wędrowcami? Wędrowcami w bezruchu, w czterech ścianach, przesiąkającymi tym, co nam nieznane, odległe i niezrozumiałe.

Jaka więc jest współczesna droga, którą przebywamy...? I czy wiemy, gdzie się ona zaczyna...? I gdzie kończy...?

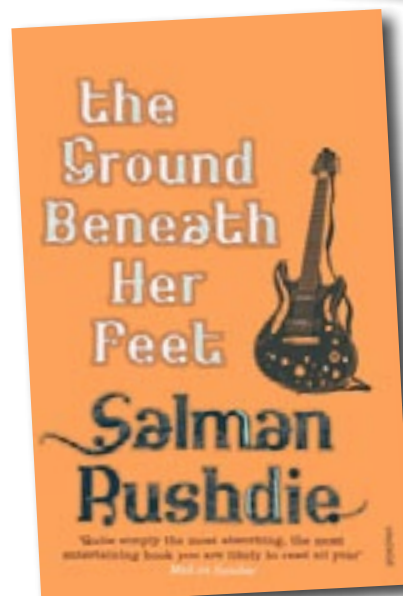
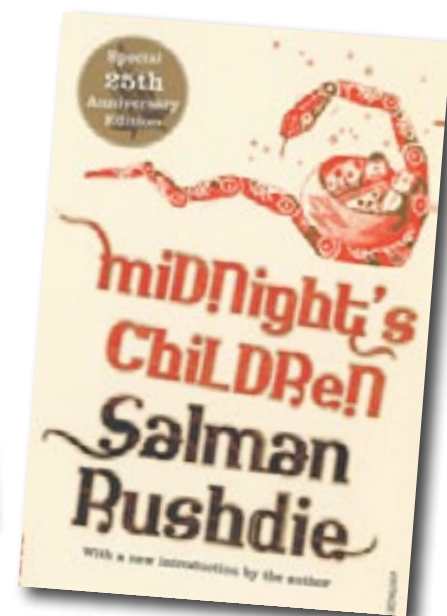
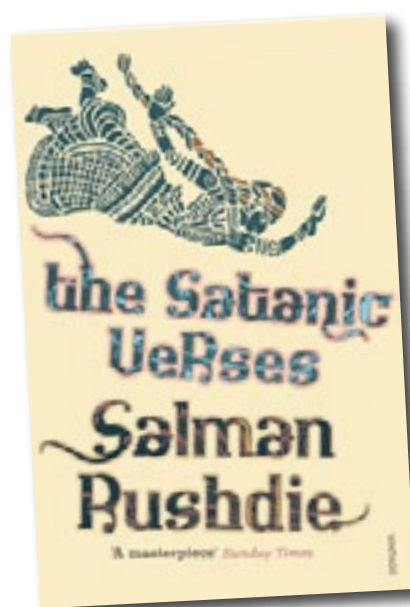
Bibliografia:

Salman Rushdie, *Imaginary Homelands: Essays and criticism 1981 – 1991*, Granta Books, Londyn 1991 (tłumaczenie własne).

Salman Rushdie, *Szatańskie wersety*, (wydawnictwo nieznane), 1992.

Salman Rushdie, *Dzieci Północy*, Wydawnictwo Rebis, Poznań 1999.

Salman Rushdie, *Ziemia pod jej stopami*, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2001.



³ Salman Rushdie, *Szatańskie wersety*, (wydawnictwo nieznane), 1992, str. 354.

⁴ Salman Rushdie, *Ziemia pod jej stopami*, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2001, str. 61.

⁵ Salman Rushdie, *Ziemia pod jej stopami*, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2001, str. 322.

⁶ Salman Rushdie, *Ziemia pod jej stopami*, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2001, str. 356.



 Mariusz Szczygieł w drzwiach swojej biblioteki
Fot. Jan Brykczyński, www.janbrykczynski.com

ZACZAROWAĆ CZYTELNIKA

Z wielką czułością mówi o swoich rodzicach, z pasją o najważniejszych książkach swego życia. To dzięki jednym i drugim stał się tym, kim jest – dziennikarzem, reporterem, pisarzem. Na spotkaniu w praskiej kawiarni Adria wyciąga z torby i pokazuje mi zdobycze dnia – pierwsze, samizdatowe wydanie z 1971r. powieści *Obsługiwałem angielskiego króla* Bohumila Hrabala oraz notatnik tłumaczki pani Heleny Teigowej. Obie pozycje chciała wyrzucić na śmietnik córka tej ostatniej, Helena Stachová, tłumaczka i przyjaciółka pisarza. Mariusz Szczygieł ocalił je od tego losu, by może kiedyś je komuś podarować. Bo jeden z najwybitniejszych polskich reporterów kocha książki. I potrafi mówić o nich godzinami.

Z Mariuszem Szczygłem rozmawia Stefania Szostok

Pamięta Pan pierwszą książkę, którą przeczytał Pan samodzielnie w dzieciństwie?

Pamiętam pierwszą o myszy, która nazywała się Myszka Pik i drugą – to był *Rogaś z Doliny Roztoki*. Ale one nie zrobiły na mnie takiego wrażenia, jak trzy inne książki autorki Edith Nesbit, które przeczytałem mając lat już może jedenaście. Była to trylogia o pewnym rodzeństwie: *Historia amuletu*, *Pięcioro dzieci i coś* oraz *Feniks i dywan*. W pierwszej części bohaterowie znajdują amulet, dzięki któremu przenoszą się do przeszłości i na przykład odwiedzają starożytny Babilon. W drugiej spotykają

Piaskoludka, który żyje tylko w piasku i nie znosi wody, oraz przeżywają z nim różne przygody. A w trzeciej poznają ptaka Feniksa i mają zaczarowany dywan. Muszę powiedzieć, że to działało strasznie na moją wyobraźnię. Jakiś czas temu, już jako dorosły, kupiłem sobie na nowo na allegro te trzy książki, żeby sprawdzić, czy dalej będą robiły na mnie takie wrażenie. Nie byłem w stanie ich czytać. W ogóle mnie nie interesowały. I powiem że... być może to dobrze. Bo to oznacza, że nie jestem już dzieckiem. Gdybym tak samo to przeżywał, co by to oznaczało? Że nie dorosłem, nie dojrzałem? Wręcz mnie odrzuciły. Wydały

mi się strasznie nudne. A w pamięci je zachowałem jako wspaniałe książki. Czytając je wtedy nie byłem w stanie się od nich oderwać. A dziś nic.

Kto Pana w dzieciństwie inspirował do czytania, kto podsuwał Panu książki?

Moje dwie, starsze ode mnie cioteczne siostry, które czytały. Ewa i Marzena. Miały w domu dużą bibliotekę i to mnie fascynowało. Ja byłem takim fanatykiem książek, że jako dziecko wystawałem długo przed księgarnią w Złotoryi i patrzyłem na książki na wystawie. Do dzisiaj, nawet jak nie znam języka jakiegoś kraju, a najczęściej nie znam, to stoję przed księgarniami bardzo długo. Po prostu uwielbiam oglądać książki. Jako dziecko stałem pod tą księgarnią, a potem wchodziłem do środka, brałem z półki każdą książkę i przeglądałem. Pamiętam, że moi rodzice, którzy nie mieli za dużo pieniędzy, wiedzieli, jak książki mnie fascynują. Moja mama potrafiła dać mi na książki pieniądze, a nie kupić butów na zimę. Szliśmy kupić buty, a ja zobaczyłem w księgarni jakąś książkę, i tak bardzo chciałem ją mieć, że mama ulegała i mi ją kupowała.

Czyli rodzice też dużo czytali?

Nie! Mój ojciec nie przeczytał w życiu ani jednej książki, a moja mama może dwie? No, może siedem.

Ale rozumieli Pana pasję.

Tak. Mój tata jest jak postać z Hrabala. W życiu nic nie przeczytał i chyba nie odróżnia Austrii od Australii. Dopiero teraz, na starość, czyta książki o Pradze. Praga go fascynuje tak jak mnie. Ma bardzo dużo albumów o tym mieście i każdego wieczoru je przegląda.

Pan go zabrał do Pragi?

Tak, zabrałem go dwa razy do Pragi i strasznie się zakochał w tym mieście. Mój tata jest bardzo fajnym człowiekiem i ma literacki talent, który polega na tym, że potrafi coś zauważyć i powiedzieć w niezwykły sposób. Na przykład mówi do mojej mamy (ma już siedemdziesiąt siedem lat): „Powinniśmy natychmiast pojechać nad morze i położyć się na plaży”.

„A dlaczego?”

„Bo musimy się już, żono, do piachu przyzwyczajać”.

Albo szliśmy kiedyś ulicą i powiedziałem jakiejś pani „dzień dobry”, a mój tata pyta:

„Kto to jest?”

„A, taka jedna pani X” – wyjaśniłem.

„A pisze książki?” – pyta mój tata.

„Nie”.

„A wygląda, jakby pisała”.

*Nawet jak nie znam języka jakiegoś kraju
A NAJCZĘŚCIEJ NIE ZNAM
to stoję przed księgarniami bardzo długo.*

To jest właśnie mój tata. Tak reaguje na rzeczywistość i ma mnóstwo błyskotliwych sformułowań. A kiedy coś robi – bo przez całe życie był malarzem pokojowym, różne rzeczy naprawia i majsterkuje – ma taką swoją mantrę, którą powtarza do siebie non stop: „Czemuś głupi, boś biedny, a czemuś biedny, boś głupi”. Potrafi tak godzinami do siebie mówić, po cichu, i dzięki temu lepiej się mu pracuje. Ja uważam, że to jego mantra, która go wprowadza w coś w rodzaju transu.

A czy rodzice czytają Pana książki?

Nie. Mój tato mówi: „Ty piszesz książki dla dziennikarzy”. Natomiast moja mama bardzo dużo czyta prasy. Książek nie. Jednak kilka moich książek przeczytała, poza tą ostatnią, *Zrób sobie raj*, którą boi się czytać. Mówi, że „to jest książka o tym, że nie ma Boga. I jeszcze ten Chrystus taki pokawałkowany na okładce. To chyba byłby grzech ją czytać”.

Rodzice są głęboko wierzący?

Tak. Moi rodzice są słuchaczami Radia Maryja. Zastanawiałem się natomiast, jak moja mama racjonalizuje fakt, że ja napisałem książkę o kulturze, w której Bóg jest nieobecny albo obecny inaczej. Książkę o ludziach niewierzących. Jak to na przykład tłumaczy swoim koleżankom, które też słuchają Radia Maryja. I moja mama to tłumaczy tak, że ja musiałem napisać tę książkę.

W pracy Panu kazali?

Też tak spytałem. Nie, ona mówi, że jej syn musiał, ponieważ tak wyglądają te Czechy, a on musi pisać prawdę! Tak to tłumaczy. Wszystko jest więc w równowadze: ona jest w zgodzie ze mną, a ja jestem w zgodzie ze swoimi książkami.

Pamięta Pan swoją pierwszą próbę literacką, pierwszy tekst, który Pan napisał jako dziecko czy młody chłopak?

Zawsze ładnie pisałem wypracowania. Pamiętam, że w siódmej klasie podstawówki, jak miałem czternaście lat, nauczycielka zadawała mi specjalne, przeznaczone tylko dla mnie, tematy wypracowań. Pisałem je z przyjemnością. Ponieważ już nie było miejsca na piątki w dzienniku lekcyjnym, notowała mi te oceny w specjalnym zeszycie. W ogóle pisanie nigdy nie stanowiło dla mnie żadnego kłopotu. To znaczy... ja oczywiście męczę się czasem nad znalezieniem jakiegoś wyrażenia. Ale generalnie pisać, zawrzeć coś w zdaniu, jest dla mnie czymś tak naturalnym, jak oddychanie. Lepiej piszę niż mówię. Mówię fatalnie, jak potłuczony. Czeskich wywiadów na przykład udzielałem tylko i wyłącznie mailowo. Jeszcze nikt nie zrobił ze mną w Czechach wywiadu osobiście. Ja tych dziennikarzy oczywiście poznałem, ale umówiliśmy się na maila. Kiedy piszę, lepiej się wyrażam, lepiej formułuję myśli.



Chodzi o to, że w czeskim nie czuje się Pan tak swobodnie jak w polskim?

Nie, ja po polsku też wolę odpowiadać mailem. Nie chodzi o gładkość tekstu, bo ja te maile piszę tak, jak mówię. Ale są tam lepiej dobrane przykłady, jest to o wiele bardziej błyskotliwe. Jestem o wiele inteligentniejszy pisząc. Inaczej mózg mi wtedy pracuje. No ale powiedzmy czytelnikom, że ten wywiad jest „mówiony”, nie pisany.

A ta pierwsza próba?

Napisałem list do redakcji legnickiej gazety *Konkrety*, jak miałem czternaście lat, o tym, że kupiłem bilet na Basztę Kowalską w Złotoryi, żeby ją zwiedzić, a pan wpuszczający zażądał dodatkowej opłaty za aparat fotograficzny. Za co mi nie wydał żadnego biletu ani zaświadczenia, że wziął ode mnie pieniądze. W związku z tym napisałem na niego skargę do gazety. List został wydrukowany, podpisano go jako „N.N. – nazwisko znane redakcji”. W następnym numerze była odpowiedź jakiegoś kierownika, że zbadano tę sprawę i upomniano tego pracownika.

Pierwsza interwencja dziennikarska.

Tak. Potem mi moja mama powiedziała, że widziała tego pana na łączce niedaleko naszego domu, całkowicie pijanego. I ja miałem poczucie, że on się rozpił z mojego powodu. Strasznie mi było przykro. Później, jako



Mariusz Szczygieł na targach Świat Książki w Pradze w maju 2011
Fot. Edgar Martinez

piętnasto-, szesnastolatek pisałem recenzje z programów telewizyjnych do czasopisma *Antena*. I zawsze mnie bardzo denerwowało, że podpisywali te recenzje „Mariusz Szczygieł, Złotoryja”. Ta Złotoryja była dla mnie upokarzająca, bo świadczyła o tym, że dla nich to tylko list do redakcji, a ja sobie wyobrażałem, że piszę artykuł. I jak wycinałem te recenzje z *Anteny*, to zawsze się starałem, żeby się tej Złotoryi przy nazwisku pozbyć, więc odcinałem tę nazwę.

Czy jest jakaś książka, o której Pan sądzi, że zmieniła Panu życie?

Tak. Książka Hanny Krall *Trudności ze wstawianiem*, którą przeczytałem w samizdacie. Samizdat, czyli drugi obieg, to były książki odbijane na powielaczu, przepisywane na maszynie. Te reportaże Krall to były przenikliwe i jadowite opowieści o Polsce socjalistycznej, które nie mogły wyjść oficjalnie. Pochodziły z dwóch książek, które zniszczono – cały nakład pierwszej, pt. *Katar sienny*, pocięto na makulaturę, a u drugiej, noszącej tytuł *Szczęście Marianny Głaz*, przetopiono gotowy skład drukarski (albo odwrotnie, ale nie ma to znaczenia). Kiedyś skład drukarski był metalowy, trwał bardzo długo, bo każdą stronę układano ręcznie z metalowych czcionek i ten metal odbijano na kartkach.

Przeczytałem to jesienią 1988r. Dzięki tej książce, po pierwsze: pokochałem Hannę Krall, postanowiłem się z nią zaprzyjaźnić i ta przyjaźń trwa do dzisiaj. A po drugie, zobaczyłem, co to znaczy pisanie, którym się czaruje. A po trzecie, zacząłem podglądać, jak ona pisze. Puenty tych reportaży były fenomenalne, każda z nich była jak uderzenie kijem w głowę. Wynajmowałem wtedy

*Wydawało mi się więc,
ŻE STAĆ SIĘ RECEPCJONISTĄ
to najwyżej, jak mogę zejść w życiu.*

piwnicę na Sadybie w Warszawie, było tam bardzo mało miejsca, łóżko, stół, krzesło i nic więcej już się nie mieściło. Czytałem wtedy tylko w łóżku, pamiętam jak dochodziłem do ostatniego zdania i po każdej puencie ręce mi opadały, nie wiedziałem, co mam ze sobą robić. Po prostu olśnienie. Dozowałem sobie te teksty, każdego dnia tylko jeden, żeby mi na dłużej starczyło. To była właśnie książka, która zmieniła moje życie w taki sposób, że podziąkała na moje emocje i odpowiedziała mi, że pisanie to czary. Tekst może udawać instrukcję obsługi pralki, może wyglądać na bardzo zwykły, ale musi w niezwykły sposób działać na czytelnika. I kiedy czasami mi ludzie mówią, że nie mogli się od jakiejś mojej książki czy innego tekstu oderwać, że przejechali przystanek czytając, to mówię sobie, może to jest to, co wtedy podpatrzyłem u Krall? Może, cholera, udało mi się tego czytelnika zaczarować?

Czy właśnie wtedy Pan poczuł, że chce pisać reportaże?

Pisałem już wcześniej. Od dziewiętnastego roku życia pracowałem jako dziennikarz w tygodniku *Na przełaj*. Zacząłem pracować, bo bardzo szybko uciekłem z uczelni. Studiowałem dziennikarstwo tylko pół roku, dostałem dwóje ze wszystkich przedmiotów i rzuciłem to. A kilkanaście lat później, od roku 2000, na tym dziennikarstwie wykładałem. Bo potem skończyłem te studia oczywiście, ale na początku mi nie szło.

Ale kiedy pojawił się ten moment, kiedy Pan poczuł, że chce być dziennikarzem?

Kiedy nie chciałem już być recepcjonistą w hotelu. Na początku chciałem być recepcjonistą, bo bardzo chciałem mieć kontakt z ludźmi. Byłem jedynakiem, którego mama niechętnie puszczała na podwórko i wydawało mi się, że ten kontakt mam niedostateczny. Cała moja rodzina pracowała w hotelu Pod Basztą w Złotoryi – mama w pralni, tata był palaczem, jedna ciotka była pokojową, druga kelnerką. Wydawało mi się więc, że stać się recepcjonistą to najwyżej, jak mogę zejść w życiu. Ale potem, jak się okazało, że pisanie idzie mi dobrze, pomyślałem sobie, że dziennikarz też jest trochę takim recepcjonistą, a do tego pisze. Jak miałem szesnaście lat, w 1983 r., napisałem kolejny list do redakcji, który został

potraktowany już jako tekst. Była to opowieść o moim liceum, o tym, dlaczego samorząd szkolny nie może się dogadać z dyrektorem. Tygodnik *Na Przełaj* ogłosił wtedy nabór korespondentów i za ten tekst dostałem swoje pierwsze pieniądze. I wtedy postanowiłem, że chcę być dziennikarzem.

Jaką książkę zabrał Pan w walizce w tę podróż do Pragi?

To książka Alaina de Bottona, pt. *Architektura szczęścia*. Można tę książkę opisać na dwa sposoby. Pierwszy: Jest to bogato ilustrowany esej o znaczeniu architektury dla człowieka. I drugi: To jest książka o tym, jak domy rozmawiają z człowiekiem, jak domy rozmawiają z miastem, i jak domy rozmawiają z domami. I tego właśnie żądam od książek i od pisania – żeby były napisane tak, jak ta druga definicja. I tak bym chciał też pisać.

Ma Pan jakieś specjalne rytuały, kiedy Pan pisze?

Puszczam muzykę jazzową, ale muszę przyznać, że naprawdę mózg się mi otwiera przy operach i Vivaldim. Czasem lubię też ciszę. Najważniejsze, że nikogo nie może być u mnie w domu. Jest to absolutnie wykluczone. Najbardziej lubię pisać tak, żebym w ogóle nie musiał wychodzić, aż skończę rozdział lub artykuł do gazety. Czasami to trwa pięć dni, a czasami dwa tygodnie. Piszę wtedy od 16.00-18.00 do 4.00 rano. Jestem strasznie nieszczęśliwy, kiedy podczas takiego ciągu muszę wyjść do pracy, czy coś załatwić i oderwać się od pisania. Jestem przewodniczącym wspólnoty mieszkaniowej w moim domu i mam sąsiadów, którzy, bywa, pukają do mnie przez kilka dni z rzędu, wiedząc, że jestem w domu. A ja im nie otwieram. Myślą, że jestem chamem, że ich lekceważę, ale ja pisząc jestem w takim stanie, że nie mogę się im pokazać na oczy. Nie myję przez kilka dni włosów, nie golę się. Nie chcę mieć kontaktu z nikim.

Jaka była pierwsza książka, którą przeczytał Pan po czesku? Czeskiego uczył się Pan sam, prawda?

Tak. Byłem na samym początku na kilku lekcjach u pani Piotrowskiej-Małek z warszawskiej sławistyki, a potem miałem piętnaście lekcji trzygodzinnych w Pradze, w tym samym budynku, co kawiarnia, w której siedzimy. I to wszystko. A pierwszy tekst przeczytałem bez nauki, tylko ze słownikiem. Nie była to książka, był to tekst piosenki z płyty Heleny Vondráčkové pt. *Dvě malá křídla tu nejsou. (Juž nie ma tu dvou malých skrzydeł)*. Przetłumaczyłem go pisemnie, dla siebie. A pierwsza książka: *Helena o sobě a slavní o Heleně* – książka o Helenie Vondráčkové.

To przez Helenę Vondráčkovą zainteresował się Pan Czechami?

Tak. Wcześniej wydawało mi się, to naród, który niczym nie może nam zaimponować, który nie ma żadnej kultury. Wynikało to z przesądów panujących w moim środowisku na Dolnym Śląsku, gdzie o Czechach mówiło się lekceważąco.

Czytuje Pan także fikcję literacką?

Tak, ale niedużo, bo denerwuje mnie fikcja. Chyba, że mam poczucie, że żywiła się ona prawdą. Powiedzmy, Klimko-Dobrzaniecki: *Dom Róży*, jego opowieść o tym, jak pracował w domu starców w Islandii. Albo Witkowskiego *Lubiewo*, o którym wiem, że tak naprawdę jest reportażem. Witkowski tych wszystkich ludzi poznał i nic nie zmyślił. Taką fikcję chętnie czytam. A jeśli już fikcja nie jest „prawdziwa”, to musi być oszałamiająco napisana. Ale oszałamiająco napisane są tylko cztery książki. *Amatorki* Jelinek. *Matka noc* Kurta Vonneguta. *Zamek* Kafki. *Wesela w domu* Hrabala. Nie mówię, że nie lubię fikcji, ale po prostu chętniej sięgam po rzeczy prawdziwe.

A czy jest jakiś fikcyjny bohater, który jest panu bliski? Z którym się Pan utożsamia?

Ja się bardzo łatwo utożsamiam z każdym bohaterem. Kiedy miałem osiemnaście lat, ogromne wrażenie zrobiła na mnie książka Émile’a Ajara *Życie przed sobą*. Émile Ajar był rosyjskim Żydem z Litwy, mieszkającym w Paryżu. Pod pseudonimem Romain Gary napisał bardzo znaną książkę *Obietnica poranka*. Jako Émile Ajar napisał *Życie przed sobą*. A tak naprawdę nazywał się jeszcze inaczej: Roman Kacev.

Życie przed sobą to opowieść ze świata francuskich prostytutek, widzianych oczyma kilkulatniego chłopca. Wychowuje go stara emerytowana prostytutka, pani Roza, która z powodu swej tuszy bardzo ciężko wchodzi po schodach, a mieszka na ostatnim piętrze. Chłopiec jest jej podporą życiową. Książka jest szalenie sugestywnym monologiem bohatera. Czytając ją byłem już prawie facetem, a mimo to stałem się tym chłopcem. Uszami wyobraźni słyszałem słowa pani Rozy, skierowane do bohatera, jakby były adresowane do mnie.

Ale jeśli np. weźmiemy *Amatorki* Jelinek, która w okrutny sposób pisze o życiu małżeńskim i drobnomieszczaństwie w ogóle, to utożsamiam się z narratorem. Kiedy autorka pisze, że kobieta to „maszyna potakująca” albo że „żyje się tylko raz, mówi matka Brigitte, dla której ten raz jest już o jeden raz za dużo”, to ja się utożsamiam ze sposobem widzenia opowiadającej. Kiedy Jelinek jest okrutna wobec tego jałowego, drobnomieszczańskiego życia, to ja w tym momencie jestem tak samo okrutny.



Może sprostuję, naprawdę to ja się zawsze utożsamiam z narratorem. A ten chłopiec z książki Ajara był narratorem i bohaterem równocześnie.

Najważniejszy cytat Pana życia?

Pochodzi z *Życia przed sobą*. Chłopiec mówi: „Bo czasami białe, to jest czarne, co się ukrywa, a czarne, to jest białe, które się dało nabrać”. Była to dla mnie lekcja, że często rzeczywistość jest całkiem inna, niż to, co widzimy z wierzchu. Kiedy miałem osiemnaście lat, było to dla mnie odkrywcz.

Czy któryś z bohaterów Pana reportażu został w Panu na tyle, że chciałby Pan się znaleźć w jego skórze, choćby na jeden dzień?

Lepiej nie być moim bohaterem. Bo ja zawsze wybieram takich ludzi, którzy mają dosyć trudne życie. Chcę ich pojąć jako reporter, aby dzięki mnie zrozumieli ich też inni. A jeśli takiego człowieka trzeba zrozumieć, to znaczy że znajduje się on w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Dlatego nie chciałbym być żadnym z moich bohaterów.

Chociaż... może jednak jest taki człowiek? W mojej ostatniej książce występuje czeski policjant, który nagle uwierzył w Boga. Pochodzi z niewierzącej rodziny. Jest szczęśliwy dzięki swej wierze, ale jednocześnie ukrywa to jako bardzo intymną tajemnicę. Nie tyle boi się nietolerancji, co niezrozumienia. Jeden z rozdziałów książki *Zrób sobie raj* jest jego monologiem.

Nim mógłbym być. Jako niewierzący chciałbym mieć jego wiarę i być dzięki niej tak uspokojony. Jako facet niezadowolony ze swojej męskości – mam na myśli sprawność fizyczną – chciałbym być nim, bo jest on bardzo wysportowany. Myślę, że jest to człowiek, w którego życiu jest coś pięknego. Jest zadowolony z tego co robi, jest szczęśliwy, że jest policjantem, że wierzy. Nie ma wątpliwości. A jednocześnie jest wykształcony, czyta książki. Tak, to jest bohater, którym chciałbym być, bo ja mam ciągle wątpliwości – co do swojego pisania, co do życia, a już co do wyglądu, to lepiej nie mówić. Nie wiem, czy on jest taki naprawdę, ale ja odbieram go jako bardzo zrównoważonego i to mi się podoba. Poza tym jest brunetem, a ja nienawidzę być blondynem.

Postanowiłem, że zanim *Zrób sobie raj* ukaże się w Czechach, dam mu do przeczytania rozdział o nim. Pani Stachová przetłumaczyła go na czeski. Wysłałem mu ten przekład i strasznie byłem ciekawy, co powie, bo to jego monolog.

Nigdy nie jest tak, że monolog danego bohatera zawiera słowo w słowo to, co ten człowiek powiedział. To się konstruuje, aranżuje. Początek monologu wcale nie musi być taki sam, jaki był w rzeczywistości. Częściowo do jego opowieści włożyłem też jego maile do mnie. Zawsze staram się pisać tak, żeby – jak to powiedział pewien krytyk ukraiński – tekst był jak striptiz. Najpierw pokazuję troszeczkę, potem więcej, potem jeszcze więcej, odsłaniam czytelnikowi treść po kawałeczku. Tak też napisałem ten monolog. Na początku myślimy, że to opowieść geja – policjanta. Wszystkie rekwizyty są takie, jak przy coming outcie gejojskim. Dopiero w trakcie czytania okazuje się, że bohater ujawnia, iż zaczął wierzyć w Boga.

Dałem mu więc to do przeczytania. Zareagował fantastycznie, życzylibym sobie więcej takich bohaterów. Napisał mi tak: „Ten monolog oczywiście nie wygląda tak, jak to mówiłem. Ale nie ma w nim żadnej nieprawdy. Czuje się jak model, kiedy widzi swoją twarz wyrzeźbioną przez rzeźbiarza. Ona nigdy nie jest identyczna. Pan to zrobił jak rzeźbiarz, więc nie mogę mieć pretensji.”

Tym bohaterem mógłbym być.

Gdyby mógł Pan bez ograniczeń podróżować w czasie, gdzie by się Pan jako reporter udał i z kim się spotkał, żeby przekonać się „jak to naprawdę było” i napisać o tym?

Hmm, myślę, że chciałbym znaleźć się w latach czterdziestych, we wsi Ustrzyki Górne, w Bieszczadach, gdzie mieszkała rodzina mojej mamy. Gdzie Ukraińcy zabili mojego dziadka. Chciałbym się przekonać, jak to było. Zobaczyć jak wyglądał ten dom, w którym mieszkała moja mama i jej rodzina. Jak oni uciekali wozem drabiniastym po wojnie na ziemię zachodnie. Ale oczywiście chciałbym się tam znaleźć jako niewidzialny obserwator! W żadnym wypadku nie miałbym zamiaru brać udziału w tych wydarzeniach i dać się zabić. To jest taka bajka z mojego dzieciństwa, którą mama opowiadała. Pragnąłbym znać szczegóły tych zdarzeń. Bo w przyszłości chciałbym o tym napisać książkę. O historii mojej rodziny.

Moja mama podobno była bardzo ładna, jak była młoda i mój ojciec był bardzo przystojny. Chciałbym ich zobaczyć, jak mieli po 20 lat. Ja jestem późnym dzieckiem, moi rodzice już byli po trzydziestce, jak się urodziłem.

Nie ma żadnych zdjęć?

Nie, jak oni uciekali z tej zachodniej Ukrainy, niewiele się zachowało. Wtedy się ludzie tyle nie fotografowali. Coś tam jest, jedno zdjęcie mamy na statku Batory, wygląda na nim jak aktorka. Bardzo piękne zdjęcie. Tak, chciałbym moich rodziców zobaczyć w młodości. Ja oczywiście jakoś ich pamiętam z dzieciństwa, ale chciałbym ich zobaczyć moimi dzisiejszymi oczami.

Czy jest jakiś współczesny pisarz czeski, którego mógłby Pan polecić czytelnikom Archipelagu, o którym Pan sądzi, że powinien być przetłumaczony na język polski?

Jest jeden taki pisarz. Najbardziej niedoceniony pisarz w Czechach. Nie jest znany, choć pisze świetne książki. Nazywa się Martin Vopěnka. Ostatnio wyszła jego książka, która nazywa się *Pátý rozměr* (*Piąty wymiar*). Fantastyczna.



A pierwsza jego książka, którą przeczytałem, nosi tytuł *Moje cesta do ztracena. Putování s Benjaminem* (*Moja droga do zagubienia. Wędrówka z Benjaminem*). Jest to opowieść o ojcu, który po rozstaniu z żoną wyjeżdża z synem na wakacje i postanawia już nie wracać. Obaj jadą tam, gdzie ich oczy poniosą. Przez Włochy, Bułgarię, nad Morze Czarne. Piękna książka,

w której nie ma niczego, co naszym polskim zdaniem jest typowe dla literatury czeskiej. Nie ma humoru, zabawnych puent, niczego dowcipnego. Nic tam nie jest łatwo-ładne. Jest to opowieść o więzi między ojcem a synem. A jednocześnie o tym, jak to jest, kiedy nie ma się celu. Pisarz ten jest filozofem, psychologiem i alpinistą. Pisze tak przy okazji. Uważam że właśnie jego książki warte by były przetłumaczenia na język polski.

Czy chciałby się Pan wybrać na kawę lub piwo z którymś z nieżyjących czeskich pisarzy?

Na piwo ani na kawę nie. Jestem bardzo nieśmiały kiedy muszę mieć prywatny kontakt z kimś znanym. Tylko kiedy mam sprawę do tej osoby, idzie mi bardzo dobrze. Na przykład trzy, cztery tygodnie temu, w marcu, przyjechałem na pokaz prasowy filmu *Odcházení* (*Odchodzenie*) Václava Havla, i znajoma mnie poznała nagle, znienacka, z moją ulubioną czeską aktorką Evą Holubovą. I jak ta Holubová podchodziła do mnie, to myślałem, że zawału dostanę. Miałem ciemno przed oczami, ciśnienie mi skoczyło ze skrzepowania i z tremy. Gdybym przyszedł do Holubovej jako dziennikarz, nic takiego by się nie działo. Tak mam. Na kawę czy piwo to bym z nikim nie poszedł.

Pytać się Czecha

„JAK SIĘ PANU ŻYJE BEZ BOGA?”

to jakby pytać Włocha: jak się żyje panu jako brunetowi?

Przełącza się więc pan między Mariuszem Szczygłem reporterem a Mariuszem Szczygłem prywatnym?

Tak. Tracę nieśmiałość tylko wtedy, kiedy jestem dziennikarzem, kiedy wiem, że mam legitymację prasową w kieszeni. Oczywiście nigdy żadnej legitymacji

nie używam, ale chodzi o tę świadomość, że jestem dziennikarzem. Jak kogoś chciałem w Czechach spotkać prywatnie, wymyślałem sobie pytanie, które mu zadam, bo może mi się przydać do książki. Tak poznałem na przykład Pavla Kohouta. W *Zrób sobie raj* jest więc maleńki rozdział o tym, jak zadaję Kohoutowi jedno jedyne pytanie.

Dla kogo Pan pisze? Jak Pan sobie wyobraża odbiorcę swoich książek?

Pisząc *Zrób sobie raj* wyobrażałem sobie pięć grup odbiorców. Z tego dwie grupy Polaków. Z jednej strony byli to ci wierzący Polacy, wyznawcy PIS-u. A z drugiej strony wyobrażnia podpowiadała mi, że tę książkę będą też czytali ci wszyscy liberałowie, którzy walczą z myślami, czy wierzyć w Boga, czy nie wierzyć. Pisałem dla obu tych grup. Wiedziałem, że jednych zgorszę, a drugich pokrzepię.

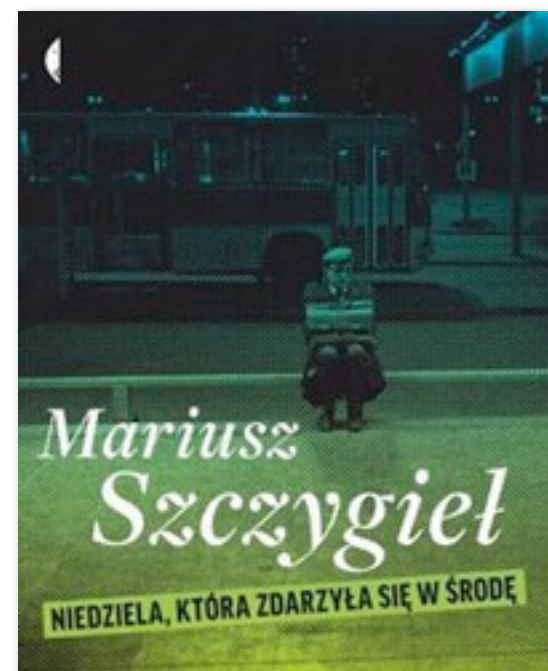
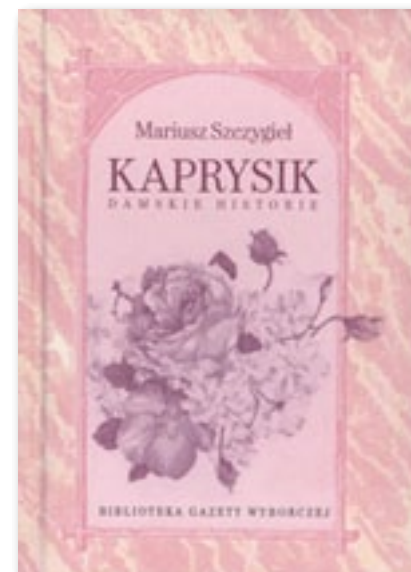
Wyobrażałem sobie również czytelnika czeskiego, ale też podwójnie. Wiedziałem, że będą tacy Czesi, którzy uznają, że ta książka nie ma żadnej wartości. Że wszystko, co opisuję

– postaci, zjawiska – są znane, oczywiste. Że przywożę drzewo do lasu. To jest ta trzecia grupa. Bo pytać się Czecha „jak się panu żyje bez Boga?”, to tak jakby pytać Włocha,

„jak się żyje panu jako brunetowi?”. Albo pytać Szwedkę „jak się pani czuje jako blondynka?”. Taka reakcja była więc nieunikniona, ale wiedziałem, że chcę to napisać i że piszę od serca, przede wszystkim

dla Polaków. To Polakom chcę pokazać kawałek tej kultury, której nie znają.

Ale z drugiej strony pomyślałem sobie, że będzie też czwarta grupa. To czeski czytelnik, któremu się spodoba, że dzięki





tej książce dowiaduje się, jak ja Czechy widzę. Jaki obraz buduję. Bo tak naprawdę wszystko jest wyobrażeniem. Tego czytelnika zacieka, jaki mit czeskiej kultury sprzedaje Polakom. I to będzie dla niego bardzo podniecające i interesujące.

A piąta grupa to czytelnik europejski, który być może po raz pierwszy dowie się czegoś o Czechach.

Myślałem o nim, bo czułem, że ta książka będzie miała wiele przekładów. Jeśli *Gottland* w przeciągu czterech lat doczekał się tłumaczeń na dziesięć języków, to *Raj* w ciągu pierwszych trzech miesięcy miał już sprzedane prawa do pięciu krajów. Czułem, że w wielu krajach spodoba się, że w jednej książce jest zawartych bardzo dużo aspektów czeskiej kultury.

Jakie są Pana mocne i słabe strony jako reportera i jako pisarza?

Najmocniejszą moją stroną jest to, że bez względu na temat, mój tekst zawsze czyta się jak kryminał. To jest ten striptiz, o którym mówiłem wcześniej. W moich tekstach na coś się czeka, co chwila odsłaniam nowe aspekty, każda strona czy nowy rozdział przynosi ze sobą zaskoczenie. Staram się zaskakiwać czytelnika. A słaba strona? Nie umiem opisywać ludzi ani miejsc. Jestem słaby w opisie. Kiedyś śmialiśmy się razem z Wojtkiem Tochmanem, który też uważa, że jest słaby w opisach, że musimy pójść do Stasiuka na szkolenie, bo on jest w tym dobry. Boże, jak ja miałem w *Raju* opisać ogród pani Heleny Stachovej, który widzę z okna! Trzy dni się biedziłem nad pięcioma zdaniami. Coś strasznego. Tego nie umiem, bo ja nie mam talentu pisarskiego w tym tradycyjnym tego słowa rozumieniu.

Tak więc Pana w ogóle nie pociąga pisanie fikcji?

Nie, bo ja nie umiem zmyślać. Umie zmyślić może pół zdania. No może dwa zdania bym umiał zmyślić. Ale nie umiem zmyślić większej całości. Jeśli napiszę powieść w przyszłości, to będzie to powieść faktu. Wszystko będzie tam prawdziwe.

Ma Pan jakieś konkretne plany na nową książkę? A może już Pan pisze?

Nic nie piszę, bo pracuję na dwa i pół etatu, w redakcji Gazety Wyborczej, w Instytucie Reportażu, który

prowadzimy z kolegami, i w księgarni *Wrzenie Świata* w Warszawie, która należy do Instytutu Reportażu.

A co Pan robi w księgarni?

Sprzedaję książki. Polecam je, prowadzę wieczorki literackie. To księgarnia z literaturą faktu, tylko i wyłącznie. Z kawą i z herbatą.

Jestem więc strasznie zajęty. Nie mam czasu na pisanie, a jeśli będę cokolwiek jeszcze pisał, to muszę wziąć rok bezpłatnego urlopu z Gazety i skupić się tylko na książce. Inaczej się nie da. Nie chcę już, żeby ta następna rzecz była złożona, nawet w połowie, jak *Raj*, z tekstów, które były publikowane w Gazecie. Chciałbym, żeby to była w całości nowa rzecz. Prawdopodobnie będzie ona o Willi Müllera w Pradze (Müllerova vila).

Chce Pan więc jeszcze pisać o Czechach?

Jeszcze tę jedną książkę chcę napisać o Czechach. A potem chciałbym może na Ukrainę się przenieść.

Dziękuję za rozmowę.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ

od wielu lat pracuje jako dziennikarz i redaktor Gazety Wyborczej. W latach 1995-2001 prowadził talk-show *Na każdy temat* w TV Polsat. Wykładał też reportaż na Uniwersytecie Warszawskim. Razem z Pawłem Goźlińskim i Wojciechem Tochmanem założył Instytut Reportażu, gdzie obecnie naucza. Laureat wielu nagród literackich, m.in. NIKE Czytelników 2007 za *Gottland*. Od wielu lat tematem jego zainteresowań jest Republika Czeska. Napisał o tym kraju już dwie książki: *Gottland* (2006) i *Zrób sobie raj* (2010). Obie doczekały się wielu nagród i przekładów zagranicznych, a w Czechach stały się bestsellerami.

NA GRANICY DWÓCH JĘZYKÓW

Polskiego nauczyła się właściwie sama. Dzięki jej pasji na anglojęzycznym rynku pojawiło się już kilkadziesiąt przekładów literatury polskiej. Z uznaną i utalentowaną tłumaczką **Antonią Lloyd-Jones** o sztuce balansowania między dwoma językami rozmawia **Ania Ready**.

Studiowałaś na Uniwersytecie Oksfordzkim język rosyjski i starożytną grekę. Jak poznałaś polski i co sprawiło, że zainteresowałaś się polską kulturą?

Latem 1983 roku zaraz po zakończeniu studiów znalazłam się w Polsce po raz pierwszy. To był sam koniec stanu wojennego. Odwiedziłam we Wrocławiu znajomych, których poznałam poprzedniego lata w Berlinie. Bardzo mało wiedziałam wtedy o Polsce. Nie mówiłam po polsku ani słowa, a porozumiewanie się po rosyjsku było dla mnie strasznie kłopotliwe, nie wspominając już o tym, że nie było to w tamtych czasach poprawne politycznie... Moi koledzy wraz z ich wspomniałym ojcem, byłym akowcem, opowiedzieli mi sporo o sytuacji w kraju. Jestem im za to bardzo wdzięczna, bez nich nigdy nie nauczyłabym się polskiego. Jeden z moich kolegów był studentem rolnictwa. Miał się opiekować stadem krów na wsi pod Kłodzkiem. Pojechaliśmy tam i zamieszkaliśmy na polu w starej ciężarówce bez silnika. Zbieraliśmy grzyby i tam właśnie na tym polu zaczęłam lekturę podręcznika

Naucz się polskiego. Miałam za sobą dziesięć lat studiów rusycystyki w ZSRR i w Anglii, ale dopiero kiedy znalazłam się w Polsce, pomimo tego że panował tam stan wojenny, poczułam, że to to, czego szukałam, że „jestem wśród swoich.” Po powrocie do domu chciałam dalej studiować, m. in. język polski, ale nie dostałam stypendium, wobec czego musiałam znaleźć pracę. Na całe szczęście

w Londynie od zawsze jest mnóstwo Polaków, więc było z kim rozmawiać. W końcu dostałam też pracę, gdzie miałam codzienny kontakt z językiem polskim oraz kilka lekcji. W dużej mierze jestem jednak samoukiem.

Tłumaczyłaś na angielski książki wielu polskich autorów: Pawła Huellego, Olgi Tokarczuk, Tadeusza Dąbrowskiego. Powiedz, jak Ci się pracuje z każdym z tych autorów?

Mam wspaniały kontakt z polskimi autorami. Cudownie mnie zachęcają do pracy, dają mi poznać, że szanują pracę tłumacza. Zawsze mam mnóstwo pytań do każdego z pisarzy a oni na całe szczęście chętnie na wszystkie odpowiadają. Poznanie tak ciekawych, szczodrych ludzi to jedna z zalet przyjemnego zawodu tłumacza. Nie tylko współpracuję z tymi pisarzami, ale z radością mogę powiedzieć, że się z nimi przyjaźnię. Wspólnie przeżyliśmy wiele ciekawych przygód w czasie spotkań autorskich,



 Antonia Lloyd-Jones
Fot. z archiwum tłumaczki

których część zorganizowana została dzięki świetnym Instytutom Kultury Polskiej w Nowym Jorku i w Londynie. Na przykład Wojtkę Tochmaną poznałam w Nowym Jorku. W Stanach byłam również z Tadeuszem Dąbrowskim, o czym świadczą jego najnowsze wiersze, w których jest nawet zabawny opis spotkania autorskiego na Harvardzie. Z Pawłem Huelle byliśmy trzy razy w

Irlandii południowej i północnej, a opowiadanie *In Dublin's Fair City* powstało po pierwszym wspólnym pobycie. Olga Tokarczuk gościnnie przyjmowała mnie kilkakrotnie u siebie w Sudetach, co było niezwykle pomocne przy tłumaczeniu jej książek. Po zwiedzeniu tego regionu rozumiałam, o co chodzi w *Domu nocnym, domu dziennym*. Później miałam okazję zaprosić Olę do Nowej Zelandii. Ślady tego pobytu pojawiają się w jej powieści *Bieguni*. Wiem więc nawet, skąd pochodzą literackie pomysły tłumaczonych przeze mnie autorów.

Pamiętam, że Paweł Huelle kiedyś zdradził na spotkaniu z czytelnikami, że on na pytania tłumacza odpowiada w formie miniesejów. Czy to Ci pomaga, czy raczej rozprasza przy pracy nad przekładem?

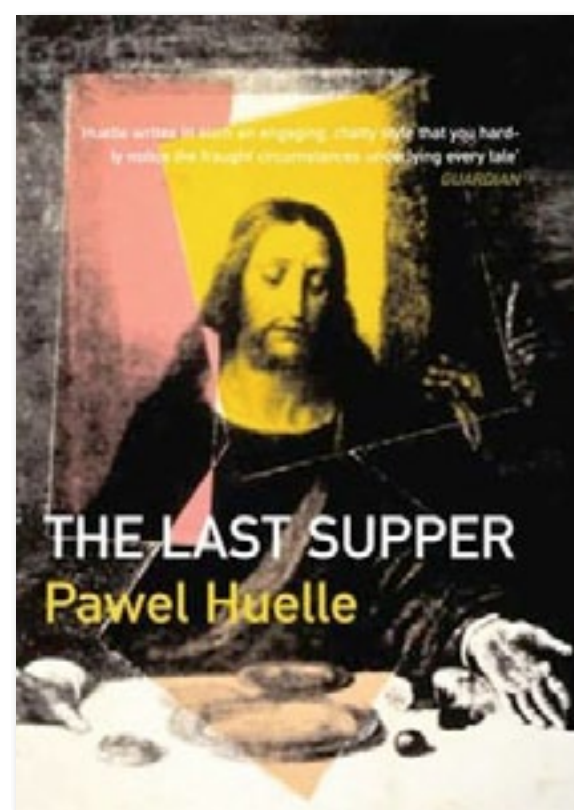
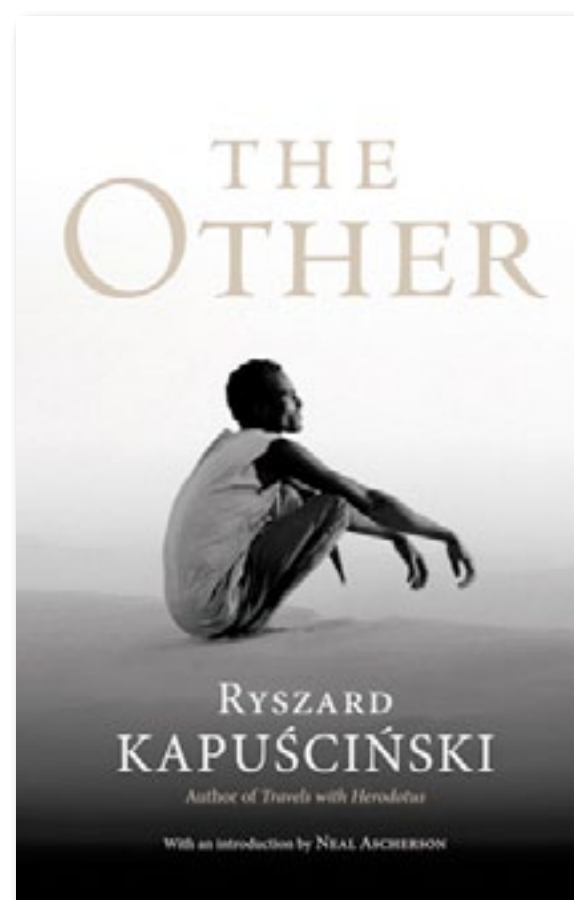
Uwielbiam jego odpowiedzi na moje pytania – czyta się je jak opowiadki. Paweł często dodaje coś ciekawego lub zabawnego. Na przykład raz go zapytałam, dlaczego opisuje bazylikę w Gdańsku jako „wielką jak hipopotam”. Dostałam na to taką odpowiedź: „To jest aluzja do wiersza T.S. Eliota *The Hippopotamus*, w którym poeta przyrównuje Kościół (nie budynek, ale instytucję) do hipopotama:

*At mating time the hippo's voice
Betrays inflexions hoarse and odd,
But every week we hear rejoice
The Church, at being one with God.*

Chodźcież o to, żetaceglana, gigantyczna bryła (największy w Europie kościół z cegły) jest właśnie przysadzista, ciężka – jak hipopotam”. Ostatnio pomyślałam, żeby zrobić z Pawłem wywiad, na podstawie którego napiszę przedmowę do anglojęzycznego wydania *Opowieści chłodnego morza*, nad których tłumaczeniem w tej chwili pracuję. Niedawno go odwiedziłam, by przeprowadzić z nim rozmowę na ten temat.

Wolisz tłumaczyć żyjących pisarzy?

Mój ojciec był profesorem kultury starożytnej Grecji. Jak opowiadałam mu o swoich rozmowach z pisarzami, których tłumaczę, zawsze mówił:



„Ach, zazdroszczę Ci! Gdybym mógł rozmawiać z Sofoklesem...” Więc gdybym ja mogła rozmawiać z Iwaszkiewiczem... Jasne, że to wielki pożytek mieć okazję porozmawiać z pisarzem, poznać go i lepiej zrozumieć jego światopogląd, spędzić z nim trochę życia, przeżyć wspólne przygody. I oczywiście zadać mu pytania dotyczące jego twórczości. Można też powiedzieć, że dobry pisarz nigdy nie umiera – dalej rozmawiasz z jego tekstami. Ogólnie rzecz biorąc, wydawcy wolą żywych pisarzy, którzy chętnie pojawiają się na festiwalach literackich i spotkaniach autorskich – a z nich wolą pisarzy, którzy mówią płynnie po angielsku.

Jacy są Twoi ulubieni polscy autorzy?

Jarosław Iwaszkiewicz jest moim ulubionym pisarzem. Przełożyłam dawno temu wybór opowiadań przedwojennych, ale niewiele jego twórczości istnieje w przekładzie angielskim. Uwielbiam nastrój jego opowiadań i powieści, podoba mi się ich sugestywna atmosfera, ten świat i czas: niby na progu nieuniknionej tragedii, kiedy równocześnie wiadomo, że już jest za późno, katastrofa już się odbyła dawno temu, jest poza zasięgiem naszych sił. Iwaszkiewicz pisze tak czule o prawdziwych związkach ludzkich i niemożliwości nawiązania kontaktu między ludźmi. Pisze pięknym językiem. Lubię też Gombrowicza, chociaż tylko małą część jego prozy przeczytałam – ta przyjemność jeszcze mnie czeka. Oczywiście pisarze, których tłumaczę, też są moimi ulubieńcami.

Jak wygląda Twoja praca? Tłumaczysz w dzień, czy wolisz pracować nocą? Tłumaczysz tylko przez określoną liczbę godzin dziennie? Czy wcześniej czytasz książkę kilka razy?

Praca to praca. Tak jak miliony ludzi rano wstają i chodzą do pracy, tyle że pracuję u siebie w domu, więc podróż jest krótka – z kuchni do biurka. Każdy wolny strzelec wie, że praca na własny

rachunek wymaga pewnej dyscypliny, by zarobić na życie i mieć czym opłacić rachunki. Tłumaczenie to chyba łatwiejsze zadanie od pisania, bo tekst już ma określony początek i koniec. Zawsze mam termin oddania pracy. Oczywiście czytam książkę przed rozpoczęciem tłumaczenia, normalnie pierwszy raz przed lub zaraz po wydaniu polskim, potem drugi raz w ciągu pracy nad streszczeniem. Czasem czytam książkę i wiem, że nie jestem dla niej odpowiednim tłumaczem – nie każda książka pasuje każdemu tłumaczowi i odwrotnie. Wielu tłumaczy ma też inną pracę, ale ja sama nie mam innego zatrudnienia. Przez dłuższy czas pracowałam w biurze m.in. jako redaktor pisma „Brytania” wydawanego przez rząd brytyjski, by propagować Wielką Brytanię wśród młodych Polaków. Potem pracowałam w EBORe jako sekretarka i później jako redaktorka. Wtedy traktowałam tłumaczenie jako swoje hobby. Dopiero w ciągu ostatniej dekady udało mi się zamienić moje hobby na mój zawód, ale nigdy nie wiadomo, czy to będzie trwałe zajęcie. Życie wolnego strzelca nigdy nie jest pewne.

Co jest najtrudniejsze w Twojej pracy?

Chyba najtrudniejsze jest znalezienie czasu na wszystko. Nie tylko tłumaczę książki według zleceń wydawców, ale również przygotowuję przyszłe zlecenia i pomagam w promocji wydanych przekładów. Dość często występuję jako tłumacz konsekwentny podczas spotkań z polskimi autorami. Jeśli chodzi o samą sztukę tłumaczenia, to najtrudniejszą rzeczą jest osiągnięcie kompromisu między językami. Tłumacz musi szanować pisarza i wiernie odtworzyć to, co ten napisał w oryginale, ale też musi być wierny czytelnikowi, bo bez czytelnika ta praca nie ma sensu. Dlatego moim zdaniem tłumaczenie to kompromis między tymi dwiema sferami. Żeby go osiągnąć czasem stąpa się po dość wąskiej linii.

Jak traktujesz swoją pracę: jako rzemiosło czy sztukę?

Tłumaczenie jest sztuką, chociaż sztuką, powiedziałabym, z drugiej ręki. Oryginał jest tekstem pisarza, nie tłumacza. Tłumacz, chociaż oczywiście zasługuje na uznanie, ma być niewidzialny. Nie jest rolą tłumacza przepisywać tekst – nie można ingerować w pisarstwo innego człowieka, tylko przekazać go czytelnikom w swoim języku.

Co najbardziej chciałabyś teraz przetłumaczyć?

Chciałabym przetłumaczyć wybór opowiadań Iwaszkiewicz.



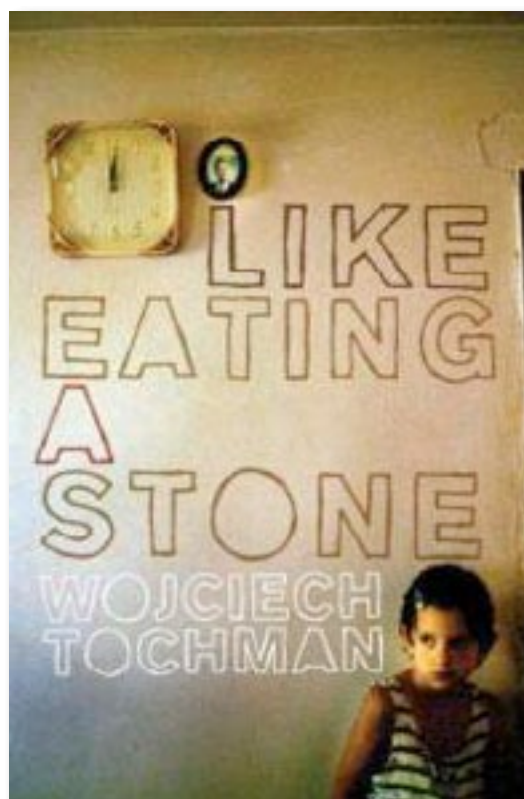
wicza. Kiedyś to zrobię, to sprawa czasu. Całe szczęście, jest kilka wydawnictw, które specjalizują się w klasyce, więc zobaczymy, może kogoś przekonam. Chcę również tłumaczyć polskie książki dla dzieci – wśród najnowszych ilustrowanych książek dla dzieci jest mnóstwo świetnych tytułów. Polska ma bardzo utalentowanych ilustratorów i autorów. Już pracuję nad tym, próbuję znaleźć dla nich miejsce na rynku wydawniczym w Wielkiej Brytanii. W najbliższej przyszłości mam nadzieję, że będę brała udział w nowym projekcie dydaktycznym, w ramach którego będę współpracowała z młodszym tłumaczem, by go szkolić w zawodzie. Mamy zamiar pracować nad późniejszą prozą Sławomira Mrożka.

Jak myślisz, co koniecznie powinno pojawić się w angielskim tłumaczeniu w ciągu najbliższych paru lat?

Nie jestem pewna, co powinno się pojawić, ale wiem, że na pewno pojawią się po angielsku w przekładach różnych tłumaczy m. in. powieści Jacka Dehnela i Olgi Tokarczuk, reportaż Wojciecha Jagielskiego z Afryki, poemat Tomasza Różyckiego i inne książki. Koledzy z Wielkiej Brytanii i ze Stanów Zjednoczonych ciągle pracują nad tym, by na rynku pojawiło się coraz więcej tłumaczeń ważnych, polskich książek. Na przykład ostatnio ukazał się przekład Billa Johnstona powieści *Kamień na kamieniu* Wiesława Myśliwskiego oraz nowe tłumaczenie *Pornografii* Witolda Gombrowicza, które przygotowała Danuta Borchardt.

Czy sama proponujesz brytyjskim wydawcom polskie książki czy raczej oni zwracają się do Ciebie ze swoimi pomysłami?

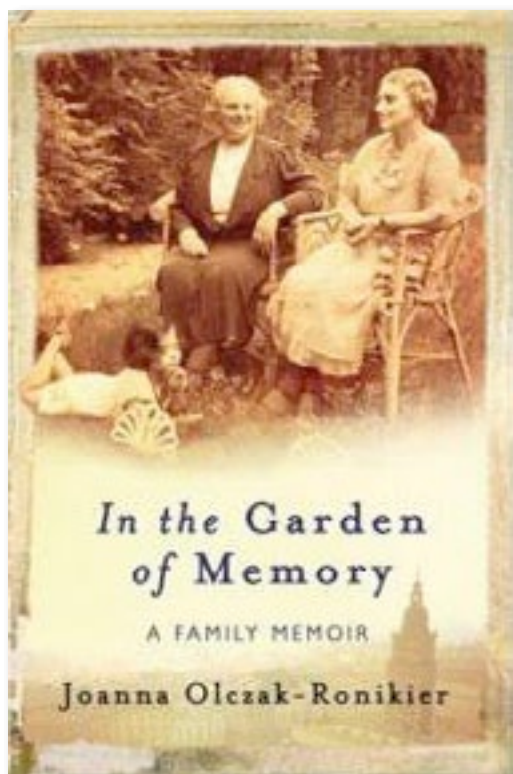
Różnie bywa. Czasem wydawca zwraca się do mnie z propozycją tłumaczenia i jeśli książka mnie interesuje i jeżeli czuję, że podołam, to na ogół przyjmuję ofertę. Częściej jednak współpracuję z polskimi wydawcami oraz agentami, dla których znajduję wydawcę anglojęzycznego. To znaczy, że przygotowuję streszczenie książki oraz próbne fragmenty tłumaczenia, by przedstawić książkę potencjalnym wydawcom. Oni nie są w stanie ani nie mają czasu przeczytać jej po polsku,



trzeba to za nich zrobić. Pracuję nie tylko z brytyjskimi, a w ogóle z anglojęzycznymi wydawcami – nigdy nie ograniczam się do Wielkiej Brytanii, bo jest tak dużo dobrych wydawców w Stanach. Nie ma sensu, aby książka ukazała się tylko w jednej części świata anglojęzycznego, więc wolę pracować z wydawcami, którzy działają po obu stronach Atlantyku i nie tylko. Ostatnio poznałam bardzo pomysłową osobę w Nowej Zelandii, która wydała tam po angielsku *D.O.M.E.K.* – książkę dla dzieci Aleksandry Machowiak oraz Daniela Mizielińskiego w przekładzie Elżbiety Wójcik-Leese.

Jak Twoim zdaniem brytyjscy wydawcy zapatrują się na polską literaturę? Co ich interesuje najbardziej? A co najmniej?

Niestety, mało kto w Wielkiej Brytanii (i w Stanach) interesuje się literaturą obcą. Mało kto czyta literaturę piękną. Ludzie wolą książki popularne, kryminały oraz romanse. Wydawcy, co jest oczywiste, muszą dbać o swój zysk. Wydawnictwo nie jest instytucją dobroczynną, dlatego musi wybierać książki, które jego zdaniem znajdą czytelników. Ogólnie rzecz biorąc, większe wydawnictwa



nie zajmują się literaturą w przekładzie, Stieg Larsson itp. to wyjątek, nie reguła. Każdy kraj ma swoich pisarzy popularnych, więc po co płacić za przekłady? Często cytujemy statystyki, które mówią, że ze wszystkich książek wydanych po angielsku, tylko 3% stanowią przekłady. Wydaje mi się, że sytuacja trochę się polepszyła w ciągu ostatniej dekady, ale w porównaniu z innymi krajami

w państwach anglojęzycznych wydaje się bardzo mało literatury obcej. Dla przykładu w Polsce przekłady stanowią ok. 30%. W Wielkiej Brytanii i w Stanach raczej mało, niezależne wydawnictwa wydają zagraniczne książki, głównie literaturę piękną. Te wydawnictwa są zależne od dotacji lub dofinansowania od na przykład UE, brytyjskiego Arts Council, amerykańskiego National Endowment for the Arts lub w przypadku polskiej literatury – od Instytutu Książki. Dlatego często to polski podatnik dotuje tłumaczenie z polskiego na angielski.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

ANTONIA LLOYD-JONES

Jest absolwentką Uniwersytetu Oksfordzkiego, gdzie studiowała filologię rosyjską i klasyczną. W dużej mierze samodzielnie opanowała język polski. Ma na swoim koncie kilkadziesiąt przekładów literatury polskiej. Za tłumaczenie powieści Pawła Huellego pt. *Ostatnia wieczerza* otrzymała prestiżową nagrodę Found in Translation Prize w 2008 roku. Często jeździ do Polski. Na stałe mieszka w Londynie. W wolnym czasie lubi podróżować, czytać i wędrować po górach.

Przekłady Antonii Lloyd-Jones:

Paweł Huelle – *Weiser Dawidek* (*Who Was David Weiser?*, Bloomsbury, 1991, 1995).

Paweł Huelle – *Opowiadania na czas przeprowadzki* (*Moving House and Other Stories*, Bloomsbury, 1994).

Paweł Huelle – *Mercedes Benz* (*Mercedes-Benz, Serpent's Tail*, 2005).

Paweł Huelle – *Castorp* (*Castorp*, Serpent's Tail, 2007).

Paweł Huelle – *Ostatnia wieczerza* (*The Last Supper*, Serpent's Tail, November 2008). Tłumaczenie uhonorowane nagrodą Found in Translation Prize w 2008 roku.

Olga Tokarczuk – *Dom dzienny, dom nocny* (*House of Day, House of Night*, Granta & NUP, 2002).

Olga Tokarczuk – *Prawiek i inne czasy* (*Primeval and Other Times*, Twisted Spoon, 2010).

Jarosław Iwaszkiewicz – *The Birch Grove and Other Stories* (Central European University Press, 2002).

Zygmunt Miłoszewski – *Uwikłanie* (*Entanglement*, Bitter Lemon Press, May 2010).

Jacek Hugo-Bader – *Biała gorączka* (*White Fever*, Portobello Books, 2011).

Ryszard Kapuściński – *Ten Inny* (*The Other*, Verso, 2008).

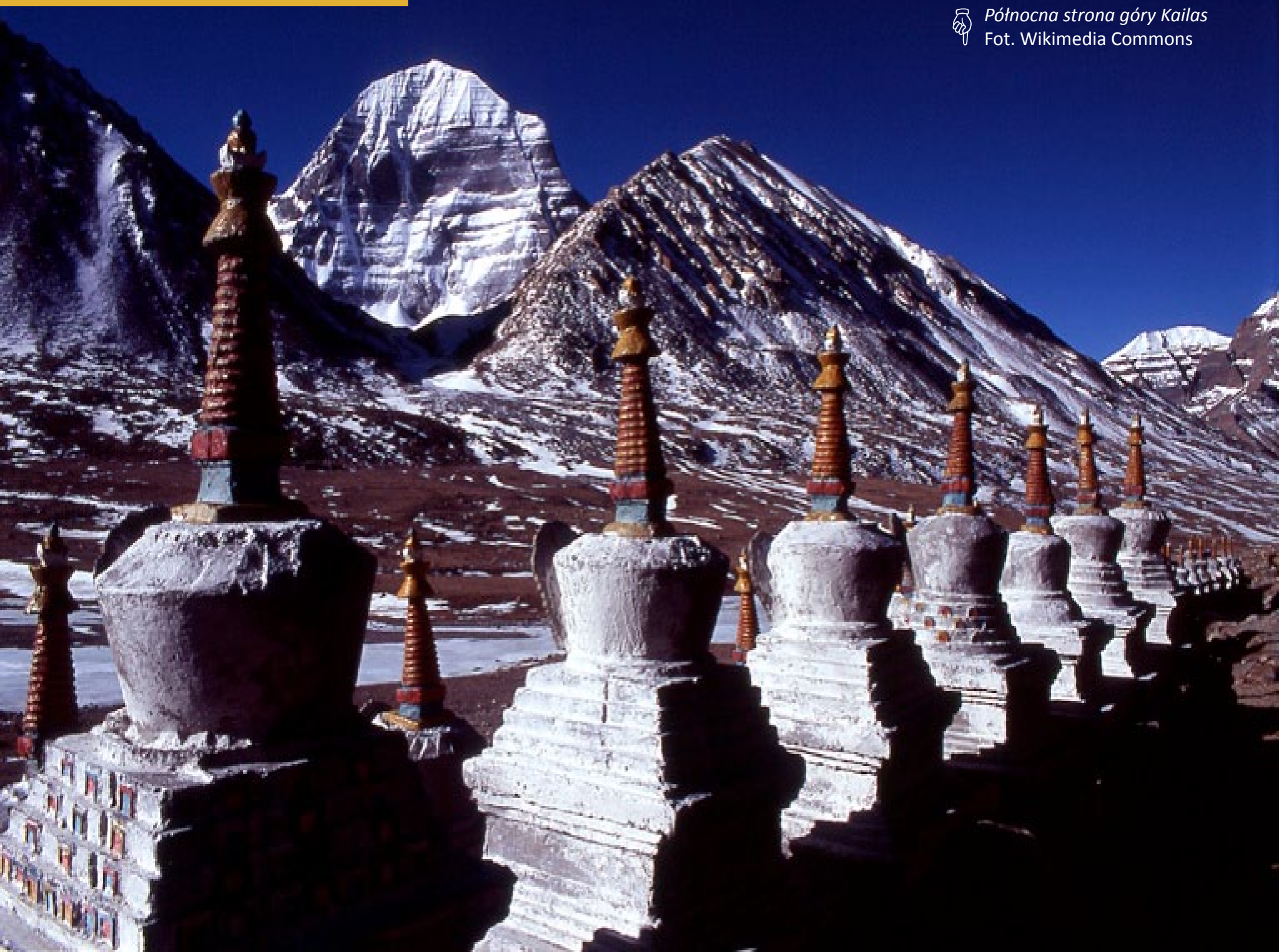
Wojciech Tochman – *Jakbyś kamień jadła* (*Like Eating a Stone*, Portobello Books & Atlas, 2008).

Joanna Olczak-Ronikier – *W ogrodzie pamięci* (*In the Garden of Memory*, Weidenfeld & Nicolson, 2004 & 2005).

Andrzej Szczeklik – *Katharsis* (*Catharsis – On the Art of Medicine*, Chicago University Press, 2005 & 2007).

W artykule wykorzystano okładki książek przetłumaczonych przez Antonię Lloyd-Jones.



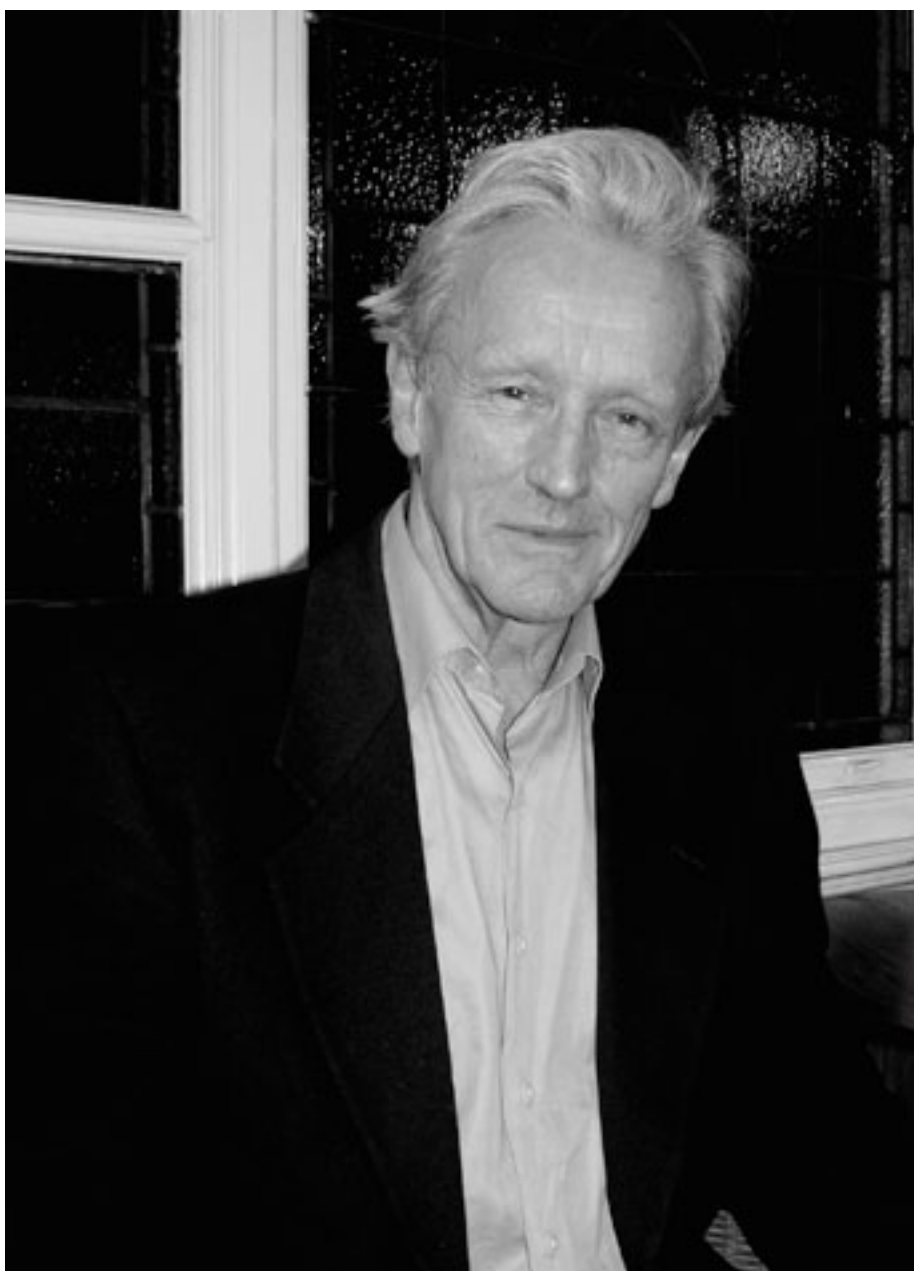


TYBETAŃSKA PODRÓŻ

Z COLINEM THUBRONEM

W cenie biletu na spotkanie z Colinem Thubronem, organizowane — moim zdaniem — przez najpiękniejszą londyńską księgarnię Daunt na Marylebone High Street, wliczona jest lampka wina. Stoję więc z kieliszkiem białego Pinot Grigio, rozmawiam ze starszą Węgierką, która wykladała w Berkeley w tym samym okresie, co Czesław Miłosz i zdążyła nieźle poznać noblistę, a do mych uszu dociera czyjaś uwaga: „Byłam kiedyś na spotkaniu z Paulem Theroux i zastanawiam się, czy Thubron będzie równie okrrropny...”.

Kamila Kunda



Fascynuje mnie **KONCEPT, KTÓRY MÓWI, ŻE MY** **SIĘ NIE LICZYMY, WAŻNA JEST** *wyłącznie nasza karma*

Moja rozmówczyni też to słyszała i teraz szepcze mi, że niemożliwe, by pisarz, którego zaraz posłuchamy, był taki straszny. „Wydaje się być bardzo łagodnym mężczyzną, sądząc po tym, jak pisze” – mówi mi konfidenicznym szeptem. Siadamy na krzesłach w pierwszym rzędzie, najwyżej metr od pisarza, który właśnie pojawił się przed nami. Księgarnię zamknięto, wszystkie krzesła zostały zajęte przez słuchaczy, gwar powoli cichnie. Na małym podwyższeniu przed nami siadają Colin Thubron i dziennikarz Mick Brown, prowadzący spotkanie. Dołącza do nich na chwilę założyciel i właściciel księgarni, James Daunt, który zdradza, że kiedy we wczesnych latach 80. zastanawiał się, czy otworzyć księgarnię specjalizującą się w książkach podróżniczych i – co najważniejsze w Daunt Bookshop – ułożonych według rejonów geograficznych, a nie alfabetycznie według nazwisk autorów, to właśnie Thubron przekonał go, że to świetny pomysł. Dlatego też przyjemnie mu gościć pisarza, który przyczynił się do powstania tej szczególnej „świątyni książki”.

Colin Thubron uśmiecha się lekko przez całe spotkanie, a z jego oczu bije bogate doświadczenie życiowe. Śmieje się zapytany o to, czy jego podróż do góry Kailas, o której powstała książka *To a Mountain in Tibet*, będzie ostatnią. „Wszyscy myśleli, że podróż, którą opisałem w *Cieniu jedwabnego szlaku* będzie moją ostatnią.

A tymczasem miałem siły, by wyruszyć w kolejną. Nie wiem, czy po Tybecie nie odwiedzę jeszcze jakiegoś ciekawego miejsca. Sił mi nie brakuje i zawsze dziwię się, kiedy ludzie pytają, czy to moja ostatnia podróż. Dopóki nie spojrzę w lustro.” – zdradza dowcipnie pisarz. Urodzony w 1939 roku podróżnik zwiedził w swym życiu wiele. Jego kariera jako pisarza zaczęła się trzydzieści cztery lata temu wraz z wydaniem książki *Mirror to Damascus*, która była pierwszą pozycją od stu lat na rynku angielskim, poświęconą stolicy Syrii. Po tej książce nadeszły kolejne: o Libanie, Jerozolimie, Cyprze, aż wreszcie w latach 80. autor skupił się na Azji. Napisał wówczas te, za które jest ceniony najbardziej: *Among the Russians*, *The Lost Heart of Asia* i *Behind the Wall: A Journey through China*. Uważany jest za jednego z ostatnich podróżników-gentlemanów. Świetnie wykształcony, budzący podziw swą erudycją i elokwencją, mówi m.in. po rosyjsku, mandaryńsku i arabsku, co z pewnością ułatwia mu podróżowanie i komunikowanie się z lokalnymi mieszkańcami wielu części świata. A jednak już na początku spotkania przyznał się, że ma fatalny zmysł orientacji i przedmiotem, który jako pierwszy pakuje do plecaka, jest kompas. Zawsze stara się zresztą, w miarę możliwości, podróżować z lekkim bagażem. Wiele krajów, które odwiedza, cechują olbrzymie skoki temperatury, autor więc ubiera się „na cebulkę” i w zależności od pory dnia czy nocy zdejmuje bądź nakłada na siebie kolejne warstwy. Wędrując z Nepalu do góry Kailas miał wprawdzie wynajętych tragarzy i przewodnika – tam podróżuje się z prowiantem, namiotami i sprzętem umożliwiającym spędzanie nocy na świeżym powietrzu – jednakże zdarzało się, że były problemy z wynajęciem jaków i mężczyźni musieli cały ciężar dźwigać na własnych plecach.

Skąd pomysł, by wybrać się do góry Kailas, świętej zarówno dla buddystów jak i wyznawców hinduizmu oraz innych religii? Thubron przyznaje, że zaważyły względy osobiste. Pisarz odczuwał żalobę po śmierci matki, uświadomił sobie, że jest ostatnim żyjącym przedstawicielem rodziny i postanowił odbyć podróż

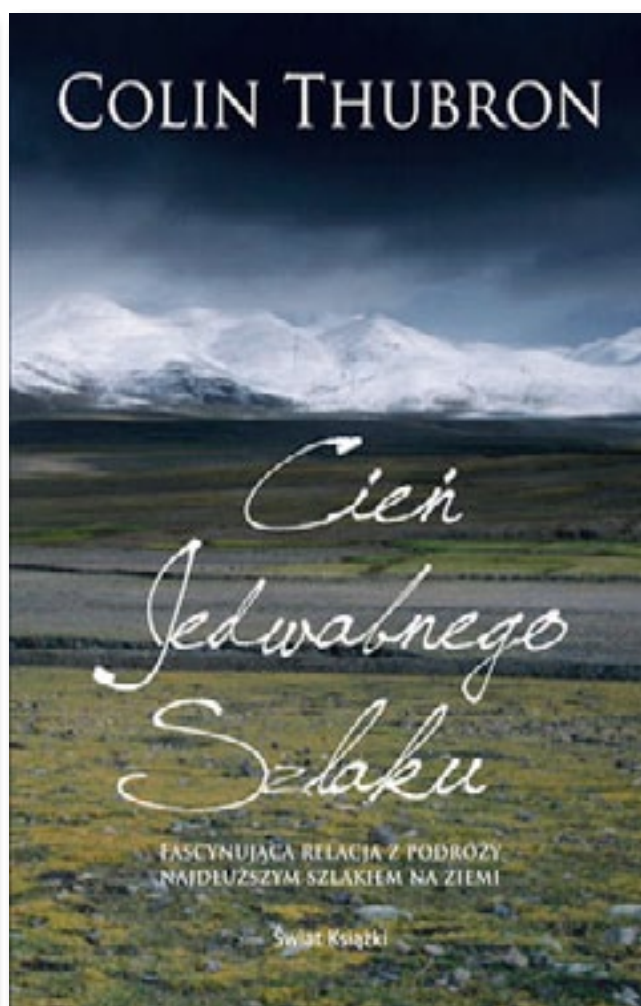
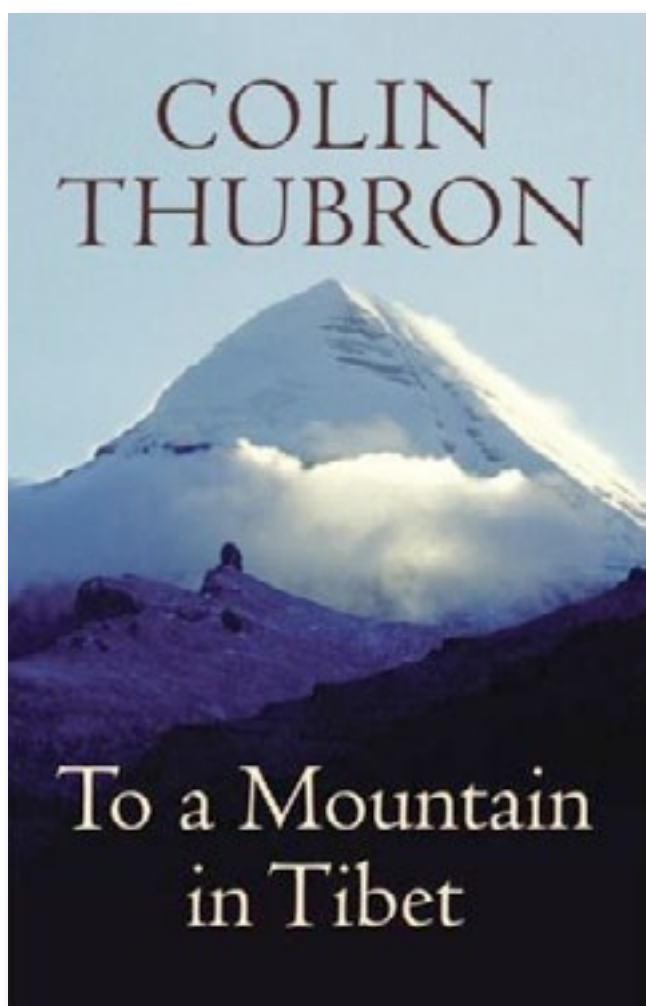
do miejsca, które pomoże mu choć odrobinę przybliżyć się do fenomenu śmierci. To na górze Kailas, jak wierzą hinduiści, bóg Śiva medytuje w wieczności. Tam twórca dżinizmu doznał oświecenia, tam zamieszkała bogini niebios Sipaimen według wyznawców prastarej religii tybetańskiej Bön. Wreszcie, dla buddystów góra Kailas jest centrum świata, najświętszym miejscem na ziemi. Pielgrzymka do niej, która czasem trwa wiele miesięcy, a nawet lat – najwytrwalsi i najbardziej wierzący bowiem odbywają całą trasę wykonując prostracje – pozwala podobno przeskoczyć w cyklu narodzin i umierania dziewięć inkarnacji i zbliżyć do nirwany. Nieznane są próby wspinaczki na górę, z szacunku dla wierzących alpinistów w ogóle nie rozważają zdobywania tego szczytu. Dla Thubrona ta góra, otoczona szczególną czcią, niosła w sobie obietnicę duchowego spokoju, jednakże podróżując do niej, pisarz nie spodziewał się przeżycia katharsis. „Nie łączyłem tajemnicy Kailas wcześniej z żadną konkretną religią. Podejmując decyzję o podróży czytałem bardzo wiele o buddyźmie, ale zbyt silnie moje wychowanie wiązało się z tradycją judeochrześcijańską, żebym uznał buddyzm za bliski memu sercu”.

O buddyźmie autor wypowiada się z podziwem, wyznając, jak wielką czuje pokorę przed jego wyznawcami. Przywołuje jednak rozmowę, którą opisał też w książce: „Pewien spotkany mnich powiedział mi, że buddyzm to nie filozofia życia, to nawet nie religia, ale nauka – nie ma tu konceptu boga ani duszy”. Opowiadał o klasztorach z dala od osad mieszkalnych, w których często urzędował zaledwie jeden mnich. I o wiernych, którzy niekiedy pielgrzymowali z całym

stadem krów. „Krowy związane miały czerwone wstążeczki na szyjach. Ich właściciele wierzyli, że umożliwiają swym zwierzętom odrodzenie się w kolejnym życiu pod lepszą postacią, że poprawiają im karmę”. Podróżującemu po Tybecie może doskwierać samotność, pisarz jednak spotkał wielu pielgrzymów. „Nie mogli zrozumieć mojego powodu podróży, dla nich koncept przemieszczania się dla przyjemności – nie dla pracy, nie w celu religijnym czy jako wizyta rodzinna – jest niepojętym zjawiskiem” – opowiada o swych spotkaniach. Thubron widział też wielu indyjskich podróżnych, nieprzyzwyczajonych do wysokości i wysiłku fizycznego, którzy mocno cierpieli. Podczas jego kilkutygodniowego pobytu w Tybecie słyszał o ośmiu przypadkach śmierci pielgrzymów indyjskich i w pewnym momencie zaczął się sam obawiać, czy przeżyje tę wyprawę: „Nie jestem już najmłodszy i nie byłem pewny, czy właściwie przygotowałem się do wędrówki, czy zniosę brak tlenu na wyższych terenach. Odezwały się stare rany – nadwyrężone kiedyś kolano zaczęło dawać mi się we znaki, bolały mnie plecy. Ale przeżyłem” – uśmiecha się znów lekko.

Zapytany, czy podróż przyczyniła się do jego lepszego zrozumienia istoty śmierci i przemijania czasu, Thubron odparł zdecydowanie, że nie. Na pewno przez obserwację innego podejścia do śmierci niż to, w którym został wychowany, oswoił się z samą ideą. Opowiadał słuchaczom o pogrzebach powietrznych, w których ciało zmarłej osoby darowuje się sępom na pożarcie, przenosząc energię/ducha do stanu *bardo*, stanu pomiędzy śmiercią a kolejnymi narodzinami. Zarówno w książce, jak i na spotkaniu Thubron zdradzał

swoje zainteresowanie fenomenem śmierci u buddystów. „Chciałem przetestować mój agnostycyzm w Tybecie, skonfrontować go z buddyzmem. Fascynuje mnie koncept, który mówi, że my się nie liczymy, ważna jest wyłącznie nasza karma”. Obserwacja pogrzebów powietrznych, bliskie obcowanie ze śmiercią miało na niego efekt wyciszający, uspokajający. W Tybecie odczuwał harmonię, jakiej nie czuł po śmierci matki w Londynie, gdyż w zachodniej kulturze, zdaniem Thubrona, zbyt wiele osób utożsamia śmierć z lękiem przed nią.



Ceniąc erudycję autora, spytałam go o to, jak przygotowuje się do wypraw. Jego odpowiedź mnie nie zaskoczyła. Dużo czyta przed podróżą, stara się nauczyć choćby podstaw języka, w którym przyjdzie mu się porozumiewać, natomiast raczej nie spotyka się z ludźmi, którzy odwiedzili dane miejsce przed nim. „W podróży niekoniecznie lubię także spotykać specjalistów od danej kultury, którzy przeczytali o niej wiele książek. Zamiast rozmawiać z kimś, kto opowie mi o Rewolucji Kulturalnej na podstawie lektur, wolę poznać wieśniaka, który doświadczył jej na własnej skórze”. W Tybecie Thubron otwarty był na ludzi – ta otwartość zresztą bije z wielu jego książek. Do czytania wziął tylko *Tybetańską Księgę Umarłych* i rozmówki nepalsko-angielskie. Przypominałam sobie wówczas, jak w jednym z wywiadów wspominał, że w podróży preferuje otwierać się na ludzi, nie ma czasu na czytanie. Przyciśnięty do muru przez innego uczestnika spotkania stwierdził jednak, że w Chinach świetnie czytało mu się Gao Xingjiana, a w Azji Środkowej – Czingiza Ajtmatowa. Trzeba przyznać, że lokalni mieszkańcy chętnie rozmawiają z pisarzem, widać to

spotkało mnie tam wiele życzliwości i ciepła ze strony lokalnych mieszkańców w wielu krajach. Ale trzeba pamiętać, że inaczej ludzie zachowują się w stosunku do cudzoziemca, gościa, a inaczej w stosunku do swych rodaków. W podejściu mogą kryć się wielkie różnice”. Podróże po Azji nauczyły Thubrona nie tylko dostrzegania olbrzymich przepaści kulturowych, ale dały też cenną lekcję spojrzenia świeżym okiem na własną kulturę. „Zwiedzając inne kraje zauważyłem, że to co zawsze brałem za pewnik, nie wszędzie wygląda tak samo. Że nasza zachodnia kultura jest w gruncie rzeczy bardzo dziwna, sama Anglia wydała mi się dziwna” – śmieje się.

Wracając jeszcze do podróży po Tybecie Thubron zadumał się nad podejściem do duchowości Chińczyków i Tybetańczyków, stwierdzając, że Chińczykom wydaje się zawsze, iż sprowadzają cywilizację do Tybetu, a lokalni mieszkańcy odpłacają się niewdzięcznością. „Tam, gdzie Tybetańczycy odczuwają ducha, tam Chińczycy węższą przesąd” – napisał Thubron w *To*

Zamiast rozmawiać z kimś, kto opowie mi

O REWOLUCJI KULTURALNEJ NA PODSTAWIE LEKTUR,

wolę poznać wieśniaka, który doświadczył jej na własnej skórze

choćby zarówno w *To a Mountain in Tibet*, jak i *Cieniu jedwabnego szlaku*. Thubron uważa, że często lokalnym mieszkańcom łatwiej jest zaufać cudzoziemcowi, komuś spoza ich kręgu kulturowego. Taka osoba nie będzie oceniała jak rodak, wysłucha opowieści i zabierze ją ze sobą.

Pod koniec spotkania publiczność odeszła w pytaniach znacząco od tematu Tybetu i jego ostatniej podróży. „Które miejsca wywarły na Panu największe wrażenie?” – spytał pewien starszy mężczyzna. Thubron bez wahania odpowiedział, że największe znaczenie mają dla niego pustynie północno-zachodnich Chin, gdzie we wspianiu sposób można obserwować żyjącą historię. W twarzach Chińczyków z niebieskimi oczami i rudymi włosami odbija się przeszłość, tradycja podróży Jedwabnym Szlakiem. Jednocześnie to w Chinach autor *Behind the Wall* czuł się najbardziej wyobcowany, czuł, że wychowanie w zachodniej kulturze skutecznie uniemożliwia mu przeniknięcie chińskiej. Dyplomatycznie wybrnął z pytania o gościnność Azjatów. „Azja ma wspianą tradycję gościnności,

a Mountain in Tibet. Przepiękna opowieść o jego podróży bogata jest w szczegóły, a Thubron jest mistrzem opisu. „Notuję detale. Można pamiętać krajobraz, wrażenie, jakie na tobie wywarł, ale łatwo zapomnieć kolor oczu rozmówcy czy sposób, w jaki słońce odbija się od tafli jeziora. To te detale czynią opisy ciekawymi” – powiedział na spotkaniu. *To a Mountain of Tibet* jest także poematem o pamięci, roli wspomnień w życiu człowieka, o uwalnianiu się od ciężaru przeszłości, o ulotności życia ludzkiego...

Nie usłyszałam, jak Colina Thubrona będzie wspominała pani, która półtorej godziny wcześniej obawiała się, że pisarz zrobi na niej złe wrażenie. Ja niosłam do domu podpisaną przez autora najnowszą książkę, usatysfakcjonowana możliwością posłuchania mądrego człowieka, i w przeświadczeniu, że kiedyś dane mi będzie osobiście odwiedzić Tybet.

To a Mountain in Tibet zostanie wydana w Polsce w marcu 2013 przez Wydawnictwo Czarne.

CO JEST PO TAMTEJ STRONIE

— IDEALNY SEN CZY KOSZMARNĄ RZECZYWISTOŚĆ?

Wyruszając do Państwa Snu, staje przed nami wizja idealnego królestwa, pełnego dobrobytu, spokoju i harmonii. Wręcz utopijny obraz nowego życia, z dala od zgiełku zwykłej, szarej codzienności, kusi i przyciąga. Jednak już na miejscu, w odległych górach Tien-Szan, okazuje się, że pozorne piękno i materialny dobrobyt ustępują powoli szaleństwu i upadkowi. To, co było kuszące, okrywa robactwo i Państwo Snu przeistacza się w krainę najgorszego koszmaru.

Katarzyna Wonko

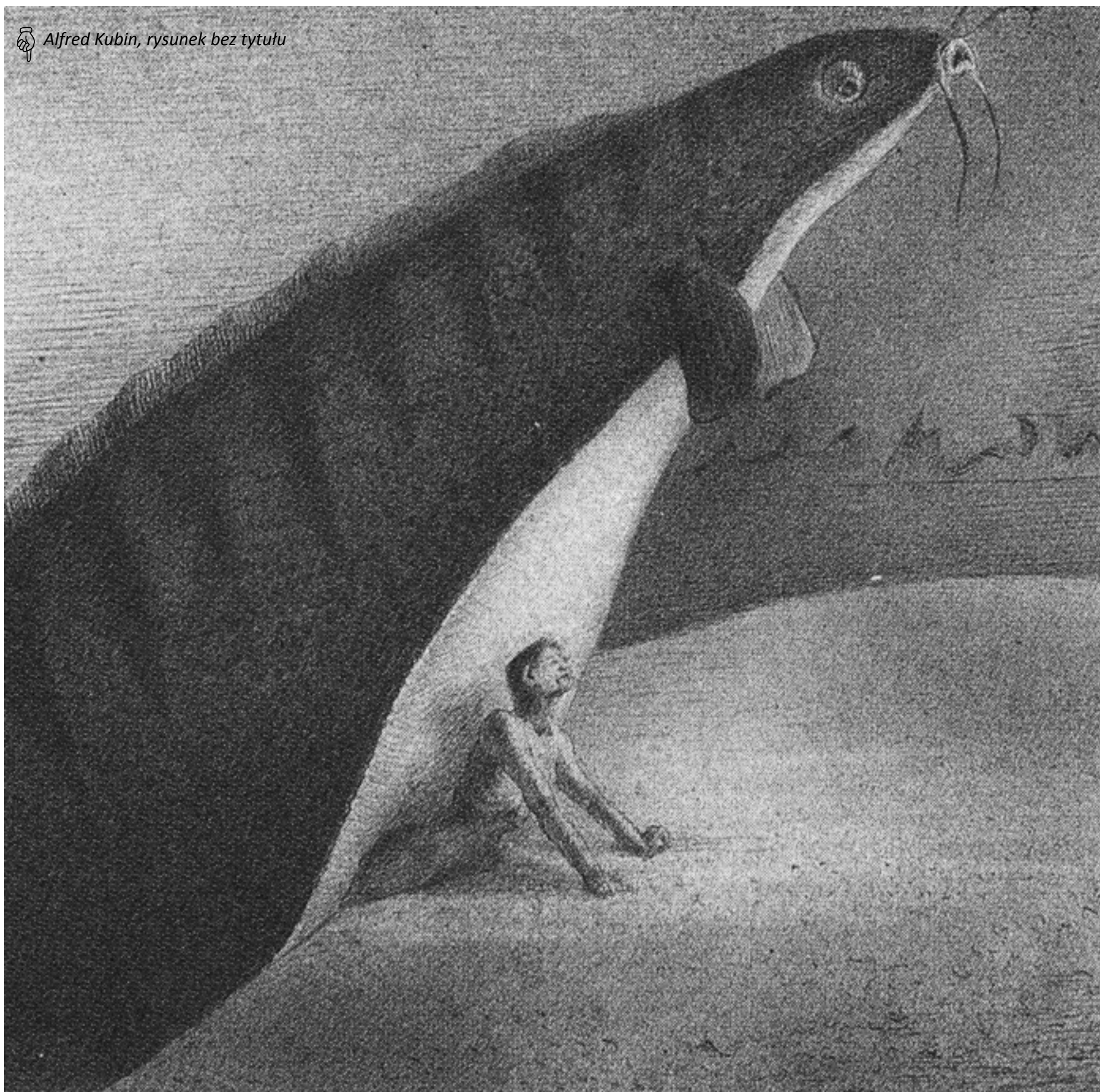
Powieść *Po tamtej stronie* pozornie opisuje przygody monachijskiego rysownika, lecz w rzeczywistości jest to podróż, którą przebywa sam autor książki, Alfred Kubin. Austriacki grafik i ilustrator, tworzący w pierwszej połowie XX wieku, obdarzony był wyjątkową wyobraźnią i zdolnościami plastycznymi. Paradoksalnie wzbogacały je jeszcze zaburzenia schizofreniczne artysty, które czyniły świat widziany przez Kubina odrealnionym, krzywym zwierciadłem rzeczywistości. Zanurzając się w na poły surrealistycznym śnie własnych wizji, spod ręki artysty wychodziły mroczne grafiki pełne fantastycznych, nieistniejących stworów. Do czasu.

Wiosną 1908 roku Alfred Kubin przestaje tworzyć. Zmagając się z brakiem weny, wyrusza w podróż po słonecznej Italii, by tam szukać natchnienia i odpoczynku. Wraca do rodzinnych stron z narastającą potrzebą wydobywania z siebie obrazów, które rodzą się w jego głowie. Jednak kolejne zarysowane kartki papieru wyrzucane są do kosza, ponieważ to nie tego domaga się szalony umysł artysty. Jeszcze w tym samym roku Kubin zasiada do napisania swojej pierwszej i jedynej powieści. Choć jego profesja zakłada płynne posługiwanie się grafitem a nie piórem, to jednak słowa wypływające z artysty kształtują obraz przerastający cały jego dorobek rysowniczy.



 Alfred Kubin

Pozornie prosta fabuła przedstawia historię pewnego niemieckiego rysownika, który zaproszony zostaje przez dalekiego znajomego, Klause Paterę, do Państwa Snu, jego królestwa. Główny bohater wyrusza wraz z żoną w daleką podróż, by ziścić swoje marzenia w idealnym świecie. Będąc już na miejscu poznaje kolejne dobrodziejstwa tworu Paterę, miłych i serdecznych sąsiadów, mądre i logiczne rozwiązania życia społecznego. W pewnym momencie jednak wszystko to powoli zaczyna się zakrzywiać, objawia się prawdziwa natura zjawisk i sen zamienia się w koszmar. Zapadając się w Państwo Snu wraz z głównym bohaterem, przepełnieni zostajemy dojmującym uczuciem, jak gdyby sam autor znajdował się w tamtym miejscu wraz z nami, jakby tak naprawdę były to wydarzenia z życia, bądź raczej podróż w otchłani



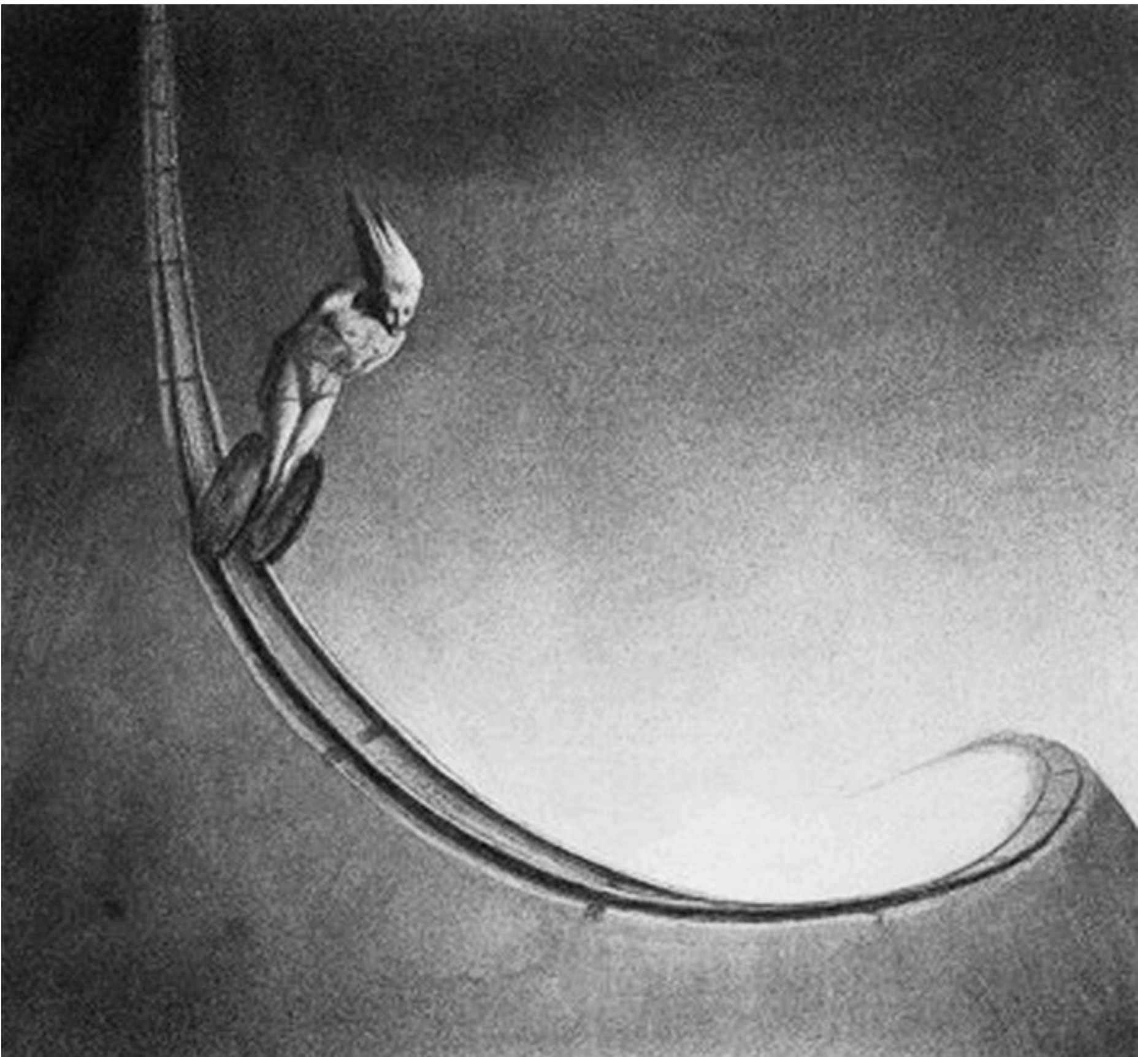
snu na jawie samego Alfreda Kubina, jego głęboka refleksja nad istotą ludzkiego życia, naszą naturą i ulotnością. Szybko następujące po sobie wydarzenia – już od pierwszych stron planowanie podróży, dotarcie na miejsce, poznawanie kolejnych tajemnic królestwa Patery... Z początku idealne miasto powoli odkrywa przed nami coraz straszliwsze twarze, następujące po sobie kolejne odsłony koszmaru, tak jak zmieniające się twarze samego Patery. Przemiana następuje w Państwie Snu, w coraz mroczniejszym obrazie idealnego z założenia świata, w uczuciach głównego bohatera, a przede wszystkim w samym autorze tekstu. Zmiany w Państwie Snu są jak dławiąca choroba, która trawiąc królestwo od środka, rozczłonkuje je i zniekształca. Pełne sprzeczności wydarzenia rozgrywają

się automatycznie w schizofrenicznie zniekształconym umyśle Kubina, tekst jest zaś jedynie dalekim echem pierwotnych scen mających miejsce w świadomości artysty¹. To jakby kolejne etapy wędrówki odbyte przez jaźń, w poszukiwaniu odpowiedzi.

Opisany przez Kubina świat staje się w pewien szczególny sposób rzeczywisty w swojej irracjonalności – czujemy zapach ulicy, słyszymy gwar zaludnionej z początku gospody, powiew wiatru tam, gdzie mieszkają Błękitnoocy. No właśnie, kim są owi tajemniczy ludzie, żyjący na pograniczu koszmarnego świata Patery? Na początku książki dowiadujemy się, że Państwo Snu znajduje się w dalekich Tien-Szan, Podniebnych Górach w Azji Środkowej, tajemniczej i egzotycznej krainie, która

będąc odizolowana od świata znanemu Kubinowi, staje się miejscem idealnym dla rozgrywających się w powieści wydarzeń. Rdzennymi mieszkańcami tych terenów są Błękitnoocy, którzy uratowali kiedyś życie Paterze i żyją teraz na uboczu jego wielkiego królestwa. Trzeźwo i z dystansem przyglądają się, jak świat, który stworzył Patera, najpierw powstaje, by przeistoczyć się z czasem w gorszące widowisko, napiętnowane śmiercią i ludzkim dramatem. To właśnie tutaj, do wioski Błękitnookich, bohater książki ucieka od przytłaczających wydarzeń z miasta Patery. Tutaj uczy się rozumieć, patrzeć, lecz nie pustymi oczami władcy Państwa Snu. Patrzy i dopiero teraz zaczyna widzieć rzeczy takie, jakimi są w rzeczywistości, odarte z maski obłudy, złudzeń i ludzkiego zakłamania. Wśród wycofanych ze świata mędrców odnajduje mądrość, pozwalającą żyć ze świadomością egzystencji w takiej a nie innej rzeczywistości. Wnikając w głąb

swojej własnej powieści, uczy się tego także sam Kubin. Poprzez stawienie czoła najmroczniejszym zakamarkom ludzkiej natury i wydobywanie tego, co nadaje niepewny i ulotny charakter naszej egzystencji, autor odkrywa przed sobą i czytelnikami sens tego, co ma prawdziwą wartość. Człowiek często rozumie to dopiero, gdy doświadczony zostaje przez wydarzenia wzbudzające w nim moralne i etyczne wahania, narastające kolejne pytania. Jak zdefiniować pojęcie człowieczeństwa i granic, które wolno nam przekroczyć? Kubin przebywa w swojej książce drogę poprzez złudne niebo pełne materialnych dóbr, by zejść do najniższych pokładów ludzkich żądz i najbardziej biologicznych, podświadomych pragnień. Wszystko to by zrozumieć prawdziwą istotę zdarzeń: „Pisząc tę książkę, nabrałem dojrzałego rozeznania, iż nie tylko w dziwacznych, wzniosłych i komicznych



momentach istnienia leżą najwyższe wartości, ale że to, co przykre, obojętne, okropne, zawiera te same tajemnice”.²

Kubin wielokrotnie podkreśla swoje zainteresowanie filozofią Wschodu, czytanie pism dawnych mędrców, tekstów Buddy³. Takie usytuowanie Państwa Snu pozwala na skojarzenie Błękitnookich z nauczycielami nauk buddyjskich, którzy w całym tym świecie snu, stanowią element realny i stały. To swoisty punkt oparcia dla Kubina podczas pisania książki, który pozwala mu wrócić do realności, ze świata swojej powieści. Powrót taki nie jest prosty, a Kubin zapisuje wszystkie swoje sny, nawet te najbardziej koszmarnie, wynajdując elementy najokropniejsze, jak sam przyznaje. Filozofia buddyjska poddaje w wątpliwość rzeczywistość w takiej formie, w jakiej ją na ogół postrzegamy. Pustka przedmiotów i zjawisk sprawia, że tak naprawdę możemy kształtować ją w dowolny sposób. Z jednej strony filozofia ta zdaje się być mało stabilną podporą, gdy w grę wchodzi refleksja nad istotą ludzkiej egzystencji. Niemożność jednoznacznego zdefiniowania, nienamacalność i kruchość wszystkiego wokół – wszystko to jakby zaprzecza możliwości, by w buddyzmie odnaleźć zrozumienie i harmonię, silną podstawę, na której można byłoby zbudować własny

*Kubin przebywa w swojej książce
DROGĘ POPRZECZŁUDNE NIEBO
PEŁNE MATERIALNYCH DÓBR,
by zejść do najniższych pokładów
ludzkich żądz*

świat wartości i reguł. To jednak tylko pozory, czego przykładem może być trzeźwe spojrzenie Błękitnookich na chaos panujący w Państwie Snu. Główny bohater odnajduje tu schronienie przed demonami królestwa Patery, sam Alfred Kubin zaś dzięki nim potrafi zapanować nad swoimi wizjami i wiecznym snem na jawie, który przenika do jego prawdziwego życia. Wszak niemożność oddzielenia tego co prawdziwe od zdarzeń irracjonalnych każe niejako zaakceptować obie możliwe drogi widzenia. Przyjmować rzeczy takie, jakimi są, to pewna akceptacja całego świata bez zbędnych przekonań jak powinien on wyglądać. Bez przeszkadzających emocji, przywiązania i błędnego rozpoznania natury zjawisk. Kubin mierzy się w swojej powieści z jednym z najważniejszych ludzkich pytań – o sens istnienia. I choć każdy może odnaleźć własną odpowiedź, swoistą receptę na życie, książka *Po tamtej stronie* uzmysławia jak wielką rolę odgrywa w naszej egzystencji poszukiwanie odpowiedzi poprzez doświadczenie i dogłębne poznanie.

Uważa się, że artyści-schizofrenicy tworzą według siebie świat rzeczywisty, ale ten wewnętrzny. Rozróżniają oni sen od jawy, ale we własnym pojmowaniu tych dwóch stanów. I choć „używane” są obiekty z prawdziwego świata, artysta żongluje ich cechami, tworząc nowy, własny świat⁴. W tym przypadku był to świat na kształt Państwa Snu, który w momencie, gdy artysta przestał radzić sobie z jego irracjonalnością, powoli rozpada się zarówno w jego umyśle, jak i na stronach powieści. Autor odnajduje spokój w filozofii, która pozwala zachować równowagę psychiczną i kontakt z tym, co prawdziwe. Życie Kubina do końca będzie wahać się na granicy jawy i snu, i choć nigdy nie opuści go specyficzna percepcja otoczenia, odnajdzie spokój dzięki swym błękitnym oczom⁵.

Alfred Kubin, *Strach* 



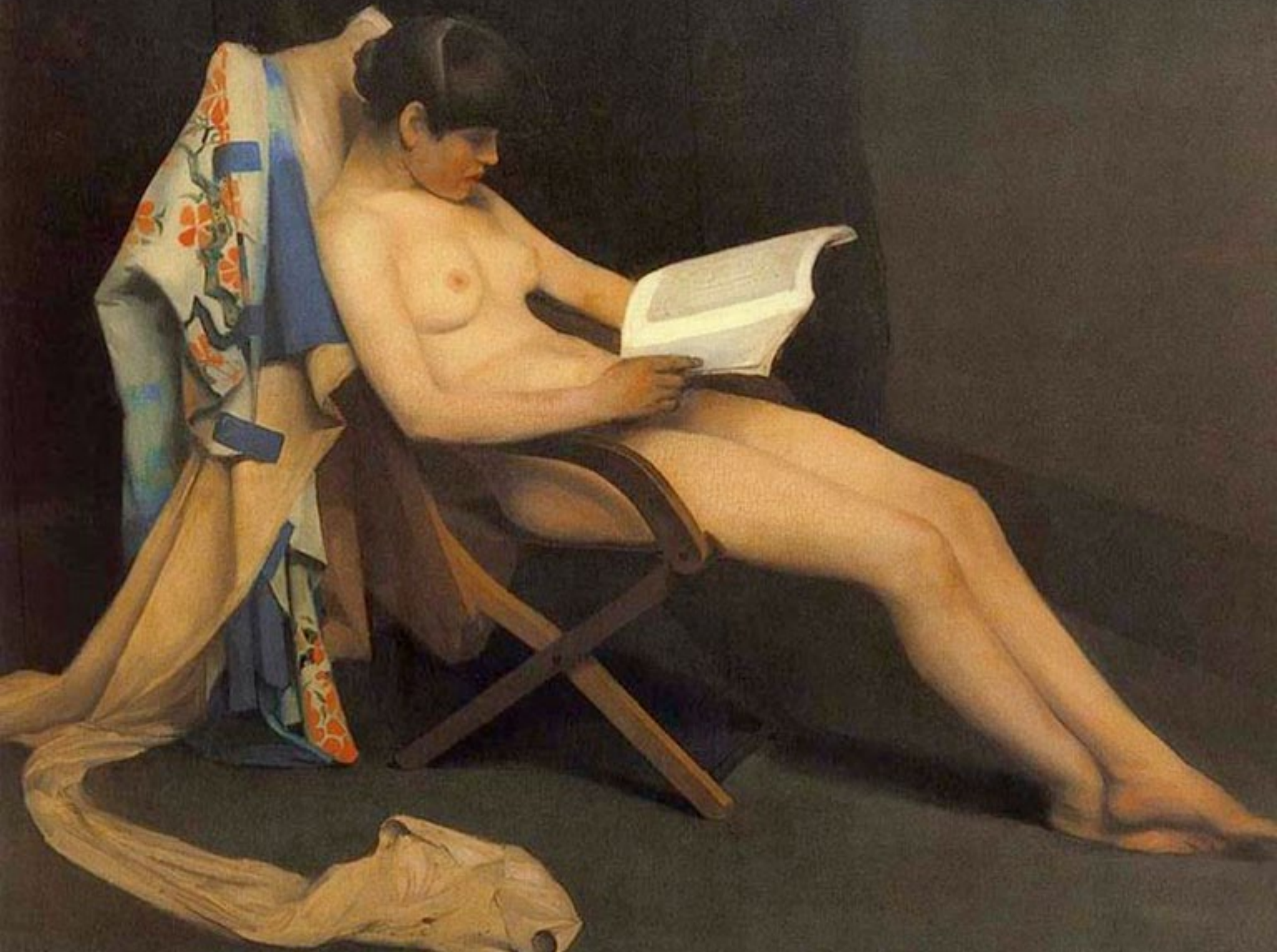
Bibliografia:

- A. Kępiński, *Schizofrenia*, Warszawa 1972.
A. Kubin, *Autobiografia. Demony i nocne zjawy*, w: Kubin A., *Po tamtej stronie*, przeł. A. L. Linke, Kraków 2008.
A. Kubin, *Po tamtej stronie*, przeł. A. L. Linke, Kraków 2008.
A. Przybysławski, *Błękitne oczy Alfreda Kubina*, na: <http://www.filozof.uni.lodz.pl/hybris>. (22.04.2011)
M. Tyszkiewicz, *Psychopatologia ekspresji. Twórczość artystyczna chorych psychicznie*, Warszawa 1987.

Przypisy:

- ¹ A. Kępiński, *Schizofrenia*, Warszawa 1972, s. 234-235.
² A. Kubin, *Autobiografia. Demony i nocne zjawy*, w: Kubin A., *Po tamtej stronie*, przeł. A. L. Linke, Kraków 2008, s. 257.
³ Ibidem, s. 255 i 263.
⁴ M. Tyszkiewicz, *Psychopatologia ekspresji. Twórczość artystyczna chorych psychicznie*, Warszawa 1987, s. 61.
⁵ A. Przybysławski, *Błękitne oczy Alfreda Kubina*, na: <http://www.filozof.uni.lodz.pl/hybris>. (22.04.2011)

 Theodore Roussel, Czytająca dziewczyna, 1886-87



EROTYKA KSIĄŻKI

Na samą myśl o erotyce książkowej przechodzą mnie ciarki. Nie dlatego jednak, że mam rozkoszne skojarzenia z lekturą dzieł Anaïs Nin czy z czasami wczesnomłodzieńczymi, gdy z wypiekami na policzkach poszukiwałam na kartkach lektur pozaszkolnych tzw. momentów.

Czytanie jest jednak dla mnie przyjemnością zmysłową, zgoła erotyczną.

Kamila Kunda

Gdy narzeka się powszechnie na globalny spadek czytelnictwa (nie ma znaczenia, czy narzekanie owo jest uzasadnione czy nie) wszelkie skojarzenia literatury z erotyką są pożądane, bo przyciągają uwagę. Nie ma szans, by ktokolwiek potrząsnął światem literackim dziś w taki sposób, w jaki zrobił to pod koniec lat 50. Vladimir Nabokov swoją *Lolita*. Na małe trzęsienia ziemi jednak wciąż możemy liczyć i szeptać do książek: „Książko, światłości mojego życia, ogniu moich lędźwi”. W pamięci mam esej Anne Fadiman, w którym autorka opisywała stosunek do książek jej brata i pokojówki w jednym z hoteli duńskich. Brat pisarki wychodząc

Nie jestem jedyną osobą, która książki kojarzy z erotyką. Jedną z ciekawszych stron voyerystycznych dla bibliofilów, na której można podpatrzeć cudze biblioteczki i wynalazki okołoksiążkowe nieprzypadkowo nosi nazwę Bookshelfporn – „porno półki z książkami”. W jednym z londyńskich butików z bielizną widziałam kiedyś na wystawie jedwabne

Bardziej erotyczna od nagiej młodej czytelniczki może być

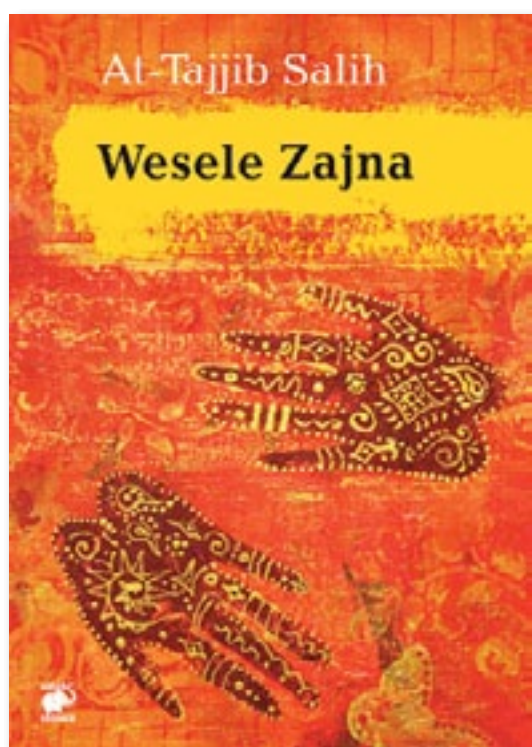
JADĄCA METREM I POCHŁONIĘTA CZYTANĄ HISTORIĄ STARSZA PANI, *przygryzająca dolną wargę w napięciu.*

któregoś dnia z hotelu zostawił książkę na stoliku grzbietem do góry, a po powrocie zastał książkę zamkniętą, z zakładką i dołączonym liścikiem, że nie wolno obchodzić się z książką tak jak on się obszedł. Cóż w tym erotycznego, ktoś zapyta. Mnie się jednak od razu skojarzyła ta anegdota ze stosunkiem do dziewictwa. Nikt chyba nie zbadał jeszcze, czy szacunek, jakim otaczamy książki, ma cokolwiek wspólnego z podejściem do kobiet i ich doświadczenia seksualnego. Sama do dziewictwa jako takiego nie przywiązuję żadnej wagi, ale sądząc po moim podejściu do książek można by odnieść odmienne wrażenie. Kupując nową książkę uważam, by gra wstępna z książką – czytanie tekstu na tylnej okładce, fragmentów recenzji na przodzie czy bibliografii z tyłu, przeglądanie środka – nie naruszyło dziewictwa, tj. nie spowodowało rysy na grzbiecie, co nazywam „rozdziwieniem” książki. Rozdziwienie następuje już w trakcie lektury i jest aktem świadomym, nigdy przypadkowym i niezauważonym. Po zrobieniu pierwszej rysy nie dbam już tak bardzo o książkę, dalsze nagięcia przechodzą bez fanfarów. Pewną ulgę zaś czuję kupując książki już „doświadczone”, otwierane czasem tyle razy w tak różnych miejscach, że tytuł na grzbiecie ledwo daje się odczytać. Myślę o nich z czułością i pewnym szacunkiem, jakim obdarzam skrycie podstarzałe prostytutki, które niejedno widziały i swoje wiedzą. Nie muszę się troszczyć o zranienie ich uczuć, mogę odkładać takie książki gdzie chcę i jak chcę, stawiać na nich kubki z herbatą, wmiatać ziarenka piasku między strony i bez skrępowań mazać ołówkiem (długopisem jednak bym się nie odważyła).

i koronkowe staniki, majteczki, cieniutkie jak mgiełka pończochy kusząco rozłożone na starych i nowych tomach klasyki światowej literatury. Czerwone figi w groszki zsuwały się z *Lolity*, czarne pończochy ze szwem spływały z *Nieznosnej lekkości bytu*. Wiele bym dała, by zobaczyć miny Nabokova, Kundery czy Balzaka, których dostojne dzieła zyskały tak niespotykane towarzystwo.

Czytanie od dawna kojarzy się z erotyką. Erotyczne bywa to, co ukryte, a coś bardziej ukrytego niż myśli kobiety zatopionej w lekturze? Théodore Roussel już w 1887 roku namalował *Czytającą dziewczynę*, nagą kobietę zgarbioną w fotelu nad książką. Jednakże zarówno przed nim jak i po nim byli inni, dla których nagość i książka stanowiły udaną kompozycję. Nie należy jednak mylić nagości z erotyką. Bardziej erotyczna od nagiej młodej czytelniczki może być jadąca metrem i pochłonięta czytaną historią starsza pani, przygryzająca dolną wargę w napięciu. Erotyczna bowiem jest intymność, jaką niesie ze sobą akt czytania. A czytanie to czynność przecież bardzo osobista i nie powinna być – napiszę przekornie – traktowana zbyt ekshibicjonistycznie. Czytając dobrą książkę człowiek reaguje na słowa całym sobą. Marszczy czoło, wzdycha, uśmiecha się, ma łzy w oczach. Ja wybieram przypatrywanie się ukradkiem innym czytelnikom nad otwieranie własnej książki. Może kiedyś będę świadkiem podobnej sceny, jak ta z filmu *Kiedy Harry poznał Sally*, gdy grana przez Meg Ryan bohaterka udaje orgazm w restauracji... Nie omieszkałam wówczas spytać o tytuł czytanej lektury.

KSIĄŻKI WYDANE W POLSCE



At-Tajjib Salih — *Wesele Zajna*
Tłumaczenie: Jolanta Kozłowska
Smak Słowa, Sopot 2010

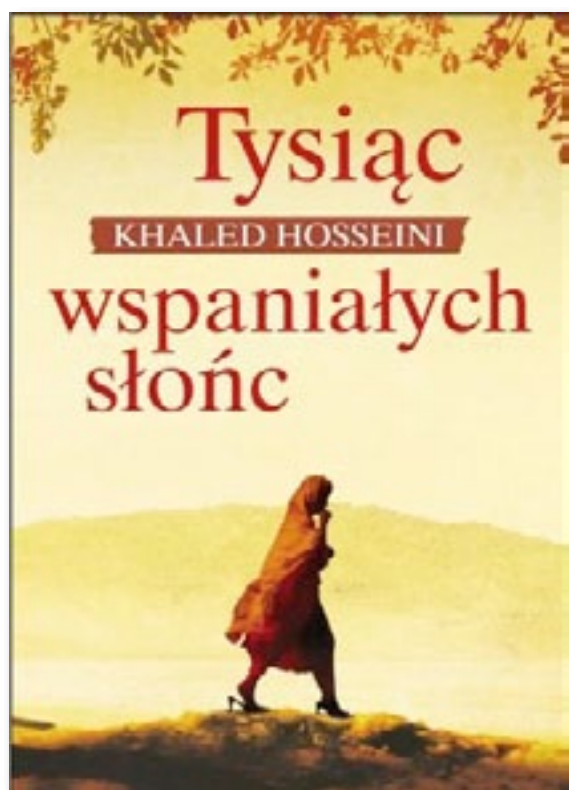
Anna Bittner

At-Tajjib Salih należy do najwybitniejszych pisarzy z Sudanu, gdzie podwaliny literatury pisanej powstały dopiero w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Uprzednio dominował przekaz ustny. At-Tajjib Salih wpisał się w nowy nurt literatury sudańskiej, publikując w 1966 roku swoją pierwszą powieść *Sezon migracji na północ*. Jego najwybitniejszym utworem jest jednak niewielka objętościowo powieść *Wesele Zajna*.

Ta utrzymana w konwencji realizmu magicznego opowieść przenosi czytelnika do niewielkiej, pełnej życia sudańskiej wioski. At-Tajjib Salih przedstawia niezwykle malowniczo i ciepło jej mieszkańców, ich zajęcia oraz codzienne życie. Na ich tle wybija się postać Zajna – lokalnego wesołka. Zajn nie grzeszy urodą, jest wręcz szkaradny. Ubytki w wyglądzie zewnętrznym nadrabia ciągłą wesołością – potrafi rozbawić każde towarzystwo, a swoim zaraźliwym śmiechem ubarwia każde spotkanie. Zajn kocha wszystkich wioskowych wyrzutków – dla każdego ma ciepłe słowo i pomocną dłoń. Jest przysłowiowym głupim Jasiem, którego nikt nie bierze na serio. Nikt nie traktuje więc poważnie jego kochliwości – Zajn bowiem co rusz zakochuje się na zabój w coraz to innej dziewczynie, głośno oznajmiając tę nowinę. Okazuje się, że jego kochliwość niezwykle zwiększa atrakcyjność wybranki wśród młodych mężczyzn poszukujących żony. Przyciągając bowiem ich uwagę, ulubienice Zajna szybko stają się mężatkami.

Zajn przyjaźni się z wędrownym sufim – Al-Hunajnem – który uchodzi za człowieka świętego. Ów sufi przepowiada przed śmiercią, iż wioskę spotka nieoczekiwany dobrobyt, a Zajn ożeni się z najpiękniejszą dziewczyną. Jego przepowiednia spełnia się, a nieoczekiwany ożenek Zajna porusza ludność całej wioski.

At-Tajjib Salih konstruuje swoje opowiadanie na wzór gawędy – motyw wesela Zajna stanowi główną oś, wokół której autor oplata liczne wątki poboczne. To pretekst do przytaczania rozmów, opisywania mieszkańców, obyczajów i wierzeń. Z kart książki bije ciepło i magia – autor wydaje się przedstawiać krainę niemal idealną, a równocześnie niezwykle odległą. Powieść Saliha to idealny sposób na zapoznanie się z sudańskim piśmiennictwem.



Khaled Hosseini —
Tysiąc wspaniałych słońc
Tłumaczenie: Anna Jęczmyk
Albatros 2008

Agnieszka Tatera

Wyobraźcie sobie Afganistan, nie tak dawno temu...

Jest to trudne, prawda? Bo ile tak naprawdę wiemy o tym kraju? Wiemy o terrorystach, talibach, żołnierzach na misjach. Czyli nie wiemy tak naprawdę nic. Cóż wiemy o zwykłym życiu, tradycjach, zasadach społecznych, pracy, życiu w rodzinie, nawet o czymś tak prozaicznym, jak gotowanie?

A wyobraźcie sobie – co jeszcze trudniejsze! – że jesteście kobietą przed panowaniem talibów, w trakcie oraz podczas wojny z Rosją. Co widzicie? Pewnie czarnowłose piękności o sarnich oczach, owinięte w burkę. Kobiety stłamszone, pomiatane.

Po przeczytaniu *Chłopca z latawcem*, książkę o mężczyznach miałam wrażenie, że i ta książka będzie podobna. Ale czekała mnie niespodzianka, bo *Tysiąc wspaniałych słońc* jest książką o kobietach, ich życiu, świecie, codzienności. Jest to książka-pomnik. Pomnik zbudowany ku chwale kobiecej wytrwałości, przyjaźni, miłości, poświęceniu, mądrości.

Jedną z dwóch głównych bohaterek jest Mariam. Nieślubne dziecko bogatego człowieka, którego kochała ponad życie. Zostawiona właściwie na pastwę losu trafia w ręce małżonka – fanatycznego człowieka oddanego religii i udowadnianiu, że kobieta jest marnym prochem. Lajla zaś to dziewczyna wzrastająca w kochającej się, liberalnej rodzinie. Ojciec i bracia nigdy nie dyktują kobietom ubioru, nie wyganiają ich z pokoju, gdy

przychodzą goście, nie traktują jak służące. Jednak obydwaj bracia odchodzą na Świętą Wojnę z Rosją, a ten fakt przyczynia się do upadku rodziny. Matka wpada w depresję, ojciec nie radzi sobie z wszystkimi – w tym kobiecymi – obowiązkami, więc Lajla – jako małe dziecko – zaczyna przejmować rolę gospodyni. Czeka na nią jednak jeszcze większa tragedia.

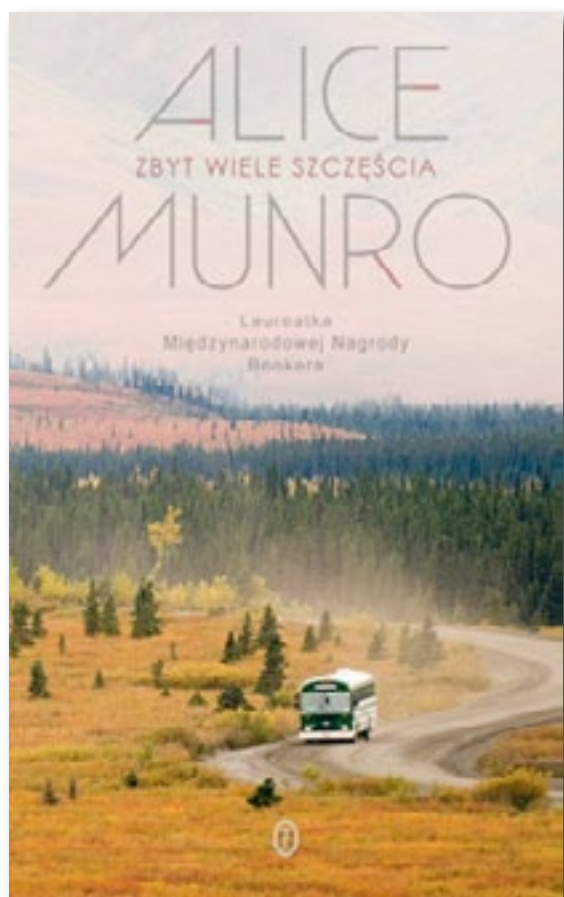
Los splota życie Miriam i Lajli. Mieszkają w jednym domu, jednak przez dłuższy czas jest im do siebie daleko. W pewnym momencie, powolutku, zaczyna rozwijać się ich przyjaźń. Przyjaźń tak mocna i prawdziwa, jak tylko to możliwe. Taka przyjaźń, która zmusza nas do zrobienia wszystkiego dla tej drugiej osoby. Z czasem krzepnie ona i cementuje obydwie kobiety. A los ma jeszcze wiele niespodzianek w zanadrzu.

Dla mnie największym plusem tej książki była właśnie opis przyjaźni tych dwóch kobiet oraz ich wytrzymałość, odporność na ciosy. Bardzo ciekawym uzupełnieniem akcji są dzieje całego kraju, które zdecydowanie odbijają się na losach jednostek. To przez różnorakie wydarzenia spowodowane wojną czy panowaniem fanatyków religijnych ich życie toczy się właśnie w taki, a nie inny sposób. Czy należy więc mieć pretensje do losu? Czy wręcz odwrotnie? A może los nie ma z tym nic wspólnego?

Życie Lajli i Mariam opisane jest w bardzo poruszający sposób. Ich egzystencja jest pełna cierpień fizycznych i duchowych, odrzucenia i porzucenia, jest to istnienie, którego zapewne żadna z nas nie chciałaby nawet dla najbardziej męczącej koleżanki z pracy. A mimo tego ich przyjaźń pomaga im znaleźć wyjście z sytuacji, a właściwie poświęcenie jednej służy wyzwoleniu drugiej.

Najczęstszym zarzutem w stosunku do autora jest ten mówiący o tym, że jest tylko sprawnym rzemieślnikiem. Może i jest, opinia zależy od gustu. Ale dajcie nam więcej takich rzemieślników, proszę! Hosseini tworzy tak pełną emocji, prawdziwą, poetycko napisaną prozę, że byłabym szczęśliwa mogąc czytać częściej książki tak „mocne”, jak jego. Podczas lektury *Tysiąc wspaniałych słońc* czułam momentami ból, momentami wściekłość, rzadko radość, a wszystkie te uczucia odczuwałam bardzo silnie, czasami zapierało mi dech, nie mogłam uwierzyć w to, co czytam. Wersja angielskojęzyczna jest jedną z najlepszych książek, którą przeczytałam w ubiegłym roku. Bo chodzi w niej o życie, autor nie sili się na wydumanie, tylko wali po głowie i nie daje zapomnieć.

Polecam *Tysiąc wspaniałych słońc* wszystkim osobom ciekawym losów innych ludzi, zainteresowanym nieznanymi nam krajami, doceniającym opowieści o przyjaźni, wytrwaniu oraz poświęceniu. To opowieść o wspaniałych kobietach w trudnych do uwierzenia warunkach.



Alice Munro — *Zbyt wiele szczęścia*
Tłumaczenie: Agnieszka Kuc
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009

Monika Mellerowska

Alice Munro w zbiorze opowiadań *Zbyt wiele szczęścia* kolejny raz daje się poznać jako mistrzyni krótkich form prozatorskich. Polskim czytelnikom znana dotychczas z *Uciekinierki* i tym razem potwierdza swój wielokrotnie nagradzany talent pisarski. Być może powie ktoś, że to tylko opowiadania, powtórzy za bohaterką jednego z nich: „opowiadania wydają się umniejszać rangę książki i autora, czyniąc z niego nieomal debiutanta, pukającego nieśmiało do wrót Literatury, nie zaś dojrzałego pisarza” (*Fikcja*). Jednak nie będzie miał racji, Alice Munro nie umniejsza kunsztowi literackiemu, i na pewno nie puka nieśmiało do wrót Literatury. Każde z tych opowiadań, nie związanych ze sobą fabułą a łączących się we wspólną powieść, jeśli nie rzuca na kolana, to na pewno szokuje. Nie tylko historią, którą opowiada, ale też – a może przede wszystkim – szczególną zdolnością autorki do malowania scen. Dosłownie niektóre z nich wydają się być obrazami na bieżym, tak wyraźnymi, że zdającymi się poruszać, trwać i mieć ciąg dalszy. Ostre sceny książki Alice Munro na trwałe wciskają się w umysł czytelnika. Nie znikają tak szybko. Szokujące wydarzenia przyprawiają o zawrót głowy i dreszcz emocji, wrzynają się w pamięć.

Munro zręcznie szarżuje uczuciami – miłość i nienawiść przeplatają się z rozpaczą i radością. W tych kilku opowiadaniach przetacza się cały kalejdoskop emocji, a niektóre z nich są jak relacje z miejsca zdarzenia. Munro jest prawdziwą realistką, ujawnia najokrutniejsze

tajemnice z dzieciństwa swoich bohaterów, zmusza ich do przeżywania po raz kolejny niekiedy nie miłych doznań erotycznych, pierwszych inicjacji seksualnych czy okrucieństwa kolegów i koleżanek.

I tak obserwujemy despotycznego męża i ojca kochającego swoją rodzinę, który dla żony i dzieci zrobiłby wszystko. To obraz, który kołysze i uspokaja. Jest tak pięknie, że pomimo spokoju podszytego czającym się złem wybaczymy drobne zgrzyty w atmosferze rodzinnej, tłumacząc je prozą życia. Jednak kiedy docieramy do ostatnich stron opowiadania na usta ciśnie się krzyk, zaprzeczenie temu, co się dokonało, i nie pomoże nasz sprzeciw na tragiczny finał (*Inny wymiar*). Czy też opisane na zaledwie trzydziestu stronach wielkie uczucie, prawdziwa miłość i oddanie. Historia przyjaźni chłopca ze skazą na twarzy i dziewczynki, która w dziecienny sposób, malując sobie twarz farbą, pragnie zbliżyć się do swojego małego przyjaciela, chcąc stać się jego *alter ego*. Niezrozumiana zostaje odepchnięta, by po latach kolejny raz udowodnić swoje oddanie przyjaźni – tym razem w bardziej drastyczny sposób (*Twarz*). Warto też wspomnieć tytułowe opowiadanie *Zbyt wiele szczęścia*, które wymownie kładzie cień na pragnienia. Pragnienia, mogące okazać się zbyt wielkimi, zbyt ciężkimi do uniesienia dla ludzkiego serca. Marzenia, które wydają się piękne, lecz uwolnione tracą urok.

Jednak uroku tego nie tracą opowiadania Munro, które pomimo odrębności każdej z historii coś zdaje się łączyć. To talent pisarki, który sprawia, że splatają się one w jeden warkocz, biegną do jednego wspólnego celu, jakim jest zachwyt. Życie napisało historie, które opowiedziała Alice Munro, ale trzeba jeszcze talentu na miarę tej autorki, laureatki nagrody Bookera za całokształt twórczości literackiej, aby tak je namalować. Nie bez powodu też na okładce książki znajduje się malowniczy obrazek jadącego autobusu – to wymowna okładka dla zbioru dziesięciu „napisanych obrazów” – bo tak można nazwać opowiadania Munro. Obrazów malowanych kolorami uczuć od miłości i radości przez ból po stracie bliskich, do cierpienia spowodowanego chorobą i odrzuceniem.

Książka niecierpliwa – tak można określić zbiór opowiadań Alice Munro, bo w trakcie lektury aż chce się podpatrzeć, co wydarzy się później, a kiedy już zakończy się czytane opowiadanie nadal pragnie się więcej, bo te historie prowokują do ciągu dalszego. Są jak fale, które zdają się napływać powoli, czasem niezauważenie, aby uderzyć z siłą godną oceanu i spokojnie odpłynąć pozostawiając zadziwionego obserwatora, jakim jest czytelnik. *Zbyt wiele szczęścia* nie pozostawia rozczarowań, to proza na wysokim poziomie, książka wciągająca, która na długo pozostaje w pamięci czytelnika.



Zofia Urbanowska — *Gucio Zaczarowany*
Wydawnictwo Officyna, Łódź 2010

Anna Bittner

Książka gorąco rekomendowana przez Czesława Miłosza, czytana w dzieciństwie przez Różewicza, Wata i Iwaszkiewicza. Miłosz i Różewicz nawiązywali do *Gucia zaczarowanego* w swojej twórczości. Ten pierwszy w tomiku zatytułowanym tak jak opowieść Urbanowskiej, Różewicz zaś w utworze *Myrmekologia*. Rekomendacje tak wysokiej rangi zachęcają do zapoznania się z tą napisaną w 1884 roku i całkowicie utrzymaną w duchu pozytywistycznym książką.

Gucio to młody panicz, rozpieszczany przez starszą siostrę Helusię oraz rodziców. Ojciec Gucia zajęty jest pracą, a matka po stracie dwóch synów pobłaża najmłodszemu, wychowując go z wielką łagodnością i miłością. Helusia, dziewczynka pracowita i usłużna, również kocha młodszego brata. Guciovi nie brakuje niczego, każde jego życzenie zostaje spełnione. Chłopiec jest tak rozpieszczony, iż zaniedbuje swój jedyny obowiązek – naukę. Podczas wystawnie wyprawianych imienin chłopiec popada w czarną rozpacz, gdy okazuje się, że dawno nie widziany dziadek przywiózł dla niego nowego, surowszego nauczyciela. Gucio jest tak rozżalony, że marzy, by stać się beztroską muchą. W tym momencie pojawia się przed nim wróżka, która jednym dotknięciem różdżki spełnia jego życzenie.

Opis przygód Gucia w postaci muchy to najciekawsza część książki. Gucio wyróżniony zostaje czerwoną czapeczką, by inne zwierzęta wiedziały, że jako człowiek pokutujący, znajduje się pod szczególną ochroną. Chłopiec poznaje świat najmniejszych zwierzątek. Odwiedza krecią norę, gniazdo wróbli, wnętrze kwiatu, ul, wdaje się w pogawędkę z pajakiem i dżdżownicami oraz poznaje insekty, odpowiedzialne za grzebanie zwierząt. Urbanowska

szczegółowo opisuje ich życie, wewnątrz kwiatu, a proces zapylania przedstawia z najdrobniejszymi detalami – to prawdziwa lekcja biologii. We wszystkich opisach mocno podkreśla rolę zwierząt – ich pracowitość, nieustanną krzątanie, zabieganie, by przysłużyć się wspólnemu dobru. Cel edukacyjny zamiany w muchę zostaje spełniony – Gucio wstydzi się swojego zachowania i solennie obiecuje sobie poprawę. Gdy wróżka z powrotem zamienia go w chłopca, okazuje się, że jego przygody były tylko snem.

Książka Urbanowskiej w wielu aspektach trąci myszką. Wątek edukacyjny jest aż nachalny, razi moralizatorstwo, a odbiór książki przez młodego czytelnika mogą utrudniać liczne anachronizmy. Wyraźny jest wpływ pozytywistycznej pracy u podstaw, niestety mało czytelnej dla współczesnego czytelnika. Rażącym jest również wyraźna dyskryminacja kobiet oraz przypisywanie płciom konkretnych zachowań. Każda kobieta, nawet siostra, nazywana jest przez Gucia pogardliwie „babą”. Chłopiec zaś besztany jest za okazywanie słabości czy łez, które nie przystoją prawdziwemu mężczyźnie.

Gucia zaczarowanego widzę raczej jako literacką ciekawostkę dla dorosłych i starszych dzieci. Od strony graficznej to prawdziwy klejnot – rewelacyjne w swej prostocie ilustracje Bohdana Butenko, twarda oprawa, przewijający się przez strony motyw muchy czy niebieski druk tworzą z książki małe arcydzieło.





Haley Tanner — *Vaclav i Lena*
Tłumaczenie: Agnieszka Walulik
W.A.B., Warszawa 2011

Monika Mellerowska

Magiczna i wzruszająca – powiedzieć tyle o debiucie literackim Haley Tanner *Vaclav i Lena* to zbyt mało. Jednak magii i łez nie sposób uniknąć czytając tę książkę. Coś nieopisanego dzieje się na jej stronach, słowa zdają się wyskakiwać jak królik z kapelusza magika. Takiego samego, o jakim marzył mały Vaclav i takiego, jakiego pragnęła dla niego jego uroczą, małą asystentka Lena.

Historia przyjaźni Vaclava i Leny ma głębokie korzenie. Choć na pozór wydaje się błaha i prosta to jest to jednak złożona opowieść. Kiedy ich poznajemy dziewczynka ma dziewięć lat, chłopiec jest starszy raptem o rok. Łączą ich rosyjskie korzenie, wspólne marzenia i dziecięca wiara w to, że wszystko da się zrobić. I obietnica, że cokolwiek się wydarzy, oni kiedyś zostaną małżeństwem. Silna przyjaźń łącząca Vaclava i Lenę trwa od kiedy ukończyli oni cztery lata, bo wtedy pozostawiona bez opieki i nadzoru osób dorosłych Lena zaczęła odwiedzać Vaclava i jego rodziców. Ta dziewczynka to krucha, małomówna istotka z okrutną przeszłością, którą poznajemy w trakcie lektury. Przeszłością, którą tylko Vaclav potrafi zamienić w bajkę.

Vaclav i Lena, codziennie zamknięci w pokoju chłopca, planują realizację swojego marzenia. Marzenia, którym Vaclav zaraził Lenę. Bo Vaclav Wspaniały to magik, i choć ma dopiero kilka lat dokładnie wie, czym będzie się zajmował, jakie sztuczki i gdzie będzie pokazywał. Do realizacji marzenia potrzebuje jednak asystentki doskonałej, która swoją osobą będzie potrafiła odciągnąć

publiczność od spraw ważnych. Właśnie w Lenie Vaclav widzi swoją asystentkę. Ich lekturą jest *Almanach magika*, a idolem sam wielki Harry Houdini. Występ, do którego się przygotowują, ma być spełnieniem ich marzenia i początkiem wielkiej kariery. Chcą być jak Houdini i Heather Holliday (Lena marzy o takim samym złotym kostiumie). Bardzo poważnie traktują całe przedsięwzięcie.

„Magia to sztuka kontrolowania wydarzeń za pomocą nadnaturalnych mocy”

Tanner w doskonały sposób buduje napięcie towarzyszące tajemnicy dzieci. I tę urastającą do ogromnych rozmiarów przyjaźń, nierozzerwalne uczucie. Kreuje je w sposób, który sprawia, że czytelnik nie może odłożyć lektury na później, bo wydaje się jemu, że może coś ominąć. Nawet tytuły rozdziałów są jak przystanki na trasie pociągu, który staje na nich tylko na chwilę, aby natychmiast ze zdwojoną prędkością i siłą odrobić utracony czas. Na drodze Vaclava i Leny też przytrafia się taki przystanek, niestety trwa on bardzo długo, jednak nie na tyle, aby tych dwoje zapomniało o sobie. Trzyście lat rozłąki, bez słów wyjaśnienia, nie jest w stanie powstrzymać dorastającego Vaclava od mówienia Lenie co wieczór „dobranoc”, od wyszeptywania tych słów przed zaśnięciem, jak mantry, magicznego zaklęcia, które uratuje jego kochaną małą Lenę. To długoletnie rozstanie nie wymaże też z pamięci Leny jego numeru telefonu, który kiedyś być może jej się przyda.

Trzyście lat jednak zmienia ludzi, ktoś poważnieje, ktoś inny zamyka się, szukając siebie wśród krzywych luster minionego, szarego życia. Mając nadzieję, że znajdzie upragnione odbicie w jednym z nich. Zacierając niechciane prawdy, zbyt bolesne aby zachować je w pamięci.

Tanner opisała w cudowny sposób kwintesencję przyjaźni i jej przeobrażania się w coś głębszego i stałego. Lecz tu nawet nie o samą miłość chodzi, a o te silne i mocne podwaliny, jakimi jest przyjaźń. Jak na książkę o magii przystało nic w niej nie jest takie jakie się wydaje. Począwszy od złudnych początków, zapowiadających sielskie życie i przewidywalną przyszłość dwójki małych przyjaciół, przez magiczne zaklęcia, do wykrzyczanych raniących słów dorosłych ludzi. Wszystko jest oczywiste i jednocześnie zaskakujące. Zdania, które kołyszają, uspokajają, aby wybudzić z krzykiem.

Może warto, idąc za przykładem Vaclava, który stwierdza, że „czasem trzeba wydać ostatniego dolara na napój, żeby mieć tego dnia coś, za co można być wdzięcznym, nawet jeśli ma to trwać tylko jedną krótką chwilę” poświęcić jeden dzień, jedną noc na historię o magii przyjaźni Vaclava i Leny?



Mariusz Szczygieł — *Zrób sobie raj*
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010

Stefania Szostok

O Czechach i o Polakach

W swojej najnowszej reportażowej książce Mariusz Szczygieł prezentuje wielowarstwowy i niejednoznaczny obraz naszych południowych sąsiadów. Patrzy na Czechy oczyma oczarowanego dziecka. Jest pełen sympatii, czasem współczucia, nieraz podziwu. Nigdy nie krytykuje, nie wydaje pochopnych wniosków, zawsze stara się zrozumieć. Jego książka to literatura najwyższej próby.

Zrób sobie raj stąpa po cienkiej granicy między klasycznym reportażem, esejem, opowiadaniem opartym na faktach, a nawet dziennikiem z podróży. Stanowi oryginalny koktajl osobistych rozmów, wspomnień, zasłyszeń i informacji z czeskiej prasy. Szczygieł umiejętnie żongluje tymi motywami, książka robi więc wrażenie fragmentarycznej, jakby lekko niepokładanej, wielogłosowej, „niechlujnej” (sam autor pisze o sobie na tylnej stronie okładki: „Jestem niechlujnym czechofilem”).

Całością jednakże rządzi logika dużo ciekawsza niż ta, która wynika z prawideł danego gatunku literackiego. Tekst przetyka cała sieć zależności i kluczowych pytań, które w interpretacji autora są niczym nić łącząca różne aspekty czeskiej kultury i historii. Jak echo powracają dawne traumy, takie jak rok 1968, kiedy wojska Układu Warszawskiego i następująca po nich neostalinizacja

brutalnie złamały całemu narodowi kręgosłup. Powraca pytanie, jak wygląda życie Czechów bez Boga, bez odwiecznych tradycji i rytuałów przejścia (pogrzeby, a raczej ich brak). Leitmotivem książki jest też kwestia słynnego czeskiego śmiechu przez łzy – „zaśmiewania” cierpienia, trudnych tematów i przykrych uczuć. Raz po raz pojawia się też niepojęta obojętność czeskiej opinii publicznej na wszelkie narodowe obrazoburstwo i prowokacje rodzimych artystów. Powraca też zdolność Czechów do wypierania, zapominania, milczenia o wszystkim, czego nawet przy największych chęciach nie da się obśmiać. Bo rzeczy trudne, bolesne i niewygodne (jak powojenne brutalne wygnanie niemieckich cywilów z Czechosłowacji) to według Mariusza Szczygła ostatnie i największe tabu tego społeczeństwa.

Autor nie zadowala się prostymi wnioskami. Jeśli wysnuje jakąś hipotezę, lubi za kilka stron poddać ją rewizji, rozwinąć, dopełnić, zaprzeczyć. Wytrwale grzebie pod powierzchnią stereotypów, z którymi do tego kraju przyjeżdża. Szuka cech, których, jak wieść gminna niesie, Czesi nie mają, i oczywiście znajduje je, choć nieraz w bardzo nieoczekiwanych miejscach. Szuka np. agresji (stereotyp: Czesi są narodem łagodnych wesołków) i znajduje ją w nieprzyjemnym sposobie bycia wielu czeskich kelnerów. Szuka patosu, honoru i kolektywnego poczucia dumy, których Czesi są ponoć pozbawieni – i jak najbardziej, nawet w Czechach takowe się znajdują! Obecne są w... hokeju, narodowym sporcie. Szuka wiary, bo sami Czesi lubią nazywać się największymi ateistami Europy. Znajduje ją m.in. w „władzących się z Bogiem” młodych pisarzach Natalii Kocábovej i Adamie Georgievie, epatujących w swoich książkach prowokacyjnymi obrazami nieskrępowanego seksu, przyjmowania narkotyków i religijnych ekstaz.

Nie wszystkie jednak reportaże zawarte w książce drażnią a priori czeską specyfikę narodową i kulturalną. Niektóre są po prostu opowieściami o ludziach. Niekiedy o wyjątkowych i znanych (fotograf Jan Saudek, filozof i poeta Egon Bondy, popularna pisarka Halina Pawłowska, kontrowersyjny artysta David Černý), kiedy indziej o zwykłych „szarych” obywatelach. Nie są oni nijak reprezentatywni, często wręcz potężnie odbiegają od stereotypu przeciętnego Czecha (wierzący policjant Milan), a jednak ich historie odbijają w sobie jak w lustrze szerszy kontekst współczesnej czeskiej rzeczywistości. Pisarz czasem rozpisuje swą opowieść na ich głosy. Zwierzenia anonimowych rozmówców docierają do nas z ciemności i za chwilę znikają, jak na scenie.

We wstępie Szczygieł pisze: „Mówiąc w skrócie – jest to książka o sympatii przedstawiciela jednego kraju do innego kraju. Może też jest jeszcze o czymś, ale to już zostawiam Państwu”. Dla mnie jest to też książka o nas, Polakach. Jakby przy okazji pojawiają się drobne migawki z polskiej rzeczywistości. Nie są wyrażone wprost, raczej zasugerowane. Lecz wiele o nas mówią. Na przykład:

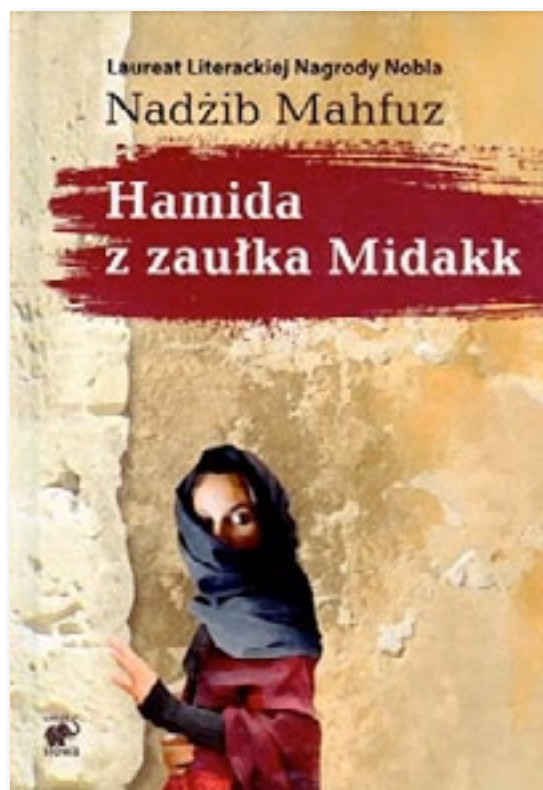
Opowieść wierzącej pani w średnim wieku o przybyszach z Polski, którzy przed 30 laty należeli do jej parafii. Na początku kościół był ich pełny. A potem zniknęli. Z kościoła. Nie z miasteczka.

Krzyczący polscy pielgrzymi na spotkaniu z Benedyktem XVI w Pradze. Zagłuszają Czechów, żeby pokazać Ojcu Świętemu, że „ma tu też swoje towarzystwo”.

Pytania do niewierzących Czechów, które zadają Polacy. Ich zdziwienie, jak można być uczciwym człowiekiem bez Boga. Jak można być silnym i dobrym człowiekiem bez Boga. Jak można być szczęśliwym człowiekiem bez Boga.

Szczygieł pisząc o Czechach, pokazuje nam alternatywny do polskiego sposób przeżywania świata. Ani lepszy, ani gorszy, po prostu inny. To rzeczywistość ześwieczona, coraz bardziej opuszczająca tradycyjne rytuały towarzyszące życiu człowieka, uznająca je za rzecz niepotrzebnie obciążającą psychikę i kieszeń. Autor daleki jest od krytykowania czy potępiania któregośkolwiek, polskiego czy czeskiego, modelu istnienia w świecie. Stara się tylko rozszerzyć Polakom ich wyobrażenie o porządku rzeczy. Czesi interpretują świat zupełnie inaczej, a wynika z tego ta sama moralność, to same pragnienie miłości, zrozumienia, szczęścia – raju.

Zrób sobie raj to moim zdaniem książka bardzo ważna na polskim rynku. Mająca swoją misję (choć pisząc ją, autor z pewnością o żadnej „misji” nie myślał). Jest nią uświadamianie Polakom oraz innym narodom (szykuje się już pięć przekładów na obce języki), że po różnorodność i odmiennność nie trzeba wcale jeździć do Indii czy na Bliski Wschód. Czasem znajduje się ona tuż za miedzą. I wiele nas może nauczyć o nas samych.



Nadżib Mahfuz — *Hamida z zaułka Midakk*

Tłumaczenie: Jolanta Kozłowska

Wydawnictwo Smak Słowa, 2010

Joanna Wonko-Jędrzysek

Świat kairskiego zaułka

Znacie te wąskie uliczki, gdzie życie zdaje się biec swoim własnym torem, za nic mając sobie świat poza niewielkim sąsiedztwem? Na rozgrzanej ulicy wylegują się koty, bo rzadko kiedy pojawia się tam samochód, a nawet nadejście kogoś obcego od razu zostaje zauważone przez mieszkańców, którzy pomimo pozornego rozleniwienia, są zajęci tysiącem spraw. Taki właśnie jest zaułek Midakk w Kairze, gdzie toczy się akcja książki egipskiego noblisty Nadżiba Mahfuz, pod tytułem *Hamida z zaułka Midakk*. Tam krzyżują się losy mieszkańców z różnych światów, począwszy od zamożnego właściciela fabryki, As-Sajjida Ulwana, przez swatkę, fryzjera, żołnierza i właściciela kawiarni, a skończywszy na Zajcie, który w swojej norze na tyłach piekarni zmienia na zamówienie ludzi w kaleki.

W zaułku mieszka też Hamida, jedna z głównych postaci. Wychowana przez przybraną matkę zajmującą się kojarzeniem par dziewczyna wyrasta na kobietę dumną i ambitną, której nie odpowiada proste życie w rodzinnych stronach i która czuje, że jest stworzona do czegoś lepszego. Piękna i niedostępna, stanowi obiekt westchnień niejednego mężczyzny w zaułku, w tym prostodusznego fryzjera Abbasa Al-Helu, który jest gotów poświęcić swoje wygodne i zadowalające go w pełni życie, by sprostać oczekiwaniom Hamidy. Wbrew nocie wydawcy, Hamida nie jest jednak naiwną dziewczyną – choć stara się dbać o swoją reputację, nie

ma większych zahamowań, by zdobyć to, czego pragnie, a są to głównie pieniądze i pozycja społeczna. Zdaje sobie sprawę z motywów ludzi zgromadzonych wokół niej, nie ma jednak oporów, by wykorzystywać je wedle własnego uznania. Dziewczyna zazdrości swoim pracującym koleżankom niezależności i własnych dochodów, które mogłaby przeznaczyć na stroje i inne zachcianki. Porywy serca nie są jej szczególnie bliskie i choć chwilami jest prawie pewna, że kocha, uczucie przegrywa w zderzeniu z rzeczywistością i ambicjami Hamidy. Nie jest to postać głupia i bez wyrazu, jednak jej cel oraz fakt, że bez wyrzutów sumienia poświęca wszystkich wokół, by go osiągnąć, wzbudza potępienie. Pozostali bohaterowie, choć nierzadko przedstawieni w pozytywniejszym świetle niż Hamida, również nie są wolni od wad. Czy jest to właściciel kawiarni, wbrew woli rodziny oddający się napiętnościom napiętnowanym w społeczeństwie, czy jego zachłanny syn pragnący dorobić się na wojnie, czy nawet uchodzący za niezwykle świątobliwego As-Sajjid Radwan – każdy z nich, choć opisany z dużą dozą życzliwości przez autora, ma na swoim sumieniu złe uczynki lub przywary, dzięki czemu książka wydaje się być pełna ludzi z krwi i kości, do których czytelnik szybko może wyrobić sobie stosunek emocjonalny.

Różnorodność postaci odzwierciedlona jest w formie powieści, która składa się z kilku historii, a każda dotyczy innego bohatera. Opowieści przeplatają się ze sobą, łączą i rozchodzą, co tworzy wspaniałą czytelniczą mieszankę, ani na chwilę nie wprowadzając czytelnika w dezorientację. Nadżib Mahfuz kontynuuje wspaniałą arabską tradycję snucia opowieści, od których nie można się oderwać. Jest wnikliwym obserwatorem życia mieszkańców dość ubogiej dzielnicy Kairu, w tle ukazując zmiany historyczne i obyczajowe z okresu drugiej wojny światowej. Autor subtelnie rozprawia się także z wieloma stereotypami, choć jego książka nie jest skierowana do zachodnich czytelników w celu przybliżenia im egipskiej rzeczywistości. To raczej snuta z wyczuciem opowieść o teraźniejszości i dawniejszych czasach, blaskach i cieniach arabskiego życia. *Hamida z zaułka Midakk* to bogata w treści powieść, która mimo upływu czasu nie przestaje być aktualna. W dodatku skrzy się humorem, nierzadko ironicznym, wytykającym ludzkie słabości. Mimo to autor nie wyśmiewa swoich bohaterów, i choć krytykuje, to stara się okazać wyrozumiałość dla wad, które zdają się być nieodłączną częścią ludzkiej osobowości.

W jednej z pierwszych scen do kawiarni wchodzi poeta, stary bazarz i śpiewak. Nikt nie chce go już słuchać, wszyscy goście lokalu wolą radio. Czy jednak czasy snucia opowieści na zawsze odeszły do przeszłości? Powieść Nadżiba Mahfuz pokazuje, że zdecydowanie tak się nie stało. Melodyjny głos bazarzy zmienił się jednak w szelest kartek papieru.



Recenzja miesiąca —
luty 2011

Peter Fröberg Idling — *Uśmiech Pol Pota*
Tłumaczenie: Mariusz Kalinowski
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010

Marta Dudek

Źle się dzieje w państwie khmerskim

Podobno Pol Pot, komunistyczny dyktator Kambodży i przywódca ekstremistycznego ugrupowania Czerwonych Khmerów, uśmiechał się w specyficzny sposób. Zmanierowany, obojętny grymas, polegający na lekkim opuszczeniu głowy i obnażeniu górnych zębów, przypominał jedynie nieudaną kopię tego, co nazywamy uśmiechem. Autor reportażu o reżimie Pol Pota, Peter Fröberg Idling, próbując zrobić taką minę przed lustrem, stwierdza, że wygląda jak kretyn. Jakim widzi zaś portret kambodżańskiego ludobójcy przez reporterskie szkieleto i oko, możemy przekonać się dzięki książce autorstwa szwedzkiego reportera *Uśmiech Pol Pota*. Łącząc najlepsze cechy literatury faktu i artystycznej narracji, Idling po mistrzowsku odmalowuje nie tylko wizerunek dyktatora, ale i towarzyszące jego rządowi tło pełne złowrogich barw.

Zaczyna się gdzie indziej

Oprócz wydarzeń związanych z dramatem Kambodży Peter Fröberg Idling ukazuje także niechlubną kartę historii swojego kraju, którą odsłania już w podtytule: *o pewnej szwedzkiej podróży przez Kambodżę Czerwonych Khmerów*. Opisuje wyprawę czwórki lewicujących intelektualistów, którzy odwiedzają państwo dyktatury Pol Pota i wracają zachwyceni czerwoną rewolucją,

nie dostrzegając (lub nie chcąc dostrzec), że zabarwiła ją krew zastępów zagłodzonych, zastraszonych i zamordowanych Kambodżan. Od tego zaczyna się książka, o ile w ogóle można powiedzieć, że się zaczyna, bo w reportażu Idlinga nie znajdziemy typowej, choćby dla powieści historycznej, chronologicznej narracji, logicznego następstwa zdarzeń czy ciągów przyczynowo-skutkowych. Autor nieustannie przeplata plany czasowe, robi to jednak na tyle sprawnie, że tekst nie jest chaotyczny. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość w jego wydaniu sprawiają wrażenie jednej, pulsującej przestrzeni, w której zanurzone są fragmenty historii Kambodży, biografii Pol Pota, rewolucyjnych haseł, relacji ocalonych czy wypowiedzi członków rodzimej delegacji. Spotkanie ze szwedzką wysłanniczką do Kambodży, Heddą Ekerwald, na które Idling wybiera się w pierwszej scenie książki, powraca dopiero po ponad trzydziestu stronach. Wszystkie prezentowane czasoprzestrzenie są jednak ze sobą powiązane, a ich cyrkulacja świetnie wpisuje się w otwartą formę reportażu i czyni go ciekawym literacko. Przeplatając wątki, style i gatunki, autor wymaga od czytelnika pełnej koncentracji i zaangażowania w lekturę. Jednak kiedy damy ponieść się samemu tekstowi, nie skupiając się na obco brzmiących nazwiskach, miejscowościach i przerażająco dużych liczbach, książkę czyta się jednym tchem. Paradoksalnie opis pełen niebywałych potworności, które na dodatek wydarzyły się naprawdę, okazuje się narracją wciągającą jak najlepsza powieść przygodowa czy sensacyjna.

Lopata to twoje pióro, pole ryżowe to twój papier

Z tego, co jest piórem i papierem reportera, Idling nie robi tajemnicy. Na kolejnych stronach *Uśmiechu Pol Pota* czytelnik wraz ze swoim przewodnikiem dokopuje się do kolejnych informacji i ze szczegółami poznaje sposób, w jaki uprawia się zawód, uważany przez jego wykonawców za bardzo trudny. Idling śmiało odsłania kulisy tworzenia reportażu i nabieżąc relacjonuje proces jego narodzin, co daje wrażenie, że książka powstaje na naszych oczach. Autor jest w niej obecny także jako jeden z bohaterów, który przywołuje wspomnienia z dzieciństwa, snuje historiozoficzne refleksje, prowadzi rozważania na temat istoty dziennikarstwa. Ilość wykonanej przez niego pracy reporterskiej jest godna uznania. Autor posługuje się źródłami pochodzącymi z różnych czasów i utrwalałymi w rozmaitych formach. Do napisania książki wykorzystuje m.in. urywki z gazet szwedzkich, kambodżańskich i amerykańskich, transkrypcje nagrań audycji radiowych i prywatnych rozmów telefonicznych polityków, fragmenty filmów, książek, dzienników, zeznań, zapisków z podróży, rewolucyjne slogany i przykazania, opisy fotografii i rysunków, relacje świadków, wywiady, wiersze, zasłyszane anegdoty, a nawet własne sny.

Wielość źródeł Idling przekłada na gatunkową i stylistyczną różnorodność własnego tekstu, a także na jego fragmentaryczność. Na *Uśmiechu Pol Pota* składają się 262 rozdziały, nazwane w autorskim posłowiu *scenami*, które bywają spisane w formie chłodnych relacji, pozbawionych komentarza urywków źródeł, pełnej napięcia fabuły rodem z powieści przygodowej, emocjonalnych wspomnień i refleksji czy też opatrzonych tytułami baśni (*Baśń o helikopterze*, *Baśń o stalowym pręcie*). Najciekawszym rozwiązaniem jest chyba przedstawienie jednego z rozdziałów w konwencji scenki dramatycznej z podziałem na role oraz didaskaliaми zawierającymi uwagi co do wyglądu sceny (willi generała Lon Nola w Phnom Penh) i zachowania aktorów (Lon Nola i Henry'ego Kissingera). W innym fragmencie autor eksperymentuje z kolei z typografią, pomijając w tekście niektóre wyrazy, a w ostatniej linijce zostawiając same znaki interpunkcyjne.

Najczęściej jednak Idling posługuje się prostym, klarownym językiem i buduje krótkie zdania, dobitnie wyrażające fakty, które mówią same za siebie. Bogactwo stylów i gatunków tworzy typowy dla reportażu literackiego, a mimo to oryginalny kolaż, skonstruowany w taki sposób, że czytanie staje się przygodą, która nie szkodzi jednak poznaniu prawdy o niedostępnej nam rzeczywistości.

Interpretator, prestidigitator, dyktator

Czy reporter tworzy iluzję podobną do tej, której uległa czwórka Szwedów podróżujących po Demokratycznej Kampuczy Pol Pota? Mimo że Idling skrupulatnie relacjonuje proces tworzenia reportażu i odsłania przed czytelnikiem swój warsztat, ciągle dręczy go kwestia wiarygodności i odpowiedzialności za słowo. Do kategorii prawdy, która ma dla niego tak duże znaczenie, nawiązuje już w motcie zaczerpniętym z książki innego szwedzkiego pisarza: *zapewniam was, to prawda*. Jednocześnie na jednej ze stron tytułowych umieszcza kolejny, znamieny podtytuł: *PROPOZYCJA*, sugerujący jakby, że przedstawione wydarzenia są tylko pewną ofertą, którą można przyjąć lub odrzucić, zgodzić się z nią lub nie.

Taka postawę można nazwać swoistą asekuracją przed ewentualnymi zarzutami albo zwyczajną uczciwością wobec czytelnika, który oczekuje portretu Pol Pota non-fiction. Autor wielokrotnie dzieli się swoimi wątpliwościami, rozterkami w kwestii doboru słów (np. czy zamiana wyrazu *zło* na *brak empatii* uczyni tekst bardziej, czy mniej zrozumiałym?), nazywa siebie nieproszonym gościem wśród cudzych wspomnień, obawia się o ich nieuprawnione zawłaszczenie. Pyta,

czy sam widzi ukazane analogie, bo chce, żeby tam były? Czy przedstawione wydarzenia można opowiedzieć inaczej, lepiej? Co ma począć z faktami, na które natrafił, z doświadczeniami, które przeżył? Idling mnoży takie pytania i zmusza odbiorcę do interakcji. Czyni lekturę przyjemną, ale w specyficzny sposób. Świat przedstawiony, w którym nie ma jasnych odpowiedzi i nic nie jest jednoznaczne, wymaga czytelnika aktywnego i gotowego do podjęcia wyzwania, jakie stawia przed nim tekst.

Kapuściński uznawał obiektywizm w pracy reportera za coś niemożliwego do osiągnięcia, Idling jednakże, gromadząc fakty z tak rozlicznych źródeł i nie ukrywając pojawiających się mimo to wątpliwości, zdaje się zbliżać do ideału. Szwed nie próbuje być nieomylnym sędzią, ale raczej przewodnikiem po faktach, w morzu których czytelnik mógłby się zagubić. Typowy dla autora sposób przekazu dobrze ilustruje przedstawianie przez niego statystyk. Idling nie zasypuje czytelnika suchymi danymi, nie grzęźnie w liczbach, które trudno sobie wyobrazić, lecz za każdym razem stara się je zobrazować i przybliżyć. Przykładowo mówi, że lista zmarłych Kambodżan na skutek terroru Czerwonych Khmerów w momencie odwiedzin szwedzkiej delegacji (1 milion 330 tysięcy), mogłaby wypełnić 34 książki takich rozmiarów, jak ta trzymana w rękach przez czytelnika albo prawie 13,5 tysiąca tej wielkości stron, podczas gdy kolejnych 3 700 czekałoby na tych, którzy mieli wkrótce umrzeć. Innym razem siłę eksplozji 2 756 941 bomb zrzuconych na Kambodżę porównuje do 183 bomb z Hiroszimy zrzuconych przez cztery lata na kraj wielkości połowy Szwecji.

Choć tego typu zabiegi mogą być uznane za tani dziennikarski chwyt i grę na emocjach odbiorcy wywołaną literacką iluzją, w przypadku reportażu Szweda takie posądzenia wydają się nieuzasadnione. Nawet jeśli reportaż miałby być swego rodzaju iluzją rzeczywistości, to Idling jako jej twórca nie ma w sobie nic z jarmarcznego kuglarza. Przywoływana wielokrotnie skrupulatność w gromadzeniu materiału faktograficznego, jego różnorodność i możliwie bezstronny, a zarazem ciekawy literacko sposób prezentacji czynią Idlinga arcymagiem swojej profesji.

Jako największy zaszczyt chyba każdy reporter traktuje jednak nazwanie go tłumaczem kultur. Idlinga można przewrotnie mianować doskonałym tłumaczem całkowitego braku kultury, niepojętego barbarzyństwa, które wydarzyło się na oczach tak zwanego cywilizowanego świata i którego racjonalnie wytłumaczyć się nie da. Szwedzki reporter pokazuje jednak tamte realia w sposób tak obrazowy i dokładny, że czyni ich odbiorcę niemal świadkiem opisywanych wydarzeń i wyposaża go w cenny kompas w postaci

gruntownej wiedzy historycznej. *Uśmiech Pol Pota* łączy w sobie rzetelny materiał faktograficzny z wysokiej klasy kunsztem artystycznym, tworząc pokazową, lecz nie schematyczną realizację gatunku, który nazywamy reportażem literackim. Warto wspomnieć, że mimo poważnej tematyki książki, autor nierzadko daje czytelnikowi chwile wytchnienia i nie stroni także od lżejszych fragmentów. Jako jedną z anegdot przytacza rysunek satyryczny, który przedstawia amerykańskich polityków rozmawiających o innym zbrodniarzu z Kambodży, generale Lon Nolu. Rysunkowy Kissinger mówi do Nixona: „O Lon Nolu wiemy tylko tyle, że pisany od tyłu też się nazywa Lon Nol”. Na szczęście o Pol Pocie wiemy już dużo więcej.

Jako śródtytuły wykorzystałam fragmenty książki oraz cytowane w niej hasło propagandowe Czerwonych Khmerów.

KONKURS NA RECENZJĘ

Jeśli lubisz pisać recenzje, masz ciekawe refleksje na temat przeczytanych książek i chciałbyś lub chciałyś podzielić się nimi z szerszym gronem odbiorców, nowy cykliczny konkurs w Archipelagu jest stworzony właśnie dla Ciebie! Serdecznie zapraszamy naszych czytelników do udziału. Wystarczy napisać recenzję książki nieomawianej do tej pory na łamach magazynu i przesłać ją na adres redakcja@archipelag-magazyn.pl z tematem „Recenzja”. Redakcja wybierze teksty, które zostaną zamieszczone w piśmie oraz wyłoni najlepszą, której autor otrzyma książkowy upominek. Zachęcamy do zapoznania się z regulaminem konkursu i nadsyłania recenzji!

**Pierwsza edycja konkursu trwa do
1 września 2011 roku.**



PIETER BRUEGEL - MICHAEL F. GIBSON - LECH MAJEWSKI W ICH METODZIE JEST SZALEŃSTWO

Zestaw karkołomnych pomysłów. Sfilmować esej krytyczny, będący analizą formy i symboliki dzieła malarskiego; dopowiedzieć zdarzenia, które mogły przytrafić się postaciom przed tym, zanim zostały uwiecznione na obrazie w różnych sytuacjach i pozach oraz po tym, gdy mistrz pędzla już stracił dla nich zainteresowanie; pochwycić w sidła codziennych epizodów metafizykę egzystencjalnego konkretności; przekonać, że powtarzający się w porządku tego świata triumf okrucieństwa nad miłosierdziem nie zaprzecza wartości życia „tu i teraz” i nie odbiera nadziei na jakiś ostateczny sens.

Joanna Marchewka

Cóż, karkołomne wcale nie musi być niemożliwe, czego odzwierciedleniem jest najnowszy film Lecha Majewskiego *Młyn i krzyż*. To „adaptacja” eseju interpretacyjnego Michaela F. Gibsona – amerykańskiego historyka sztuki, który wtajemnicza czytelnika w Brueglowski świat przedstawiony na obrazie *Droga krzyżowa* (1564 r., Wiedeń, Kunsthistorisches Museum).

Reżyser w jednym z wywiadów mówił, że jego przedsięwzięcie miało być eksperymentem, pokazującym możliwości literatury i kina dzięki wykorzystaniu najnowszej technologii CGI (obraz generowany komputerowo) i przestrzeni 3D. W efekcie zyskaliśmy interferencję trzech fenomenów artystycznych: dzieła malarskiego, literackiego i filmowego. Każdy z twórców przełamał kanon obowiązujący w uprawianej przez siebie sztuce.

Ale od początku i po kolei. Na początku był Bruegel...

Pieter – poważny żartowniś

Przy pierwszym zetknięciu z obrazem bardzo trudno ogarnąć całość kompozycji *Drogi krzyżowej*. Na powierzchni 170x124cm Bruegel pomieścił około pięćset postaci, w tym – jak policzono – czterdziestu bohaterów dziecięcych i szesnaście kobiet. Dodajmy do tego rachunku czterdzieści koni, osiem psów i dwadzieścia ptaków. Mniejsza o buchalterię. Bez wątplenia obraz jest przykładem mistrzostwa realizmu. Mimo miniaturyzacji – niektóre postaci mają nie więcej niż 2mm – udało się zachować ich indywidualizm. „Brueglowskie typy” to twarze, które długo pozostają na powidoku, a i nierzadko powracają w ciężkich snach. Jednak najistotniejszy jest przewrotny koncept, by w tej menażerii ukryć postać Chrystusa, upadającego pod brzemieniem krzyża. Właśnie ukryć, bo niderlandzki mistrz z odległej epoki wielokrotnie udowydniał, że to, co fundamentalne dla dziejów ludzkości, rozgrywa się zawsze na obrzeżach zdarzeń potocznych (tak też są skomponowane m.in.: *Upadek Ikara*,

Pokłon Trzech Króli w zimie, *Nawrócenie Świętego Pawła*).

Czasoprzestrzeń obrazu jest wielowymiarowa. Mamy tu do czynienia z porządkiem kosmicznym, transcendentnym, który uosabia postać Młynarza – symbolizującego Boga. To on mieli ziarno ludzkiego losu. I patrzy na *theatrum mundi*. Patrzy z wysoka. Na nagiej skale, spiczasto sterczącej ku niebu, wspiera się na ścianie wiatraka o skrzydłach niczym wskazówki wiecznego zegara. Dla ludzkiego oka jest ledwie widoczny. Tymczasem w sercu obrazu rozgrywa się misterium pasyjne. Tytułowa droga krzyżowa (obraz nazywany jest też *Procesją na Kalwarię*) to rytualnie powtarzany dramat, w którym Chrystus jest figurą anonimowego cierpienia prześladowanych – w różnych czasach i pod różnymi szerokościami geograficznymi. Czas historyczny – jego realistyczny wymiar – symbolizują jeźdźcy w czerwonych kubrakach. To Hiszpanie, którzy dają Flandrom, współobywatelom Bruegla, krwawą lekcję prawomyślności wiary – katolickiej – bo działają w imię Świętej Inkwizycji. Ale najważniejszy spektakl rozgrywa się w teatrze dnia codziennego. Jan Kochanowski, rówieśnik malarza, we fraszce *O żywocie ludzkim* dynamiczną zdarzeniowość tego teatru zilustrował tak:

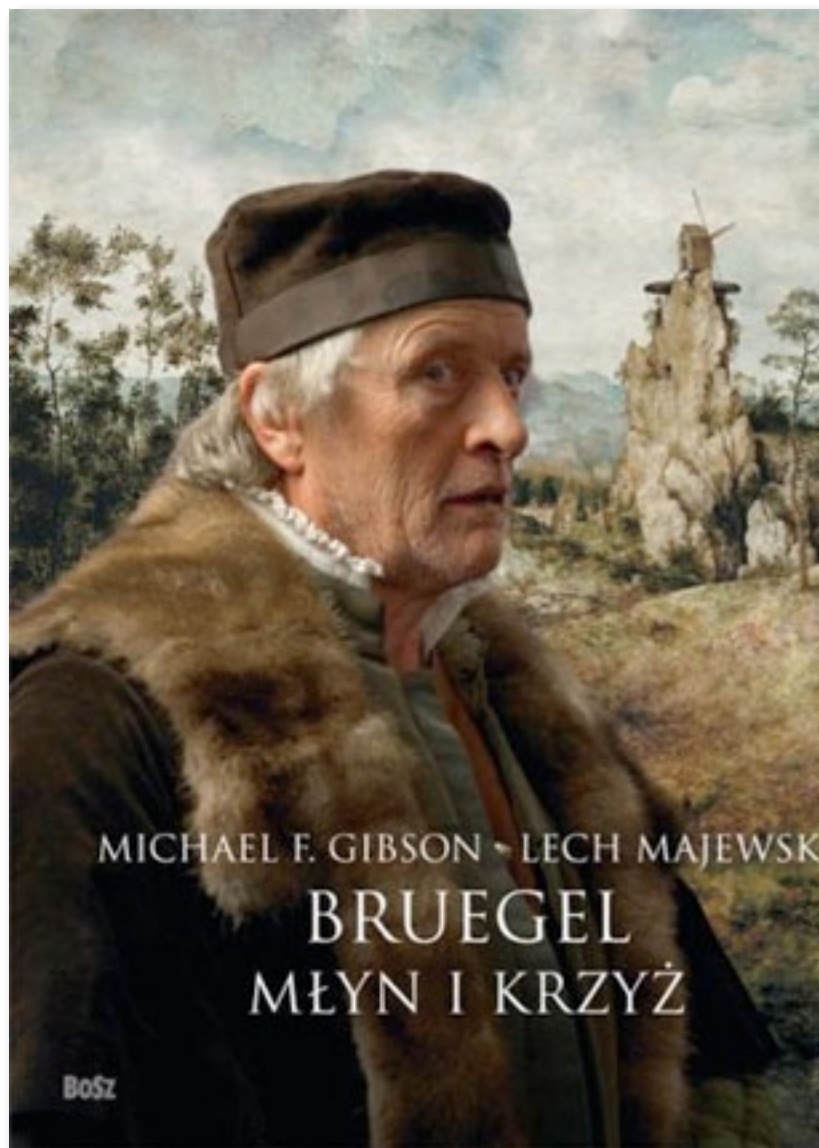
„(...) Więc temu rękaw urwą, a ten czapkę straci; Drugi tej krotochwile i włosy przypłaci. Na koniec niefortuna albo śmierć przypadnie. (...)”

Na obrazie Bruegla (zwanego Pieterem Żartownisiem) mamy wiele scen jakby wyjętych z teatru buffo — wystarczy prześledzić igraszki bohaterów dziecięcych i dziecięce igraszki dorosłych. A wszystko to umieścić na tle procesji... życia i śmierci.

Terminując u Michaela Gibsona

Nie sposób oddać w prostym opisie Brueglowskiego uniwersum. Dla amatora – admiratora, ale nieprofesjonalisty – zawsze skończy się to kapitulacją. Wystarczy onieśmielająca świadomość metody artystycznej malarza – w mikrokosmosie pomieścić kosmos, z trywialności, za pomocą metaforycznego skrótu i syntetycznego symbolu, wyłuskać metafizykę. W tym malarstwie nie ma przygodnych elementów, każdy jest nie tylko

znaczący, ale i obciążony zwielokrotnioną semantyką. Deszyfracja wymaga ogromnego zaplecza wiedzy. Tym bardziej więc lektura eseju M. Gibsona *Bruegel. Młyn i krzyż*



wyduje się ucztą, na której serwuje się dania pożywne, a zarazem wyrafinowane.

Znawca Bruegla zaczyna swój wywód poświęcony *Drodze krzyżowej* w sposób zaskakujący:

„Proponuję zatem: nie czytajcie jeszcze tej książki.

Przyjrzyjcie się najpierw obrazowi.

Zawrzyjcie z nim znajomość.

Wejdźcie do malowanego świata Pietera Bruegla bez

wstępnych założeń”.

Można by się spodziewać, że badacz z punktu chwyci za narzędzia krytyki i z chirurgiczną precyzją skroi ów „malowany świat”. Tnąc go po przekątnych, wydobydzie centrum i ustali „zasadę złotego środka”. Tymczasem Gibson niczym wytrawny *cicerone* „oprowadza” czytelnika po Brueglowskich obiektach, nie pomijając żadnego detalu. Dzięki temu, że w albumie *Młyn i krzyż* znajdują się reprodukcje poszczególnych fragmentów obrazu, możemy nieustannie konfrontować wywód z obserwacją wskazywanych szczegółów.

Przez ponad sto stron książki uczymy się patrzenia na obraz. Oko ćwiczymy w widzeniu tego, co przedstawione, a wyobraźnię w umiejętności domysłu. Gibson erudycyjnie dopowiada znaczenia, a nas zobowiązuje do namysłu nad nimi. W tekście dwukrotnie cytuje zresztą słowa Abrahama Ortelsa, szesnastowiecznego geografa, który, jak się wydaje, znalazł klucz do geniuszu swego przyjaciela, Pietera: „W całym jego dziele więcej jest materii do namysłu, niżli malarstwa.”

Droga krzyżowa analizowana jest w najrozmaitszych kontekstach (m.in. historycznym, teologicznym, filozoficznym, biograficznym), ale niepowtarzalna uroda eseju polega przede wszystkim na tym, że jego autor zachowuje się jak doskonały kompan w podróży poznawczej – prowadzi z nami dialog i sam zajmującą gawędzi. Sytuuje się bowiem w pozycji medium, pośrednicząc między widzem a artystą i jego dziełem.

Gibson, budując narrację, eksperymentuje z czasem, i to w dwojaki sposób. Po pierwsze wprawia w ruch zatrzymaną w ramie obrazu rzeczywistość. Widzimy „teraz”, ale dzięki wyobraźni możemy również mieć dostęp do tego co „wcześniej”, jak i „za chwilę”. Po drugie znosi dystans czasowy między szesnastowiecznymi realiami a współczesnością. Stąd na przykład wóz ze skazańcami jawi się jako „złowieszczy wyciąg krzeselkowy”, przydrożne zbiegowisko nasuwa skojarzenia z kolizją na autostradzie, spiralny ruch postaci wokół skały porównany zostaje do rozwiniętej rolki filmu fotograficznego, niezwykłość ujęć nieba to odpowiednik funkcji muzyki w filmie. Metoda opisu praktykowana przez Gibsona uświadamia prawdę wypowiedzianą przez Koheleta: „Nihil novi sub sole”. Nic nowego pod słońcem – rzeczywistość powtarza się w nieco tylko zmienionych wariantach zdarzeń. A poczucie nieadekwatności zestawień? To nawiązanie do Brueglowskiego

operowania ironią poprzez anachronizm rekwizytów – awanturującą się żonę Szymona Cyrenejczyka zaopatrzył w różaniec, a „dobrego” łotra wziętego na miejsce straceń w przynoszący konsolację krzyż – na długo przed tym, zanim stał się symbolem chrześcijaństwa.

Do Brueglowskiego realizmu wyglądu postaci Gibson dorzuca świat ich przeżyć wewnętrznych, różnorodność emocji. Raz po raz udziela bohaterom głosu lub referuje ich myśli. Zgłębia też psychologię tłumu, podążającego na Kalwarię, jak na sensacyjny spektakl. Rekonstruuje rzeczywistość w całej pełni – każe nam słyszeć piejącego koguta i bijące dzwony, czuć powiew wiosennego wiatru i wdychać odór rozkładających się szczątków ciał po egzekucji.

Terminując u Gibsona, można podejrzec, jak łączy trzy sprawności w patrzeniu na dzieło sztuki malarskiej. Patrzy „okiem estety”, który kontempluje obraz, „okiem zdyscyplinowanego erudyty”, rozumiejącego ukryte sensy oraz „okiem wrażliwca” – empatycznie odbierającego świat przedstawiony.

Esej kończy natomiast równie zaskakująco, jak go zaczął. Szepcze nam do ucha: „A może się mylę?” Jest to wyraz pokory badacza wobec geniuszu Niderlandczyka, którego ujednoznacznic się nie da, ale i też trochę postawa dezynwoltury – zagrania na nosie czytelnikom, którzy zaczęli nabierać przekonania, że przeszli inicjację, że zostali już wtajemniczeni w meandry Brueglowskiego świata. A przecież w tym, co widzimy, zawarty jest nieskończony potencjał sensów do odczytania, pojęcia i osobistego przeżycia. Wciąż stoimy zaledwie u podnóża tej nagiej skały z obrazu.

Fotogeniczność filozofii Majewskiego

Malarstwo Bruegla domaga się wielokrotnych „oględzin”. Patrzenia powracającego.

Film jest dziełem linearnym, zamkniętym w ściśle określonym czasie. Wymaga od reżysera arbitralnych decyzji związanych z eliminowaniem tworzywa. Majewski wybrał więc dwanaście postaci z obrazu, których losy konstruuje (wśród nich jest m.in. młynarz z żoną, wędrowny handlarz, małżonkowie, których sielankę przerwie atak Hiszpanów, jeden ze skazańców, Maria – matka Chrystusa, rodzina Bruegla).

Współscenarzystą filmu obok Majewskiego był Gibson, co widać w pomysle potraktowania *Drogi krzyżowej* jako hipertekstu, czytanego linearnie od lewej strony obrazu ku prawej, ale i poprzez „hiperłącza”, wykraczające poza te ściśle określone granice tekstu.

Majewski rozsadza ramy obrazu i umieszcza go w nowych obramowaniach. Na dzieło Bruegla patrzymy zarówno z perspektywy zewnętrznej, jak i wewnętrznej. Na początku i na końcu filmu widzimy *Drogę krzyżową* w ujęciu

panoramicznym – co buduje ramę kompozycyjną obrazu filmowego. Ostatnia sekwencja pokazuje płótno w przestrzeni galerii, w otoczeniu innych dzieł malarza.

Na obraz patrzymy też z perspektywy wewnętrznej – na zasadzie odbioru uczestniczącego.

Wchodzimy do wnętrza wykreowanego świata, po którym oprowadza nas Bruegel. Malarz (grany przez Rutgera Hauera) objaśnia kolekcjonerowi swoich dzieł (Michael York) zamysł kompozycyjny powstającego na naszych oczach obrazu: „Będę pracował jak pająk, zaplatał sieć, aż znajdę punkt zaczepienia.”

Kapitałnym połączeniem, swoistą kontaminacją wewnętrznego i zewnętrznego punktu widzenia, jest kadrowanie fragmentów obrazu z jego wnętrza. I tak oto młyn, stojący na skale – niczym kpina z życiowej pragmatyki – widzimy z okien domostw bohaterów, postaci z Brueglowskiego płótna.

Zwielokrotnienie przez reżysera punktów widzenia jest próbą nawiązania do koncepcji niderlandzkiego mistrza, który wykorzystał aż siedem różnych perspektyw. Skomponował *Drogę krzyżową* z posklejanych fragmentów, wcześniej szkicowanych z natury obiektów.

I po co to wszystko? Majewski zaprzął do realizacji swojego projektu najnowszą technologię. Postprodukcja filmu, polegająca na komputerowej obróbce materiału, trwała prawie dwa lata. Robi wrażenie. Ale mój szacunek reżyser zdobył jako filozof kina.

Jego film dotyka dwóch (co najmniej) istotnych wątków. Istoty sztuki i wartości życia.

Bruegel uwiecznił swój autoportret w przestrzeni *Drogi krzyżowej*. Należy do świata przedstawionego. Jest

wśród ciżby ludzkiej. Stoi po prawej stronie obrazu, tuż przy drzewie śmierci. W filmie Majewskiego Bruegel jest twórcą – demiurgiem. Jest władny zatrzymać czas. Na jego znak młynarz wstrzymuje mechanizm wiatraka – wiecznego zegara. Sztuka stoi ponad porządkiem ziemskim. Ale go nie unieważnia.

Wartość życia reprezentują w *Młynie i krzyżu* kobiety. I to zarówno w jego trywialnej codzienności, krzątałtwie wokół stołu i dzieci, jak duchowym wymiarze zranionej miłości. Najbardziej przejmujące sceny filmu wiążą się z figurą szczęśliwego macierzyństwa uosobianego przez żonę Bruegla (piękna Joanna Litwin) oraz z archetypem

Mater Dolorosa (przejmująca Charlotte Rempling – obsadzona w kontrze do dotychczasowych kreacji).

Dwa dania z Bruegla

Reżyser stworzył nowy gatunek wypowiedzi – filmowy esej filozoficzny. Majewski nie ilustruje *Drogi krzyżowej*. Malarskość *Młyna i krzyża* polega na znalezieniu w zasobie narzędzi filmowych odpowiedników obrazowania Brueglowskiego. Nad filmem unosi się też aura poetyckości. Dzięki redukcji słowa (do głosu dopuszczeni są tylko główni narratorzy – Bruegel i mecenas sztuki – oraz w monologach wewnętrznych Maria) te nieliczne, które padają, nabierają wyjątkowej mocy. I dają wystarczająco dużo do myślenia.

Esej Gibsona ma walory filmowe (co najlepiej udowodnił Majewski). Krytyk sztuki, analizując obraz, fabularyzuje zdarzenia przedstawione przez malarza. Uruchamia czas w opisie – statycznej przecież ze swej natury – sztuki malar-

skiej. Ożywia płótno, dopowiadając to, co poza „kadrem”.

Wyjątkowo pożywny okazał się ten Bruegel!

Bibliografia:

Michael F. Gibson, Lech Majewski: *Bruegel. Młyn i krzyż*, Wydawnictwo Bosz, Olszanica 2010.
Młyn i krzyż, reż. Lech Majewski, Polska, Szwecja 2011.



TEMAT NUMERU: Droga

Idzie się wiecznie, choć nie zawsze po coś...
[K.K. Baczyński]

Aparición en la nieve
Autor: Luis Mariano González





The Washington Post



REPORTER

Jak zostać reporterem?

Co jest najważniejsze w profesji reportera? Jakich reporter potrzebuje kwalifikacji i umiejętności? Jak nauczyć się rozmawiać z ludźmi? Gdzie szukać inspiracji do tekstu? Jak znaleźć dobry temat? Na co zwracać uwagę? Notować czy nagrywać rozmowy? Krótko mówiąc: jak zostać reporterem? Oto wypis kilku wniosków i wskazówek, które nasuwają się po przeczytaniu książki *Reporterzy bez fikcji* Agnieszki Wójcińskiej.

Joanna Janowicz



Wydana w marcu 2011 roku, książka *Reporterzy bez fikcji* Agnieszki Wójcińskiej już w kilka

miesiące później okrzyknięta została podręcznikiem reportażu. Młodzi adepci sztuki reporterskiej sięgają po nią, wierząc, że udzieli im cennych wskazówek i rozszerzy wiedzę o wymarzonym zawodzie. Słuszne podejście – wszak jeśli uczyć się, to tylko od największych. Tak jak postanowiła zrobić to Agnieszka Wójcińska, autorka książki: „Podążałam tropem moich fascynacji. To ich książki stoją u mnie na półce z napisem *bogowie*” – mówi. A ich grono tworzą najwięksi polscy reporterzy. Wśród nich znaleźli się: Bikont, Grochowska, Hugo-Bader, Jagielski, Kurczab-Redlich, Kuźniak, Morawska, Nowak, Ostasłowska, Pietkiewicz, Smoleński, Surmiak-Domańska, Szablowski, Szczęsna, Szczygieł, Szejnert, Tochman.

Umawiając się z nimi na spotkania, Agnieszka Wójcińska kierowała się nie tylko chęcią stworzenia publikacji łączącej wypowiedzi wszystkich największych reporterów, ale również osobistymi względami. Będąc z wykształcenia psycholożką, ukończyła również Polską Szkołę Reportażu i obecnie jest dziennikarzem „wolnym strzelcem”. Zadając pytania, czerpie wiedzę przydatną również jej – wciąż rozwijającej swoje umiejętności początkującej reporterce.

Dzięki temu podejściu, książka od pierwszych stron prawdziwie wciąga: Wójcińska oczekuje pełnych, wyczerpujących odpowiedzi, które pozwolą jej wysuwać wnioski i zainspirować się w swojej pracy. Większości osób zadaje podobne pytania, dostosowane do najczęściej poruszanych przez danego reportera tematów, co daje możliwość tworzenia zestawień i porównań, a finalnie – stwierdzenia, że każdy przecież ma swój własny warsztat, często zupełnie różny od pozostałych, więc nie trzeba się przejmować.

Wymagane

Na spotkaniu w poznańskiej księgarni Bookarest Agnieszka Wójcińska i towarzyszący jej dziennikarz, Włodzimierz Nowak, wyjaśniali, kim są reporterzy i jaka jest ich rola we współczesnym świecie. „Reporter nie jest od tego, aby

zmieniać świat, ale by opowiadać wyraziste historie” – mówi Włodzimierz Nowak. – „Nieszczęśliwi, wykluczeni przez los ludzie sami w swoim imieniu nie mówią, los odmówił im takiej możliwości. Reporter wypowiada się w ich imieniu po to, aby uwrażliwić siebie i czytelnika”. Potwierdza to Agnieszka Wójcińska: „Pisanie reportażu to wejście w świat innego człowieka. To daje szansę, aby zrozumieć go i wzbudzić wobec niego empatię. Inaczej spojrzeć na otaczających nas ludzi”.

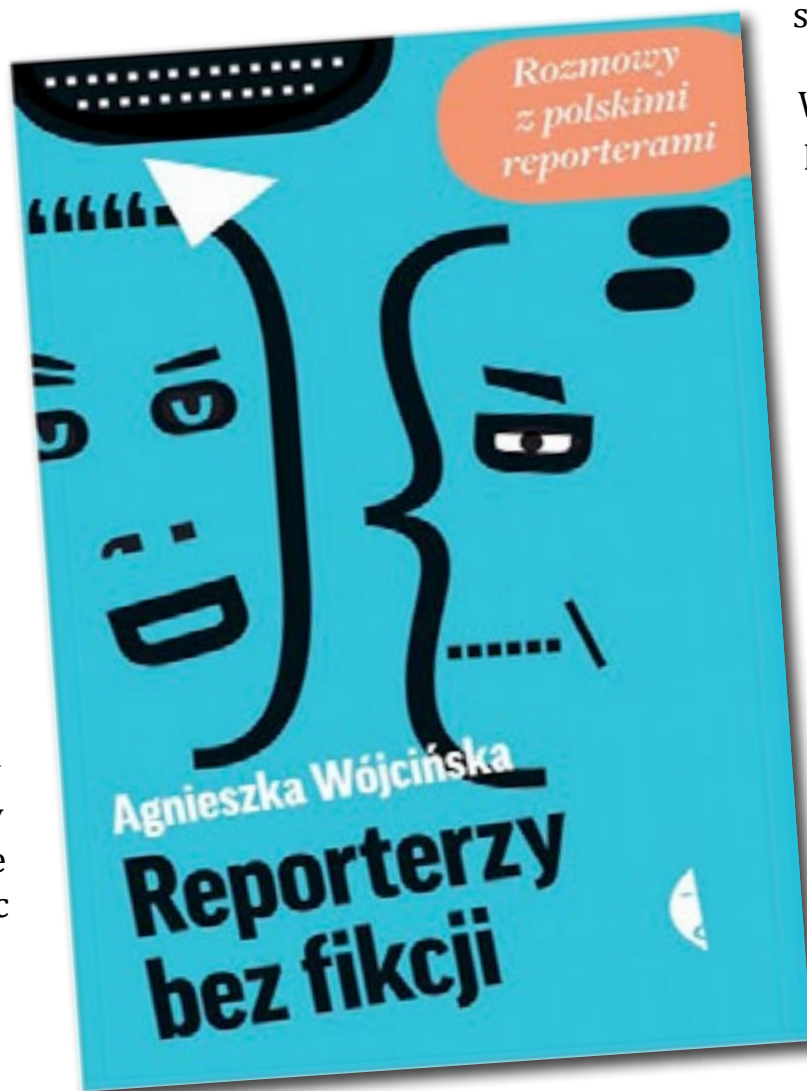
Oboje zgodnie podkreślają, że tym, czego bezwzględnie wymaga się od reportera, jest wyzbycie się stereotypów i wszelkich założeń. Osądzanie ludzi przez pryzmat z góry założonych tez jest nie tylko błędem, ale jednym z największych grzechów reportera, który nie pozwoli mu dostrzec prawdy. Który zaciemni widzenie.

Konieczne

Po wyzbyciu się zniekształcających przekonań, kandydat na reportera powinien nauczyć się uważnie patrzeć i umiejętnie słuchać. Na co zwracać uwagę? Jak formułować pytania? Kiedy je zadawać? Trudno jednoznacznie wskazać odpowiedź. Przede wszystkim liczy się wycucie, nakierunkowana odpowiednio wyobraźnia i indywidualne podejście. Nie ma zasad, które sprawdzą się w każdej sytuacji.

W trakcie spotkania wielokrotnie podkreślano, że paru reporterów, podobnie jak autorka książki, jest z wykształcenie psychologami. Czy studia psychologiczne zapewniają niezbędną wiedzę i kształtują wycucie drugiej osoby, bohatera reportażu? Czy pomagają „otworzyć” bohatera? „Psychologia uwrażliwia na pewne rzeczy: napięcia, mowę ciała” – mówi Agnieszka Wójcińska. – „Jednak przede wszystkim chodzi o praktykę w rozmawianiu, niezależną od ukończonych studiów. Z każdą rozmową człowiek coraz mocniej czuje, jak rozmawiać”. Podkreśla, że dzięki przeprowadzonym przy tworzeniu książki rozmowom wiele się nauczyła o warsztacie reportera i dziś jest innym człowiekiem, niż była przed spotkaniem swoich „bogów”.

Temat sposobu rozmawiania celnie podsumowuje Włodzimierz Nowak, który powtarza, aby słuchać, uczestniczyć w rozmowie, nie odpytywać sztywno



POSZUKIWANY: REPORTER



Wymagania:

1. Umiejętność wyzbycia się wszelkich stereotypów
2. Umiejętność odrzucenia wszystkich wcześniejszych założeń
3. Umiejętność wejścia w świat innego człowieka
4. Empatia
5. Ciekawość świata i drugiej osoby

Konieczne:

1. Umiejętność zadawania właściwych pytań we właściwym momencie
2. Umiejętność słuchania
3. Świadomość mowy ciała

Mile widziane:

- Branie odpowiedzialności za bohatera tekstu po jego publikacji

Warsztat:

- Researchera
- Dziennikarski
- Prozatorski
- A nieraz też liryczny

wypowiedzi czy napisaniu tekstu. Tak dzieje się przeważnie w przypadku reportaży zagranicznych, gdzie trudno o zachowanie kontaktu ze względu na dzielącą reportera i jego bohatera odległość czy inny język. Drugie podejście oznacza pełne zaangażowanie w kontakt: od początku znajomości aż po opiekę nad bohaterem po ukazaniu się reportażu, kiedy mogą spotykać go przykrości ze strony otoczenia.

Jacek Hugo-Bader określa rozmowy i spotkania ze swoimi bohaterami jako „najkrótsze przyjaźnie w życiu”. W ich wyniku u wielu reporterów pojawia się troska o bohaterów, zainteresowanie ich dalszymi losami. Agnieszka Wójcińska czuje potrzebę chronienia ich po ukazaniu się tekstu. Z kolei Włodzimierz Nowak uważa, że lepiej nie wszystko napisać – jeżeli ma to zaszkodzić rozmówcy, od razu lepiej jest to po prostu wyciąć. „To nie może być „użycie” bohatera, że teraz koniec, teraz już nas nie obchodzi” – wyjaśnia autorka książki. – „Jako psycholog uważam, że nawet tylko raz opowiedziana historia pomaga oczyścić emocje. Mam silne przeczucie, że to pomaga”. Włodzimierz Nowak rozsądnie oponuje: „Ale jeśli traktować te nasze spotkania jako psychoterapię, to my jej nie domykamy, a to przecież może wywołać katastrofalne skutki. Wydaje mi się jednak, że obie strony wiedzą, że to nie jest sytuacja kozetki, że my, reporterzy, jesteśmy w innej sprawie”.

O odpowiedzialności za bohatera Agnieszka Wójcińska rozmawia w swojej książce z każdym reporterem. Jest to jedna z najciekawszych kwestii, które z nimi omawia. Każdy rozmówca ma bowiem własny bagaż doświadczeń, które nauczyły go jak postępować. Często są to zupełnie sprzeczne podejścia, różne przeżycia, inaczej obciążające. One składają się na to, co sprawia, że każdy reportaż jest zupełnie innym tekstem. To one decydują o tym, że gdyby ten sam temat postanowił opisać ktokolwiek inny, powstałaby całkiem inna historia. To one m.in. tworzą najważniejsze, czyli

Warsztat

Bez względu na to, czy przygotowuje się reportaż do gazety czy całą książkę na dany temat, na początku potrzebny jest dokładny research.

z wcześniej przygotowanych pytań. „Niemiło jest przesłuchiwać innych” – dopowiada.

Mile widziane

Różne zdanie mają Wójcińska i Nowak, a także reporterzy, z którymi ta pierwsza przeprowadzała rozmowy, na temat odpowiedzialności za bohatera tekstu. Istnieją dwie szkoły, jeżeli chodzi o podejście do bohatera. Jedna z nich zakłada skoncentrowanie się na pracy i zakończenie kontaktu z bohaterem reportażu od razu po wysłuchaniu

Joanna Szczęsna: „Sztuka pisania to sztuka eliminacji. Zwykle mam epicki rozmach przy researchu i później nieźle się z tym biedzę. Ale uważam, że aby napisać dziesięć stron tekstu, trzeba mieć sto stron notatek i materiałów. Żeby zdanie niosło to, co chce się przekazać, trzeba wiedzieć dużo więcej, niż może się w tym zdaniu pomieścić. Pisanie to pewna chemia. Należy uchwycić właściwą „gęstość” zdania, to jest stopień nasycenia faktami i informacjami, a także odpowiednie proporcje w tekście między opisem, dialogiem, anegdotą, refleksją. Gdy jest za gęsto, czytelnik się gubi, ale zbyt cienka zupka też mu nie smakuje. Do

pewnego momentu tekst jest dla mnie magmą, której nie ogarniam. Jego kształt wyłania się powoli”.

Po zebraniu materiałów trzeba jakoś zacząć. Według większości reporterów to najtrudniejszy moment w pisaniu.

Joanna Szczęsna: „Przy każdym tekście wszystko zaczyna się od nowa, a rutyna nie pomaga, raczej przeszkadza w pisaniu. (...) Czasem pierwszy akapit piszę trzy dni, a potem wyrzucam go do kosza. Ale ze świadomością, że to był niezbędny proces. Gdy przekraczam połowę tekstu, praca w jakiś tajemniczy sposób nabiera przyspieszenia. Zawsze jednak mam poczucie, że zabrakło mi czasu, stąd najbardziej dopieszczony jest u mnie początek, bo za każdym razem, gdy otwieram tekst na komputerze, czytam go i redaguję od początku. W ostatniej redakcji czytam go na głos. Jeśli się potykam, myślę, to znaczy, że trzeba coś zmienić. Bo czytanie powinno iść tak naturalnie, jak oddychanie”.

Jak dużo pisać na jeden temat? Kiedy przejść do kolejnego wątku?

Barbara Pietkiewicz: „Kiedy piszę, w pewnym momencie czuję, że na jakiś temat napisałam już za dużo i czytelnik może się znudzić. Wtedy natychmiast przeskakuję na inny wątek. Chodzi o to, żeby w reportażu coś się działo, żeby to nie było takie płaskie ‘idziem, idziem, co my widzimy’. Tekst musi żyć”.

Joanna Szczęsna: „Na pewno w pewnym momencie musi się pojawić szkielet konstrukcyjny, wokół którego budujemy historię”.

Angelika Kuźniak: „Nie piszę ciągiem. W komputerze mam pootwierane ileś plików z różnymi fragmentami, takimi klockami, które na końcu układam. Bardzo często do nich zaglądam, czytam, oswajam tekst w sobie. I potem następuje moment, kiedy siadam i zapisuję. Piszę ręcznie, ołówkiem. Jak skończę, czytam tekst na głos, żeby słyszeć rytm zdania. Dopiero potem przepisuję na komputerze. Piszę bardzo powoli, w swoim rytmie”.

Barbara Pietkiewicz: „To właśnie podoba mi się w tej pracy – to nie jest mechaniczna robota. Trzeba szukać różnych drózek, a potem układać to, co się znalazło, jak klocki lego”.

Ile może zająć samo pisanie?

Małgorzata Szejnert: „Osiem miesięcy, rok. Ale dzień w dzień, od rana do wieczora. Na szczęście nie mam innych obowiązków. Najczęściej wyjeżdżam na wieś i tam piszę, całkowicie się izolując”.

Dla wielu reporterów samo pisanie jest udręką – przekopywanie się przez materiały, szeregowanie ich w logiczny wywód, zmaganie się ze słowem jest dla nich procesem ambiwalentnym. Z jednej strony nie znoszą tego robić, nie mogą się do niego zabrać, z drugiej – nie wyobrażają sobie innego rodzaju pracy. Większość rozmówców Agnieszki Wójcińskiej woli jednak szukanie informacji i spotkania z rozmówcami niż samo pisanie. Sama autorka *Reporterów bez fikcji* przyznaje, że najbardziej lubi etap zbierania materiałów, a jej pisanie rodzi się w bólach. Włodzimierz Nowak cytuje Magdalenę Grochowską, wypowiadającą się w rozmowie z książki: „Czasem pocę się, pisząc jedno zdanie”.

Na koniec można powtórzyć za Małgorzatą Szejnert, że zawód reportera to „praca rabunkowa wobec organizmu”, w której ciekawość nie pozwala na odpoczynek. To profesja dla ludzi, którzy nie tylko potrafią słuchać i rozmawiać z różnymi ludźmi, ale również dla tych, którzy nie boją się ciężkiej fizycznej pracy, która nieraz kryje się pod niewinnie brzmiącym „pisanie”.

Bibliografia:

Agnieszka Wójcińska, *Reporterzy bez fikcji. Rozmowy z polskimi reporterami*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.

Notatki własne ze spotkania z Agnieszką Wójcińską, które odbyło się 16 marca 2011 roku w księgarni Bookarest w Poznaniu.



Fotografie:

Artykuł został zilustrowany kadrami z filmów: *Aleja Snajperów*, *Człowiek z marmuru*, *Good Night and Good Luck*, *Wszyscy ludzie prezydenta*, *Pola śmierci*, *La Dolce Vita*, *Cena odwagi*, *Obywatel Kane*, *Korespondent zagraniczny*, *Broadcast News*, *Rok niebezpiecznego życia*, *Miejski obłąd* oraz *Veronica Guerin*.

 Ta plaża to Nasza wyspa z książki,
jedno z miejsc, w których mógłbym
mieszkać na stałe.
Fot. Tomek Michniewicz



NA DROGACH

TOMKA MICHNIEWICZA

rozmawia Joanna Wonko-Jędrzysek

W swojej debiutanckiej książce *Samsara. Na drogach, których nie ma* nie skupiasz się jedynie na odwiedzanych miejscach, ale przede wszystkim na samym akcie podróżowania. Czym dla Ciebie są Twoje podróże? Czy można je określić ważną częścią życia, jego sensem, a może sposobem zarabiania pieniędzy? Co najwyżej sobie cenisz wyjeżdżając w dalekie strony?

Tomasz Michniewicz: Podróż to najlepszy znany mi sposób otwierania własnej głowy. Wyjeżdżając z domu ciągniemy za sobą bagaż doświadczeń, kultury, z której pochodzimy i wychowania przez mamę i tatę. Mamy w głowie jakieś wyobrażenie o tym, jak powinien funkcjonować świat i co jest dobre, a co złe.

A potem, w trakcie podróży, nagle okazuje się, że świat może wyglądać również zupełnie inaczej, rządzić się innymi prawami. I też działa! Nagle te postacie, które

widzimy w telewizji – Arabowie, górskie plemiona w Azji, może Afrykanie mieszkający w szałasach, okazują się prawdziwymi, żywymi i myślącymi ludźmi. I ich świat jest tak samo logiczny i poukładany jak nasz, i nie można mu odmówić racji bytu. Okazuje się, że nasza wizja świata to tylko jedna z wielu. To bardzo uczy otwartości i tolerancji.

Ostatnio na przykład poznałem dziewczynę z Nowej Zelandii, która żyje na małej wysepce u wybrzeży Malezji, pracuje jeden dzień w tygodniu, a resztę poświęca na nurkowanie, picie kokosa pod palmą i rozmowy z ludźmi. I nie dość, że żyje tak od dawna i jakoś jej się to udaje, to jeszcze jest niezwykle szczęśliwa i pogodna. To jest nasz, europejski, sposób myślenia postawiony na głowie, a jednak działa.

Po tylu latach jeżdżenia podróże stały się jakby moim zawodem, bo piszę książki, robię zdjęcia i tak dalej, ale

nadal chęć lepszego zrozumienia świata i pozbywanie się własnych uprzedzeń stanowi dla mnie ich najważniejszy sens. To się nie zmienia.

Od czego zaczęła się Twoja pasja, czy potrafisz przywołać wspomnienie, które stało się niejako motywacją do podróżowania? Gdzie wyruszyłeś w swoją pierwszą podróż?

Jest taka kategoria ludzi, którzy oglądając film typu *Indiana Jones* nie oglądają fikcyjnej przygodówki, tylko cały czas myślą: „Niesamowite! Gdzie to jest? Ja też tak chcę!”. Im niewiele potrzeba, naprawdę. Więc wszystkie książki o Tomku Wilmowskim, o Panu Samochodzik, *Księga Dżungli*, piraci, odkrywcy, filmy o awanturkach – to zostaje w głowie i sukcesywnie buduje nieuleczalną potrzebę wyjeżdżania i poznawania coraz to nowych miejsc.

Takie ciśnienie musiałem mieć chyba zawsze, bo wyjechałem po raz pierwszy mając piętnaście lat. Wprawdzie blisko, bo na Mazury, ale nadal z plecakiem, stopem i autobusami, bez mamusi. Bardzo dużo się wtedy nauczyłem, na przykład że są sytuacje, w których liczyć możesz tylko na siebie. Albo że śpiąc na dziko na plaży trzeba się lokować z dala od ludzi, bo imprezy w nocy nie dają spać.

Wielu podróżników i twórców reportażu wymienia książki sławnych autorów jako jedną z przyczyn wyjazdów. Czy istniały także inspiracje książkowe, zachęcające Cię do odkrywania nowych miejsc, poznawania świata na własne oczy?

Pewnie! Alfred Szklarski, Zbigniew Nienacki, Jack London, Rudyard Kipling, Arthur Conan Doyle, H.P. Lovecraft, Ryszard Kapuściński... Mogę tak długo. Ale prawda jest taka, że nie musisz czytać książek stricte o podróżach, żeby chcieć wyjeżdżać. Zdarzało mi się projektować podróż, bo przeczytałem o czymś w zupełnie fikcyjnej powieści, która jednak oddawała klimat miejsca, który mi się podobał.

Lista miejsc, w których byłeś i o których dane nam było się dowiedzieć z Twoich transmisji i książki jest imponująca. Czy istnieje jeszcze taki fragment świata, którego nie miałeś okazji odwiedzić, a chciałbyś się do niego wybrać? A jeśli nie, który z regionów świata chciałbyś poznać bliżej?

Zawsze są miejsca, które mnie ciągną. Lasy mgłowe w Gwatemali, prowincja Ladakh w Indiach, Papua Nowa

Gwinea... Tam można wciąż znaleźć kultury, które na naszych oczach znikają, pożerane przez MTV i karty kredytowe. To jest ostatni moment, żeby w nie wejść, zrozumieć, nauczyć się czegoś od nich. Zawsze też będę wracał do Nepalu. Obojętnie ile razy tam pojadę, nigdy nie będę miał dość. Nepal to podróż w czasie w głęboką przeszłość. Nieporównywalne z niczym doświadczenie.

Twoja pierwsza książka, *Samsara*, bardzo szybko stała się bestsellerem, bezbłędnie trafiając w zainteresowania wielu czytelników. Piszesz w niej o Azji, wcześniej natomiast podróżowałeś wiele po Afryce. Dlaczego właśnie Azja sprowokowała Cię do napisania książki?

Książka musi być o czymś, nawet jeśli pozornie opowiadam o „akcie podróżowania”, jak to nazwałeś. Magia, cuda w Azji to temat, który po prostu fascynuje. Nie znam nikogo, kto po zetknięciu z jakimś elementem szamanizmu w Azji albo zobaczywszy prawdziwych wojowników kung fu, albo po Festiwalu Wegetariańskim na Phuket nie stałby z wytrzeszczonymi oczami i zastanawiał się, czy nie

zwariował, bo przecież niektóre z tych rzeczy są po prostu niemożliwe.

Azja to fascynujący kontynent. Gdy podróżuję po Afryce, widzę, że to jest z grubsza nasza cywilizacja, narzucona siłą i przetrwiona lokalnie, ale jednak nasza – wszystko działa w sumie na tych samych zasadach. A Azja to jest zupełnie inny świat, nie mający z naszym nic wspólnego. To jest jakby zupełnie inna cywilizacja, o innych regułach, etyce, wierzeniach – po prostu coś obok nas. To właśnie ta odmienność mnie tak fascynuje, bo w Azji można spędzić całe życie i nadal się jej uczyć.

obok nas. To właśnie ta odmienność mnie tak fascynuje, bo w Azji można spędzić całe życie i nadal się jej uczyć.

Co wpłynęło na decyzję o wydaniu *Samsary* – wpadłeś na ten pomysł podczas jednej z wędrówek, przyszedł Ci do głowy kiedy już spokojnie siedziałeś w domu, czy może ktoś zachęcił Cię do tej decyzji?

Pracowałem wtedy w radiowej Trójce, zadzwonił do mnie prezes wydawnictwa Otwartego, Robert Chojnacki i złożył mi propozycję napisania książki. Napoczątkują odrzuciłem, mówiąc szczerze. Uznałem, że za mało wiem o świecie i jestem za młody, żeby tłumaczyć innym jego działanie, bo to jest tak naprawdę wielka odpowiedzialność.

Ale ten facet był strasznie namolny i męczył mnie nieustannie. W końcu uzgodniliśmy, że napiszę jakiś konspekt, może kawałek rozdziału i razem zdecydujemy co dalej. Jeśli to będzie słabe, trafia do kosza i nie wracamy do tematu.

Azja to jest zupełnie inny świat, nie mający z naszym nic wspólnego. To jest jakby zupełnie inna cywilizacja, o innych regułach, etyce, wierzeniach – po prostu coś obok nas. To właśnie ta odmienność mnie tak fascynuje, bo w Azji można spędzić całe życie i nadal się jej uczyć.



Napisałem rozdział, potem drugi, dyskutowaliśmy, zrobiło się sporo materiału. Pokazaliśmy to kilku dziennikarzom i podróżnikom, tekst zebrał nawet niezłe recenzje. A potem napisał do mnie Jacek Pałkiewicz, legenda polskich podróżników, ze słowami: „Panie Tomku, świetna robota!”. Pan Jacek przeczytał *Samsarę* w jedną noc i złożył mi tę recenzję, która ostatecznie znalazła się na okładce mojej książki. No jeśli ktoś taki mówi, że warto coś wydać, to tracisz już jakiegokolwiek argumenty przeciwko. Więc wydanie *Samsary* to w sumie zasługa pana Jacka Pałkiewicza, choć pewnie o tym nie wie.

Jak długo powstawała książka? W *Samsarze* roi się od dygresji, wspomnień z poprzednich wojaży (także z Afryki) – czy były fragmenty, przez które ciężko było Ci przebrnąć? Miałeś zamyśl całej książki, czy może powstawała ona spontanicznie? Co było największym wyzwaniem podczas pisania?

Mój redaktor od samego początku mi uświadamiał, że książka to coś zupełnie innego niż podróż. Że książka musi mieć temat, akcję, główny wątek. Że w podróży możesz sobie improwizować i zmieniać plany, ale w książce nie. To jest świetna rada, którą polecam uwadze wszystkich, którzy tak jak ja podróżują i chcieliby swoimi doświadczeniami dzielić się przy pomocy pióra.

Tak więc cała *Samsara* była skrupulatnie zaplanowana. To jest reportaż, opowiada o prawdziwych postaciach i wydarzeniach, ale opowieść o nich musi mieć sensowną konstrukcję i to nad nią najdłużej się pracuje.

Najtrudniej mi się pisało takie fragmenty, jak ten o słońcu Raj Kali, maltretowanej ku uciechu turystów. W Polsce facetowi trudno się przyznać, że bywa smutny albo że płacze z bezsilności. To była ciężka decyzja, by się tak osobiście odsłonić, bo łatwo narazić się na śmieszność. Jednocześnie ta historia jest tak wstrząsająca, że jeśli ktoś się przy niej nie wzruszy, to musi być martwy, nie widzę innego wyjaśnienia.

Poza Tobą w książce występują inni bohaterowie, Twoi znajomi. Nie mieli nic przeciwko umieszczeniu ich na kartach *Samsary*? A może wręcz przeciwnie – pomysł im się podobał i pomagali w pisaniu tych fragmentów? Bardzo różnie, każde inaczej. Adam na przykład bardzo uważnie czytał wszystkie fragmenty o nim i stale dyskutowaliśmy o jego postaci, a Kaczor poszedł na żywioł i po prostu dobrze się bawił, przeglądając fragmenty o sobie, nawet czasem podrzucał żarty, o których zapomniałem.

To zresztą musi być przedziwne uczucie, tak przejrzeć się publicznie w lustrze, które podstawia ktoś inny. To przecież żywi ludzie, których portretuję tak, jak ich postrzegam. Wszystkich darzę olbrzymią sympatią, ale nie będę przecież ich wybielał. Kaczor niemiłosiernie fałszuje,



Mnisi chodzą po murach kompleksu świątynnego Angkor w Kambodży. To tam tropiłem przemysłników dzieł sztuki
Fot. Tomek Michniewicz



Adam to facet-maszyna, pozbawiony funkcji okazywania emocji, a Marianna ma to swoje chłodne myślenie, tak różne od mojego. Tak więc w książce to nie są czarno-białe postacie, ale żadne nie miało do mnie o to pretensji, co jeszcze dodatkowo mnie przekonuje, że to fantastyczni ludzie.

Czy sukces związany z debiutem zaowocuje kolejnymi książkami? Przyznam, że z wielką chęcią przeczytałabym książkę Twojego autorstwa o Afryce, kontynencie wciąż zbyt mało w Polsce znanym. Czy odbywając podróże już po wydaniu *Samsary* rozmyślasz nad tym, czy coś byłoby ciekawym tematem, jak to opisać itd.? Masz pomysł na dalszą twórczość, czy *Samsara* była jednorazową przygodą?

Pracuję właśnie nad drugą książką, premierę zaplanowano na połowę listopada. To będzie zupełnie inna historia niż *Samsara*, nie będzie można ich nawet porównać. *Samsara* to opowieść o podróżowaniu, a to, nad czym pracuję, to wejście w świat pewnej grupy ludzi, którą znamy tylko z filmów, wiele osób pewnie nawet myśli, że to fikcyjne postacie. Nie mogę niestety nic więcej na razie powiedzieć, bo to pilnie strzeżona tajemnica, ale zapewniam, że będzie o niej głośno, na pewno nie przejdzie bez echa. I tak, będzie sporo o Afryce, jeśli już pytasz.

Gdzie spośród odwiedzanych przez siebie miejsc mógłbyś zatrzymać się na dłużej? W *Samsarze* opisujesz moment, w którym wahasz się nad pozostaniem na jednej z rajskich wysp. Czy często zdarzają Ci się takie chwile, że musisz przypominać sobie logiczną retorykę Marianny?

Wiesz co? Nie. To była chwila słabości, sam się dałem uwieść magii tych „obrotowych drzwi”, o których piszę, czyli złudzeniu, że podróż jest lepsza niż prawdziwe życie. To niebezpieczne, bo tak naprawdę podróż to chwilowa ucieczka od życia, a w domu zbierają się cały czas niezakończona sprawa, zobowiązania, rachunki. To wszystko trzeba będzie kiedyś spłacić, metaforycznie i dosłownie. Gdybym jednak miał się dokądś przenieść na stałe, to do Singapuru, San Francisco lub na Małe Antyle. Trzy miejsca, w których czuję się jak w domu. No może jeszcze Bangkok, Katmandu, Delta Okavango, Harare w Etiopii, Gili Trawangan i parę innych.

W swojej książce wspominasz o konflikcie Zachodu ze Wschodem, gdzie Zachód reprezentowany jest głównie przez turystów nie silących się na zrozumienie

obcej kultury, Wschód natomiast, czerpiąc ze swojej wielowiekowej kultury i tradycji, wcale nie musi być uważany za opóźniony i infantylny. Twoje poszukiwania magii, czarodziejów i tego, co zwłaszcza według Europy i Stanów Zjednoczonych nie istnieje, wcale nie okazały się być bezowocne. Zgodziłbyś się ze stwierdzeniem, że Azja zmienia ludzi? A może podróże w ogóle pomagają ludziom otworzyć oczy i poszerzyć horyzonty?

Pewnie! Oczywiście, jeśli ktoś jedzie do Bangkoku tylko po to, żeby się zabawić z dziewczynami, to jedyną zmianą w jego życiu będzie pewnie lista leków, które musi przyjmować. Ale jeśli mówimy o ludziach, którzy podróżują świadomie, samodzielnie, Azja musi ich zmienić, nie ma innej możliwości. Po prostu ten kontynent

stawia cię w wielu sytuacjach pod ścianą, konfrontuje cię z rzeczami, wobec których musisz się jakoś określić, zmusza cię do zastanowienia się nad odmiennością i nad tym, gdzie przebiegają granice normalności, czy w ogóle istnieje coś takiego.

Widziałem na przykład niedawno taką scenę w Szanghaju – biały turysta krzyczał niemiłosiernie na recepcjonistę, bo coś mu się nie podobało w hotelu.

Wściekał się coraz bardziej, a irytowało go najmocniej to, że recepcjonista cały czas się uśmiechał. Ten facet nie rozumiał, że w Chinach uśmiech przykrywa poczucie niepewności, zdenerwowanie, albo negatywną reakcję na kogoś, kto ci nie odpowiada. Ten biały myślał, że pracownik hotelu się z niego nabija, a tymczasem sam robił z siebie publicznie idiotę, bo w Azji tylko dzieciaki i durnie publicznie się denerwują. Jednocześnie miał jakiś problem w pokoju i nie mógł się doprosić, żeby ktoś to załatwił, więc miał prawo się unieść z nerwów. No i teraz wytłumacz mi, kto się zachowywał w tej sytuacji właściwie?

„Droga” to główny temat tego wydania Archipelagu, to także główny motyw *Samsary*. Czy podróże opisane w książce były też dla Ciebie pokonaniem pewnej drogi duchowej?

Jak najbardziej tak. Jedną z podróży, z których potem powstała *Samsara*, trwała dwa miesiące. Po powrocie do domu w ciągu tygodnia oświadczyłem się swojej dziewczynie, chociaż byliśmy parą prawie dziesięć lat i nie planowaliśmy ślubu. Coś się we mnie zmieniło, parę rzeczy lepiej rozumiałem. W trakcie podróży łapię dystans do swojego życia, inną perspektywę – to naprawdę pomaga rozwiązać wiele problemów.



Czy tak częste i długie podróże wpływają w znaczący sposób na zagadnienie tożsamości? Wciąż wracasz do Polski, czy czujesz się Polakiem, czy może bardziej „obywatelom świata”?

To bardzo trudne pytanie. Bo czy dziś wszyscy Polacy nie powinni się czuć obywatelami świata? Tak naprawdę nie ma miejsc idealnych, ani społeczeństw, do których standardów warto dążyć za wszelką cenę. Jesteśmy zapatrzeni w USA i faktycznie mają tam świetne drogi i duże domy, ale mają też najbardziej parszywą żywność, jaką widziałem gdziekolwiek na świecie oraz gigantyczne rozwarstwienie społeczne.

Mam wrażenie, że świat w którym każdy żyje to nie jest kraj, naród czy miasto, tylko to, co cię najbliższej otacza – przyjaciele, mieszkanie, okolica, rodzina. A to są elementy, na które masz tak naprawdę olbrzymi wpływ, wiele



TEMAT NUMERU: Droga

rzeczy można zmienić. A to z kolei oznacza, że możesz być tak samo szczęśliwa żyjąc w Warszawie, Przasnyszu, jak w Miami, Tokio albo na koralowej wyspie. Palmy się szybko nudzą, a najbliższe otoczenie zostaje na długo.

Pytałam już o inspiracje do podróży, chciałabym jednak dodać także pytanie odnośnie Twoich ulubionych twórców reportażu. Czy masz swoich mistrzów? Jakie książki mógłbyś polecić naszym czytelnikom?

Ryszarda Kapuścińskiego, oczywiście, i to bez względu na tę burzę, która się toczy wokół jego osoby. Jeśli chodzi o Azję, to na przykład Tiziano Terzaniego, znakomitego reportażystę i prawdziwego eksperta od tego kontynentu. Obaj są absolutnie tłumaczami kultur, widzą dużo więcej niż inni.

Jakich jeszcze osiągnięć, podróżniczych i literackich można Ci życzyć? Czy masz aktualnie konkretne plany, czekające na zrealizowanie?

Wiele osób traktuje podróżowanie jak sport wyczynowy, próbują w tym jakby konkurować. To głupota, podróżuję tylko i wyłącznie dla siebie, to nie jest rywalizacja. Więc osiągnięć mi nie życz, dziękuję, postoję. Życz mi powrotów do domu.

W takim razie życzę samych udanych powrotów i dziękuję za rozmowę.



NIE CEL JEST WAŻNY, LECZ DROGA

Góry. Dla jednych wypukła forma ukształtowania terenu, rzeźba silnie urozmaicona, dla innych potężna siła, która przyciąga, wchłania, daje poczucie spełnienia, wszechogarniającą radość. Siła, która uczy pokory i daje świadomość, że ludzkie życie bywa bardzo kruche.

Tekst i fotografie Izabela Rzysko



Góry były w moim życiu od zawsze, ale od trzech lat są bliżej niż wcześniej i pokazały inne swe oblicze, które pochłonięło mnie całkowicie. By poustawić w odpowiednich do życia proporcjach swoje myślenie, jadę zawsze w góry, miejsce, które nigdy jak dotąd mnie nie zawiodło. Możliwości poszukiwania odpowiedzi na zadawane pytania pną się w górę, po przemierzanych w pocie czoła szlakach górskich. Tam zmierzam bezustannie, w tamte strony kieruję swoje myśli. Ta górską drogą zaczęła dla mnie nabierać silniejszych barw, dawać trwalsze i piękniejsze przyjaźnie. To tam zawsze przypominam sobie bardzo prostą prawdę, którą wielu zna i która jest najoczywistszą prawdą pod słońcem, a jednak najczęściej o niej zapominamy podczas trudów codzienności:

Nie cel jest ważny, lecz droga

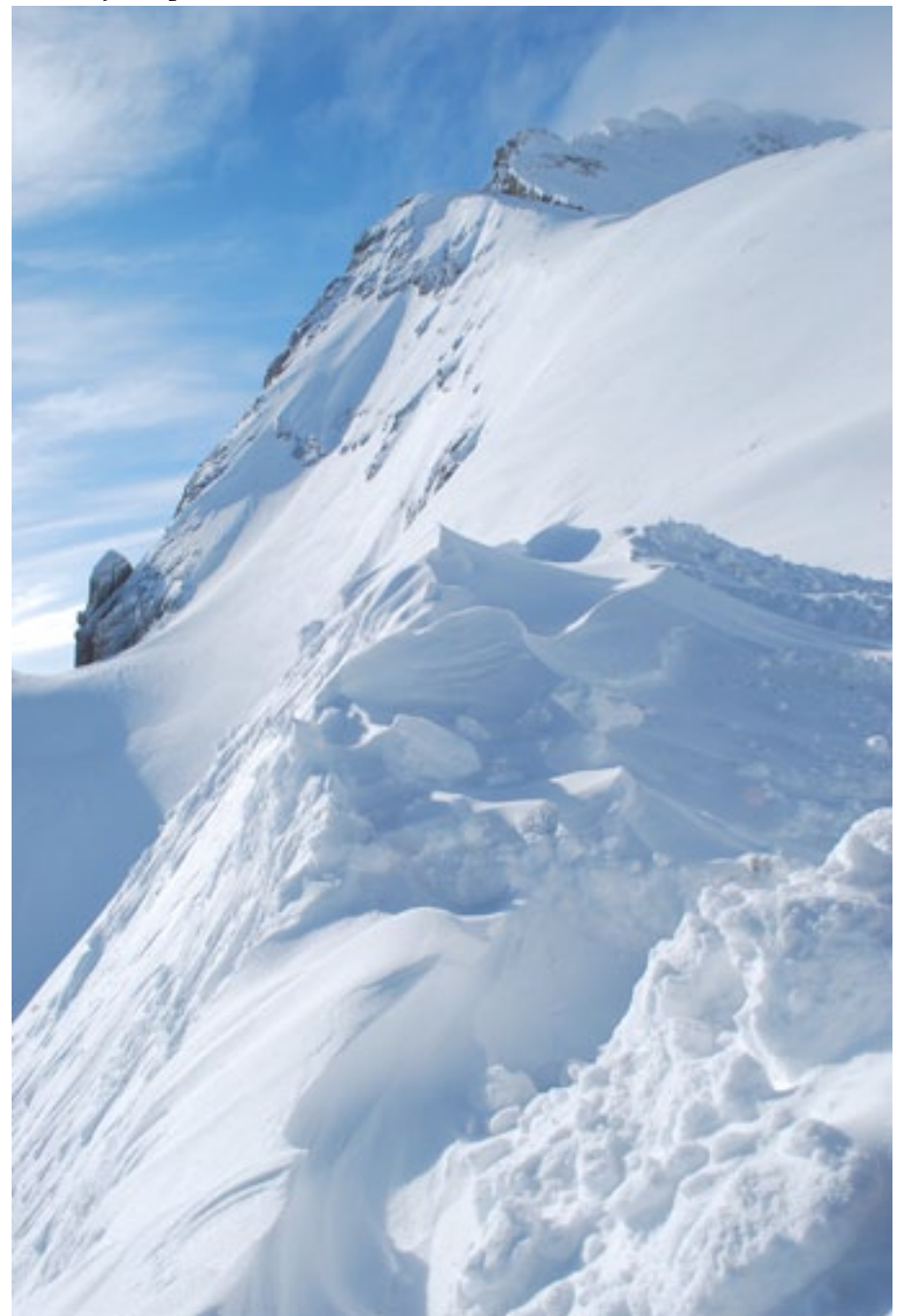
Trudno mi sobie przypomnieć czyje to słowa. To zdanie pojawia się tak często w literaturze podróżniczej, że trudno mi pokusić się o próbę odnalezienia tego, który powiedział to pierwszy. To motto większości wypowiedzi ludzi, którzy góry, szlaki, wspinaczkę ukochali szczególnie i to do tego stopnia, by uczynić je swoją drogą pierwszą i niekiedy jedyną, dającą ukojenie i poczucie spełnienia. Górską drogą to nie tylko (choć przede wszystkim!) ludzie, ale również książki, których na polskim rynku pojawia się coraz więcej,

opowieści, które pięknie uzupełniają górską wspinaczkę. Postaram się w wędrówkę po górskich szlakach zabrać Was wraz z ludźmi, którzy stali się dla mnie wzorem i których życie w pewnym sensie splotło się z moim.

Chwilę zastanawiam się nad tym, gdzie tak naprawdę toczy się świat lodowych wojowników i czym jest dla nich ta droga często okupiona bólem fizycznym, rozstaniem z najbliższymi, walką o własne życie i permanentnym ryzykiem. W głowie kłębią się rozmaite myśli, przypominają fragmenty książek, niektóre z nich na zawsze już wryły się w moją pamięć, choćby ten, któremu daję pierwszeństwo. W jednym z felietonów Piotra Morawskiego, zatytułowanym *Gdzie jest życie*¹, padają takie słowa: „bo widzisz Piotrek, z tymi wyprawami to jest dziwnie. Najpierw wieszysz sobie spokojne życie, które czasem przerywasz wyjazdem na jakąś górę. A potem nawet nie orientujesz się, kiedy żyjesz na wyprawie, a czasem tylko wracasz do domu”.

Piotr Morawski zginął na Dhaulagiri (8167m) w 2009 roku wpadając w dwudziestopięciometrową szczelinę. Miał tylko trzydzieści dwa lata, a za sobą sporo spektakularnych sukcesów w Himalajach. Ścieżka jego himalajskiej kariery

¹ P. Morawski, *Gdzie jest życie* [w:] *Zostają góry. Opowiadania. Felietony. Wspomnienia*, Kraków 2010, s.144.



zapowiadała się bardzo owocnie. Niestety ta ścieżka w wielu przypadkach zaczyna się rwać, drastycznie kurczyć i pękać. W przypadku Piotra stało się to bardzo wcześnie, zbyt wcześnie. Często zastanawiał się nad swoją górską wędrówką, spędzając długie godziny w obozach, gdy pogoda potrafiła zadrwić z planów ataku na szczyt i powodowała pojawienie się myśli oddalających go od wierzchołka a zbliżających do tego, co zostawił w dole. Zadawał pytania, za czym tak tęskni: „Obudziłem się przepełniony jakimś smutkiem i tęsknotą. Za czym? Za tym, co tracę podążając tą ścieżką, którą wybrałem? Może jakieś plany uśpione nagle zostały zbudzone i dały znać o tym, co zaprzepąściłem, a za czym jednak tęsknię? Nie wiem”.²

Czy Piotr znalazł równowagę między jednym a drugim światem, z których oba tak mocno go przyciągały? Nie wiem, nie poznałam Piotra, udaje mi się jednak znaleźć odpowiedź w jego tekstach, z których bije przyjazne pogodzenie dwóch pasji: tej nizinnej, pachnącej ciepłym chlebem i tej, dla której poświęcił życie. „Przygoda jest zarówno w górach, jak i w domu. To wszystko jest jednym światem. Po prostu na moment zachwialiśmy równowagę, a teraz czas do niej wrócić. Nagle cieszą cię zwykłe sprawy mimo tego, że planujesz kolejny wyjazd. Na wyprawie wspinasz się ze spokojem, bo radują cię codzienne sprawy po powrocie. Wszystko razem jest życiem. Osobno stanowi tylko powód do zgryzot,

² P. Morawski, *Od początku do końca*, Warszawa 2010, s.120.

nieustanną pogoń i kolejne siwe włosy”.³

Piotr zdobywał najwyższe szczyty świata, był zdolnym fotografem i marzył, by napisać książkę. Nie udało mu się dokonać tej ostatniej rzeczy. Dokończyła to jego żona Olga, dzięki której na polskim rynku pojawiły się już trzy książki przypominające postać Piotra, także dzięki Piotrowi będące pretekstem do przypomnienia postaci wielu największych lodowych wojowników.

Najnowsza książka *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu* jest wywiadem, przeprowadzonym przez Olę Morawską z najbliższymi tych, którzy chodzili po górach. Rozmawiając z tymi, którzy nie byli bohaterami pierwszego planu, dotknęła istoty tego, czym jest wspinanie, czym dla nich była górską pasją ich bliskich i jaką cenę za to płacili. Zrodziła się z tych rozmów pewna myśl wspólna dla wszystkich rozmówców: wspinaczka jest pasją, która eliminuje absolutnie wszystko inne. Himalaiści wiedzą, że zostawiają bliskich, ale ciągnie ich w góry, a nikt z najbliższych nigdy nie ośmiela się stanąć między górską potęgą a codziennym życiem. Na potwierdzenie wspomnianej pasji niech wystarczą słowa Wojtka Kukuczki, syna Jerzego Kukuczki, wybitnego himalaisty, który zginął na południowej ścianie Lhotse (8516m) w 1989 roku: „Ojciec po prostu miał niesamowite poczucie

³ P. Morawski, *Gdzie jest życie [w:] Zostają góry. Opowiadania. Felietony. Wspomnienia*, Kraków 2010, s.145.





sensu tego, co robił. Faktycznie, stawiał na szali własne życie, ale, moim zdaniem, lepiej żyć krócej, za to z taką pasją (...) Szedł swoją ścieżką i ta ścieżka była bardzo piękna”.⁴

Lektura książki dała mi odpowiedź na pytanie kłębiące się od lat w mojej głowie, mianowicie jaką drogę pokonują codziennie najbliżsi? Bo przecież nie tylko ci, którzy mierzą się z najtrudniejszymi ścianami świata, próbując je zdobyć, ale również ci, którzy zostają na nizinach i wspierają swoich bliskich z oddali, pokonują drogę trudną i wyboistą. Życie w pojedynkę, które jest dla wspinaczy tylko i aż wsparciem na odległość. Tęsknota i strach. Całkowite oddanie i troska. Dni, tygodnie i miesiące oczekiwania na wiadomość, znak, sygnał. Niekiedy bunt, stawianie pytań skazanych na brak odpowiedzi i wreszcie zrozumienie, że góry są jak narkotyk. Jak wspomina Michał Błaszkwicz, brat Wandy Rutkiewicz, pierwszej Europejki, która stanęła na szczycie Mount Everestu w 1978 roku i która zaginęła w 1992 roku podczas próby wejścia na Kanchendzongę (8586m): „Góry są jak narkotyk. Jeżeli się ich zażyje w zbyt dużej dawce, w określonych okolicznościach, potem bardzo ciężko jest przestać. Bo wciąga i doświadczenie, jakie się zdobywa, i pewne wspomnienia, i adrenalina, która też działa jak narkotyk (...) Powoduje, że przy pięknych widokach, podświadomym poczuciu, że jest się na granicy życia i śmierci, kalectwa lub innego niebezpieczeństwa, człowiek

się czuje wspaniale. I za tym uczuciem będzie gonił. Nie zawsze się do tego przyzna, będzie szukał najróżniejszych wyjaśnień: na przykład, że w górach jest pięknie, że można się oderwać od codziennego życia, że można się sprawdzić (...) Tysiące rzeczy można mówić, ale tym mechanizmem, który je wszystkie spaja, jest poczucie ekscytacji”.⁵

O górskich wyprawach, przygotowaniach, zdobywaniu najwyższych szczytów można by napisać tysiące stron. Literatura, spotkania z „górolazami” czy własne doświadczenia dają takie możliwości, ale są i tacy, którzy bardziej niż zdobywanie najwyższych szczytów ukochali wspinaczkę ekstremalną i uczynili z niej swoją filozofię życiową. Jedyną drogę, której oddali całego siebie. Mierzą się ze ścianami tak niebezpiecznymi, których zdobycie graniczy z cudem, a ich niekiedy płaska forma każe się zastanawiać, jak tego dokonują. Takich wspinaczy jest pewnie sporo, ale ja w swojej literackiej wędrówce trafiłam na dwie osoby, które całkowicie mnie do siebie przekonały. Pierwszą z nich jest Steph Davis, określana mianem jednej z najwyszczególniejszych wspinających się kobiet świata. W książce *Wielkie zauroczenie, czyli o miłości i grawitacji* możemy przeczytać jej opowiadania, w których szczegółowo opisuje trudne drogi skałkowe, pokonywane przez nią często bez asekuracji. W teksty umiejętnie wplata swoje zdania na temat wspinaczki, dzięki którym

⁴ W. Kukuczka, *Nas już nie będzie, a po Jerzym zostanie pamięć*, [w:] *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, Warszawa 2011, s.272.

⁵ M. Błaszkwicz, *Cień szansy*, [w:] *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, Warszawa 2011, s. 300.

w rezultacie książka zaczyna nabierać innych kształtów. W moim przekonaniu staje się wędrówką metafizyczną, a wspinaczka, jaką uprawia Steph, staje się swoistą filozofią: „Wspinaczka zawsze była dla mnie drogą wiodącą do wiedzy, sposobem na nauczenie się tego, czego brakuje w mojej materialistycznej, hołdującej współzawodnictwu kulturze”.⁶

Drugą postacią, która zasługuje na szczególną uwagę jest Mark Twight, Amerykanin urodzony w 1962 roku, zaliczany do najlepszych i najbardziej kontrowersyjnych wspinaczy świata. Nie bez powodu. Jego teksty zebrane w książce *Całuj albo zabij* są przepełnione gniewem, buntem i aż kipią arogancją do otaczającego świata. Jednocześnie w moim przekonaniu są pełne zdrowego podejścia do życia. W górach i w życiu inspiracją dla niego była mroczna kultura punk. Jak napisał Reinhold Messner, „idzie on swoją drogą, wścieka się na wszystko, co przeciętne, i całą swoją energię koncentruje na jednym celu. Dla niego liczą się tylko góry i nic więcej”.⁷

Całuj albo zabij to zbiór bardzo dobrych tekstów, które Mark napisał w latach 1985-2000. Eseje, o których wspomina, zostały dodatkowo opatrzone komentarzem z perspektywy roku 2000 i są, jak twierdzi sam autor, wiwisekcją jego życia osobistego i życia wspinacza ekstremalnego. Teksty nie są najnowsze, ale w moim odczuciu mają w sobie potężną uniwersalną siłę, która sprawia, że odkładamy je i wracamy do lektury, za każdym razem znajdując w niej coś nowego i bardzo aktualnego. Teksty Marka Twighta uważam za najlepsze jakie do tej pory czytałam. Autor ma zdolność przelewania na papier emocji przeżywanych przez niego podczas zdobywania kolejnych ścian, i odwagę wygłaszania skrajnych sądów. Sam dodaje, że „najprawdopodobniej uznacie je za pozerskie lub aroganckie. Niech tak zostanie, lecz gdzieś musi istnieć ktoś, kto rozumie te słowa i wie, że mają one sens. Zostały napisane krwią, od serca (...) Przełknijcie to albo dajcie sobie spokój”.⁸

Myślę, że dla każdej ze wspomnianych tu osób ważniejsza była zawsze droga do celu. Właściwie jestem tego pewna! Osiąganie celu prędzej czy później jest niczym innym jak dobrze pokonaną drogą. Satysfakcją z jej podjęcia, odwagą by ruszyć do przodu, postawić pierwszy krok. Można nie dojść do celu, ale już samo podjęcie drogi czyni nas zwycięzcami i daje to uczucie, jakim jest wolność, za którą dąży, przypuszczam, każdy lodowy wojownik.

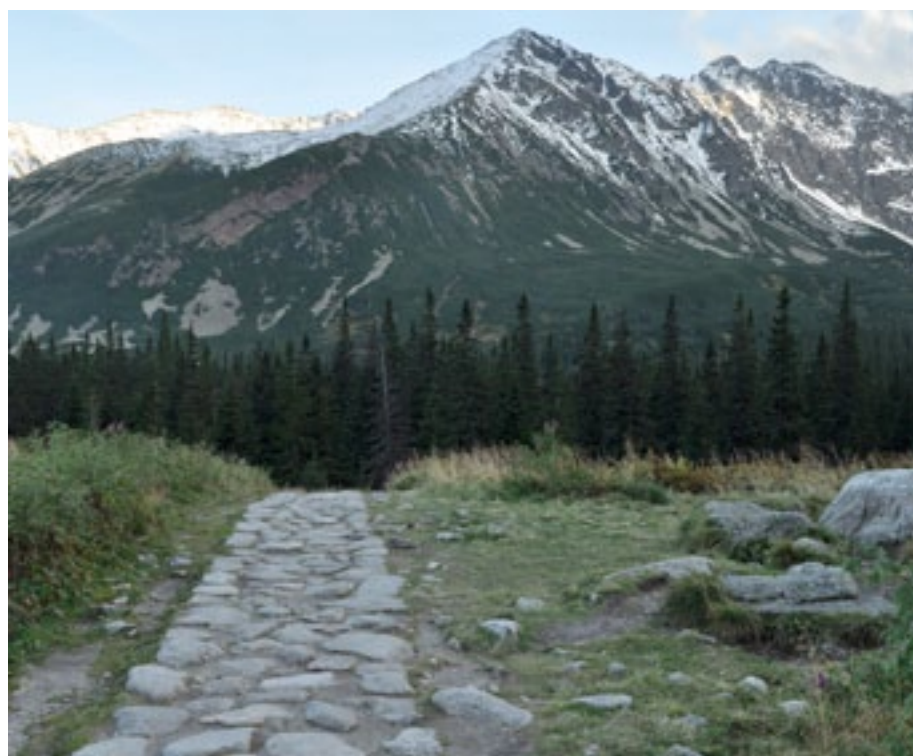
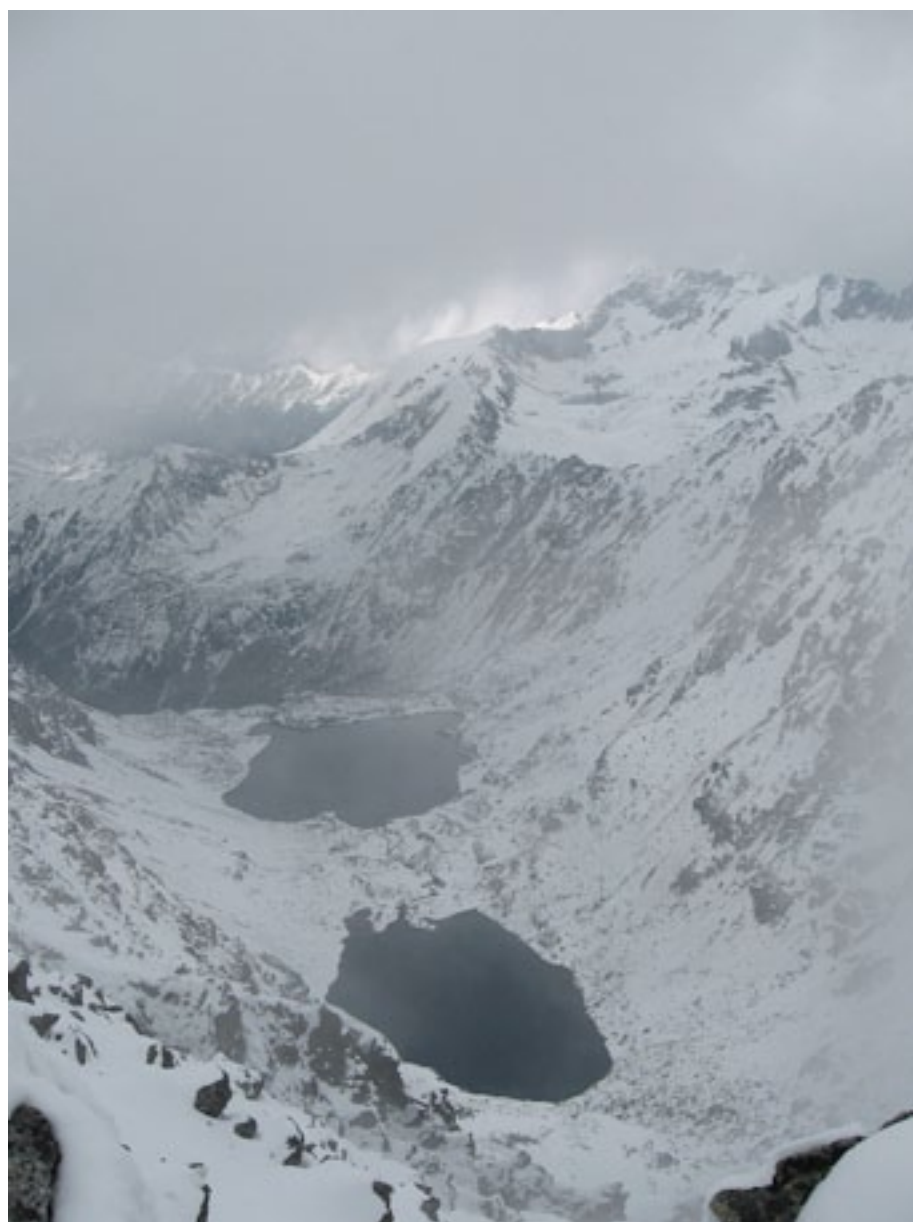
„Góry są dla nas naturalną areną, gdzie igrając na krawędzi życia i śmierci, znaleźliśmy wolność, której szukaliśmy na oślep, wolność potrzebną jak chleb” Maurice Herzog⁹.

⁶ S. Davis, *Wielkie zauroczenie czyli o miłości i grawitacji*, Łódź 2007.

⁷ R. Messner, [w:] M. Twight: *Całuj albo zabij*, Katowice 2008.

⁸ M. Twight, *Całuj albo zabij*, Katowice 2008, s.10.

⁹ Piotr Pustelnik, [w:] Piotr Morawski: *Zostają góry*, Kraków 2010, str. 151



Bibliografia:

Piotr Morawski, *Zostają góry. Opowiadania. Felietony. Wspomnienia*, Góry Books, Kraków 2010.

Piotr i Olga Morawscy, *Od początku do końca*, G+J RBA, Warszawa 2010.

Olga Morawska, *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, G+J RBA, Warszawa 2011.

Steph Davis, *Wielkie zauroczenie czyli o miłości i grawitacji*, Galaktyka, Łódź 2007.

Mark Twight, *Całuj albo zabij*, Stapis, Katowice 2008.



 Karen Blixen z pracownikami
swojej plantacji w Kenii

GRZECZNE NIEGRZECZNE DZIEWCZYNKI

Kiedy Robyn Davidson, autorka książki *Tracks*, uważanej za jeden z klasyków literatury podróżniczej, przybyła do Alice Springs w Australii, skąd miała wyruszyć w swoją słynną podróż przez australijski interior, pierwszą kwestią, która zaprzątnęła jej uwagę, nie był bynajmniej wybór wygodnego noclegu czy interesujących miejsc do zwiedzania. Najważniejsze było sprawdzenie, w których częściach miasta występuje największe ryzyko, że zostanie zgwałcona. Temat ten poruszały wszystkie spotkane przez nią osoby, które najpierw przestrzegali ją przed miejscami niebezpiecznymi dla samotnej, białej kobiety, a potem dopiero odnosili się do jej planów podróżniczych, zwykle zresztą pobłażliwie lub z politowaniem.

Paulina Surniak

Mężczyzna podróżujący przez Saharę lub od-wiedzający wioski zagubione gdzieś w Himalajach skupia się na zdobyciu wody, jedzenia,

na odpowiednim rozłożeniu sił podczas wędrówki, na odnalezieniu nieodkrytych miejsc lub dotarciu do lokalnych tajemnic. Kobieta musi zadbać o to samo, dodatkowo zaś wyeliminować zagrożenie pochodzące ze strony mężczyzn, dla których samotna podróżniczka jest istotą proszącą się o ich uwagę, niegodną szacunku, a co za tym idzie, stanowiącą łatwą zdobycz. Fora podróżnicze dla kobiet pełne są rad, aby w podróż zabrać obrączkę, choćby specjalnie do tego celu zrobioną. W podróży dobrze jest często wspominać o mężu, który oczekuje nas w jakimś kolejnym, nieodległym punkcie.

Podróżujący samotnie mężczyzna to eksplorator, a jego wędrówka jest często traktowana w kategoriach wyczynu. Podróżująca samotnie kobieta to dziwaczka, zaś jej wyprawa to fanaberia. Mężczyzna, który zastawia w domu żonę i dzieci, aby wspiąć się na jakiś szczyt czy też przejechać samotnie przez kontynent, nie spotyka się z powszechnym potępieniem. Paul Theroux, znany pisarz-podróżnik, radzi wprost, aby w podróży jak najczęściej wyłączać telefon, bo rodzina przecież jakoś wytrzyma kilka miesięcy bez kontaktu z mężem i ojcem. Na kobietę, która zostawiłaby męża i dzieci, aby samotnie realizować swoje podróżnicze marzenia, posypałyby się zewsząd gromy. Zresztą kobieta, która podróżuje sama, w literaturze najczęściej jest świeżo upieczoną rozwódką, zaś sama podróż stanowi terapię po miłosnym zawodzie, z obowiązkowym punktem kulminacyjnym w postaci nowego mężczyzny marzeń i powrotu wraz z nim do domowych pieleszy.

Spytajcie podróżującego i czytającego trzydziestokilkulatka o ulubione książki dzieciństwa, a niechybnie większość z nich wymieni cykl Alfreda Szklarskiego o Tomku Wilmowskim. Marzenia o podróżach nie biorą się przecież znikąd. Cykl o Tomku, mimo wszystkich swoich wartości poznawczych, jest nieznośnie zmaskulinizowany: Tomek to dzielny i odważny młody mężczyzna, otoczony przez postaci, które stanowią wzory męskości. Ojciec i jego dwaj przyjaciele to mężczyźni i śmiali patrioci, wygnani z kraju, w którym musiały pozostać i jakoś sobie radzić ich rodziny. Kwestia ta praktycznie nie istnieje, liczy się patriotyzm i odwaga, a nawet brawura. Jedyną postacią kobiecą stale obecną w cyklu jest Sally, przyjaciółka, a następnie żona Tomka, której wprawdzie odwagi nie brakuje, ale która wciąż wpada w opresję, z której ratować ją muszą dzielni mężczyźni, głównie Tomek. Tomek jest uroczym bohaterem, co jednak ma zrobić rodzic, który chciałby przekonać córkę, że podróże i przygody nie są jedynie dla chłopców? Oczywiście

zawsze można sięgnąć po *Alicję w krainie czarów*, czy jednak metaforyczna wędrówka przez fantastyczną krainę zastąpi uczciwą powieść przygodową? Na szczęście coraz więcej pojawia się tytułów, które zasypują tę lukę na rynku, przykładem może być choćby cykl o żyjącej w afrykańskim rezerwacie Martine autorstwa Lauren St John.

Dlaczego jednak na półkach z literaturą podróżniczą wciąż w ogromnym stopniu przeważają męskie nazwiska? Przecież kobiety podróżują i piszą od dawna – już w XV wieku ukazała się książka Margery Kempe, uznawana za pierwszą autobiografię w języku angielskim, opisująca między innymi podróże autorki do różnych świętych miejsc Europy i Azji. W XVIII wieku zbiory listów z podróży autorstwa kobiet stawały się bestsellerami. Podróże kobiece bywają inne niż męskie. Kobiece spojrzenie na inność świata jest uwarunkowane nie tylko kulturą, w której zostały wychowane, ale także płcią. Literatura podróżnicza opiera się na zderzeniu kultur. Pisarz-podróżnik patrzy na świat przez pryzmat swojej wiedzy, wychowania, obyczajów i dziwi się temu, co widzi. Kobieta dodaje perspektywę swojej płci, widząc inne różnice, przeżywając odmienne zaskoczenia. Płeć często pomaga w zbudowaniu więzi między podróżniczką a innymi kobietami. Kobiety otwierają się przed kobietami. W przypadkowych miejscach – w pociągu, na targu, w łazience opowiadają sobie o często intymnych kwestiach.

Także powody, dla których wyruszają w podróż, bywają różne. Czasem są zachowane w sekrecie. Robyn Davidson nigdy nie zdradza, przed czym ucieka w skrajnie trudne tereny australijskich pustkowi. Często podróż jest ucieczką od straszliwych wspomnień o stracie bliskich: Mary Kingsley, jedna z pierwszych członkiń elitarnego Royal Geographic Society wyrusza do Afryki po śmierci rodziców, którymi, jak na wiktoriańską panienkę przystało, przez wiele lat się opiekowała. Inne podróżniczki towarzyszą mężom lub przynajmniej traktują podróż małżonka jako pretekst dla własnej wyprawy. Lady Mary Wortley Montagu, której listy z Turcji z roku 1716 pobiły rekordy popularności i od prawie trzystu lat stale są w druku, wyruszyła w podróż w ślad za mężem, który został ambasadorem w Turcji, wywołując tym samym skandal, jako że kobiecie samotna podróż nie uchodziła. Karen Blixen pojechała do Afryki z mężem, a gdy została sama, spokojnie budowała sobie nowe życie w egzotycznym świecie.

Współczesne pisarki wyruszają w drogę, bo chcą. Gna je to samo pragnienie, które od stuleci napędzało mężczyzn – odkrycia nieznanego, postawienia stopy w dziewiczym terenie, pokonanie własnych słabości i ograniczeń. Ich perspektywa wciąż bywa odmienna od męskiej, choć możliwości mają te same. Uprzedzenia nadal im towarzyszą. Mariola Popińska, która dokonała pierwszego polskiego wejścia na Mount Vinson, najwyższy

szczyt Antarktydy, w swojej książce *Kura domowa na Antarktydzie* opisuje upokorzenia, które ją spotkały ze strony mężczyzn zrzeszonych w klubach górskich. Fakt, że nikomu nieznana kobieta, będąca w dodatku gospodynią domową, chce wejść na szczyt, na którym nie postawił stopy żaden Polak, stał się solą w oku wielu osób, które nie tylko nie udzieliły ambitnej Polce żadnego wsparcia, ale wręcz starały się sabotować jej plany. Mariola Popińska dopięła jednak swego i 16 stycznia 1995 roku zdobyła swój upragniony szczyt.

Na półkach z literaturą podróżniczą pojawia się coraz więcej kobiecych nazwisk. Oto subiektywny przegląd ciekawych tytułów:

Robyn Davidson *Tracks*

W towarzystwie psa oraz czterech wielbłądów, Robyn Davidson przeszła w poprzek australijski interior. Trudno powiedzieć, czy była bardziej odważna czy szalona, gdy ponad trzydzieści lat temu jako dwudziestopięciolatka wysiadła z pociągu w Alice Springs z sześcioma dolarami w kieszeni i planami, aby złowić i oswoić trzy dzikie wielbłądy. Jest niepewna, momentami przerażona, wszystko ją irytuje i łatwo ulega emocjom. Zanim wyruszy w swoją podróż, spędzi w Alice Springs dwa lata, zdobywając doświadczenie w opiece nad wielbłądami i dochodząc do ładu sama ze sobą. Nie mogąc zdobyć funduszy na podróż, zwraca się do National Geographic Society z prośbą o grant. Gdy go dostaje, zdaje sobie sprawę, że jej podróż będzie teraz inna – musi zgodzić się na spotkania z fotografem po drodze i zrobienie z siebie celebrytki. W zamian tym silniej chroni swoją prywatność i nigdy nie zdradza, co popchnęło ją do tak odważnej i ryzykownej podróży.

Pełnoprawnymi bohaterami jej opowieści są zwierzęta – ukochany stary pies, którego traktuje jak najlepszego przyjaciela, oraz wielbłądy. Zabawne, inteligentne, wciąż wpadające w tarapaty zwierzęta, których charakteru nikt wcześniej nie opisał tak dogłębnie i czule.

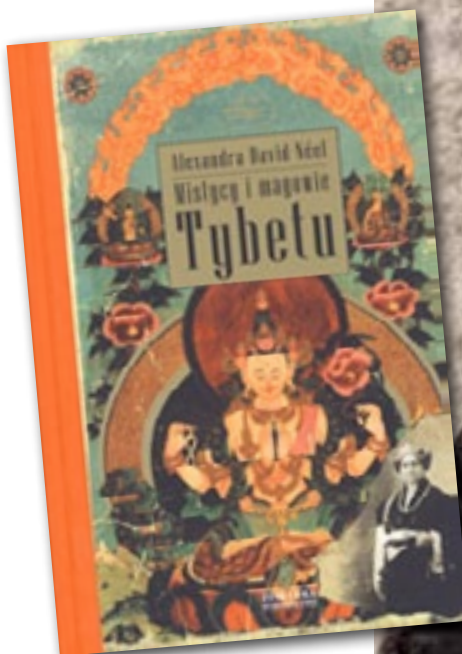
Alexandra David-Neel *Mistycy i magowie Tybetu*

Nieustraszona podróżniczka, która swoje wyprawy rozpoczęła już w dzieciństwie, regularnie uciekając z domu. Urodzona w roku 1868, przecierała szlaki dla podróżujących kobiet. Już jako dwudziestodwulatka wyjeżdżała sama do Indii, wracając tylko wtedy, gdy kończyły jej się pieniądze. Wyruszając do Indii już jako mężatka, obiecała mężowi, że wróci za kilka miesięcy – wróciła po czternastu latach, i to tylko na kilka miesięcy. Była pierwszą kobietą z Zachodu, którą wpuszczono do

stolicy Tybetu. Zauroczona tybetańskim mistycyzmem praktykowała buddyzm, adoptowała też młodego buddyjskiego mnicha. Podobno ocaliła mu kiedyś życie, ogrzewając go własnym ciałem, którego temperaturę podniosła za pomocą praktyk mistycznych. W wydanej właśnie po polsku książce opowiada o Tybecie, który już nie istnieje, pełnym mistyków praktykujących niezwykle rytuały.

Liv Arnesen *Grzeczne dziewczynki nie chodzą na biegun*

Pierwsza kobieta, która zdobyła samotnie biegun południowy. Pierwsza, która przemierzyła Antarktydę na nartach (wraz z Ann Bancroft). Wbrew tytułowi książki raczej grzeczna, a na pewno dobrze wychowana, za to uparta i zaciekle. Jej powieść to niezwykle świadectwo siły kobiecego charakteru, a zarazem nieco inne spojrzenie na Antarktydę. Dużo tu praktycznych spraw istotnych dla



Alexandra David-Neel
w Tybecie 📖



każdej kobiety – obawy przed zimnem, radość z pierwszego po kilkudziesięciu dniach prysznica. Jednocześnie Arnesen nie boi się przyznać, że tęskni za rodziną, w przeddzień Gwiazdki wyobraża sobie domowników robiących zakupy świąteczne. Analizuje swoje uczucia, nie ucieka przed nimi i spokojnie dochodzi do wniosku, że mimo wszystko podjęła dobrą decyzję. Píše lirycznie, a zarazem zwięźle. Zachwyca się światem wokół siebie, nie popadając w patos. Z jej książki przebija duma i radość, poczucie, że marzenia warto realizować, choćby trzeba było to



 Kinga Choszcz

TEMAT NUMERU: Droga

przypłacić odmrożeniami,
tęsknotą i samotnością.

Mariola Popińska *Kura domowa na Antarktydzie*

Pełna humoru, nieco kontrowersyjna opowieść o perypetiach gospodyni domowej, która kochała góry i zapragnęła zdobyć najwyższe szczyty wszystkich kontynentów, tzw. Koronę Gór. Plan się nie powiódł, udało jej się wejść tylko na jeden wierzchołek, było to jednak pierwsze polskie wejście na najwyższy szczyt Antarktydy. Jej ambicje zdobyły w środowisku zdumienie i niedowierzanie, co ona sama szczegółowo roztrząsa w swojej książce. *Kura domowa na Antarktydzie* napisana jest znacznie lżej i bardziej zabawnie niż zbliżone w swoim schemacie historie o blondynce, czyli Beacie Pawlikowskiej, w podróży. Mniej tu liryzmu niż w książce Arnesen, więcej czarnego humoru i praktycznych uwag o codziennym życiu na wyprawie polarnej.

Olga Stanisławska *Rondo De Gaulle'a*

Opowieść o podróży przez Afrykę, od Casablanki do Kinszasy. Opowieść znowu bardzo kobieca, specyficzna, oszczędna. Nie jest to standardowa książka podróżnicza. Stanisławska ślizga się po obrzeżach gatunków, balansując między esejem, dziennikiem osobistym a reportażem. Jej trasa wiedzie przez prawdziwe peryferia: niekończące się piaszczyste pustkowia, wioski składające się z kilku glinianych chatek, górskie warownie. Autorka za nic ma potencjalne zagrożenia i brata się z narkotykowymi bossami, rebeliantami, przemytnikami. Oni otwierają się przed nią w jakiś magiczny sposób, a ona niepostrzeżenie wyciąga od nich skrawki, z których składa potem oryginalny, choć nieco wyblakły od słońca afrykański kobieriec. Stanisławska podróżuje po męsku, ale rozmawia i pisze niezwykle kobieco, i być może dlatego z taką łatwością wzbudza zaufanie. Nie dziwi się niczemu, ale też nikogo nie traktuje protekcjonalnie. Píše tak jak podróżuje – niespiesznie, szczegółowo, mądrze.

Lady Mary Montagu *The Turkish Embassy Letters*

W roku 1716 Lady Mary Montagu wyjechała do Turcji, gdzie jej mąż został mianowany ambasadorem. Podróżowała lądem, przez Wiedeń i Belgrad, z powrotem zaś przez Genewę i Paryż. W Turcji mieszkała w Stambule. Wybór jej listów z tej podróży został wydany dopiero po jej śmierci i pozostaje jednym z najpopularniejszych zbiorów korespondencji osiemnastowiecznej. Lady Mary to prawdziwa kobieta swojej epoki, zafascynowana modą i dziwnymi obyczajami, jednak znacznie odważniejsza od większości kobiet wówczas żyjących. Przykładowo, zaszczepiła swój dzieci przeciwko ospie, chociaż taka szczepionka nie była jeszcze znana w Europie. Straciwszy wcześniej brata i własną urodę z powodu ospy, śmiało podjęła próbę ochrony swoich dzieci przed chorobą. Jej listy z Turcji napisane są z dbałością o szczegóły i prawdę historyczną, a przy tym z nerwem i humorem. Czyta się je dobrze nawet trzysta lat po ich powstaniu.

Kinga Choszcz *Moja Afryka*

Lista podróżujących kobiet byłaby niepełna bez Kingi Choszcz, młodej podróżniczki, która wraz ze swoim chłopakiem wyruszyła w pięcioletnią podróż autostopem dookoła świata, a następnie już samotnie do Afryki, gdzie niespodziewanie zmarła na malarię mózgową. Dewizą Kingi było, iż każde marzenie jest nam dane wraz z mocą do spełnienia go i takie właśnie optymistyczne podejście do świata przebija z każdej kartki jej książki. Lektura *Mojej Afryki* jest jak jazda kolejką górską – od śmiechu do łez czytelnik przechodzi prawie niepostrzeżenie. Przez momentami niezbyt ogładzoną, pisaną na gorąco i nigdy nie edytowaną prozę przebija wiara w to, że świat można zmienić – ostatnim wydarzeniem opisanym w książce jest ocalenie przez autorkę małej dziewczynki z Ghany, która trafiła w ręce współczesnych handlarzy niewolników. Książka powstała na bazie pisanego na gorąco bloga, nie ma w niej pozerstwa, jest szczery zachwyt światem mijanym każdego dnia.



MEDYTACJA DROGI

Peter Matthiessen i Ian Baker wyruszyli w drogę, która miała doprowadzić ich do celu. Pierwszy z nich pragnął ujrzeć himalajską śnieżną panterę, niemal symboliczne i legendarne zwierzę.

Ian Baker marzył o dotarciu do mitycznej krainy Pemako i Wodospadów Cangpo na pograniczu Tybetu i Indii. W rzeczywistości obaj odbyli wędrowkę nie tylko w głąb Tybetu, ale także duchową podróż w głąb samych siebie.

Karolina Kunda-Kuwieckij

Drogi

W filozofii chińskiej *tao* oznacza wewnętrzną drogę, którą musimy przebyć, by nauczyć się akceptacji siebie i życia w harmonii ze światem. W Tybecie podróżowanie zyskuje miano pielgrzymki określanej *gnaskor*, czyli „wędrowanie z miejsca na miejsce”. Niektórym potrzebny jest cel, który wyznacza drogę, jednak nie dla wszystkich ma on jednakowe znaczenie. Niekiedy wystarczy po prostu iść przed siebie, niczego nie oczekując. Dosłowna bezcelowość takiej wędrowki stanowi istotę medytacji w marszu. „Idąc, po prostu idź”, jak mawiał chiński mistrz zen, Yunmen Wenyan.

Podstawę buddyzmu stanowią Cztery Szlachetne Prawdy; Pierwsza stanowi prawdę o cierpieniu, Druga mówi o niewiedzy jako przyczynie cierpienia, Trzecią Szlachetną Prawdą jest uświadomienie sobie możliwości unikania cierpienia, a Czwartą Szlachetną Prawdą stanowi *dharma*, czyli droga prowadząca do wyzwolenia się z kręgu cierpień. Wielki japoński mistrz zen, Chao-Chou twierdzi, że „droga wcale nie jest trudna; jedynym warunkiem jest wyzbycie się chcień i nie-chcień”. Usilne dążenie do upragnionego celu

jest bowiem sprzeczne z jego osiągnięciem w buddyzmie zen. *Śnieżna pantera* Petera Matthiessena i *Serce świata* Iana Bakera to książki utrzymane w duchu buddyzmu i odczytywanie ich przez pryzmat tej filozofii znacznie ułatwia ich odbiór.

„Nie jestem tu po to, żeby szukać „zwariowanej mądrości”, a jeśli tak, to nigdy jej nie znajdę. Jestem tu po to, aby tu być, jak te skały, niebo i śnieg, jak ten grad padający prosto ze słońca”.
[Peter Matthiessen]

Peter Matthiessen, adept buddyzmu zen oraz autor wielu książek przyrodniczych i podróżniczych, udał się w 1973 roku na wyprawę w Himalaje. Wraz z biologiem Georgem Schallerem planował zbadać okres godowy błękitnych owiec. Jednak pisarza bardziej fascynował rzadko ukazujący się ludzkim oczom nieuchwytny tybetański irbis, zwany śnieżną panterą. Podróżnicy rozpoczęli swoją podróż w Pokharze nieopodal Katmandu w Nepalu, kontynuowali ją na terenie Płaskowyżu Tybetańskiego i klasztoru Shey Gampa, a zwieńczyli na Kryształowej Górze. Z pomocą czterech Szerpów i czternastu tragarzy

podróż przebiegła bez większych komplikacji, choć kilkakrotnie dochodziło do niewielkich kradzieży i strajków wśród tragarzy.

Droga, którą przebył Matthiessen, okazała się dlań trudniejsza niż początkowo przypuszczał. Wielokrotnie natrafiał na przeszkody, nie tylko w postaci ekstremalnie stromych zboczy czy agresywnie nastawionych tubylców. Utrudnienia mentalne często znacznie bardziej komplikowały i zakłócały drogę. Autora *Śnieżnej pantery* rozczarowywały ograniczenia własnego umysłu. Znajdował w sobie granice, po przekroczeniu których jego psychika nie pozwalała mu cieszyć się przebywanym szlakiem. Znamienne okazały się wnioski płynące z sytuacji, w której znalazł się jeden z tragarzy: „Dzielny Dawa, starając się złapać plecak Jang-bu rzucony nad strumieniem, opuścił go niezdarnie do wody. I stało się coś wspaniałego: Jang-bu roześmiał się głośno wraz z Dawą i Phu-Tseringiem, chociaż oznaczało to dla niego mokre ubranie i mokry śpiwór. Ta beztroska, to pogodzenie się z losem, nie będące fatalizmem, lecz głęboką wiarą w życie, zawstydziła mnie”. Ta jakże solidna lekcja pokory uświadomiła mu własne słabości i niedoskonałości i paradoksalnie wprawiła w znakomity nastrój na najbliższe dni wyprawy.

„Czy widziałeś śnieżną panterę? Nie! Czy to nie wspaniałe?” [Peter Matthiessen]

Matthiessen wiele pisze w *Śnieżnej panterze* o poszukiwaniu celu w życiu, własnej ścieżki duchowej: „Błąkałem się między różnymi drogami, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że rozpocząłem poszukiwanie, ani z tego, czego właściwie szukam. Wiedziałem tylko, że czuję pustkę, którą trzeba wypełnić”. Można przypuszczać, że na bazie tej pustki Matthiessen przyjął zaproszenie na himalajską ekspedycję od George’a Schallera. Zaplanował podróż, która miała doprowadzić go do legendarnej śnieżnej pantery. Jednakże podczas wyprawy jego intencje podlegały ciągłym przemianom. Pisarz zdawał sobie sprawę, że nie powinien „oczekiwać niczego” (przed czym ostrzegał go przed wyjazdem mistrz rosi Eido), z drugiej zaś strony przeczuwał, że bardzo bliski jest ujrzienia nadzwyczajnego zwierzęcia. Czuł na sobie wzrok pantery, jednak spostrzec jej nie zdołał. Czasem żałował, że nie dane mu ją ujrzeć, innym razem ogarniała go obezwładniająca radość z tego powodu, jednak im dłużej trwała wyprawa tym mniej zależało mu na doświadczeniu widoku irbisa: „Jeśli śnieżna pantera pokaże mi się, to chętnie ją zobaczę. Jeśli nie, to znaczy, że nie dojrzałem do jej widoku.(...) To, że istnieje, że jest tutaj, że jej srebrzystoszare oczy patrzą na nas z góry – to mi wystarcza”.

Koniec podróży stanowił dla Matthiessena huśtawkę emocjonalną. Rozbicie i depresja spowodowa-

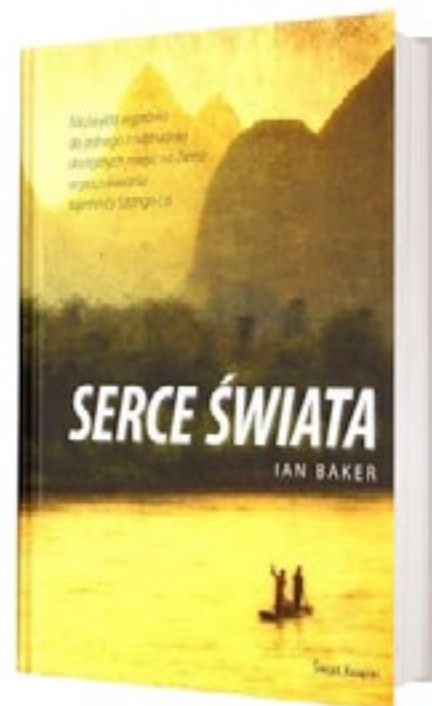
TEMAT NUMERU: **Droga**

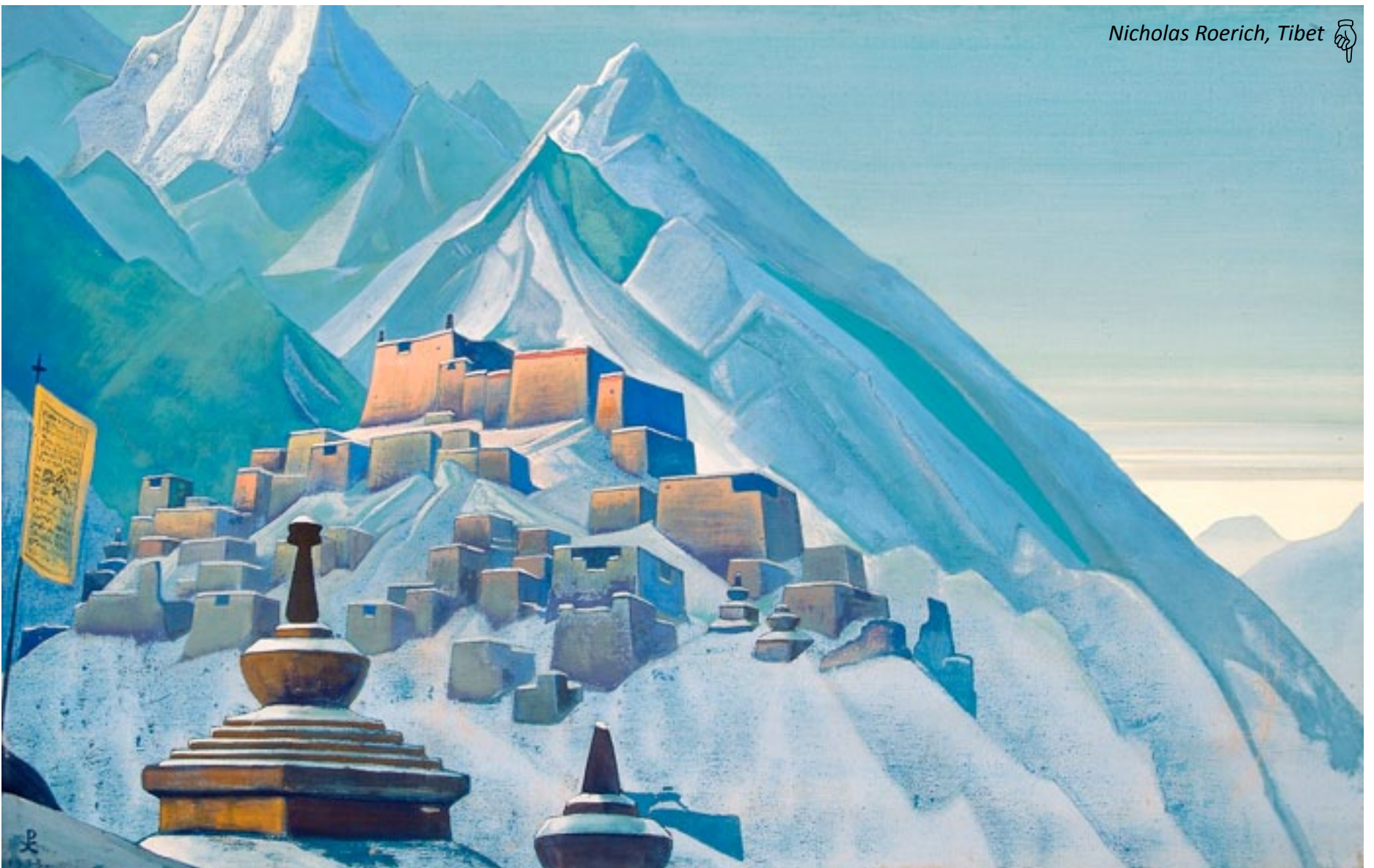
ne schodzeniem w dół i obniżającą się wysokością związane były także z uczuciem niespełnienia. Pisarz zdał sobie sprawę, że nie chodziło o to, by spotkać śnieżną panterę, ale właśnie o to, by tego tak bardzo nie pragnąć. Radość spowodowana samym faktem wędrówki wśród ośnieżonych szczytów górskich, uświadomiła mu istotę jego drogi. „Podróż do Dolpo, krok po kroku i dzień po dniu jest Klejnotem w Sercu Lotosu, Tao, Drogą, Ścieżką, ale wcale nie bardziej niż drobne wydarzenia codziennego życia. Nauki, jakie dawał nam lama Tupjuk, podczas gdy śnieżna pantera obserwowała nas gdzieś ze skalnego zaułka, a Krysztalowa Góra płynęła po niebie, nie były, jak myślałem, oświeconą mądrością jednego czło-wieka, ale wspaniałym wyrazem boskości całej rasy ludzkiej”.

„Można trafić w sam środek takiej krainy i nawet nie zdać sobie z tego sprawy”

[Ian Baker]

Ian Baker od wielu lat współpracuje z National Geographic i organizuje „Rare Journeys” – wyjątkowe ekspedycje w najdalsze zakątki Tybetu, Bhutanu czy Mongolii. Ponadto jest autorem wielu książek o Tybecie i buddyźmie tybetańskim, a od ponad dwudziestu lat mieszka w Katmandu. *Serce świata* jest zapisem jego głębokiej fascynacji ukrytymi tybetańskimi krainami, zwanymi *bejul*. Leżące w ich sercu Pemako wraz z tzw. „ukrytymi” wodospadami Cangpo, stały się celem badawczym Bakera oraz kilkunastu podróżników i biologów zaintrygowanych ukrytymi miejscami. Aby do nich dotrzeć potrzebowali wielu gruntownie zaplanowanych wypraw, ponieważ wedle wierzeń droga prowadząca do Pemako usiana jest przeszkodami i niebezpieczeństwami czyhającymi na wędrowców. Jak mówią starożytne legendy i wtórujący im wielcy buddyjscy lamowie – jedynie głęboko praktykujący





buddyzm tybetański powinni próbować dotrzeć do wschodnich krańców Himalajów. Legendarnej Shangri-La strzegą bowiem groźni bogowie i boginie, których zadaniem jest utrudniać lub wręcz uniemożliwiać dotarcie do serca mistycznych sanktuariów. Z opowieści wynika również fakt, iż samo dotarcie do tajemniczych rejonów Tybetu nie gwarantuje pełni satysfakcji z odkrytych miejsc. Jak podkreślają wielcy lamowie, prawdziwe *bejul* odnosi się do „miejsc, gdzie można odnaleźć wszystko, czego nam potrzeba, gdzie medytacja i praktyki tantryczne dają lepsze skutki”, a oświecenie można osiągnąć zdecydowanie łatwiej i szybciej niż gdziekolwiek indziej.

Drogi prowadzące do Pemako i wodospadów Cangpo okazały się piekielnie trudnymi szlakami. Jak relacjonuje w *Sercu świata* Baker: „Raj to jednak nie był. Pijawki spadały z drzew i wypełzały z bagna. Stada much wlatywały mi prosto w oczy”. Chińska milicja niejednokrotnie zwracała ekspedycję, nie podając konkretnych powodów. Nieustannie przemoczeni, pogryzieni przez insekty, cierpiący na różne dolegliwości podróżnicy, nie poddawali się jednak i dążyli do celu. Kryzysy okazały się nieodłącznym elementem każdej wyprawy w głąb niegościnnych tybetańskich dolin. Baker dystansował się do trudów podróży dzięki medytacji, myśli zastępował mantrami, zaglądał do świętych pism. Przypominał sobie czytane wcześniej teksty dotyczące *bejul*. Wiedział, że w Pemako istnieją opiekuńcze bóstwa, które „wystawią cię na szereg niebezpieczeństw, żeby zbadać moc twego

postanowienia. Pomogą ci, jeśli wytrwasz w duchowych zamiarach; jeśli nie, zwiódą cię na manowce”. Po wielu podejściach i licznych próbach, podróżnicy, z Bakerem na czele, dotarli do upragnionego *Shangri-La*. Udało im się zbadać liczne doliny i przełęcze Pemako i dotrzeć do czeluści wąwozów i wodospadów Cangpo.

„Drzwi mogą wówczas otworzyć się wszędzie”
[Ian Baker]

Bakerowi jako adeptowi buddyzmu nieobce były także nauki tantryzmu tybetańskiego. Droga, którą przebył, by odkryć mistyczne rejony Tybetu, okazała mu w praktyce to, co znał tylko z teorii i o czym dotychczas jedynie czytał. Zrozumiał, że niczego nie musi już tak namiętnie pożądać i poszukiwać, że „wrota odemkną się przed tym, który zda sobie sprawę, że nie trzeba ich szukać – wystarczy otworzyć się na coś, co jest już w pełni obecne”.

Penetrowaniu dolin, wąwozów i wodospadów towarzyszyły rozmaite tajemnicze głosy i dźwięki. Jedni słyszeli nocą czarodziejski śpiew, inni nawołujące się na przemian kobiece i męskie głosy, jeszcze innych dobiegał odgłos dzwonków noszonych przez boginie na kostce u nogi. Słuchając takich opowieści Baker pomyślał, „że może to właśnie jest raj – kiedy znikają wszelkie rozgraniczenia między doświadczeniami zewnętrznymi a wewnętrznymi. Z drugiej jednak strony, może to być po prostu rozkoszne szaleństwo”.

Może i tak właśnie było. Być może legenda o Pemako



jest wyłącznie mistyfikacją, a doliny, które odnaleźli podróżnicy są pozbawionymi duchowych opiekunów nieckami o bogatej, egzotycznej roślinności. Droga, którą Baker przebył wraz z towarzyszami, otworzyła mu jednak szeroko drzwi prowadzące do „bezmiaru, gdzie nic nie jest ukryte i niczego nie trzeba odkrywać, bo wszystko jest przeźroczyste, czyste i wolne od wszelkich naleciałości, adept otwiera się bez wahania na rzeczywistość, która objawia się sama, bez jakichkolwiek odniesień do pojęcia „ja”. Drzwi mogą wówczas otworzyć się wszędzie”.

„Wewnątrz powstaje wolność od nadziei i strachu.

W środku pojawia się wolność od choroby wysiłku i osiągnięcia

(...)

W środku posiada się odwagę urzeczywistnienia.

Nie lękam się (nie odnaleźć) ostatecznego”.

[Ian Baker]

W tradycji buddyzmu tantrycznego idealna pielgrzymka ma za zadanie „ułatwić przemianę wewnętrzną w sytuacjach, które wystawiają na próbę postrzeganie świata. Im więcej zamieszania w krajobrazie, tym lepiej”, jak pisze Baker w *Sercu świata*. Przyroda nieustannie płatała figle podróżnikom

i krzyżowała im szlaki, w konsekwencji czego wędrowcy przeżywali kryzysy i zaczęli wątpić w sens wyprawy. Obnażone zostały słabości, z których wcześniej nie zdawali sobie sprawy, a które dotychczas negatywnie determinowały niektóre aspekty ich życia. Doświadczenie nauki płynącej z trudów podróży i przeciwności losu, doprowadziło ich ku lepszemu wglądowi we własną wewnętrzną drogę *tao*. Matthiessen często odwołuje się do Junga, który ową drogę porównuje do „wody płynącej nieprzeparcie do celu. Zanurzenie się w *tao* oznacza samorealizację, pełnię, spełnienie misji, poczucie początku i końca oraz doskonałe

urzeczywistnienie wrodzonego każdemu sensu bytu”.

W buddyźmie pojęcie drogi stanowi podstawę przemiany, jakiej poddany zostaje człowiek pragnący uwolnić się od nękającego go cierpienia. Drogą w rozumieniu tybetańskiego *gnaskor* może być wędrowanie z miejsca na miejsce – oddawanie się prostej czynności, pozbawionej znaczeń i cech.. Matthiessen twierdzi, że „utożsamianie się z tym, co się robi, stanowi prawdziwą realizację Drogi”. Baker znamienne zaś podkreśla, że „istotę umysłu i rzeczywistości pojmiemy dopiero wtedy, kiedy zaniechamy postrzegania zewnętrznych pozorów rzeczy woderwaniu od świadomości”. Obydwaj pisarze najbardziej jednak zgodni byli co do tego, iż aby przebywana droga stanowiła coś więcej niż tylko pokonywane kilometry, należy poddać jej się bez reszty i po prostu iść przed siebie. I niczego nie oczekiwać.

Bibliografia:

Peter Matthiessen, *Śnieżna pantera*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 1999.

Ian Baker, *W sercu świata*, Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2009.

Marek Kalmus, *Tybet. Legenda i rzeczywistość*, Wydawnictwo Bezdroża, Kraków 2008.

David Schiller, *Mały poradnik Zen*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 1997.



DROGA POWROTNA.

UCIECZKA Z JĄDRA CIEMNOŚCI

Renata Borowiak

Czas apokalipsy F.F. Coppoli otwiera scena, w której kapitan Willard, otępiony doświadczeniem wietnamskiej wojny i uzależniony od niej, wpatruje się w wentylator, oczekując na zadanie. Powrócił i czeka na misję, bo bez drażenia wojennej traumy, bez szukania jej substytutu nie mógłby już żyć. Zanim z hotelowego pokoju w Wietnamie wyruszy w podróż w głąb Kambodży, śladami szalonego Kurtza, diagnozuje swój stan.

„Sajgon. Cholera. Wciąż tylko Sajgon. Codziennie się łudzę, że obudzę się w dżungli. Jak pierwszy raz wróciłem, było jeszcze gorzej. Budziłem się i nie było nic. Z żoną prawie nie rozmawiałem. Powiedziałem tylko «zgoda», kiedy zażądała rozwodu. Siedząc tutaj, chciałem być tam. Będąc tam, wciąż myślałem o powrocie do dżungli”.¹

To sytuacja archetypiczna, której liczne warianty rozgrywają się pod różnymi szerokościami geograficznymi i którą równie często bierze na warsztat film i literatura. Oto jej komponenty.

Mocne, piekielne doświadczenie zła (mordu, rzezi, irracjonalnej nienawiści).

Uczucie wydrążenia i pustki. Rozpad relacji.

Konieczność przebycia raz jeszcze drogi ku traumie, drogi powrotnej, niosącej czasem posmak oczyszczenia.

Powrót ma tu znaczenie podwójne. Jest drogą do siebie sprzed kataklizmu, do utraconego raj, do świata, w którym na nowo przywraca się stare prawa. Często będzie też znaczyło drogę powrotną do źródeł zła. I chociaż wydawać by się mogło, że drogi te biegną w przeciwnych kierunkach, podąża się nimi jednocześnie.

Droga czasami jest podróżą dosłowną. Trzeba raz jeszcze dotrzeć do okaleczonych miejsc. Bywa też, że wędrówka przebiega w przestrzeni wewnętrznej, jest penetracją własnej pamięci lub dotykaniem pręg, które, choć zabliźnione, potrafią niespodziewanie boleśnie się otwierać. Wybrałam kilka przykładów z literatury faktu i filmu dokumentalnego. Mapą podróży będą reportaże Wojciecha Tochmana – *Dzisiaj narysujemy śmierć* oraz Jeana Hatzfelda – *Strategia antylop*, a także animowany dokument Ariego Folmana – *Walc z Basziirem*. W tle rozgrywa się nieodległa historia: wojna libańska (1982) i wojna domowa w Rwandzie (1994).

Gry z pamięcią

Walc z Baszirem nazwano izraelskim *Czasem apokalipsy* (m.in. Tadeusz Sobolewski). Film jest gorzkim rozrachunkiem z uczestnictwa w niejednoznacznej moralnie interwencji zbrojnej Izraela w Libanie. Celem była walka z terrorystami, efektem – wojna domowa i rzeź ludności cywilnej. Newralgicznym wydarzeniem stała się masakra Sabiry i Szatili, bejruckich obozów dla uchodźców (cztery tysiące zabitych).

Opowieść prowadzona jest przez Ariego (alter ego reżysera), czterdziestoletniego mężczyznę, który

Boaz Rein zastrzelił, by nie budziły mieszkańców wiosek, gdy żołnierze tropili ukrywających się Palestyńczyków. Dlaczego przychodzą po tylu latach? Jak je uciszyć?

Ari nie pamięta prawie nic, zaczyna więc sztukować własną pamięć relacjami innych świadków.

Dociera do tych, którzy wraz z nim uczestniczyli w libańskiej wojnie. Niemal wszyscy bohaterowie tej opowieści doświadczają zespołu stresu pourazowego (PTSD = *posttraumatic stress disorder*), choć bywa on nierozpoznawalny dla postronnych obserwatorów. Filmowiec odnoszący międzynarodowe sukcesy, wzięty



dwadzieścia lat wcześniej brał udział w wojnie. Był o sto metrów od epicentrum wspomnianej rzezi. Nic jednak nie pamięta, jak twierdzi: „nie ma tego w systemie.”

Spotkanie z przyjacielem uświadamia mu niedokuczliwą dotąd amnezję. Zaczyna tropić, wywracać pamięć na nice, prowokować wspomnienia.

Wszystko zapoczątkował sen, „który nie wziął się znikąd”, a który domaga się wyznania i psychoterapii. Właściciel snu prosi o pomoc Ariego, przekonany, że sztuka (tu: film) zawsze jest terapią, przynosi rozwiązanie lub uzdrowienie. Sen, który pojawił się po dwudziestu latach, jest koszmarem. Dwadzieścia sześć psów, wyjąc ogłasza odwet. To są właśnie te, dokładnie zapamiętane psy, które

informatyk, biznesman, inżynier naukowiec.

Normalność możliwa dzięki upływowi lat, czasem przepracowana, kiedy indziej osiągnięta za sprawą mechanizmu wyparcia, a więc pozorna, rozsypująca się pod naciskiem niekontrolowanych bodźców.

Interesuje mnie droga, którą Folman podąża, śledząc meandry pamięci. Zwłaszcza to, co udrażnia wspomnienia w sposób irracjonalny. Zanim pojawi się rekonstrukcja zdarzeń, coraz szerszą falą pokrywająca białe plamy, magmę amnezji przebija wizja. Oto dziewiętnastoletni Ari zanurzony w morzu, dryfuje, by po chwili z karabinem na ramieniu wyłonić się z wody i wejść wprost na ulice

TEMAT NUMERU:
Droga

Bejrutu. Rodzą się w nim pytania: Byłem tam? Jak daleko od miejsca masakry? Czy miałem na nią wpływ? Nie jest w tej wizji sam. Towarzyszący mu przyjaciel, odnaleziony po latach, nie potwierdza okoliczności. To niemożliwe, Ari pamięta coś, czego nie było. Pamięć jest zwodnicza i wielopiętrowa. Psycholog przywołuje eksperyment, w którym pokazywano ludziom zdjęcia z dzieciństwa, dziewięć prawdziwych i jedno fałszywe, kolażowe. 80% rozpoznawało siebie na podstawionym zdjęciu, pozostali mieli się raz jeszcze zastanowić... tak, po namyśle wielu potwierdzało fikcję. Czy to możliwe, by prawdziwa okazała się konstatacja, do której dochodzi psycholog-przyjaciel, słuchając zwierzeń Ariego? Morze oznaczałoby wówczas fale emocji, lęku i przerażenia. Zanurzenie jest współuczestnictwem... niekoniecznie jednak w tym, o co pytamy. Opowieści o rzezi przeorały świadomość Ariego na długo przedtem, zanim zbliżył się do niej na niebezpieczną odległość stu metrów. Są echem Holocaustu, którego cena wpisana była w historię jego rodziny.

Obok snu i wizji katarktyczną rolę odgrywają sygnały somatyczne. Tę samą wojnę ukazał rówieśnik Folmana, Samuel Maoz w *Libanie* (Złoty Lew 2009). Na planie filmowym reżyser zaczął odczuwać silne bóle stopy. Po dwudziestu czterech latach, wraz z uwolnieniem pamięci, wydostały się z jego ciała odłamki szrapnela.

Ari Folman dotarł do siedmiu przyjaciół sprzed lat, przeprowadził z nimi klasyczne wywiady, ostatecznie jednak wybrał animację. Rysunki twarzy oddają wygląd autentycznych postaci, słyszymy ich głosy (poza dwoma wyjątkami), poznajemy historie, które razem tworzą mozaikę coraz lepiej pasujących do siebie elementów.

Animacja w dokumencie jest formą niezwykłą (budziła dyskusję na temat dystynktywnych cech wypowiedzi dokumentalnej). Wynikała po części z niezgody kilku rozmówców na wykorzystanie sfilmowanego wizerunku, po części z nielicznych zachowanych materiałów archiwalnych. Okazała się formą pojemną i trafną. Oddając dramatyzm spotkań, naśladując mimikę twarzy i sposób bycia naznaczonych traumą czterdziestolatków, mogła jednocześnie skonfrontować te postaci z ich dziewiętnastoletnimi wcieleniami. Co więcej: pozwalała na uzupełnienie zwierzeń równie autentycznymi – choć niedającymi się zarejestrować kamerą – koszmarami sennymi, natrętnymi wizjami, urojeniami. Gdy animację zastępuje zarejestrowany kamerą krzyk palestyńskich kobiet, gdy ten krzyk przełamuje ciszę kilku poprzednich sekwencji, docieramy do mety. Płacz pokrzywdzonych nie

uniwinnia, choć w tym przypadku zdejmuje z żołnierzy izraelskich piętno morderców. Byli zdeorientowanymi świadkami.²

Bieg milczących antylop

Jean Hatzfeld, francuski reporter wojenny, tematem trzech swoich książek uczynił ludobójstwo w Rwandzie, są to: *Dans le nu de la vie* (Nagość życia, 2000), *Une saison de machettes* (Sezon maczet, 2003) oraz przetłumaczona na polski i nagrodzona w pierwszej edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego *Strategia antylop* (2007). Pierwsze powstały jako rezultat rozmów i obserwacji poczynionych po zakończeniu konfliktu. Ostatnia jest powrotem

Hatzfelda – do miejsc, do ludzi, do niezasychających ran i niemilkących pytań. Reporter odwiedza rejon Nyamaty, położony na południe od stolicy, rozpostarty na czternastu wzgórzach.

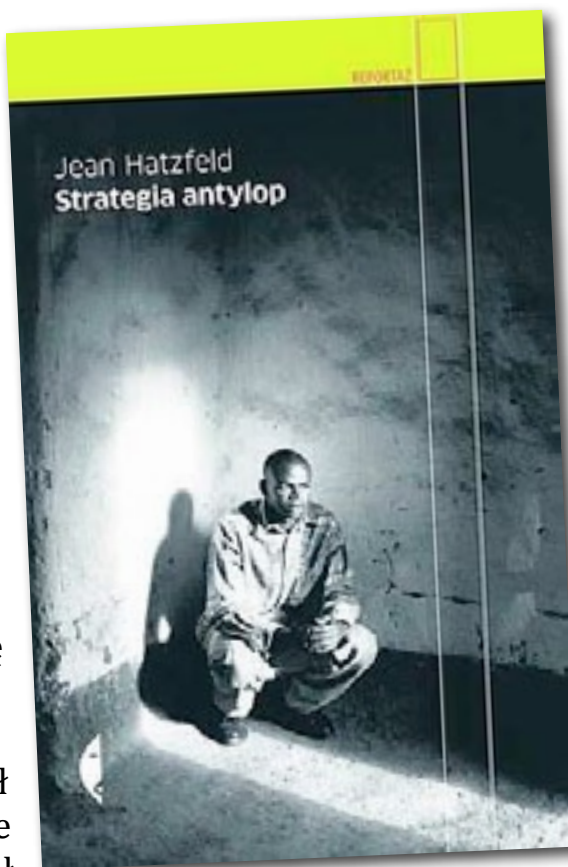
Ludobójstwo w Rwandzie eksplodowało po długich latach przygotowań. Przyczyniła się do niego polityka kolonialna prowadzona w myśl zasady *dziel i rządź*. Rwanda niepodległość ogłosiła w 1962 roku i była państwem słabym. Dwa tworzące ją plemiona – Hutu i Tutsi – odgradzały wzajemne animozje. Niby spletały się więzy krwi i żyli po sąsiedzku, ale podkreślano różnice, a w dowodzie tożsamości stemplowano pochodzenie jak znamienię. Były zadawnione upokorzenia i wywyższenia, zapamiętane krzywdy

i chęć odwetu. Odrębność podkreślały role społeczne (Hutu – rolnicy, Tutsi – hodowcy, z tej grupy wywodziły się również inteligenckie elity). Mówiono, że Tutsi są wyżsi, z lepszą prezencją. Do tego stereotypu odwołało się hasło nadawane przez radio w dniu rozpoczęcia rzezi: „Ścinać wysokie drzewa”.

Liczbę są wstrząsające. Pozostajemy w rejonie Nyamaty (skala kraju jeszcze je potęguje³).

„Masakry rozpoczęły się tu o godzinie je...denastej 11 kwietnia i zakończyły o czternastej 14 maja. Podczas tych pięciu tygodni zginęło około 50 tysięcy z 59 tysięcy miejscowych Tutsich. Zabijali ich ochotnicy z bojówek *interahamwe*, szkolonych przez wojsko rwandyjskie, oraz sąsiedzi Hutu codziennie od godziny dziewiątej do siedemnastej, włączając niedziele i święta.”⁴

Gdy ustały pogromy, a władzę przejął Front Patriotyczny Rwandy (przybyły z uchodźstwa zaciąg sił Tutsich), nastąpił czas powrotu do normalności. Droga powrotna. W wymiarze kraju polegała ona na ukaraniu morderców,



ochronie ocalałych i tworzeniu podwalin dalszego funkcjonowania rwandyjskiego społeczeństwa. Moja uwaga skupiła się na powrotach w wymiarze prywatnym. Nie sposób jednak pominąć kilku ważnych rozstrzygnięć. W ludobójstwo zaangażowanych było około miliona mężczyzn Hutu. Więzienia nie mieściły takiej liczby. A w 2003 roku, ze względu na stan gospodarki, ogłoszono dość szeroką amnestię, która zatrzymywała w celach jedynie przywódców zbrodniczych bojówek. Ofiary miały znów zamieszkać obok katów. Co więcej, rząd propagował wspierany przez europejskie inicjatywy program zgody i przebaczenia narodowego. W całym kraju prowadzono masowe szkolenia psychologiczne – jak nie drażnić przeciwnika, nie jątrzyć, lecz przebaczać.

Wsparcie terapeutyczne niewątpliwie pomagało budować most na drodze ku normalności, jeśli tylko społeczne dobro nie ingerowało zbyt brutalnie w osobistą gotowość do zablizniania ran. A ingerowało.

Bezprecedensowy mord, jaki rozegrał się wśród rwandyjskich wzgórz, trudno opisać reporterom, nie łatwo o nim czytać. Niewyobrażalnie ciężko jest żyć, gdy pamięta się ten czas z autopsji. Hatzfeld sugeruje wręcz syndrom milczenia (choć przecież sam zebrał wiele świadectw i wspomina o gałączy⁵ i wygłaszanych na niej nieustających zeznaniach).

„Po wojnie ludzie, którzy przeżyli, czują silną potrzebę dawania świadectwa. Po ludobójstwie – przeciwnie, ci, co przeżyli, dziwnie szukają ciszy.”

Czy kapitan Willard (vel conradowski Marlow) dotarł już do jądra dżungli? Czy usłyszał wyznanie Kurtza: „Wytepić całe to bydło!”⁶? To, co zdarzyło się w Rwandzie było niczym polowanie na zwierzynę, wyrzynanie gatunku.

Gdy myślę o drodze powrotnej, paradoksalnie przypomina mi się płatanina dróg z czasów rzezi, obraz, który najsilniej zrosł mi się z książką Hatzfelda. Historia Tutsich z lasów Kayumby. Większość tragedii rozgrywała się na bagnach. Eukaliptusowy, rzadki las na wzgórzu był miejscem szczególnym. Schroniło się tu sześć tysięcy osób, przeżyło dwadzieścia. Polowano na Tutsich za dnia i był to czas nieustannego, napędzanego potwornym strachem biegania: „...sześć tygodni szalonych galopad, sprintów, maratonów i skoków, o których [Eugene] mówi dzisiaj: «Robiliśmy rzeczy nieprawdopodobne, których nie sposób teraz wyjaśnić współbraciom. Nawet sobie samemu. Jak można potknąć się o pień, przekoziółkować trzy razy

i ruszyć sprintem, zygzakiem, by raz jeszcze uniknąć świszczących za plecami maczet»”.⁷ Dziesięć, kilkanaście godzin w ciągu dnia. Nie, to nie są najdrastyczniejsze obrazy. Ale stają się metaforą ucieczki, pędu donikąd, czujnej determinacji i poczucia, że – dosłownie lub w wyobraźni – maczety są tuż-tuż. Tytułowa strategia antylop oznacza rozpiezanie się w różnych kierunkach. Przeciwnik nie mógł dopaść wszystkich, wybierał jednych i rezygnował z drugich. Przeżywał ktoś kosztem kogoś.

Wracanie do normalności po wojnie jest przedłużeniem tego chaotycznego, samotnego biegu. Takie odnoszę wrażenie, gdy czytam o lęku przed spojrzeniem sąsiada Hutu, który bezkarnie i jakby z mniejszym bagażem (potwierdzają to rozmowy autora z mordercami) żyje tuż obok. Droga przypomina wahadło rozpięte między wczoraj a dziś. Sprzyjające warunki amortyzują tor wahadła, ale – niczym perpetuum mobile – powroty tam i stamtąd trwają bez końca.

A jednak opowieści ocalałych, snute dwanaście lat po wojnie, zawierają obrazy nowego życia. Ludzie zakładają rodziny, rodzą się dzieci, niektórym zaczyna się coraz lepiej powodzić. „To ciekawe, ale większości kobiet uśmiech nie schodzi z twarzy.”⁸ Są tacy, którzy mocno przywierają do teraźniejszości, ale przeszłość mają pod skórą i tuż obok. Najsilniejszą emocją, jaką pamiętam z reporterskiej relacji Hatzfelda, jest poczucie zażenowania wśród ocalałych,

to uporczywe pamiętanie, że było się niczym zwierzyna łowna, że przejęło się zwierzęce odruchy, strach, instynkt. I że zostaje po apokalipsie poczucie własnego ubrudzenia, być może silniejsze u ofiar niż u katów.

Sacrum i tabu

Rwanda powraca w lekturze reportażu Wojciecha Tochmana *Dzisiaj narzysujemy śmierć*. Tekst czytany tuż po *Strategii antylop* uderza silniejszą autorską ekspresją. Tochman jest w swym reportażu obecny nie tylko jako badacz tematu, również jako medium, poprzez które odczuwamy grozę sytuacji. Towarzyszy bohaterom, zwłaszcza Leonardowi, którego losy, choć stanowiące wariant rwandyjskiego

doświadczenia, są dzięki tej więzi czymś szczególnym. A my wraz z reporterem milkniemy i przechodzimy kolejne fazy: od wstrząsu, niedowierzania, po bezsilność czy daremność zrozumienia. Od pytań retorycznych po proste, ale porażające konstatacje.

„Słucham i myślę: o czymś bardziej okrutnym już pewnie nigdy nie usłyszę, nic bardziej okrutnego człowiek na



pewno wymyślić nie zdołał. Ale nie. To, o czym słyszę dzisiaj jest niczym wobec tego, o czym usłyszę jutro...”⁹

„...od wielu miesięcy wszystko to skrzętnie zapisuję (...), moje notesy są spuchnięte jak trupy w wodzie, wszystkie te ciała są przy mnie, martwe, ale i żywe, pokaleczone (...), moje notesy cuchną, wszystko, co w nich mam, podchodzi mi teraz do gardła”.¹⁰

Opowieść ujęta jest w klamrę. Znaczącą dla tematu drogi do źródeł traumy. Pierwszoplanowa postać, Leonard, tamtego kwietnia miał dziewięć lat. Wojna zabrała mu matkę i ojca. Tochman spotkał go jako dwudziestoczterolatka. Pierwsze zdania książki wspominają macierzyńską aurę Gloriose, o której śmierci Leonard nie potrafi mówić. Tym samym wymazuje on ze słownika jej imię i wydarzenia, których nie dopuszcza do świadomości (a przynajmniej: nie umie ich wyrazić). Scena końcowa rozgrywa się poza Rwandą. Leonard, zaproszony przez Tochmana do Polski, w samolocie, który oddala go od przeklętych miejsc, może wreszcie naprawdę do nich powrócić. Rysuje mapę, na której zaznacza krzyżykiem miejsce gdzie zamordowano matkę. Do tego momentu (między innymi) nawiązuje tytuł: *Dzisiaj narysujemy śmierć*. Klamra pokazuje, że między doświadczeniem utraty i bólu a możliwością wyartykułowania go (nie wiem, czy mogę ją określić mianem katharsis?) konieczna jest do przebycia droga. Znaczą ją czas, osvajanie, dojrzewanie.

Jest jeszcze jeden aspekt reportażu Tochmana, o którym chciałabym wspomnieć. Aspekt trudnej prawdy

o reagowaniu Kościoła katolickiego na rozgrywające się na jego oczach morderstwa. Wojciech Tochman pisze w sposób wyważony, ale nie asekurancki.

Katolicyzm to religia ponad połowy mieszkańców Rwandy (według innych danych nawet dwóch trzecich), więc pozycja Kościoła nie była marginalna. Nie miejsce tu, by analizować opinie o stronnictwym wsparciu Hutu przez duchownych, czy przypadki współpracy duchownych z mordercami. I na pewno potrzeba większych kompetencji, by oceniać, ile rzeczywiście było w mocy tej instytucji i czego można by oczekiwać od księży i zakonnic. Bohaterstwo nie jest obowiązkiem, a sytuacja ekstremalna wyznacza inną niż normalnie cenę za przyzwoitość. Faktem jest, że wiele relacji stamtąd podejmuje temat opuszczenia Rwandyjczyków przez tych, którzy reprezentowali europejskie instytucje. Do opancerzonych wozów ONZ zbierano „swoich”, wycofując się z zagrożonych terenów i umywając ręce. Odejście duszpasterzy było znakiem szczególnie jaskrawym.

Tochman opisuje przykład jednej parafii – Gikondo (w stolicy kraju, Kigali), w której kościół stał się miejscem masakry. Ci, którzy szukali w nim schronienia, znaleźli śmierć. Księża bronili monstrancji. To oddzielenie Boga, jedyne sacrum, od człowieka jest bolesne. Lękano się profanacji kościoła rozumianej jako nieposzanowanie miejsca, w którym znajduje się tabernakulum. A przecież sednem profanacji jest sam mord. Słusznie pyta Tochman o to, czy gdy ratowano Najświętszy Sakrament, Bóg był w opłatku hostii, czy w ciałach przestraszonych, skazanych na okrutną agonię, wierzących w Niego Tutsich?





Jądro ciemności jest przestrzenią złą. Nie tyle miejscem, co stanem świadomości człowieka, który odkrył w sobie potencjał zła lub przyzwolenie na nie. Tę zgodę tłumaczy idea, która wcześniej czy później okaże się mirażem.

W opowieści Conrada¹¹ wtajemniczenia doznaje genialny i potworny Kurtz. Jego wypowiedziane w agonii memento – „Zgroza! Ohyda!” – stało się jedną z najsłynniejszych literackich diagnoz ludzkiej natury. Przerazenie i wstręt wobec pustki, która pozostaje, gdy religia, etyka, sztafaż cywilizacyjnych rękoi okazują się papierowymi makietami. Czymś, co przed niczym nie zabezpiecza.

Ale szczególnie interesujący jest właśnie Marlow, który po długiej podróży w głąb Afryki dociera do świata zawładniętego przez Kurtza. Poznaje go, jest świadkiem zła, irracjonalnych rzezi, szaleństwa. Następnie wraca do Europy, a jego droga powrotna wydaje się być dłuższa niż wynikałoby z koniecznych do przebycia kilometrów. Powrót trwa bez końca.



Artykuł zilustrowano kadrami z filmu *Walc z Baszirem*



* Wspomniane konflikty wojenne mają swoją skomplikowaną genezę, której tutaj nie zgłębiam. Nie jest moim celem rozstrzyganie o racjach, koniecznościach i usprawiedliwieniach, jakie mają na swoją obronę uczestnicy wydarzeń. Nie przedstawiam ogromu tragedii. Interesuje mnie wędrówka odbywająca się ex post.

Bibliografia:

Jean Hatzfeld, *Strategia antylop*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.

Wojciech Tochman, *Dzisiaj narysujemy śmierć*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.

Filmografia:

Walc z Baszirem, reż. Ari Folman, Izrael 2009.

Temat wspomnianych w artykule konfliktów wojennych przybliży kino.

[Liban]: *Liban* (2009) [Rwanda]: *Hotel Rwanda* (2004), *Czasem w kwietniu* (2005), *Shooting Dogs* (2005), *Podać rękę diabłu* (2007).

Przypisy:

¹ *Czas apokalipsy*, reż. Francis Ford Coppola, USA 1979.

² Masakry Sabili i Szatiry dokonali libańscy falangiści (fanatyczni chrześcijanie), zwolennicy Baszira, w odwecie za jego śmierć. Ofiarom wycinali na piersiach znak krzyża. Żołnierze izraelscy osłaniali te działania – ich dowódcy nie reagowali na informacje o rzezi.

³ Ludobójstwo w Rwandzie pochłonęło ponad milion ofiar. Dane są szacunkowe.

⁴ Olga Stanisławska, *Wstęp* [w:] Jean Hatzfeld, *Strategia antylop*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009, s.5.

⁵ gaśca – trybunały ludowe, zbierające świadectwa i osądzające lokalne zbrodnie.

⁶ Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, tłum. J.Polak, Wydawnictwo Vesper, Poznań 2009, s.78.

⁷ Jean Hatzfeld, *ibidem*, s.49-50.

⁸ Jean Hatzfeld, *ibidem*, s.65.

⁹ Wojciech Tochman, *Dzisiaj narysujemy śmierć*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010, s.16.

¹⁰ Wojciech Tochman, *ibidem*, s.81-82.

¹¹ Chodzi o *Jądro ciemności* wydane po raz pierwszy w 1899 roku.

PAUL THEROUX

AKT ZNIKANIA W ŚWIECIE

Do amerykańskiego pisarza i podróżnika Paula Theroux najbardziej pasuje określenie z języka mwera, jakim posługują się mieszkańcy południowej Tanzanii – *mlendo*. *mlendo* jest słowem-wytrychem i oznacza zarówno podróżnika, wędrowca jak i obcego oraz gościa. Jednak w swoich podróżach Theroux nie wszędzie jest obcy.

Kamila Kunda



W latach 60. ubiegłego wieku pisarz mieszkał przez kilka lat w Ugandzie, nauczał przez dwa lata w szkole wiejskiej w Malawi. Posługuje się kilkoma językami afrykańskimi. „W Afryce”, jak pisze w książce *Dark Star Safari*, „po raz pierwszy dostrzegłem zarys tego, jak moje życie będzie wyglądało – że będzie zdominowane przez pisanie, samotność i ryzyko i już wtedy, w wieku dwudziestu kilku lat, posmakowałem tej niejednoznacznej przygody”.

A pogładowi, że podróż oznacza przygodę, Theroux dawał wyraz nie raz. Otwarcie pisał i mówił, że nie pokonywał kilometrów tylko po to, by zwiedzić obce kraje i poznać odmienne kultury. Przede wszystkim wyruszał w drogę, by zniknąć dla świata. Pierwszą książkę podróżniczą pt. *Wielki bazar kolejowy* opublikował w 1975 roku, mając już na koncie dziesięć powieści. Od tamtej pory napisał dodatkowo dwadzieścia książek beletrystycznych i tyle samo podróżniczych. Gnało go w świat. Miał dość, zwłaszcza w późniejszych latach, bycia zależnym od telefonów, e-maili, faksów. Już na pierwszych stronach *Dark Star Safari* pisze, że podróżował, by uciec od tego wszystkiego. Wierny był myśli Baudelaire’a, który głosił, iż prawdziwi podróżnicy to ci, którzy wyjeżdżają dla samego wyjeżdżania.

Pierwszą wielką podróż odbył w złym dla siebie okresie. Mieszkał wcześniej przez kilka lat w Ugandzie i Malawi oraz w Singapurze, więc nie można powiedzieć, że nie miał pojęcia o kulturach odmiennych od jego własnej,

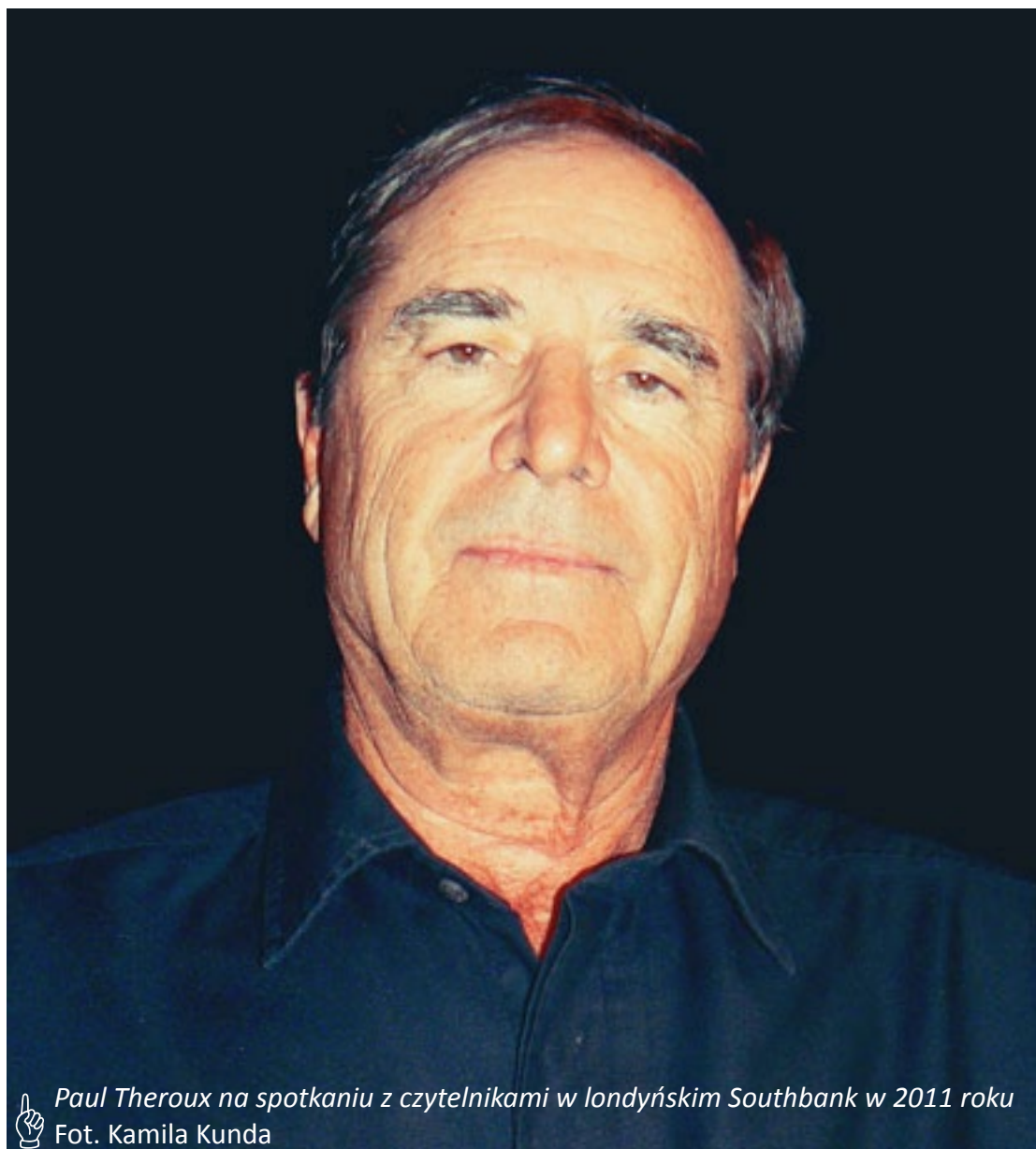
amerykańskiej. Wybrał kolej jako główny środek transportu, gdyż już jako mały chłopiec słysząc gwizd pociągu marzył, by znaleźć się w nim. Uważał ponadto, że jest coś romantycznego w podróży pociągiem, pewien komfort i wygoda. Potem doszły także inne refleksje. Nie planował początkowo napisania książki podróżniczej, lecz dał się przekonać wydawcy. Na cztery miesiące zniknął w Azji, pozostawiając w Londynie niezadowoloną żonę z dwojgiem małych dzieci. Żona w czasie jego nieobecności znalazła sobie kochanka, pisarza zaś nękały wyrzuty sumienia, tęsknota i niepewność, czy dobrze uczynił i czy zarobi na utrzymanie z książki, którą miał napisać na podstawie odbytej podróży. Po powrocie musiał zmierzyć się nie tylko z ciężką sytuacją rodzinną, ale też zebrać w całość swoje notatki, przemyślenia i obserwacje.

Nic dziwnego, że ta pierwsza podróż nie należała do szczególnie udanych. Theroux, jak przyznał sam po latach, był w 1973 roku zbyt młody, niedoświadczony i pośpieszny, by cieszyć się samą podróżą. Wyznawał pogląd, że „podróż wymaga całkowitego oddania, trzeba się w niej zanurzyć, musi być długa, świadomą wyprawą w głąb kraju, a nie przenoszeniem się z miejsca na miejsce” (*Wielki bazar kolejowy*). Nie będąc w stanie oddać się podróży całkowicie, nie nakreślił pozytywnego wizerunku samego siebie. Cechowała go duża arogancja i niechęć do ludzi. Z ulgą zamykał się przed nimi w osobnym wagonie sypialnym, a ingerencja w jego prywatność



budziła u niego rozdrażnienie i zniecierpliwienie. I choć na samym początku *Wielkiego bazaru kolejowego* pisze, iż wraz z nabieraniem tempa podróż kolejną poprawia podróżnemu nastrój, u niego samego nastrój raczej psuł się wraz z pokonywanymi kilometrami. Ogarniał go coraz większy

trase. Podróż pociągiem ożywiała moją wyobraźnię i zwykle pomagała mi uporządkować myśli. Podróżowałem dzięki temu w dwóch kierunkach – w głąb Azji, która zmieniała się migotliwie, ilekroć wyjrzałem za okno, i w głąb mojego prywatnego świata pamięci i języka. A trudno moim zdaniem o szczęśliwsze połączenie”.



Paul Theroux na spotkaniu z czytelnikami w londyńskim Southbank w 2011 roku
Fot. Kamila Kunda

niepokój, a ostatni odcinek kolejną transsyberyjską był niemal koszmarem. Praktycznie bezustannie pocieszał się alkoholem i czasem ostentacyjnie prezentował na stoliku butelki z trunkiem przemierzając kraje muzułmańskie, w których picie alkoholu nie było tolerowane i nie zjednywało mu sympatii innych.

Jednak nawet wtedy dostrzegł pewną zasadę, którą potwierdził w późniejszych wojażach: im większy pociąg i dłuższa podróż, tym przyjemniej można spędzić czas. Krótkie podróże są zbyt męczące, a Theroux interesowało zadomowienie się w swym przedziale. Jak pisał w *Wielkim bazarze kolejowym*: „Umiałem już czuć się w wagonie jak w domu i z przyjemnością ruszałem w dwu-, trzydniowe trasy, podczas których dużo czytałem, jadłem obiady w wagonie restauracyjnym, po obiedzie drzemałem, wczesnym wieczorem uzupełniałem zapiski w dzienniku, a przy pierwszym drinku zaznaczałem na mapie pokonaną

Z każdą kolejną podróżą Theroux nabierał ogłady, był coraz bardziej czytany, a jego styl pisanía stawał się swobodniejszy, zdecydowanie bardziej błyskotliwy, język cięty, ale nie obraźliwy. Coraz więcej w nim było zrozumienia dla inności, coraz więcej wychodzenia naprzeciw ludziom. Rosła w nim pokora, cytował Gustava Flauberta: „Podróżowanie czyni cię skromnym – dostrzegasz, jak maleńkie miejsce zajmujesz w świecie” (*Dark Star Safari*). Przemierzał swą drogę coraz wolniej. Jeszcze na początku podróży po Chinach w 1987 roku, która trwała całe dwanaście miesięcy i o której powstała książka *Riding the Iron Rooster. By Train through China* szybko przemieszczał się z miejsca na miejsce, by zwolnić dopiero po kilkudziesięciu dniach. Im dłużej przebywał w danym kraju, tym ostrożniejszy był w wydawaniu opinii na jego temat. W Chinach dostrzegł, że „chińska historia to warstwa na warstwie, teraźniejszość częściowo wymazująca przeszłość”, zauważał kolosalne różnice między poszczególnymi regionami i samymi mieszkańcami. Przyznał, że „Chiny są tak silnie obecne w ludzkiej świadomości, iż trudno jest odrzucić mit i dostrzec rzeczywistość”. W ciągu zaledwie kilku lat był w tym kraju dwukrotnie i naocznie obserwował olbrzymie zmiany.

Odrzucał dyplomację. W swych podróżach drażył kontrowersyjne zagadnienia: w Chinach pytał o hipokryzję i karę śmierci, w Indiach o biedę i system kastowy, w Afryce o korupcję i uzależnienie wielu społeczeństw od pomocy humanitarnej. Z przykrością wyznawał w *Dark Star Safari*, że „Afryka wpasowała się w stereotyp samej siebie: przymierający głodem ludzie, zaniedbana ziemia rządzona przez tyranów, plotki o nie dającym się opisać okrucieństwie, rozpacz i ciemność”. Mimo przykrych obserwacji z Afryki, gorszej sytuacji gospodarczej i społecznej w porównaniu z tą, jaka panowała, gdy on tam mieszkał, odczuwał niezwykłą przyjemność z przemierzania kontynentu afrykańskiego. Podróżował niczym osiemnastoletni backpacker, znosząc bez skargi niewygody, nie tracąc dobrego humoru, nie niecierpliwiąc się nadmiernie. Słuchał plotek i krążących opinii, ale wyrabiał sobie własne zdanie o danym miejscu, jego



mieszkańcach czy kulturze. W trakcie podróży wyrażał często niepopularne sądy i zaglądał za kulisy, dostrzegając, co się kryje za boomem technologicznym Bangalore czy reżimem Roberta Mugabe w Zimbabwie. Ostro krytykował ludzi widzących wszystko w czarno-białych barwach lub mitologizujących dany kraj czy region, jak np. Karen Blixen czy Ernesta Hemingwaya, którzy z Afryki uczynili pocztówkowy widoczek pełen dzikich zwierząt i służalczych autochtonów. Jeszcze podczas pierwszej podróży opisaney w *Wielkim bazarze kolejowym* można wyczuć protekcyjny ton, w *Dark Star Safari* czy *Pociągu widmo do gwiazdy wschodu* jednak nie ma po nim ani śladu.

Uważny czytelnik książek Theroux zauważy też, jak w miarę poznawania świata pisarz zdobywał zdolność dopasowania się do rytmu, jakim żyje dany kraj. Lepiej przygotowany – zawsze dokładnie podaje tytuły, autorów i swoje wrażenia z książek, które czyta w podróży – spotykał mnóstwo ciekawych ludzi i coraz mniej czasu spędzał w samotności. We wstępie do *Old Patagonian Express* pisze, iż w podróży, której kulminację stanowiła

jego pierwsza książka podróżnicza, po prostu zapuścił się w Azję. W kolejnej zaś – ze swego amerykańskiego domu aż do Patagonii świadomie eksperymentował z czasem i przestrzenią. Wyznaje też, że podróż po Azji stawiała go na marginesie wydarzeń ze względu na nieumiejętność posługiwania się w hindi, urdu, farsy, malajsku czy japońsku. Dlatego do podróży po Ameryce Południowej przygotował się także ucząc się solidnie hiszpańskiego. Jego wyprawy do Chin i Afryki nabierają głębi również dzięki temu, iż autor potrafi porozumiewać się z lokalnymi mieszkańcami bez tłumacza, potrafi przeczytać napisy na murach czy lokalne gazety. Poczucie humoru zawsze było jego mocną stroną. Z przymrużeniem oka porównywał specyfikę konkretnych pociągów do charakteru narodowego, pisząc o wietnamskich kolejach z kuloodpornymi szybami w lokomotywie, rosyjskich z samowarem, irańskich z dywanikami do modlitwy, indyjskich z kuchnią wegetariańską i sześcioma klasami, malezyjskich ze straganem z daniem z makaronem czy cejlońskich z wagonem zarezerwowanym dla mnichów buddyjskich.



Solitary walk — fotografia zrobiona w Sudanie,
w pobliżu górskiej miejscowości Erkowit
Fot. Luca Belis



Theroux lubił przemierzać wielkie obszary drogą lądową i to się nie zmieniło na przestrzeni lat. Twierdzi, że gdy skacze się między krajami, latając samolotami, widzi się oderwane od siebie kawałki, zamiast dostrzegać związki między poszczególnymi częściami jednego kontynentu czy globu. Lot samolotem zaburza czas i przestrzeń, podróż pociągiem poza tym, że przywraca właściwie proporcje, pozwala obserwować ludzkie życie: domy na prowincji, przedmieścia miast, pracę w polu, zabawę dzieci. Pozwala uczestniczyć w życiu mieszkańców bez poczucia, że jest się intruzem. Pisał w *Dark Star Safari*: „Przemieszczanie się z mozołem lokalnym transportem (pociągami w Azji, samochodami i autobusami oraz łodzią w Afryce,

wszelkimi pojazdami wodnymi między wyspami Pacyfiku) pozwala widzieć, jak poszczególne kraje i regiony łączą się ze sobą”. W Afryce widział, jak ustanowione przez europejskich kolonizatorów granice tworzą sztuczne podziały. Dzięki powolnemu posuwaniu się lądem z Kairu do Cape Town Theroux nie czuł się tak bardzo człowiekiem znikąd, obcym. Odkrywał też więź z ziemią, z historią własną, prywatną (odwiedzał miejsca, w których mieszkał czy nauczał, swoich starych przyjaciół i dawnych znajomych) oraz z historią świata, z oddziaływaniem jednej kultury na inną: „Inna droga, wolne wędrowanie, mijanie granic narodowych, przechodzenie wzdłuż drutu kolczastego z torbą i paszportem było najlepszym sposobem, by przypomnieć sobie, że istnieje związek między Tu i Tam, i że opowieść podróżnicza jest historią o Tam i Z Powrotem” (*Dark Star Safari*).

Nie bez znaczenia był w jego podróżach fakt upływu czasu. Theroux inaczej postrzegał rzeczy – i sam inaczej był postrzegany – podczas swej pierwszej podróży jako trzydziestotrzylatek, a zupełnie inaczej, gdy pokonywał w dużej części tę samą trasę trzydzieści trzylata potem. Starość, a w wielu rejonach był uważany za starca, dawała mu pewne przywileje. W Afryce, którą przemierzał mając sześćdziesiąt lat, uchodził niemal za matuzalema, lecz spotkani ludzie często dawali mu nie więcej niż czterdzieści dwa lata (w wielu krajach przeciętna długość życia nie była wyższa niż to). Jako biały, starszy pan mówiący w dodatku lokalnym językiem budził niekiedy pewnego rodzaju respekt, aczkolwiek bywały rejony, w których na nikim nie robił wrażenia, mieszkańcy tak przywykli do obecności białych pracowników organizacji pozarządowych. W Ugandzie, odwiedzając ją ponownie po ponad trzydziestu latach nieobecności, poczuł silną więź z sobą samym. Zapisał w dzienniku, cytowanym w *Dark Star Safari*: „Nie chcę być znowu młody. Jestem szczęśliwy będąc kim jestem. To zadowolenie jest bardzo pomocne w podróży tak długiej i trudnej jak ta”. Faktycznie ta podróż trwała długo, a Theroux tak świetnie czuł się w Afryce, że nie mógł z niej wyjechać i przedłużał podróż jak mógł, planując jednocześnie kolejną wyprawę, po tych afrykańskich krajach, których nie zobaczył tym razem.

Poza zmianami, jakie dostrzegał w wielu krajach – pogorszenie poziomu życia mieszkańców Malawi czy

szalony wręcz postęp w Chinach, modernizacja Japonii (która już w 1973 roku wydała mu się niezmiernie rozwinięta pod względem technologicznym) – z przyjemnością odnotowywał, że pewne aspekty życia pozostały te same, mimo upływu lat. Japończycy byli tak samo uprzejmi jak dawniej, a wsie indyjskie sprawiały wrażenie, jakby czas się w nich zatrzymał. Jednocześnie często podkreślał, że nie chce zamienić się w zgryźliwego staruszka, wspominającego wiecznie, jak to kiedyś było dobrze, a teraz jest źle. Pokorę budziło w nim nastawienie licznych spotkanych ludzi do niego. Po tym, jak wiele krzywdy Amerykanie zadali Wietnamczykom podczas wojny, Theroux jako Amerykanin spotkał się po latach z gościnnością, jakiej się nie spodziewał. Wietnamczycy mówili mu, iż nie czują żalu do jego narodu. Z podobną zdolnością do wybaczenia spotkał się u Chińczyków, którzy na wspomnienie Mao Zedonga często wzruszali ramionami. Woleli myśleć o przyszłości niż żyć w przeszłości. Theroux wzruszała ludzka życzliwość i przepełniała go wdzięczność do obcych, którzy dzielili się z nim jedzeniem czy swoim czasem, pomagali mu bezinteresownie, gdy zmuszony był prosić o pomoc – a podróż to przecież często skazanie siebie samego na ufanie obcym, na proszenie o wsparcie. Jednocześnie nie miał złudzeń, że dla niektórych miejscowych, niezależnie od kraju czy kontynentu, reprezentuje „portfel na dwóch nogach”.

Obserwacje, jakie poczynił Theroux przez lata, miały zapewne duży wpływ na jego sposób pisanie o podróżach. We wstępie do *Pociągu widmo do gwiazdy wschodu* zauważa, że większość literatury podróżniczej przybiera formę pochopnego wyrażania konkluzji, uogólniania. Jego zdaniem książki podróżnicze często są powierzchowne i nudne. Jest to forma krytyki samego siebie sprzed lat, swych narzekań z wypraw, jakie odbył w latach 70. i 80. i swego wówczas aroganckiego stosunku do innych. A jednak podczas tej pierwszej, najcięższej podróży, złapał bakcylię i został wiecznym nomadem. Stał się niemal jak angielski pisarz z powiedzenia: „Francuski pisarz, szukając materiału na powieść, wdaje się w romans. Angielski pisarz wyrusza w podróż”. O planowaniu podróży po Ameryce Południowej napisał, że marzył przede wszystkim o spotykaniu ciekawych ludzi – cóż za zmiana w porównaniu z pierwszą wyprawą! Pragnął, by *The Old Patagonian Express* był „pełen twarzy i głosów, z wyraźnym pierwszym planem i tłem”. Udało mu się znakomicie spełnić zamierzenie. W jednym z wywiadów żartował, że uwielbiał grać rolę króla w dramacie elżbietańskim, który przywdziewa nierzucającą się w oczy pelerynę i spaceruje po rynku, podsłuchując szczere zwierzenia ludzi. Theroux jednak nie przestał nigdy odczuwać też radości ze zwykłego pokonywania kilometrów, podróż stała się dla niego z czasem celem życiowym samym w sobie. Ulotność ludzkiej egzystencji wyrażana w tym, że nikt nie wie, kim jesteś, znajomi nie wiedzą, gdzie jesteś, i łatwość, z jaką przemieszczasz się między jednym miejscem a drugim –

to pociągało go najbardziej. Spisując swe doświadczenia i wrażenia obnażał siebie samego i był tego świadom. W *Riding the Iron Rooster* z godną podziwu szczerością wyznał: „Pisanie o podróżach jest pomniejszą formą autobiografii”.

Niejednokrotnie Theroux widywał miejsca, w których mógłby zamieszkać. Za każdym razem jednak odrzucał zaraz tę myśl, ciekawy, co będzie za zakrętem, za kolejną granicą. Pod koniec podróży robił mentalną listę miejsc, których będzie unikał na przyszłość i miejsc, do których z chęcią by powrócił. I tak nie zamierzał nigdy powrócić do Singapuru (jednakże wrócił do niego podczas podróży opisaney w *Pociągu widmo do gwiazdy wschodu*), Iranu, Mandalay czy Afganistanu. Wielkie wrażenie zrobiły na nim Sztambuł, Peszawar, Wietnam, Tybet, Kioto, Sudan, Etiopia, Zimbabwe i RPA i albo odwiedził te miejsca przynajmniej dwukrotnie albo zanotował jako wartę ponownej wizyty. Swoim domem jednak od lat czyni Stany Zjednoczone – Hawaje i Cape Cod w Massachusetts. Szczerze przyznaje, że najtrudniej byłoby mu pisać o rodzinnym mieście i kraju, w którym czuje się u siebie. Napisanie współczesnej wersji steinbeckowskich *Podróży z Charleyem* stanowiłoby dla niego wyzwanie, ale nie wyklucza tego zupełnie. Na wakacje jeździ do miejsc takich jak Maine czy Madryt i jak przyznał w którymś z wywiadów: „Wakacje są zwykle przyjemne, co przekłada się na *nic*, o czym można by napisać”. I dodaje, że czuje misję, by pisać, patrzeć, obserwować. Gdy tego nie czyni ma wrażenie marnowania czasu. I pewnie też zbyt niego osadzenia w rzeczywistości, bo jak napisał w *The Old Patagonian Express*: „Podróż jest aktem znikania, samotną wyprawą w dół cienkich granic geografii ku zapomnieniu”.

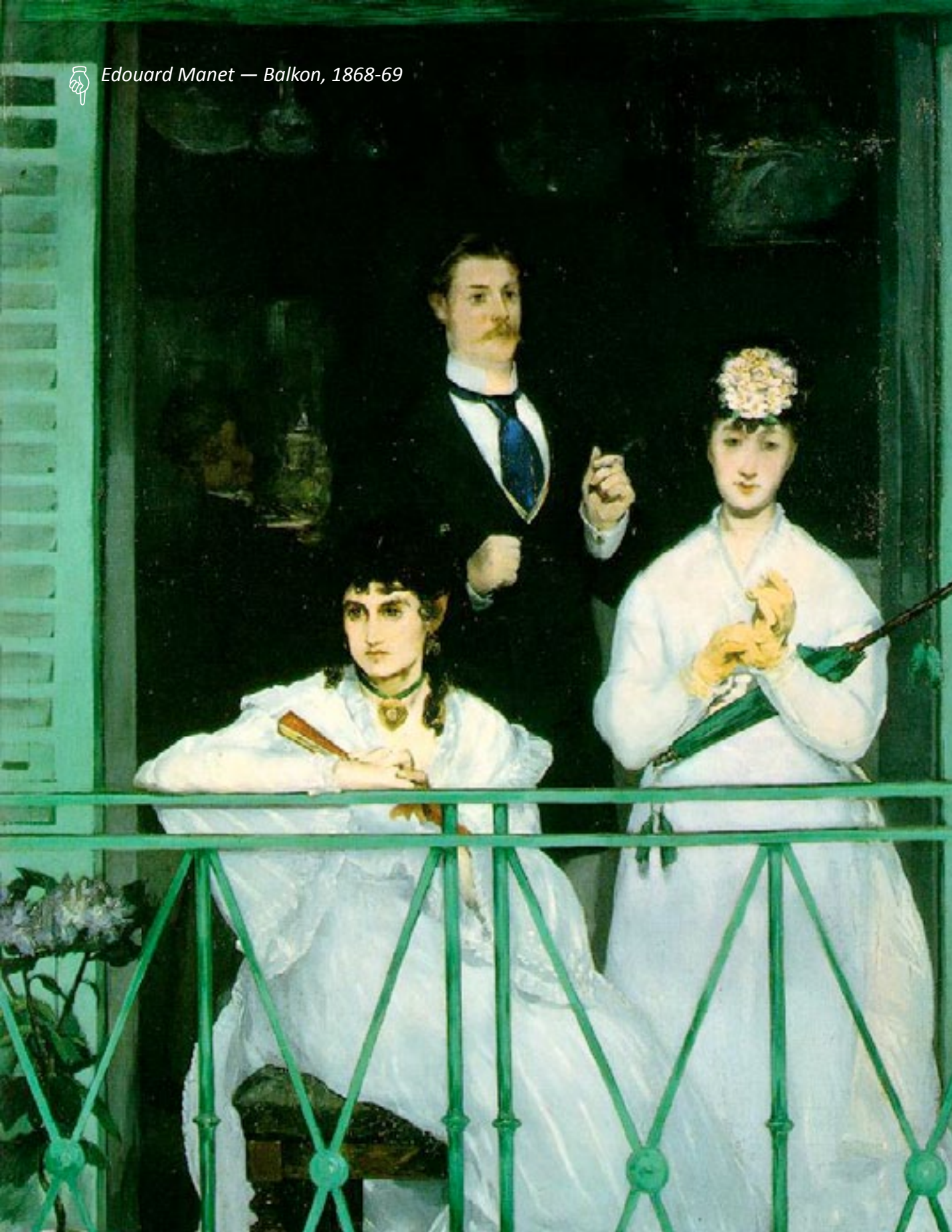
Cytaty z książek niedostępnych w języku polskim zostały przetłumaczone przez autorkę tekstu.

Bibliografia:

- Paul Theroux, *Dark Star Safari*, Penguin Books, 2002.
- Paul Theroux, *Pociąg widmo do gwiazdy wschodu*, wyd. Czarne, 2010.
- Paul Theroux, *Riding the Iron Rooster. By Train through China*, Penguin Books, 1988.
- Paul Theroux, *The Old Patagonian Express*, Penguin Books, 1975.
- Paul Theroux, *Wielki Bazar Kolejowy*, wyd. Czarne, 2010.

Fotografie udostępnione zostały przez następujących fotografów:

- Luca Belis, www.trekearth.com/members/Mistral
- Boris Kester, www.boriskester.com
- Michael Trezzi, www.trezzi.eu
- Arne Uusjärv, www.arne.planet.ee



KUPCA GALANTERYJNEGO I ŻEGLARZA NA KONIU WĘDRÓWKI KU ZROZUMIENIU

Anna Maślanka

Martin Eden Jacka Londona to historia młodego, niewykształconego mężczyzny z niższych sfer, w przeszłości marynarza i poszukiwacza przygód, który nosi wiele cech samego Londona. Już choćby opis wyglądu tego bohatera nie pozostawia złudzeń, że to alter ego autora: „Ponad czworokątnie sklepionym czołem ujrzał kasztanową czuprynę, falistą i przechodzącą w drobne loki. (...) Chłopiec zapytywał sam siebie, czy widać duszę w tych jego stalowoszarych oczach, które często bywały całkiem błękitne i jaśniały siłą słonych, morskich wichrów. (...) Zdziwiła go ogorzałość własnej twarzy. Nie przypuszczał, że może być aż tak czarna. (...) Jego usta można by przyrównać do ust cherubina, gdyby nie to, że pełne, zmysłowe wargi zwykły w chwili napięcia zaciskać się szczelnie. Czasami zwierzały się tak silnie, że stawały się surowe i ostre, niemal ascetyczne. Były to usta stworzone do walki i miłości. (...) Broda i szczęki, wydatne i świadczące o pewnej agresywności, pomagały wargom opanowywać życie”.

Z twarzy Martina Edena można czytać jak z książki – waleczność, siła woli,

bezkompromisowości i szczerą się na jego obliczu ujawnia się, gdy przystąpi do walki o serce kobiety, którą pokocha. Ta kobieta to Ruth Morse, panna z wyższych sfer, która od pierwszej chwili ukazuje się prostemu chłopcu w nimbie świętości i staje się dla niego ucieleśnieniem wszystkiego, co piękne, wykwintne i mądre. Ta historia również jest oparta na autentycznych wydarzeniach – pierwowzorem Ruth była Mabel Applegarth, pierwsza prawdziwa miłość pisarza i przez pewien czas narzeczona. Można więc przypuszczać, że czytając o dziejach Edena poznajemy drogę, jaką przebył sam Jack London.

Martin Eden wprowadzony zostaje do domu Morse'ów jako wybawiciel Arthura Morse'a, brata Ruth, w ulicznej bójce. Zafascynowany pięknymi wnętrzami, subtelnością

i elokwencją ludzi z wyższych sfer, nie zdaje sobie sprawy, że traktowany jest tam raczej jako rodzaj cyrkowej małpki, egzotyczny produkt nieznanego arystokratom świata, który może im zapewnić odrobinę rozrywki. Z czasem, gdy pojawi się pewna zażyłość między panną Morse a Martinem, jej rodzice postanowią wykorzystać go do „uczuciowego rozbudzenia” dziewczyny, tak by wreszcie zaczęła dostrzegać mężczyzn i z większą ochotą przystąpiła do szukania kandydata na męża. Naiwny młodzieniec jednak, ufając, że mocne pragnienie i ciężka praca wystarczą, by Morse’owie uznali go za równego im, już tego pierwszego wieczora podejmuje solidne postanowienie, że nauczy się dobrych manier, zacznie dbać o czystość, czytać książki i stanie się takim, jak ci, których podziwiał.

Miłość Martina jest wielka i gorąca, ale niezdrowa – chłopak stawia swą wybrankę na piedestale, uznaje ją za bóstwo, chciałby wręcz modlić się do niej. Oto strzępek jego rozmyślań na temat panny Morse: „Ciało Ruth miało jakieś cechy odmienne. Nie uważał go za twór z krwi i kości, podległy cielesnym chorobom i ułomnościom. Jej ciało było czymś więcej niż przybytkiem ducha. Było ono wykwitem tego ducha, czystą i uroczą krystalizacją jej boskiej istoty. (...) Ogarniał go religijny nastrój. Poczł się pokorny i skromny, pełen samozaparcia i dobrowolnego poniżenia. (...) Złapał się na rozważaniu nad tym, jakim cudem byłaby pieszczota takiej dłoni, i zarumienił się

w poczuciu winy. To była zbyt grubiańska myśl”. Martin z upodobaniem wchodzi w rolę robaka wijącego się u stóp kobiety-bóstwa. Wszystko, co ona uczyni i powie, jest święte, a jeśli nawet on ma inne zdanie na jakiś temat, jest to tylko dowodem na jego ciemnotę. Oto punkt startowy jego drogi.

Tak naprawdę to nie osoba Ruth wzbudziła w tym młodym mężczyźnie tak wielką miłość. Możliwe, że zakochałby się bez pamięci w którejkolwiek arystokratce, podstawionej w miejsce panny Morse. „Chcę oddychać takim powietrzem, jakie jest w tym domu, powietrzem, w którym czuje się książki, obrazy i inne piękne rzeczy; chcę żyć z ludźmi, którzy mówią cicho, są czyści i mają czyste myśli”. Jego żarliwe uczucie to pragnienie piękna, wiedzy, czystości, ale i prawdy – czy uda mu się ją znaleźć wśród krewnych i przyjaciół Morse’ów?

Swą wielką przemianę Eden zaczyna od poprawy powierzchowności. Myje zęby (pierwszy raz w życiu), zaczyna dbać o dłonie, postawę, właściwy ubiór. Uporawszy się z tym, przystępuje do rozwoju intelektualnego. Pierwsza wizyta w bibliotece przyprawia go o zawrót głowy – biedny młodzieniec nigdy nie zdawał sobie sprawy, że napisano tak wiele książek i on, by stać się godnym Ruth, będzie musiał je wszystkie przestudiować! Natura Martina jednak nie wie, co znaczy poddanie się, na



Edouard Manet, *Na łodzi*, 1874



przekór wszystkiemu dąży do celu. Pierwsze przeczytane strony przynoszą niedosyt, który sprawia, że bohater żarłocznie pochłania kolejne książki, bowiem „w miarę czytania głód nie tyle malał, ile rósł jeszcze”. Zupełnie jak Jack London opisany w zbeletryzowanej biografii *Żeglarz na koniu* Irvinga Stone’a, o którego pasji czytelniczej Stone pisze obrazowo: „Zatapiał kły w gardle książki, potrząsał nią zaciekle, aż mu się poddała, a wtedy chleptał jej krew, pożerał mięso, chrupał kości, póki nie wchłonął ostatniego włókna jej ciała, nie wyssał z niej wszystkich soków”.

Wkrótce budzi się w Martinie cień podejrzenia, że Ruth nie jest osobą o tak szerokich i śmiałych poglądach, jak mu się

są na niepowodzenie wysiłki Ruth, by „wtłoczyć go w formy właściwe ludziom z jej otoczenia”. Ten człowiek nie dałby się wtłoczyć w jakąkolwiek formę. To żywa, iskrząca inteligencja, siła i bezkompromisowość.

Między jedną a drugą książką rodzi się w Martinie pomysł, by spróbować pisania. Zwabiony wysokimi stawkami, jakie oferowane są pisarzom przez czasopisma publikujące ich teksty, zaczyna opisywać swe morskie wyprawy. Od tej pory będzie to jedyna uznawana przez niego forma pracy, przy czym pieniądze same w sobie nie mają dla niego żadnego znaczenia, liczą się tylko jako narzędzie zbliżenia go do wybranki serca. Zapalony do tego pomysłu, chłopiec

angażuje się w pracę pisarską tak bardzo, że pisanie zajmuje mu cały dzień, długi – bowiem i sen postanowił ograniczyć do pięciu godzin. Zaczyna głodować, gdyż przy takim trybie życia nie ma oczywiście czasu na dodatkową pracę zarobkową, a sukces nie przychodzi od razu – jego pierwsze próby pisarskie spotykają się z dezaprobatą. W chwilach zwątpienia w umyśle Martina rodzi się iście kafkowska wizja wydawnictw i redakcji czasopism – to nie ludzie czytają nadesłane rękopisy, lecz bezduszne maszyny, automatycznie pakujące owoce ludzkiego talentu z powrotem do kopert i odsyłające twórcom. I choć walka z taką maszyną wydaje się beznadziejna, a w powodzenie Martina nie wierzy nikt prócz niego samego, nie poddaje się i każdego dnia wyklepuje na maszynie swoje pięć tysięcy słów.

Na uboczu drogi, którą podąża bohater, pojawiają się osoby i miejsca, które także go zmieniają. Na kilka miesięcy zatrudnia się w hotelowej pralni, gdzie razem z innym pracownikiem, Joe Dawsonem, pracują tak ciężko, że w dzień wolny nie potrafią się obejść bez szklanki czegoś mocniejszego. W samotności, z dala od Ruth i jej arystokratycznego środowiska, Martin rozmyśla o tym, jak świat jest urządzony – uświadamia sobie upodlenie, jakemu ulegają ludzie ciężko pracujący i dostrzega przepaść

jaka jest między nim, jego rodziną i przyjaciółmi a światem Morse’ów, nigdy nieskalanych harówką. Wnioski, jakie wysnuwa, zbliżają go do socjalizmu, który poznał już wcześniej z płomiennych ulicznych przemów. Eden jednak nigdy nie stał się socjalistą w pełnym znaczeniu tego słowa – sam określał siebie jako indywidualistę. Poeta Brissenden, zdeklarowany socjalista, pragnie go przeciągnąć na swoją stronę, mówiąc mu, że kiedy już



Georges Croegaert, *Czytelniczka*, 1888

wydawało. W odpowiedzi na jego argumenty w niektórych kwestiach dziewczyna odpowiada komunałami, których nauczono ją w domu i na uczelni, podobnie zresztą jak cała jej rodzina. Martin marginalizuje ten fakt, wmawia sobie, że „miłość jest wyższa nad rozum”, choć sam jest zupełnie inny – analizuje, docieka, nie wystarczają mu poglądy, którym powszechnie się hołduje, pragnie sam ukształtować swoją opinię na każdy temat. Dlatego też z góry skazane

osiągnie sukces, a pozostanie indywidualistą, nie będzie to dla niego nic znaczącego. Słowa te okazały się prorocze.

Wysiłki nie okazują się bezowocne – wkrótce po powrocie do miasta z pracy w pralni, wbrew wcześniejszym zapewnieniom Ruth, że Martin jest dla niej ledwie zabawką, „buldogiem, którego wzięła do zabawy”, podczas wyprawy rowerowej para zaręcza się. Martin jest nieprzytomnie szczęśliwy i pełen optymizmu, że wszystko się ułoży, a rodzice panny Morse zaakceptują ich plany małżeńskie. Naiwna młodość roi sobie, że wobec wielkiej miłości wszystkie przeszkody runą.

Jest to jednak początek końca. Jako miłośnik prawdy, której nauczyły go ukochane lektury, Martin staje się bardziej wyczulony na wszelką hipokryzję i kiedy dostrzega ją w arystokratycznym towarzystwie spotykającym się w domu Morse’ów, nie może dłużej milczeć. Zaczyna głośno krytykować niezdolność burżuazji – „pustogłównych, miernot, nieuków, istot bezmyślnych lub myślących powierzchownie i dogmatycznie” – do samodzielnego myślenia, nie wyłączając już poza obręb takich pozbawionych własnego zdania istot ukochanej Ruth. Uświadamia sobie w końcu, że jego narzeczona nigdy nie miała blasku, który w szale młodszej egzaltacji jej przypisał, że jest bardziej gwiazdą niż słońcem, odbija tylko światło pochodzące od niego samego. Zerwanie zaręczyn więc, którego wkrótce dokonuje Ruth w odpowiedzi na „wybryki” narzeczonego, nie robi na nim aż tak wielkiego wrażenia, jak zrobiłoby zapewne kilka miesięcy wcześniej.

W momencie, kiedy świat Martina wali się – nic dziwnego, skoro zbudowany został, jak się okazało, na fundamentach z piasku – jego utwory literackie, wysyłane cierpliwie do czasopism w ciągu ostatnich miesięcy, zaczynają być przyjmowane. Nic nie może jednak już ucieszyć zgorzkniałego młodzieńca z duszą starca. niespodziewana życzliwość, żywiołowe uznanie i szacunek ze strony tych, którzy niegdyś mieli go za nic – krewnych Ruth i ich wysoko postawionych znajomych – budzi w nim jeszcze większe rozgoryczenie, bowiem zdaje sobie sprawę, że ci wszyscy ludzie nie kochają go za to, kim jest, lecz za jego pozycję i majątek. Zżalem wyrzuca: „Praca już wtedy była dokonana! A wy teraz dopiero mnie karmicie, wówczas zaś kazaliście mi zdychać, odmawialiście gościny i wyklinaliście mnie za to, że nie chciałem brać posady”.

Zatruty obłądą burżuazji usiłuje wrócić do swoich sfer, jednak powrót okazuje się niemożliwy. Zmiany, jakie dokonały się w Martinie sprawiły, że przestał być jednym z nich, tych prostych ludzi potrafiących cieszyć się drobnymi przyjemnościami. Trwając w zawieszeniu między życiem a śmiercią, prześladowany przez widmo dawnego siebie, dochodzi do wniosku, że nigdzie nie ma już dla niego miejsca. Wychodzi więc naprzeciw śmierci, wyrzekając się świata, który nie znosi indywidualistów i który nie zna



 Auguste Renoir, *Czytająca dziewczyna*, 1886

i nie chce znać prawdy i piękna.

Wielu polskim czytelnikom ta historia z pewnością wydaje się znajoma. Bo któż, jak nie poczciwy Prusowski Wokulski przebył podobną drogę, podobne uczucie, podobne rozczarowanie? Już pierwsze spotkanie z Izabelą Łęcką – kiedy to nawet nie doszło do rozmowy, ledwie zobaczył ją z daleka – zaowocowało wielkim wstrząsem. Chciałoby się rzec – miłość od pierwszego wejrzenia. „Zdawało mu się, że już kiedyś ją widział i że ją dobrze zna. Wpatrzył się lepiej w jej rozmarzone oczy i nie wiadomo skąd przypomniał sobie niezmierny spokój syberyjskich pustyń, gdzie bywa niekiedy tak cicho, że prawie słychać szelest duchów wracających ku zachodowi. Dopiero później przyszło mu na myśl, że on nigdzie i nigdy jej nie widział, ale – że jest tak coś – jakby na nią od dawna czekał. *Tyżes to czy nie ty?*... – pytał się w duchu, nie mogąc od niej oczu oderwać”. Fakt, że podobnie stało się w przypadku Martina Edena – spojrzał i z miejsca się zakochał – przywodzi na myśl, że to przeznaczenie, jak gdyby ktoś to od dawna zaplanował i podsunął tym twórczym, pełnym utajonej energii i siły jednostkom te konkretne kobiety, by stały się iskrą, w której wziął początek wielki płomień.

Droga przebyta przez Wokulskiego, której celem okazała się nie ukochana – która odegrała tutaj tylko rolę drogowskazu, „kukiełki służącej do wabienia” – lecz własna tożsamość, jest właściwie głównym tematem *Lalki i perły* Olgi Tokarczuk. Autorka wskazuje analogię tej duchowej podróży bohatera z historią opisaną w *Hymnie o perle*, apokryfie przełożonym na język polski przez Czesława Miłosza. Utwór ten

opowiada o królewskim synu ze Wschodu, którego rodzice wysyłają do Egiptu, aby zdobył perłę pilnowaną przez smoka.

W drodze musi pozbyć się królewskich szat i pomocników, a zamiast tego przywdziać szaty ludzi Egiptu oraz jadać z nimi, aby nie zostać rozpoznanym. Egipcjanie jednak domyślają się prawdy i podają mu jedzenie, które go usypia. Dopiero list z domu budzi go i umożliwia triumfalne pokonanie smoka, zdobycie perły i powrót do ojczystej krainy.

Wokulski, niczym królewki syn z *Hymnu o perle*, wtapia się w świat, w którym obraca się jego ukochana, zapomina o celu swojej wędrówki, wydaje mu się, że jest nim Izabela. Momentem przebudzenia jest podróż do Paryża – tam, z dala od toksycznego środowiska warszawskiego, w samotności, zaczyna rozmyślać nad wszystkim, co go spotkało i odzyskiwać świadomość, jak gdyby wybudzał się z transu. Znacząca jest chwila, gdy w hotelowym pokoju dostrzega swe odbicie w lustrze i wywołuje to u niego szok – odkrywa w tym momencie swoje prawdziwe ja, ostatnimi czasy utajone. Przełom ten jednak nie otwiera Wokulskiemu oczu na tyle, by był w stanie zerwać swą więź z Izabelą – na wzmiankę, że ukochana wydaje się tęsknić, bohater natychmiast wraca do Warszawy. Do podobnej chwili objawienia zdaje się zbliżać Martin Eden pracując w pralni poza miastem – z dala od zatruwających oparów arystokracji, za to bliżej niż kiedykolwiek prostego życia wypełnionego katorżniczą pracą, uświadamiając sobie ogromną przepaść między warstwami społecznymi, w jego umyśle rodzą się wątpliwości. Póki co jednak to tylko załazek, bowiem i ten amant wkrótce wraca do miasta, by być blisko ukochanej, a niedługo potem dochodzi do zaręczyn.

Końcem drogi Martina Edena było samobójstwo. Prawda zgnębiła go, nie wyzwoliła – chyba, że za wyzwolenie uznać zakończenie życia, które stało się nie do zniesienia. W przypadku Wokulskiego nie otrzymujemy jednoznacznego wyjaśnienia. Choć i tutaj można na podstawie podanych faktów przyjąć, że postanowił on świadomie rozstać się z życiem, Olga Tokarczuk zdaje się odwozić od tak jednoznacznej interpretacji. Bohater *Lalki* po prostu znika z powieściowego świata, co świadczyć może o tym, że odnalazł siebie, osiągnął cel swej drogi, po tym jak już go sobie uświadomił, co wcale nie musiało jednak pociągnąć za sobą śmierci. „Zniknięcie Wokulskiego ze świata *Lalki* jest w istocie jego wyjściem poza ramy powieści, przejściem na inny poziom realności, opuszczeniem papierowego świata śpiących ludzi” – czytamy w *Lalce i perle*.

Charakterystyczne dla obu historii jest to, że podczas gdy główny bohater galopuje jak szalony ku świadomości i zrozumieniu, mając oczy szeroko otwarte

i – mimo miłosnego zaślepienia – umysł jasny, bez trudu interpretujący wszystko, co się wokół dzieje, o tyle obiekt tych rozpaczliwych uczuć pozostaje drażniaco niezmienny. Czy któraś z dam, Ruth Morse albo Izabela Łęcka, zdaje sobie po fakcie w ogóle sprawę z tego, co się wydarzyło, jak wielkim uczuciem były darzone i jak wielką popełniły zbrodnię, nie doceniając go? Ruth, owszem, przychodzi później do Martina, aby go przeprosić i doprowadzić do pogodzenia, jednak nie bez znaczenia jest fakt, że jest on już wtedy docenionym i powszechnie szanowanym pisarzem. Płytka kobieta nieudolnie gra rolę oszalałej z miłości pokutnicy, podkreślając, na jak szaleńczy czyn się zdobyła, wymykając się z domu i przychodząc do niego, podczas gdy nieopodal w bramie stoi jej brat, który ją tu przyprowadził i który czeka, by ją odprowadzić z powrotem. Nic nie zrozumiała, podobnie jak panna Łęcka. Autorka *Lalki i perły* formułuje i definiuje pojęcia „syndrom Wokulskiego” i „syndrom Izabeli”, które są odwrotnością – o ile sensem życia według Wokulskiego jest działanie, a być kochanym i szanowanym można tylko za to, co się czyni, nie za to, kim się jest, o tyle Łęcka żyje tak, jak gdyby sam fakt bycia miał jej zapewniać prawo do wszelkich przywilejów. Nie ma ona własnego zdania, podobnie jak Ruth Morse pozwala się jak pusta muszelka wypełniać zasłyszanymi opiniami. Miłość Ruth wydaje się jednak nie udawana, podobnie jak jej pragnienie spędzenia życia z Martinem, podczas gdy w przypadku Izabeli trudno mówić o miłości – raczej tylko zmusza się do polubienia Wokulskiego, zdając sobie sprawę, że małżeństwo z nim umożliwi podźwignięcie się z finansowej ruiny. Prawdopodobnie nie jest nawet zdolna do miłości, obce jej jest współodczuwanie, co czyni ją wręcz odczłowieczoną.

Czasem dziwi, że tak wielka siła, samozaparcie, talent rodzą się z miłości do istot tak pustych i zupełnie niezdolnych ciężar tego uczucia unieść. „I tyś napisał ten wspaniały *Cykl miłosny* dla niej... dla tej mizernej, przywiedłej samiczki!” – dziwi się Brissenden, za co zresztą zaraz potem trafia w kleszczowy uścisk muskularnych rąk oburzonego Martina. Jak pisze Olga Tokarczuk: „Można w końcu postawić to denerwujące pytanie: kim byłby Wokulski bez Izabeli? Czy się nam to podoba czy nie, jego związek z Izabelą stymuluje go, z czego on czyni swoją dewizę – *wszystko dla niej*”. Siłą rzeczy winni więc jesteśmy wdzięczność tym „przywiedłym samiczkom” – kto wie, czy świat usłyszałby o Jacku Londonu, gdyby ten nie wyruszył w drogę, do której popchnęła go ta paradoksalna miłość?

Bibliografia:

- Jack London, *Martin Eden*, wyd. Iskry, Warszawa 1981.
Bolesław Prus, *Lalka*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972.
Irving Stone, *Jack London. Żeglarz na koniu*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997.
Olga Tokarczuk, *Lalka i perła*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001.

*Historia to coś żywego, coś fascynującego, coś,
co ma wpływ na współczesność i może stanowić
punkt wyjścia do robienia rzeczy niezwykłych.*

Tomek Grzywaczewski



Na rowerze przez Tybet i Nepal 

PODĄŻAJĄC KU WOLNOŚCI W PRZESZŁOŚCI I DZIŚ

Z Tomkiem Grzywaczewskim rozmawia Joanna Wonko-Jędrzysek.

Inspiracją do Waszej podróży była książka *Długi marsz* Sławomira Rawicza. Co jednak posłużyło za ostateczny impuls, by przemierzyć trasę śladami jej bohaterów?

Tomek Grzywaczewski: Od dawna interesowałem się historią, przede wszystkim historią Gułagu. Mimo że wiedziałem naprawdę sporo na ten temat, okazało się, że nigdy nie słyszałem o historii opowiedzianej w książce *Długi marsz*, którą dostałem od mojego taty. Przeczytałem ją w jedną noc. Historia mnie absolutnie zafascynowała, więc zacząłem szukać informacji na ten temat, przede wszystkim w internecie. I wtedy okazało się, że większość dotyczy filmu Petera Weira *Niepokonani* albo są to wiadomości na stronach anglojęzycznych. Na stronach polskich natomiast informacji o Sławomirze Rawiczu i *Długim marszu* jest jak na lekarstwo. I wtedy pomyślałem sobie, że to zupełnie nieprawdopodobne, żeby taka fantastyczna historia i znana książka naszego rodaka były kompletnie w Polsce nieznane. Dodatkowo dowiedziałem się, że prawdopodobnym prawdziwym bohaterem tej historii jest nie autor książki, Sławomir Rawicz, ale inny Polak – Witold Gliński. Pomyślałem sobie – mamy fenomenalną historię, opowieść o pragnieniu wolności, o walce z przeciwnościami

losu, w pewnym sensie także o pokonywaniu siebie. Historia na tyle fascynująca, że zainspirowała Hollywood. Peter Weir robi o niej film, a my Polacy zupełnie nie potrafimy tej historii opowiedzieć. Doszedłem do wniosku, że nie możemy pozwolić, aby ta opowieść przepadła lub okazało się, że naszą polską historię opowiadają za nas inni. Uważam, że mamy wielu wspaniałych bohaterów, ale kompletnie nie potrafimy na ich temat mówić. Narodził się pomysł, żeby w jakiś sposób to zmienić. Żeby przypomnieć światu i nam Polakom, że przecież to nasz rodak był tym, który poprowadził grupę skazańców do wolności. Powstało pytanie, jak to zrobić. Można było napisać opasłą monografię – ale pewnie nie przeczytałby tego nikt prócz autora i niewielkiej grupki fascynatów. A chodziło mi o to, żeby dotrzeć do jak największego grona odbiorców, przede wszystkim do młodych ludzi. I stąd pomysł, żeby przebyć trasę, którą kilkadziesiąt lat temu podążali uciekinierzy i odtworzyć historię wielkiego marszu. Pokazać, że nasz rodak był bohaterem, ale nie takim mitycznym, który niczym Ordon ginie na Reducie albo jak pan Wołodyjowski na murach krzemienieckiej twierdzy. To bohater z krwi i kości, który dla wolności był w stanie pokonać jeden

z najbardziej nieprzyjaznych regionów ziemi, dokonał właściwie niemożliwego.

To postać niczym z filmów,

a tymczasem ten człowiek żyje, my się z nim spotkaliśmy i rozmawialiśmy. Można powiedzieć, że taki człowiek może stać się mitem kultury. Kimś, kto będzie pojawiał się w naszej wyobraźni, kiedy będziemy myśleć o walce z totalitaryzmem, o łagrach i zsyłkach tysięcy ludzi różnych narodowości do rosyjskich obozów koncentracyjnych. To temat poważny i taki, o którym trudno się mówi, wydaje się mało atrakcyjny. Wybraliśmy sposób, w jaki naszym zdaniem można o nim mówić przystępnie, zwłaszcza dla młodego człowieka.

Czyli głównym celem Long Walk Plus Expedition było przypomnienie tej historii?

Tak, przypomnienie historii Witolda Glińskiego, ale również pokazanie, że o historii można mówić w fascynujący sposób. Historia nie musi być pokazywana jako martyrologia w tym negatywnym sensie, to nie musi być składanie wieńców i przemowy panów w garniturach, to nie muszą być lekcje historii, na których trzeba wkuwać daty. Historia to coś żywego, coś fascynującego, coś, co ma wpływ na współczesność i może stanowić punkt wyjścia do robienia rzeczy niezwykłych. Chcieliśmy również pokazać, że nowoczesny patriotyzm to nie jest coś „obciachowego”, ale coś, co może być „cool” i ważne, a przede wszystkim nam bliskie.

Czy podczas podróży czuliście się trochę jak bohaterowie książki?

Nie możemy porównywać tego, co my zrobiliśmy z tym, czego dokonali uciekinierzy. Nasza wyprawa przy tym, co oni zrobili, była wycieczką. My mieliśmy nowoczesny sprzęt, łączność, korzystaliśmy z pomocy miejscowej ludności, mieliśmy mapy, byliśmy przygotowani, zdrowi. Nie można porównywać takich sytuacji. Jednak ta książka stała się w pewnym momencie elementem naszego życia, a teraz mogliśmy dotknąć i choć trochę poczuć warunki, w jakich znajdowali się tamci ludzie.

Sławomir Rawicz początkowo twierdził, że sam odbył drogę opisaną w *Długim marszu*. Czy w trakcie wyprawy znaleźliście przesłanki świadczące o tym, że opisał on podróż, której sam nie mógł odbyć?

Książka jest w dużej mierze literacką fikcją. Oczywiście sama oś fabuły i trasa podróży są prawdziwe. Natomiast autor przelewa na papier nieprawdziwe opisy tych krain geograficznych. Na przykład kiedy opisuje pustynię, przedstawia ją jako wielką hałdę piachu. Tymczasem jest to kompletne nieporozumienie. Owszem, na pustyni Gobi są wydmy, ale jest ich relatywnie niewiele – to ciągnąca się po horyzont, wypalona słońcem żwirowo-kamienista równina. To samo tyczy się Himalajów – Rawicz opisuje, że bohaterowie wspinali się na szczyty, zdobywali turnie

LONG WALK PLUS EXPEDITION

to wyprawa zainspirowana powieścią *Długi Marsz* Sławomira Rawicza. Autor opisał w niej prawdziwą historię siedmiu więźniów, którzy zdecydowali się na ucieczkę z rosyjskiego obozu pracy w Jakucji na Syberii. Zainicjowana przez Polaka – Witolda Glińskiego – wyprawa przywiodła uciekinierów aż do Indii. Historia ta sprawiła, że trójka młodych Łódzian: **Tomasz Grzywaczewski, Bartosz Malinowski i Filip Drożdż** odtworzyli trasę tej ucieczki, by w ten sposób złożyć hołd byłym więźniom. Wyprawa Long Walk Plus Expedition rozpoczęła się w maju 2010 roku w Jakucku na Syberii, a zakończyła w listopadzie tego samego roku w Kalkucie, w Indiach. W trakcie tych sześciu miesięcy uczestnicy pokonali ponad osiem tysięcy kilometrów.

i dokonywali prawdziwie alpinistycznych wyczynów. Tymczasem przez Himalaje można przejść w bardzo prosty sposób. Oczywiście, to są wielkie góry z wysokimi szczytami, ale można tam znaleźć i wielkie przełęcze, którymi biegły trakty handlowe i którymi podróżowały karawany kupieckie. Tak więc przez Himalaje można przejść lub przejechać. My zrobiliśmy to rowerami. Omyłki te wynikają z prostej przyczyny. Rawicz zapoznał się z tą historią czytając raport Glińskiego, który ten złożył na ręce londyńskiego rządu. Następnie autor uzupełnił opis swoimi wyobrażeniami na temat tych obszarów, funkcjonującymi mitami kultury w rodzaju pustynia – morze piasku. Nie miał możliwości tego zweryfikować, bo nigdy tam nie był. Rawicz trochę koloryzował, dodawał dramatyzmu. Tak więc zgadza się przewodni wątek powieści, nie zgadzają się natomiast szczegóły bądź opisy. Jednak tych błędów nie można przywoływać, aby podważać historię Glińskiego, bo jest to coś zupełnie innego.

Jaki ma to wpływ na Twój odbiór książki Rawicza?

Czytając książkę już podejrzewałem, że coś tu nie gra. Znałem historię, byłem na Syberii i na Gobi, czułem więc, że coś jest nie tak. Miałem też niezaprzeczalną przyjemność i zaszczyt, by spotkać się z Glińskim – odwiedziliśmy go przed podróżą i spędziliśmy u niego trzy dni. Poznałem



Uczestnicy Long Walk Plus Expedition z Witoldem Glińskim 

więc historię długiego marszu bez przeinaczeń. Wtedy książka przestała być dla mnie najważniejszym punktem odniesienia – stała się nim opowieść samego Glińskiego.

Każdy z Was ma na swoim koncie liczne podróże i osiągnięcia, to jednak była Wasza pierwsza wspólna wyprawa.

Tak. Wcześniej w ogóle się nie znaliśmy. Ja byłem pomysłodawcą. Kiedy już postanowiłem, że chcę odbyć podróż, pojawiło się pytanie, z kim to zrealizować, samotna wyprawa nie wchodziła w grę. Tak się złożyło, że byłem rzecznikiem prasowym łódzkiego festiwalu Explorer, a Bartek był i jest koordynatorem innego festiwalu podróżniczego, Mediatravel. Znaliśmy się więc poprzez drogę mailową i kontakty, można powiedzieć, biznesowe. Poza tym wiedziałem, że kilka lat wcześniej Bartek przeszedł łuk Karpat – kawał drogi na piechotę. Pomyślałem, że Bartek jest kimś, kto mógłby się podjąć takiej wyprawy. Spotkaliśmy się w kawiarni i przedstawiłem mu swój pomysł pytając, czy nie zna kogoś, kto chciałby to zrobić. Odpowiedział po dwóch sekundach: „Tak, znam. Siebie”. Od początku nawiązała się między nami nić porozumienia. Kiedy okazało się, że mamy sponsora i możliwość kręcenia filmu dokumentalnego (co od początku było naszym zamiarem – czy nam się to podoba czy nie, język filmu i telewizja są teraz najlepszym nośnikiem, by dotrzeć do szerokiego odbiorcy), zaczęliśmy szukać operatora – kogoś

na tyle szalonego, by zdecydował się odbyć półroczną podróż w nieznane. W ten sposób poznaliśmy Filipa, który już na pierwszym spotkaniu zareagował podobnie jak Bartek, krótko stwierdzając: „Idę z wami”. Okazał się nie tylko świetnym operatorem, ale i doskonałym towarzyszem podróży.

Czy w czasie Waszego „długiego marszu” musieliście zmierzyć się z momentami kryzysu? Zdarzały się chwile, kiedy miałeś ochotę rzucić wszystko i wrócić do domu?

Oczywiście. Przebywanie ze sobą non stop powodowało pewne napięcia, nie mogliśmy od siebie odpocząć, więc zdarzały się kłótnie. W sytuacjach kryzysowych jednak nie mogliśmy powiedzieć, że mamy dosyć i wracamy do domu, bo drogi powrotnej właściwie nie było. Zdarzały się chwile mrozące krew w żyłach, przede wszystkim w tajdze. Nie mówiąc o przekraczaniu rzek, które było na granicy ryzyka i mogło się zwyczajnie nie udać.

Wasza trasa miała etap wodny, pieszy, konny i rowerowy. Co wpłynęło na Waszą decyzję o urozmaiceniu sposobów pokonywania drogi? Głównym czynnikiem był czas, czy może coś innego?

Nie chcieliśmy przebyć całego dystansu pieszo. Nie jesteśmy bohaterami, są nimi ci, którzy uciekli z łagru. Nie wyobrażam sobie przebycia na własnych nogach tak

wielkiego obszaru świata w tak trudnych warunkach klimatycznych i terenowych. Tylko zimą da się maszerować po tajdze dzięki wiecznej zmarzlinie, latem pokrywa się ona trzęsawiskami nie do przebycia. Zimą jednak też nie zaryzykowalibyśmy podróży ze względu na temperatury. Pierwszy etap pokonaliśmy więc jedynym możliwym szlakiem komunikacyjnym – rzeką. A ponieważ płynęliśmy w górę rzeki, nie mogliśmy zrobić tego o własnych siłach, łapaliśmy więc na stopa różnego rodzaju jednostki rzeczne. Z drugiej strony jednak nie chcieliśmy zupełnie rezygnować z marszu i chcieliśmy kawałek tej trasy przejść, tak jak zrobili to uciekinierzy. Zdecydowaliśmy się na przebycie fragmentu Syberii wzdłuż brzegu jeziora Bajkał, by zobaczyć, jak tajga naprawdę wygląda i zagłębić się w kompletną dziczą, trzysta kilometrów od najbliższej wioski. Nie ma tam śladów ludzi, żadnych ścieżek. To samotne starcie z pierwotną naturą. Etap konny – chcieliśmy spojrzeć na Mongolię z perspektywy Mongoła, a więc z konia. To nam ułatwiło poznanie samych mieszkańców Mongolii i ich życia, wtopienie się w ich kulturę. Podróżowaliśmy tak jak oni, nie jak bogaci turyści zasuważający terenówką – podchodzili do nas lepiej widząc, że też jesteśmy związani z rzeczami, które oni uznają niemal za święte. A potem rowery, ponieważ z jednej strony podróżuje się na nich najszybciej, ale z drugiej wciąż wymaga to wysiłku i poleganiu na sile własnych mięśni. Ponadto rower także skraca dystans pomiędzy wędrowcem a miejscową ludnością.

Jak reagowali napotykanii po drodze ludzie na wieść o planowanym przez Was szlaku oraz motywacji?

Przyjemnym zaskoczeniem było dla nas to, że podczas sześciu miesięcy wędrówki mieliśmy jedną czy dwie nieprzyjemne sytuacje – nawet niegroźne. Wszystkie pozostałe spotkania były bardzo życzliwe, ludzie nam bardzo pomagali. Odstępowali nam swoje łóżka, dzielili się z nami jedzeniem, pokazywali nam drogę i naprawdę troszczyli się o to, abyśmy bezpiecznie dotarli do Indii. Największym zagrożeniem była Rosja – obawialiśmy się tego, jak zostaniemy przyjęci przez miejscowe władze. W końcu opowiadamy historię człowieka, który uciekł z łagru, który upokorzył w pewien sposób system komunistyczny. Okazało się natomiast, że były to obawy całkowicie niesłuszne, bo już na początku wyprawy dostaliśmy w Jakucku od władz list żelazny, w którym władze prosiły każdego napotkanego człowieka, aby udzielił nam wszelkiej niezbędnej pomocy. Uważam nawet, że tematyka naszej wyprawy zjednywała nam ludzką życzliwość, bo ludzie rozumieli, że robimy to dla jakiejś idei. Z drugiej strony te obszary Syberii są zamieszkałe głównie przez ludność etniczną, która sama wiele wycierpiała z powodu reżimu, odbierali więc długi marsz ponieważ jako część ich własnej historii. W dodatku na Syberii jest zasada, że nigdy nie odmawia się pomocy potrzebującym. Gościnność nie jest u nich kwestią dobrego wychowania, lecz kwestią życia i śmierci. Jeśli odmówi się wędrowcowi pomocy, w skrajnie trudnych warunkach tajgi może to





dla niego oznaczać wyrok śmierci. Natomiast w Mongolii i Chinach tematyka ucieczki z łagru była dość abstrakcyjna. Kiedy udało nam się wytłumaczyć, jaki dystans pokonujemy, ludzie byli w szoku i patrzyli na nas trochę jak na wariatów, z drugiej strony jednak widzieli, że wkładamy w naszą wyprawę serce i mierzymy się z trudnymi warunkami, w jakich tym ludziom przyszło żyć na co dzień. Nie jesteśmy rozpieszczonymi turystami, którzy pojechali na wycieczkę za ciężkie pieniądze i chcą zobaczyć „dzikusów”.

Po powrocie z ekspedycji podczas wielu spotkań prezentowaliście zdjęcia i opowiadaliście o historii Waszej podróży. Z jakim przyjęciem spotkały się Wasze wystąpienia?

Z bardzo życzliwym i entuzjastycznym. Byłem nawet zdziwiony, że nasza podróż zostanie aż tak pozytywnie przyjęta. Jesteśmy zapraszani w wiele miejsc i odebraliśmy kilka nagród publiczności, co jest szalenie miłe. Oznacza to dla nas, że ludziom spodobała się nasza historia, poczuli, że włożyliśmy w nią serce i pasję, jesteśmy szczerzy.

Kiedy podjęliście decyzję, że na podstawie Waszej podróży powstanie książka?

Już od początku zakładaliśmy, że powstanie książka. Nie wiedzieliśmy tylko, że w rezultacie powstaną dwie. Okazało

się, że Narodowe Centrum Kultury jest naszym partnerem i są zainteresowani napisaniem książki. Nie jest to długa forma. Skupiamy się w niej przede wszystkim na aspektach historycznych. Została wydana w 70. rocznicę deportacji Polaków na Wschód i w związku z tym poruszyliśmy głównie tematykę łagrów i etapu syberyjskiego, pozostałe traktując z mniejszą szczegółowością. Nie jest to książka przeznaczona do powszechnej dystrybucji, to bezpłatny materiał edukacyjny, który można zamówić ze strony Narodowego Centrum Kultury, pisząc na adres: nck@ksiazki.pl. Chcieliśmy skorzystać z tej możliwości, wiedząc, że materiał trafi do szkół, do ludzi młodych, których od początku traktowaliśmy jako naszych głównych odbiorców. Ponieważ jednak ta pozycja nie wyczerpuje tematu stwierdziliśmy, że warto, by powstała jeszcze jedna książka, która będzie już publikacją komercyjną, dostępną w księgarniach.

Jak powstawały książki – czy już w trakcie podróży robiliście notatki, czy też bardziej sprawdziło się zapisywanie wspomnień z pewnego dystansu, już po powrocie do domu?

Robiliśmy notatki, choć żadnemu z nas nie udało się ich dociągnąć do końca podróży. Ja pisałem chyba najdłużej, ale już w Mongolii nie dałem rady robić tego dalej – byłem tak

zmęczony, że nie byłem w stanie. Teraz żałuję, że się poddałem. Na następnej wyprawie będę kontynuował do końca, bez tego wiele faktów umyka. Problemem

jest to, że o naszej podróży bardzo wiele opowiadamy. Pisząc teraz książkę skupiam się na faktach przedstawionych w prezentacji, podświadomie pomijając inne wydarzenia. Strukturę książki omówiliśmy już częściowo na wyprawie. Ten początkowy konspekt był oczywiście modyfikowany, tak więc spojrzenie z dystansu również nam się przydało.

Co stanowi największe wyzwanie podczas spisywania historii podróży?

Taką książkę można moim zdaniem napisać na dwa sposoby. Łatwiejszym jest sprawozdanie podróżnicze i po kolei opisuje się odwiedzane miejsca wypisując, co nam się spodobało. Takie podejście może być trochę nudne. Zapisywanie tylko tego, co się widzi bardziej sprawdzało się w czasach, kiedy świat był jeszcze mało poznany i liczyły się informacje przybliżające świat nieznanym czytelnikom. W dzisiejszych czasach internetu, blogów, podróżowania – sam opis świata przestaje być atrakcyjny. Wydaje mi się, że ciekawsze jest tematyczne podejście do takiej książki. Na przykład „łagry”, „napotkani ludzie” czy „wpływ globalizacji na dany obszar”. Opisuując podróż kategoriami staramy się dokonać pewnej analizy rzeczywistości, na podstawie obserwacji podpartych wiedzą merytoryczną wyciągnąć jakieś wnioski. Lub też skonfrontować wiedzę książkową, akademicką z tym, co zobaczyliśmy. Wtedy powstanie bardziej reportaż niż sprawozdanie, a tego chcieliśmy. Zależy mi także, by był to bardziej osobisty zapis kogoś, kto duchowo doświadczył spotkania z tamtym rejonem.

Czy myślicie o kolejnej podróży we trójkę?

Teraz będziemy razem prowadzić program w telewizji pt. *Pozytywna energia*. Będzie to program o ekologii wyrażającej się życiem w harmonii z przyrodą. O tym jak można dbać o świat wokół nas w bardzo prosty sposób. Jak przywiązując odrobinę więcej wagi do tego, co robimy na co dzień, możemy zachować otaczające nas bogactwo samotnej planety zwanej Ziemią. Chcemy pokazać to w nowoczesny sposób – na przykład znajdujemy jakichś pozytywnie zakręconych ludzi i idziemy do nich i robimy materiał. Pokazujemy, że oni właśnie niewielkim nakładem środków, powiedzmy, tworzą własną oczyszczalnię ścieków. Z drugiej strony chcemy pokazywać niezwykle historie, na przykład kobiety żyjącej z wilkami, która kompletnie wtopiła się w przyrodę. Będziemy też starali się pokazać jak bezmyślne działania w rodzaju braku zrównoważonego rozwoju przyczyniają się do degradacji środowiska. Możemy poszczycić się naprawdę wspaniałą przyrodą, którą warto zachować i jest to możliwe w prosty sposób: na przykład segregując śmieci, używając bardziej ekonomicznych detergentów. Na razie produkujemy dwanaście odcinków, które będą najprawdopodobniej emitowane w Telewizji

Polskiej we wrześniu. Tak więc teraz wspólnie wchodzimy na tę płaszczyznę. Jest to też przejaw patriotyzmu, skierowanego na zachowanie tego, co mamy, żeby ta Polska piękniała, a nie coraz bardziej się degradowała. Chcemy też pokazywać pozytywne przykłady. Przykład jest ważny także w samym *Długim marszu*. W opowieści Glińskiego podoba nam się to, że jest o człowieku, który zwyciężył. Mówiąc o polskiej historii często przedstawia się ciąg klęsk i niepowodzeń, Polacy mają dwie lewe ręce i nic im nie wychodzi, w najlepszym wypadku potrafimy zginąć chwalebnie na barykadach. Tymczasem my chcemy przypomnieć, że w tej historii jest też wiele zwycięstw, jak choćby historia Glińskiego – samotnego człowieka, który rzucił wyzwanie machinie przemocy NKWD, totalitaryzmu – i zwyciężył. Był to sukces i my chcemy pokazywać sukcesy, dlatego program będzie się nazywał *Pozytywna energia*. Chcemy wreszcie przestać biadolić i choć nie twierdzimy, że wszystko jest idealne (bo nie jest), chcemy skupić się na ludziach mających w sobie pozytywną energię, pasję i odnoszą na jej polu sukcesy.

Ja z kolei chcę wyprodukować jeszcze innego rodzaju produkcję - serial dokumentalny, tym razem prawdopodobnie sam, być może z Filipem. Będzie nosił tytuł *Polskie opisanie świata* i opowiadał o odkrywcach, badaczach i awanturnikach, którzy są zapomniani, a którzy zmieniali świat i mieli wkład w światowy rozwój wiedzy o naszej planecie. Chcielibyśmy zrobić dwanaście odcinków o różnych postaciach, na przykład o Antonim Ferdynandzie Ossendowskim. Chcemy to zrobić w nowoczesny sposób. Nie tak, że teraz pojedziemy do jednego profesora, do drugiego, pokażemy, że jest kilkanaście książek tego autora na półce i generalnie przedstawimy pomnik takiego człowieka, którego nikt nie będzie chciał oglądać poza operatorem, który musiał to sfilmować. Będziemy robić to w taki sposób, że każdy odcinek będzie miniwyprawą – jedziemy tam, gdzie działał ten badacz lub odkrywca i rzucamy prowadzących w te same realia, żeby musieli się mierzyć z tymi samymi przeciwnościami losu. Narracją będzie opowieść bohatera danego odcinka. Często ich książki pisane były przepiękną polszczyzną, są więc kawałkiem świetnej literatury, którą warto przypomnieć. Dzięki temu pokażemy też, jak zmienił się świat na przestrzeni ostatnich wieków.

Czy pośród podróżników lub twórców reportażu masz swoje autorytety? Ludzi, którzy wpływają na to, jak chcesz pisać swoje książki lub kształtować programy?

Na pewno Ossendowski był osobą, która mnie zawsze inspirowała. Jeśli sięgniemy do filmu, wielkie wrażenie robią na mnie filmy Petera Weira, którego miałem wielką przyjemność poznać teraz osobiście. *Stowarzyszenie umarłych poetów* było dla mnie ogromnym przeżyciem. Jest jednym z najwybitniejszych reżyserów i w jego filmach można znaleźć wspólny mianownik. Otóż on tam pokazuje ludzi, którzy szukają własnej drogi. Zderzają się, a często nawet przegrywają lub pozornie przegrywają z brutalną

rzeczywistością, która tłamsi indywidualistów, która przycina do określonego schematu. Jest wiele filmów o wolności, różne produkcje hippisowskie, wszystkie są fajne, ale często orientowałem się, że przedstawiana tam wolność jest naiwna. To jest wolność tylko dla wolności, potem nie wiadomo co z tą wolnością zrobić. Takie wyzwolenie jest w sumie bez sensu. A Peter Weir skłania ku wolności, która jest wolnością bardzo przemyślaną, mądrą. Bycie wolnym jest trudne, bo zmusza do podejmowania niezależnych decyzji, do poszukiwania własnej drogi – nie można pozwolić, aby myślał za ciebie ktokolwiek inny. O tym są właśnie jego filmy, z których wynika coś wartościowego. Dlatego bardzo cenię tego reżysera, uważam że on jest wielkim humanistą, który zadaje bardzo ważne pytania o kondycję człowieka.

Złżejszego kalibru to ulubioną książką był dla mnie zawsze *Władca Pierścieni* Tolkiena, jego trylogię przeczytałem ze dwanaście razy. Robiła na mnie zawsze niesamowite wrażenie, mimo że nie jestem szczególnym miłośnikiem fantasy. Dla mnie to książka o bardzo prostych wartościach, o walce dobra ze złem, o przyjaźni i honorze. Może nie są to idee popularne, ale moim zdaniem są bardzo ważne. Izawszebędą. Mogą być mniej modne, ale kiedyś zatriumfują. Tak odczytywałem tę książkę, jako opowieść o misji, którą każdy w życiu powinien odnaleźć. A z podróżniczych o wiele lżejszych to oczywiście Szklarski i Tomek, po którym mam imię. Moja mama była wielką fascynatką jego książek, wielką miłośniczką Tomka Wilmowskiego i mam nawet imię po Tomku. Moja mama chciała, żebym miał takie życie jak on.

Czyli podróże w pewien sposób zostały Ci już narzucone. Tak, dokładnie w ten sposób. W literaturze mam oczywiście wielu ulubionych pisarzy, ale ci zrobili na mnie naprawdę ogromne wrażenie. Jest wiele rzeczy które mi się „naj” podobają i mam problem z wybraniem tej jednej ważnej.

Jakie są Twoje plany podróżnicze na przyszłość?

Mnie same podróże interesują średnio, na zasadzie pojechania sobie po prostu w podróż. Na świecie nie ma już białych plam, skończyła się epoka odkrywców. Ja bardziej na to patrzę z reporterskiego punktu widzenia. Obecnie odkrywamy świat poprzez opisywanie często bardzo odmiennych kręgów kulturowych. Kiedy jedziemy gdzieś poza Europę, nagle okazuje się, że ten świat, który uważamy za oczywisty, przestaje być taki oczywisty. Ja bardziej siebie widzę jako reportera, kogoś, kto analizuje otaczającą go rzeczywistość, historię i procesy historyczne, które mogą decydować o przyszłości. Twórcy reportaży zawsze odwoływali się do przeszłości, by zrozumieć teraźniejszość. Ja też chciałbym robić coś takiego, to niekoniecznie musi się wiązać z podróżami. To może dotyczyć zarówno kręgu kulturowego, politycznego, społecznego, także bardzo wielu dziedzin, które mnie interesują. Chciałbym to robić językiem filmu.

Czyli jednak film.

Zdecydowanie film, ale pisanie również. Bardzo to lubię, ale pisanie daje coraz mniej możliwości dotarcia. Oczywiście, książka przechodzi z pokolenia na pokolenia, to jest dziedzictwo kulturowe, ale jest niestety mniejsza szansa na dotarcie do szerszego grona odbiorców. Pisanie jest najtrudniejszym z rzemiosł reporterskich, jest czymś bardzo poważnym, intymnym dla autora, zwieńczeniem pewnej drogi. Jednak chciałbym iść w stronę filmu, bo film daje ogromne możliwości docierania do widza. Film jest sztuką oczywiście, muzą. Jest nią także jak najbardziej film dokumentalny, tworzenie filmowego opisu świata.

W takim razie życzę wielu sukcesów w świecie filmu i dziękuję za wywiad.

To ja bardzo dziękuję.

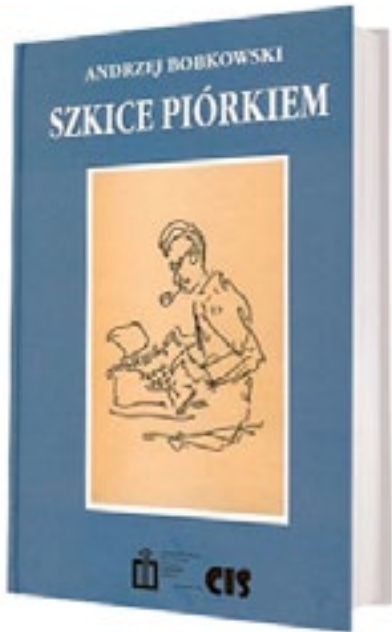
Fotografie udostępnił nam Tomek Grzywaczewski.

 W Mongolii



KSIĄŻKI DROGI

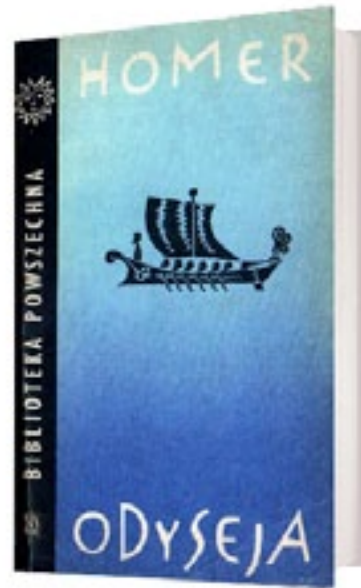
Karolina Kunda-Kuwickiej



Szkice piórkami,

Andrzej Bobkowski

Wspomnienia spisane w formie pamiętnika jednego z najciekawszych pisarzy emigracyjnych. Bobkowski sporządzał zapiski w latach 1940-1944 przemierzając rowerem okupowaną Francję. Pomimo dramatycznych okoliczności podróży i lęku o niepewne jutro autor książki z poruszającą wrażliwością opisuje chwile radości i uniesień w swojej wojennej codzienności na przymusowej emigracji.

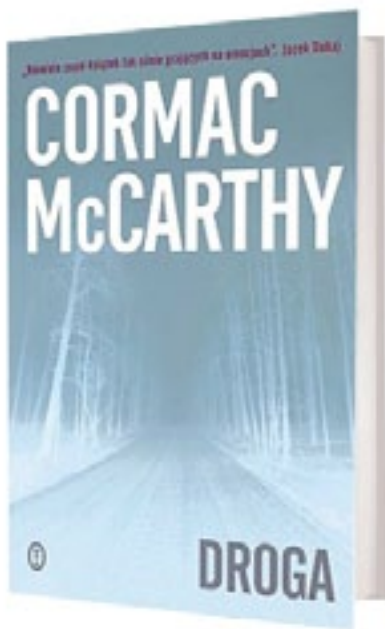


Odyseja,

Homer

Grecki epos Homera opisujący dzieje Odyseusza, bohatera wojny trojańskiej, który powraca z Troi do rodzinnej Itaki. Odyseusz wędruje po lądach, morzach i błąka się po mitycznych krainach przez dziesięć lat, po upłynięciu których będzie mógł wrócić do żony Penelopy. Wierny mąż będzie musiał jednak rozprawić się z zalotnikami, którzy pod jego nieobecność brutalnie starali się o względy małżonki. Wieloletnia tu-

łaczka Odyseusza kończy się szczęśliwie, a odważny mąż już zawsze protegowany będzie przez bogów.

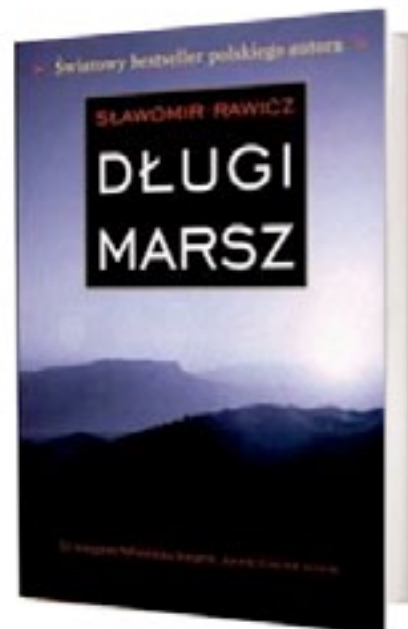


Droga,

Cormac McCarthy

Mroczna, apokaliptyczna powieść drogi Cormaca McCarthy'ego stanowi sugestywny opis wędrówki po wymarłych miastach i opustoszałych wioskach. Głównymi bohaterami są ojciec i syn, starający się przetrwać w świecie zdominowanym przez wygłodniałych kanibali poszukujących jedzenia. Sami także przymierają głodem, nieustannie wypatrując resz-

tek jedzenia i wody nadającej się do spożycia. Podczas swojej niekończącej się wędrówki napotykają nie tylko na złych ludzi, jednakże na tym ponurym świecie ciężko jest im ocenić prawdziwe intencje. Autor książki, uznawanej w niektórych kręgach za arcydzieło, uhonorowany został szeregiem prestiżowych nagród i wyróżnień, a światowi krytycy mnożą peany na cześć wielkości talentu pisarza i jego ponadczasowego dzieła.

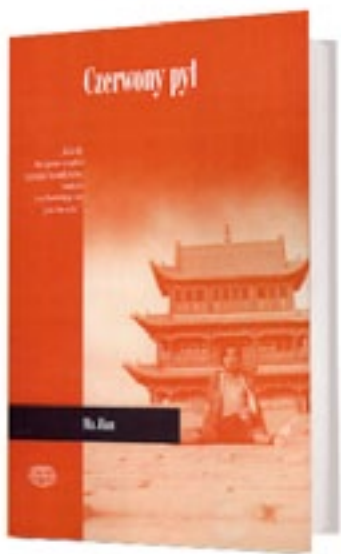


Długi marsz,

Sławomir Rawicz

Prawdziwa historia ucieczki dwudziestosześcioletniego porucznika kawalerii z obozu 303 na Syberii. Wraz ze współtowarzyszami bohater wyrusza w długą drogę przez tajgę, wyżyny Mongolii, pustynię Gobi,

Tybet, Himalaje, aż do brytyjskich Indii, przemierzając łącznie ponad sześć tysięcy kilometrów. Wędrowcy-uciekierzy zaopatrzeni jedynie w nóż i siekierę zdani są tylko na siebie, a bezlitosne warunki atmosferyczne tylko utrudniają im szczęśliwe przebycie drogi.



Czerwony pył, Ma Jian

Książka, której podtytuł brzmi *Droga przez Chiny*, opowiada historię trzydziestoletniego Ma Jiana, którego dręczy pragnienie opuszczenia Pekinu i wyruszenie w podróż w poszukiwaniu samego siebie. Nie mogąc już dłużej znieść ciągłych ograniczeń, jakie narzuca na swoich obywateli Pekin rządzony przez Denga Xiaopinga, bohater kupuje

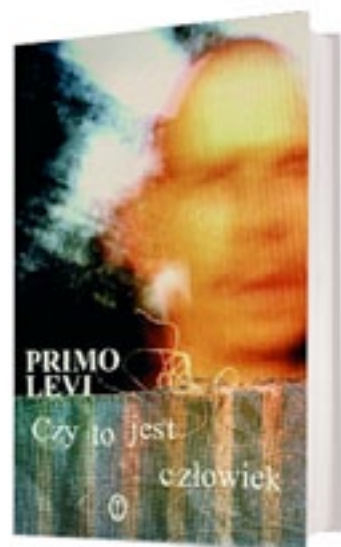
bilet kolejowy do najdalszego zakątka Chin i wyrusza w kilkuletnią podróż.



Drogi do Santiago, Cees Nooteboom

Droga do poznania Hiszpanii zajęła Nooteboomowi trzydzieści pięć lat. Autor przemierzył w tym czasie cały kraj, wzdłuż i wszerz, celowo jednak unikając najbardziej popularnych miejsc. Poznał Hiszpanię okrutną i dziką, piękną i romantyczną, pełną intrygujących sprzeczności. Pisarz udowadnia, że aby dobrze poznać kraj, należy zboczyć

z głównej drogi i zabłądzić w labiryntach rzadko uczęszczanych uliczek i zaułków.



Czy to jest człowiek, Primo Levi

Powstałe w 1947 roku wspomnienia Leviego, włoskiego pisarza żydowskiego pochodzenia, stanowią próbę odnalezienia drogi do wewnętrznego wyzwolenia się z więzów Holocaustu. Autor spędził dziesięć miesięcy w obozie koncentracyjnym, a po jego opuszczeniu zaczął poszukiwać odpowiedzi na pytania o „życie w śmierci” obo-

zowej rzeczywistości, człowieczeństwie, samotności i okrucieństwie. Wielokrotnie wznawiana i tłumaczona na wiele języków książka zaliczana jest do klasyki literatury Holocaustu.



Kafka nad morzem, Haruki Murakami

Intrygująca i mistyczna powieść, w której re-inkarnacyjne drogi bohaterów krzyżują się ze sobą i tworzą skomplikowaną układankę. Piętnastoletni Kafka ucieka z domu i wyrusza na daleką wyspę Shikoku rozpoczynając swoją wędrówkę od poznania tajemniczej pani Saeki, dy-

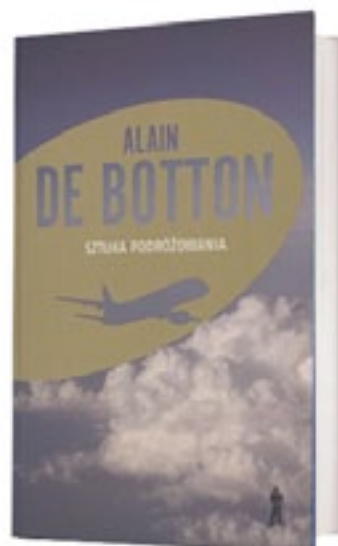
rektorki fascynującej, prywatnej biblioteki na wyspie. Książkę wypełniają licznie tajemnicze postaci, takie jak zakochana w operach Pucciniego kotka Mimi, staruszek analfabeta – pan Nakata, czy noszący hawajskie koszule młody kierowca. Wielowątkowa i wielopłaszczyznowa powieść o drodze, poszukiwaniu siebie i korzeni swojego „ja”.



Grona gniewu, John Steinbeck

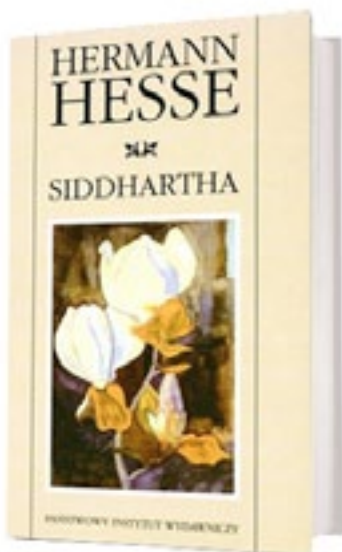
Przykład książki, w której droga stanowi jednocześnie tułaczkę za chlebem. Historia amerykańskiej rodziny która zmuszona opuścić ojczystą Oklahomę, wyrusza do Kalifornii. Akcja powieści Steinbecka rozgrywa się w Stanach Zjednoczonych w pierwszej dekadzie XX wieku, w dobie kryzysu gospodarczego. Do napisania tej potężnej

objętościowo powieści zainspirowały pisarza dramatycznie pogarszające się warunki ekonomiczne, zmuszające swoich obywateli do masowych migracji. Książka przyniosła autorowi Nagrodę Pulitzera w 1939 roku, a rok później została zekranizowana przez Johna Forda.



Sztuka podróżowania, Alain de Botton

Alain de Botton skłania do głębokiej refleksji nad istotą podróżowania. Inspiruje czytelnika do odbycia drogi w głąb motywacji skłaniających go do wояży. Snuje dywagacje o istocie zarówno dalszych jak i bliższych podróży; także tych, które odbywamy w granicach naszego własnego mieszkania.



***Siddharta*, Herman Hesse**

Powstała w 1922 roku książka przybliżyła czytelnikowi meandry drogi duchowej Siddharty Gautamy. Powszechnie znany później jako Budda – Oświecony – potomek rodu braminów poszukuje wewnętrznego spełnienia. Nie pomaga mu w tym ani kontemplacja, ani życie w głębokiej ascezie. Dopiero prawdziwe ubóstwo i życie blisko natury pomagają osiągnąć upragniony cel. Jest

to osadzona w realiach indyjskiego buddyzmu opowieść o potrzebie odnalezienia głębokiej harmonii ze światem.



***Głęboka rzeka*, Endō Shūsaku**

Powieść japońskiego pisarza o poszukiwaniu i drodze do duchowego oczyszczenia. Bohaterowie książki Endō posiadają bardzo różne motywacje swoich poszukiwań – jeden szuka inkarnacji zmarłej żony, inni chcą pomagać biednym, jeszcze inni pragną spokoju. Wszyscy wybierają się w tym celu do Indii. Pisana z perspektywy japońskiego chrześcijanina powieść wykra-

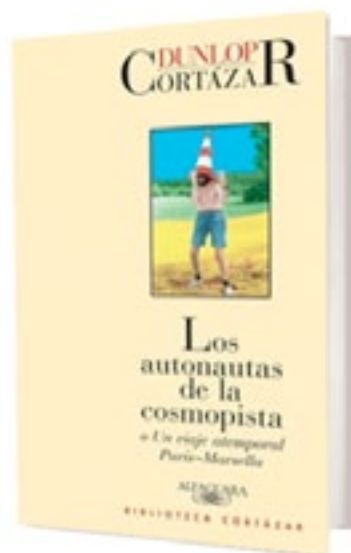
cza jednak poza ramy jakiegokolwiek wyznania i koncentruje się na kondycji duchowej współczesnego człowieka.



***Oswajanie świata*, Nicolas Bouvier**

Opublikowane w 1963 roku dzieło Bouviera to pozycja obowiązkowa dla wszystkich, którzy traktują podróż jako sposób na życie, nieodłączny element drogi życiowej. Książka stanowi opis wyprawy, która rozpoczęła się w czerwcu 1953 roku w Genewie i prowadziła przez Macedonię, Grecję, Turcję, Iran i Afganistan. Podróż znalazła swój finał

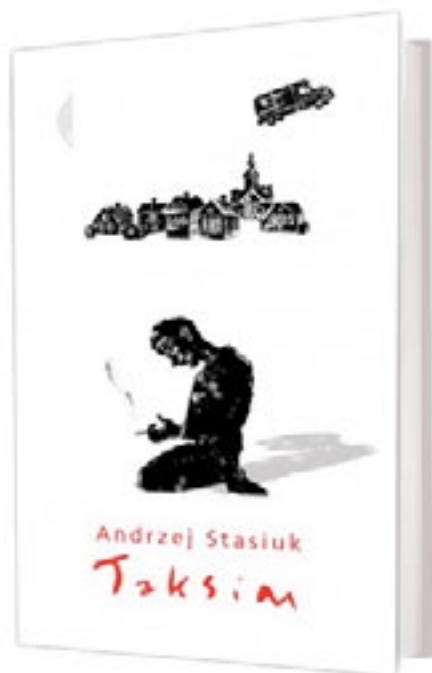
w grudniu 1954 roku u wrót Indii na przełęczy Chajber. *Oswajanie świata* jest przykładem powieści drogi, której opisanie zajęło autorowi wielokrotnie więcej czasu niż samo jej przebycie.



***Autonauci z kosmostrady*, Julio Cortázar, Carol Dunlop**

Książka składająca się ze zdjęć, rysunków, notatek, listów i innych pamiątek stanowiących opis podróży, którą Cortázar i jego żona Carol Dunlop odbyli z Paryża do Marsylii w 1982 roku. Małżonkowie wybrali najłatwiejszą z możliwych dróg: francuską Autostradę Południową. Przejechanie jej zajmuje kilka godzin, ale autorom książki

zajęła ona ponad miesiąc. Dawkowali sobie oni bowiem każdy odcinek drogi, czyniąc zeń przygodę pełną przystanków i noclegów w przyczepie samochodowej. Ta eklektyczno-mozaikowa powieść uznawana jest za najbardziej osobistą i szczerą w dorobku Cortázara.



***Taksim*, Andrzej Stasiuk**

Wielowymiarowa powieść – wędrówka po miejscach, które wolelibyśmy omijać szerokim łukiem. Tytułowe Taksim jest dzielnicą Stambułu i jednocześnie miejscem, w którym ma do wykonania swoją specjalną misję Paweł, narrator powieści Stasiuka. Książka, nazywana przez krytyków melodramatem, powieścią nostalgiczną, przygodową, czy nawet thrillerem, stanowi mieszaninę wszystkich tych gatunków, nie dając się jednoznacznie zasufladkować.



***Czuje. Zawrót głowy*, W.G. Sebald**

Podróż jako metafora wędrówki przez życie. Książka składa się z czterech tekstów o podróży przez Austrię, Włochy i Niemcy. Sebald wyrusza w pielgrzymkę śladami znanych pisarzy, których pragnie zapytać o sens egzystencji. Narrator krąży wokół tematów miłości, życia i straty, a jego rozważaniom towarzyszą liczne zdjęcia obrazów, rysunki i dokumenty.

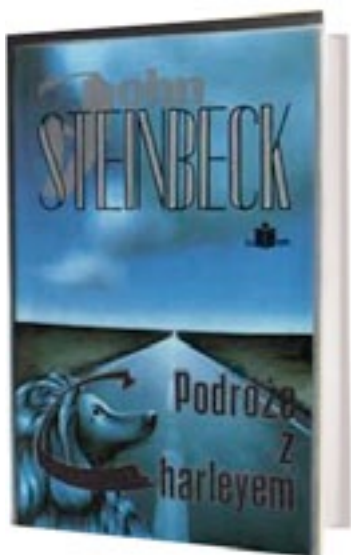


Lunatyczna kraina, **Mia Couto**

Debiut powieściowy piszącego po portugalsku Mozambijczyka. Możliwa wędrówka przez Afrykę — a jednocześnie przez krainę snów — dwóch bohaterów: Muidingi, szukającego swoich rodziców i własnej tożsamości i Kindzu, którego zapiski Muidinga odnalazł w spalonym autobusie. Podróż przez apokaliptyczną, powojenną rzeczywistość, w której jedynie

odwołanie się do tradycji przodków i nieustająca wiara w moc duchów może przywrócić światu harmonię, a snom ich właściwe miejsce.

Podróże z Charleyem, **John Steinbeck**



Pamiętnik z podróży starzejącego się, dobiegającego sześćdziesiątki noblisty, który pragnie poznać Amerykę, jaką dotychczas opisywał w swoich książkach. Wyposażony w ciężarówkę, którą zwie Rosynant, i czarnego pudła o imieniu Charley rozpoczyna swą sentymentalną podróż. Książka, niczym intymny pamiętnik pisarza, stanowi zapis chwil spędzonych w drodze, rozmów

z przypadkowymi ludźmi, przydrożnych barów i moteli.

Zapiski na biletach, **Michał Olszewski**



Reportaż z wyprawy do miejsc, które zawsze leżą nie po drodze — Słaboszów, Alwernia, Gorzyce i inne małe miejscowości, do których nigdy się nie zagląda, a które są prawdziwym kompendium wiedzy o dzisiejszej Polsce. Przydrożne bary, brudne dworce, sobotnie targowiska i gipsowe figury w ogrodach. Kraj od podszewki, obraz dla niektórych niewygodny, dla

innych wciąż zaczarowana prowincja, gdzie ludziom wydaje się, że spokojnie żyją w swoim świecie, a i tak codziennie przytrafiają się im przygody jak z powieści.

CYTATY NA DROGĘ

„Ludzie uciekają od grożących im okropności i oto dziwne przydarzają im się rzeczy — niekiedy gorzkie i okrutne, a niekiedy tak piękne, że rozpalają niegasnącą wiarę w człowieka”.

(Grona gniewu)

„Słońce, oślepiające słońce, w dole wije się Garonna. Wdycham zapach rozgrzanych łąk i przysmykam oczy, bo wypolerowany asfalt lśni jak lustro. Denerwują mnie miasta. Mijam je szybko i z ulgą oddycham przy wyjeździe. Wspaniałe, zwierzęce uczucie rozkoszy, w której cała uwaga koncentruje się na szybkości, drogowskazach, jedzeniu i znalezieniu noclegu”.

(Szkice piórkim)

„Starzy ludzie szli bardzo ostrożnie. Zanim uprzątnięto śnieg, przechodnie go udeptali i teraz szklił się zdradliwie i biało. Dreptali z torbami”.

(Taksim)

„Przeważnie ludzie są jak liść, co leci z wiatrem to tu, to tam, kręci się i wiruje, aż spadnie na ziemię. Inni zaś, nieliczni, są jak gwiazdy, które poruszają się stałym torem, nie dosięgnie ich żaden wiatr, w samych sobie znajdują prawo i drogę”.

(Siddharta)

„Czas mający ciężar właściwy napiera na ciebie jak wieloznaczny dawny sen. Poruszasz się ciągle, żeby się przez niego przedostać. Choćbyś poszedł na koniec świata, nie uda ci się od niego uciec. Lecz mimo to musisz iść na koniec świata. Są rzeczy, których nie da się zrobić, jeśli nie pójdziesz na koniec świata”.

(Kafka nad morzem)

„Było moim szczęściem zostać deportowanym do Auschwitz dopiero w 1944 roku.”

(Czy to jest człowiek)

MISKA CHIŃSKIEGO RYŻU

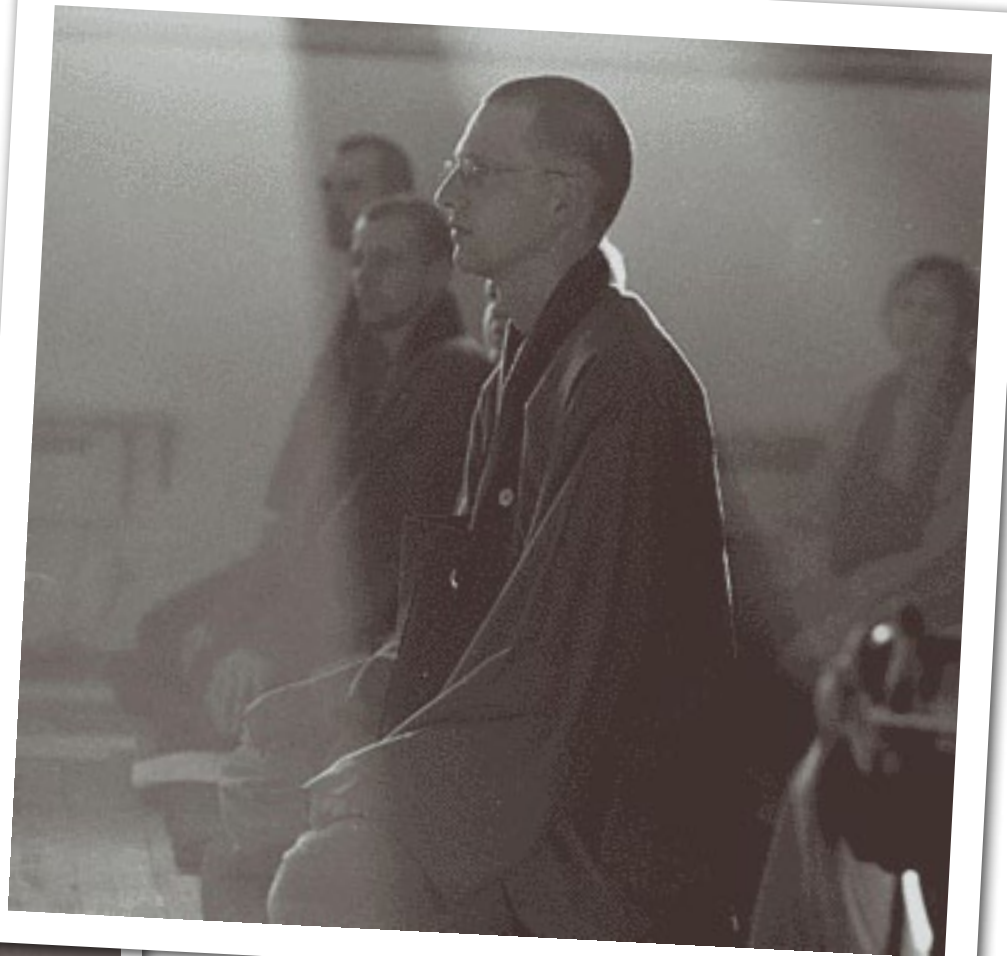
Projekt Wydawniczy „miska ryżu” i Fundacja na Rzecz Wymiany Kulturalnej z Dalekim Wschodem przybliżają polskiemu czytelnikowi perły literatury buddyjskiej i nauki mistrzów zen. A wydawane według tradycyjnych chińskich wzorów książki dają możliwość obcowania z nadzwyczaj starannymi dziełami sztuki introligatorskiej.

Karolina Kunda-Kuwieckij

Robert Bączyk i Agnieszka Olszewska (na fotografiach obok) wpadli na pomysł założenia wydawnictwa w lipcu 2001 roku w Tajlandii, kiedy praktykowali zen w pięknym leśnym klasztorze Wat Pa Nanachat. „W ich wspólnie, angielskojęzycznej bibliotece znaleźliśmy kilka wielkich dzieł wczesnego zen; teksty te, nigdy na język polski nie przetłumaczone, od razu wydały nam się niezbędną częścią edukacji każdego ucznia zen. Robert miał już na koncie przetłumaczenie kazań Bodhidharmy i był pod wielkim wrażeniem zarówno samego tekstu, jak i pracy nad tłumaczeniem. Kierunek dalszych działań nagle wydał się jasny. Z chińską oprawą graficzną i formą zetknęliśmy się w czasie trzymiesięcznego odosobnienia w klasztorze Hwa Gye Sah w Korei Południowej, gdzie po raz pierwszy

przeczytaliśmy tekst Bodhidharmy, wydany właśnie w ten sposób. Po powrocie do Polski zdecydowaliśmy się ostatecznie na rozpoczęcie własnej, niezależnej działalności i założenie Fundacji na Rzecz Wymiany Kulturalnej z Dalekim Wschodem, pod której egidą działa projekt „miska ryżu”, czytamy na stronie internetowej Projektu Wydawniczego. Robert Bączyk, posługujący się także swoim buddyjskim imieniem Bon Gak, w rozmowie z nami, potwierdza: „Praktyka buddyjska stoi za samym powstaniem projektu i jest jego nieodłączną częścią”. Na pytanie, w jaki sposób osobisty rozwój duchowy pomaga w prowadzeniu wydawnictwa i fundacji, Bączyk odpowiada: „Wspomaga koncentrację, planowanie oraz dobry humor i niematerialistyczne podejście do życia, które to cechy są niezbędne przy prowadzeniu Fundacji”.

Książki wydawane przez „miskę ryżu” nie są kierowane wyłącznie dla osób praktykujących medytację, choć, jak podkreśla Bączyk, taki czytelnik byłby idealny.



Publikacje cieszą się powodzeniem zarówno wśród znawców dalekowschodniej filozofii, bibliofilów jak i amatorów estetyki i introligatorstwa artystycznego. Każda książka z oferty wydawniczej „miski ryżu” wydana jest z niezwykle dbałością o szczegóły i detale, które pozostają w ścisłej harmonii z ideą wydawnictwa. Ich szata graficzna nie pozostawia złudzeń co do intencji założycieli wydawnictwa. Wydawca dokładnie opisuje, iż książki „są ręcznie wiązane sznurkiem, zbiór kartek przypomina harmonijkę (kartki są podwójnie złożone, nie rozcięte), okładki tworzą pojedyncze arkusze

ozdobnego kartonu, a tekst drukowany jest na szarym papierze”. W przypadku tego wydawnictwa nie może być mowy o przeroście formy nad treścią, bowiem zarówno forma jak i treść są równie istotne i uzupełniają się nawzajem.

Wśród publikacji Projektu Wydawniczego znajdują się nauki, przekazy i wykłady najśłynniejszych mistrzów i patriarchów zen. Dotychczas ukazało się czternaście książek, a w najbliższych planach wydawniczych znajdują się: *Kurz tego świata. Mistrz zen Yuanwu* (z premierą w kwietniu 2011) oraz *Kwiaty na bagnach. Mistrz zen Dahui* (planowane na jesień 2011). Osoby zainteresowane dalekowschodnią filozofią odnajdą w książkach wiele interesujących i rozwijających treści związanych z buddyzmem zen. W poszukiwaniu wskazówek medytacyjnych warto sięgnąć po nauczanie Mistrza zen Hongzi w *Cichej iluminacji*. Amatorzy nauk dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych mistrzów chińskiego buddyzmu zen nie będą rozczarowani zapiskami Mistrza Tung-shan w książce *Wkraczając w góry*, a miłośnicy literackiej klasyki zen powinni sięgnąć po *Przekaz umysłu. Nauczanie Mistrza zen Huang-Po*, bowiem z tego właśnie dzieła początkujący i zaawansowani adepci buddyzmu od wieków czerpali inspirację.

Zapytani o osobiste preferencje czytelnicze, założyciele wydawnictwa odpowiadają, iż dla „rozrywki poznawczej” najchętniej sięgają po współczesnych chińskich autorów, takich jak np. Ma Jian. Przyznają jednak, iż nie śledzą zbyt dokładnie nowości azjatyckiej literatury pięknej, skupiając się raczej na odkrywaniu i badaniu dawnej literatury zen: „Analizujemy praktycznie wszystkie starożytne teksty zen wydane na Zachodzie na przestrzeni ostatniego półwiecza i na podstawie zebranych materiałów wybieramy te najistotniejsze, o największym wpływie na całość tradycji zen. W serii prezentującej dynastię Tang ukazały się praktycznie wszystkie dostępne teksty wielkich mistrzów”. Wydawcy zdradzili nam, iż planują napisać w przyszłości własną książkę. „Myślę że będzie to raczej opowieść o różnych miejscach praktyki buddyjskiej a nie o buddyzmie jako takim; o miejscach w Azji i nie tylko, gdzie można doświadczyć i dotknąć

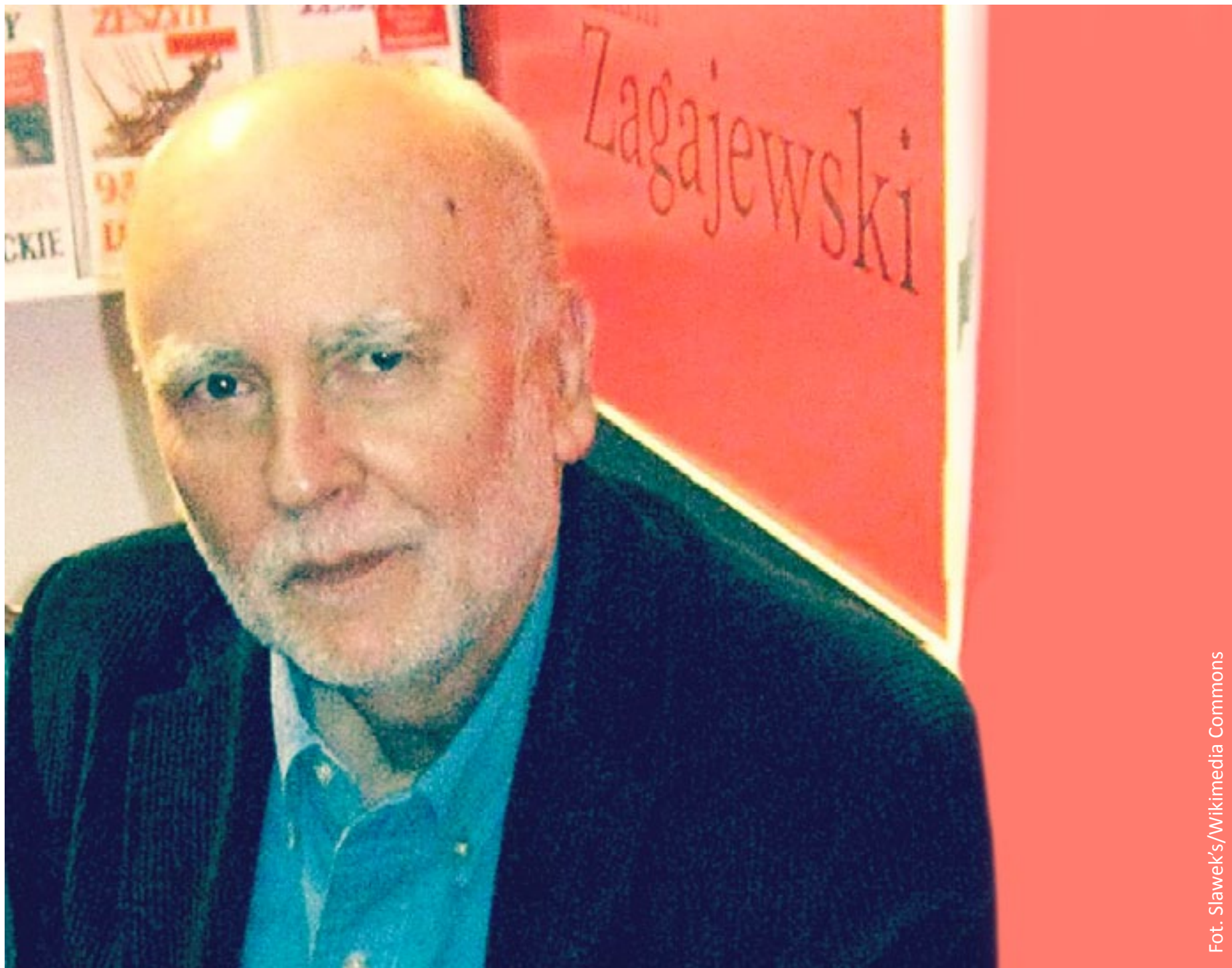


żywej tradycji i mądrości nauk”, precyzuje Robert Bączyk.

Projekt Wydawniczy Fundacji na Rzecz Wymiany Kulturalnej z Dalekim Wschodem powstał z pasji i potrzeby duchowej, jednak nie są to jedyne motywacje jego założycieli. Twórcy „miski ryżu” postawili sobie za cel „rozwój wiedzy społeczeństwa polskiego na temat kultur Dalekiego Wschodu i przybliżanie dokonań myśli filozoficznej i religijnej tego regionu”. W przyszłości może to przyczynić się do zmniejszania ksenofobii i nietolerancji w stosunku do odmiennych kultur i religii. Z informacji zamieszczonych na stronie internetowej projektu wynika, że Fundacja realizuje swoje cele nie tylko poprzez działalność wydawniczą, ale także organizując spotkania otwarte, wykłady, sesje naukowe, konferencje i kampanie informacyjne dotyczące kultur krajów Dalekiego Wschodu. Ponadto Fundacja przyznaje także stypendia na prace tłumaczeniowe, językoznawcze, kulturoznawcze i religioznawcze.

Robert Bączyk i Agnieszka Olszewska nie są jedynymi twórcami „miski ryżu”. Kolektyw tworzą także inni sympatycy dalekowschodnich kultur; jedni praktykują buddyzm na co dzień, inni namiętnie podróżują do krajów Dalekiego Wschodu, dzieląc się z grupą inspiracjami i pomysłami. Wspólnie tworzą szlachetną inicjatywę; wydają książki, pełne wewnętrznego i zewnętrznego piękna, które w subtelny sposób wtajemniczają w meandry buddyzmu zen.

Fotografie udostępnione przez „miskę ryżu”.



Fot. Sławek's/Wikimedia Commons

LEKKI POPIÓŁ MELANCHOLII

ADAM ZAGAJEWSKI — NIEWIDZIALNA RĘKA

Justyna Kowalczyk

Adam Zagajewski od kilku lat widnieje na liście osób potencjalnie nominowanych do otrzymania Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Jest poetą, który na stałe wpisał się w kanon polskiej poezji, a jego wiersze czytane są niemal na całym świecie. Najnowszy zbiór zatytułowany *Niewidzialna ręka* opublikowany został w 2009 roku nakładem wydawnictwa Znak. Całkiem niedawno, bo w maju 2011 roku, ukazał się także jego angielski przekład.

Zawartość *Niewidzialnej ręki* wielu osobom może wydać się znajoma. Poeta ponownie otwiera przed czytelnikami

bramę wspomnień, zaprasza do zwiedzenia miejsc z dzieciństwa, oddaje się refleksjom na temat upływu czasu. Na swój pisarski warsztat bierze motyw miasta, historii, języka. Tytułowa niewidzialna ręka przedziera się gdzieś pomiędzy kartkami, zaznacza swoją obecność w kilku wierszach, wreszcie zaś prowadzi czytelnika po torach pamięci poety.

Wędrówki miejskimi uliczkami stają się motywem przewodnim tomiku. Wraz z nimi wracają wspomnienia, nastaje czas rozrachunku z przeszłością, lekcja życiowej mądrości. Pierwszym przystankiem na tej swoistej

mapie retrospekcji są Gliwice i *Pierwsza Komunia* poety. To nie do końca zrozumiałe dla małego chłopca wydarzenie zapisane zostało w czarno-białych barwach. Fotografia zrobiona na tle białego prześcieradła nie zdradza żadnych przeblysków radości. „Liście topoli w ogrodzie są czarne / świat jest czarny, domy są czarne / powietrze przezroczyste, tylko pościel biała”. Z wiersza *Lekcja fortepianu* dowiadujemy się także, że w wieku ośmiu lat mały Adaś został wysłany na pierwsze lekcje gry na fortepianie. Niestety, „Pani J. powiedziała mi zaraz po pierwszej / albo drugiej lekcji, że bym się raczej uczył języków”. Po tym niemiłym doświadczeniu, poeta przyznaje, „został mi tylko język, tylko słowa, obrazy / tylko świat”.

Ale nawet w języku i słowach nie sposób znaleźć środka na długie i szczęśliwe życie. Kiedy pamięć zawodzi nic nie zdoła odbudować straconych wspomnień, słowa nie przydają się na nic. Pozostaje tylko świat, świat pozbawiony przeszłości. Poeta w wierszu *Z ojcem na spacerze* ze smutkiem, ale także w zgodzie z losem wyznaje, że „ojciec już prawie nic nie pamięta”. Nie pamięta jak pachną lipy, nie pamięta jazdy na nartach. „Czy pamiętasz nieskończoność?” pyta poeta, „Nie, nie pamiętam / Ale niedługo zobaczę. (Mógłby tak powiedzieć)” kończy poeta. Podobnie w wierszu *Teraz, kiedy straciłeś pamięć* poeta ubolewa nad faktem, że pomimo chęci nie jest w stanie pomóc własnemu ojcu: „Nie potrafię ci pomóc, mam tylko jedną pamięć”, wyznaje.

Nie sposób w takich chwilach nie zadać sobie pytania „Jak żyć?” bo, jak pisze w wierszu *I piękna Garonna*, „życie maleje, a my wciąż nic nie wiemy / wciąż nic nie możemy zrozumieć”. Poeta przyznaje, że kiedyś śmieszyły go tego typu pytania. Teraz jednak jest zupełnie inaczej, upływający czas sprawia, że nieuniknionym zdaje się być rozrachunek z otaczającą rzeczywistością. Pojawia się więc pytanie, czymże jest poezja w całym tym bezmiarze życia. W tomie nie brakuje bowiem wierszy poświęconych zagadnieniom

pisarstwa, sztuce słowa. Poeta przywołuje także nazwiska innych poetów, np. Gałczyńskiego, który, jak przyznaje, „był ulubionym poetą moich rodziców / którzy poza tym na ogół nie czytali wierszy”. Próżno jednak szukać w poezji prawdy. W wierszu *Odchodzi wielki poeta* podmiot liryczny stwierdza, że po śmierci ważnego poety nic się nie zmienia, wśród gwiazd panuje wieczny niepokój, w mieście zaś ten sam zgiełk, a „W bibliotece piękna dziewczyna / na próżno rozgląda się za wierszem, który / powiedziała by jej prawdę o wszystkim”.

Wiersze Zagajewskiego emanują spokojem. Nie znajdziemy w nich ani krzyku ani płaczu. Jest za to melancholia, opanowanie, dążenie do zawarcia zgody ze światem. Wszystkie wydarzenia z przeszłości odkrywają pewien sens, niejako poddają się rozumnemu wnioskowaniu. Niewiele jest słów poświęconych miłości, to nie ten rodzaj poezji. To poezja dojrzała, obdarta z wszelkich chwilowych uniesień, nagłych skoków ciśnienia czy szybszego bicia serca. Myśl o przemijaniu przoduje wpisarskich zmaganiach poety dając upust zachowanym jeszcze wspomnieniom.

„Miałem piętnaście lat,
tramwaj jechał
coraz szybciej pomiędzy
osiedlami,
na łąkach widziałem żółte
kaczeńce.
Myślałem, że na ostatnim
przystanku
odsłoni się sens wszystkiego,
ale nic się nie stało, nic,

motorniczy jadł bułkę z serem,
dwie stare kobiety cicho rozmawiały
o cenach, o chorobach.”

fragment wiersza *Ostatni przystanek*.

Adam Zagajewski, *Niewidzialna ręka*, Znak 2009.



W bibliotece piękna
dziewczyna / na
próżno rozgląda się
za wierszem, który
/ powiedziała by jej
prawdę o wszystkim

STAMBUŁ

W SIDŁACH ORHANA PAMUKA

Stambuł oglądany oczami tureckiego noblisty przepełniony jest nostalgią i *hüzün*, osobliwą melancholią. Nietrudno go takim odebrać. Wystarczy tylko szeroko otworzyć oczy, by zobaczyć miasto sprzed kilku dekad i zachwycić się jego smutnym, przemijającym pięknem.

Tekst i fotografie: Karolina Kunda-Kuwieckij

Orhan Pamuk umityczył Stambuł. Jego *Stambuł. Wspomnienia i miasto* stanowi swoistą biblię dla wielbicieli byłego Bizancjum. Utrzymana jest w charakterze kroniki, utkana z niezliczonych reminiscencji, impresji i myśli. Książka, posiadająca cechy pamiętnika, autobiografii i przewodnika, dowodzi czym Stambuł niegdyś był i jaki pozostanie w umysłach i pamięci jego miłośników. Trudno odciąć się od wizji Pamuka i suwerennie odbierać miasto. A może jest tak, że każdy, kto przeczytał książkę, już zawsze postrzeże Stambuł przez pryzmat wspomnień pisarza i fotografii Ary Gülera?

Błądząc po labiryncie uliczek

Stambuł jest miastem, które sprzyja zapomnieniu. Zapomnieniu, dokąd się szło i w jakim celu. Wystarczy skrócić w inną uliczkę, by po chwili rozpocząć błądzenie po niekończącej się płataninie alejek o coraz bardziej obco brzmiących nazwach. Im bardziej stromo, tym biedniej; pusto i nieswojo. Gdy jedna po drugiej kręte zaułki wyrastają jak spod ziemi traci się poczucie czasu, miejsca i celowości. A przemykające koty zdają się tajemniczo wskazywać kierunek dalszej wędrówki.

„zbaczając z jednej ulicy w drugą, przechodząc z jednego placu na drugi”.

(*Stambuł. Wspomnienia i miasto*)

„Zacząłem szkicować spokojne zaułki, zapomniane maleńkie place, pnące się w górę brukowane ulice i drewniane domy z wykuszami”.

(*Stambuł. Wspomnienia i miasto*)

W labiryncie pnących się coraz wyżej uliczek i parkowych alei nie sposób nie poczuć zmęczenia. Czasem oddech staje się zbyt płytki, a nogi odmawiają posłuszeństwa.

*Stambulskie koty hipnotyzują
SPOJRZENIEM*

*Pojawiają się tam, gdzie człowiek
najmniej się ich spodziewa*



*Chaos liter wypisanych na szyldach,
afiszach i murach,
KTÓRE SPRAWIAJĄ, ŻE MIASTO
STAJE SIĘ MIEJSCEM
klaustrofobicznym i dusznym
[Stambuł. Wspomnienia i miasto]*

„Przejażdżki po Bosforze – czy to łodzią motorową, statkiem czy też zwykłą szalupą, jakie ja odbywałem w dzieciństwie – dają nieodpartą przyjemność podglądania tego miasta dom po domu, dzielnica po dzielnicy, a jednocześnie pozwalają podziwiać z oddali jego wiecznie zmieniający się, jak miraż, zarys”.

(Stambuł. Wspomnienia i miasto)



„Czasami wyobrażam sobie samotnego, smutnego człowieka, który wsłuchany w odgłos własnych kroków idzie bez celu przed siebie nabrzeżem. (...) Człowiek dociera na cypel – do Akıntıburnu albo latarni morskiej przed cmentarzem Aşıyan – gdzie słyszy stłumiony ryk niespokojnych morskich prądów i ze strachem patrzy na połyskującą bielutką pianę, która pojawia się bez powodu, i tak jak A.Ş. Hisar oraz niegdyś ja czuje, że Bosfor odkrywa właśnie przed nim swoją duszę”.

(Stambuł. Wspomnienia i miasto)

Inni mieszkańcy

Koty i psy zdają się być równoprawnymi mieszkańcami Stambułu, są wszechobecne. Pamuk trafia w sedno twierdząc, że wszystkie stambulskie psy „wyglądają niemal identycznie (...), ich sierść ma trudny do określenia kolor – coś pomiędzy grafitowym a popielatym”

(Stambuł. Wspomnienia i miasto) Przesiąknięte marazmem zwykle sennie i obojętnie patrzą na miasto i jego mieszkańców.

Ale ponieważ nie jest się mieszkańcem tylko wędrowcem, idzie się dalej, wyżej, aż całkiem zetraca się poczucie rzeczywistości.

„(...) na moje nogi i na całego mnie spadał nagle jakiś dziwny ciężar, a brak chęci promieniował z ciała prosto na moją duszę i wiedziałem już, że nie dam rady iść dalej”.

(Stambuł. Wspomnienia i miasto)

W czeluściach Bosforu

Bosfor kusi i uwodzi. Oddalające się miasto hipnotyzuje, a zapach spienionych fal wabi niczym afrodyzjak. Gdyby nie głos rozsądku mogłoby się zdawać, że z głębin słychać zwodniczy syreni śpiew. Pamuk twierdzi, że Stambuł jest „miejscem, na które należy patrzeć z oddali, nie zerkając za kulisy”

(Stambuł. Wspomnienia i miasto). Miasto widziane z oddali składa obietnicę wieloaktowego spektaklu. To

preludium do skarbów, które kryją się w kłębowisku dzielnic i ich zaułków.

„A potem zobaczy w oddali cały Stambuł z jego rozgardiaszem: meczetami, biednymi przedmieściami, mostami, minaretami, wieżami, ogrodami i gigantycznymi wieżowcami”.

(Stambuł. Wspomnienia i miasto)

„Psie watahy, o których z jednakowym przejęciem pisali w dziewiętnastym wieku wszyscy odwiedzający Stambuł podróżnicy z Zachodu – od Lamartine’a i Nerval’a po Marka Twaina – nadal budzą trwogę”.

(Stambuł. Wspomnienia i miasto)

Stambulskie koty hipnotyzują spojrzeniem. Pojawiają się zawsze tam, gdzie człowiek najmniej się ich spodziewa. Koty zeskakują zwinnie z dachów, chodzą po balustradach balkonów, śpią na dywanach i wałęsają się po wysypiskach. Niektóre przemykają jak duchy, inne zdają się stanowić przedłużenie żywota mieszkańców Stambułu.

Miejskie animozje / „Czułem, że wszystkiemu winny jest Stambuł”

(Stambuł. Wspomnienia i miasto)

Pamuk żywi wobec Stambułu skrajne uczucia, od namiętnej miłości po głęboką odrazę; „jakby Stambuł był karą”

(Stambuł. Wspomnienia i miasto), pisze w rozdziale o nienawiści do miasta. Wszechobecność ludzi i ich afiszowania się z wykonywaną profesją wywołują Pamuka



*Zaczęłam szkicować spokojne zaułki,
zapomniane maleńkie place
**PNĄCE SIĘ W GÓRĘ BRUKOWANE
ULICE I DREWNIANE**
domy z wykuszami...*
[*Stambuł. Wspomnienia i miasto*]

wstręt i potęgują wrażenie nieprzynależności do miasta. „Gdy patrzyłem na te fabryczki, a zwłaszcza na tablice z jaskrawymi literami różnych rozmiarów i kształtów, wywieszone przez jaśnie panów, którzy musieli zapoznać stambulczyków ze swoimi imionami, zawodami, biznesami i sukcesami, rosła we mnie nienawiść do miasta i samego siebie”.
(*Stambuł. Wspomnienia i miasto*)

„(...)chaos liter wypisanych na szyldach, afiszach i murach, które sprawiają, że miasto staje się miejscem klaustrofobicznym i dusznym”.
(*Stambuł. Wspomnienia i miasto*)

W młodości pisarzem targały sprzeczne odczucia w stosunku do wyglądu i ducha miasta. Z jednej strony pragnął, by nie zatracalo ono swojego wschodniego charakteru, innym razem pozostawał zwolennikiem Zachodu. Stambuł, przemawiający wieloma językami i dialektami, zdaje się mieć z tym problem. „W miarę upływu lat (...) do mojej duszy zaczął przenikać hüzn, przyjmowany przez wszystkich mieszkańców tego miasta z rezygnacją i dumą zarazem”.
(*Stambuł. Wspomnienia i miasto*)

Kamienica Pamuków i okolica

Kamienica, w której wychował się i przez wiele lat mieszkał Orhan Pamuk, zlokalizowana jest w Nişantaşı na Teşvikiye Caddesi. Okolicę wyraźnie opanował duch Europy. Okna kamienicy Pamuków wychodzą bowiem na duże centrum



handlowe, pełne zachodnich marek i nowoczesnych kawiarni. Na większości kamienic w tej części miasta widnieje tabliczka z konkretnym nazwiskiem rodowym, a fasady budynków przypominają kamienice z głównej handlowej ulicy w Berlinie, Kurfürstendamm.

„Kamienicę Pamuków wybudowano w dzielnicy Nişantaşı, w rogu szerokiej działki, która przed laty stanowiła ogród wielkiej rezydencji. Ten rejon Stambułu zawdzięcza swoją nazwę (oznaczającą dokładnie kamienny cel) Selimowi III i Mahmutowi II, reformatorom i zeuropeizowanym sułtanom z końca osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku”.
(*Stambuł. Wspomnienia i miasto*)



*Jeśli kochacie jakieś miasto i dużo po nim spacerowaliście, wasze ciało
NIE WSPOMINAJĄC NAWET O DUSZY, UCZY SIĘ ROZKŁADU ULIC TAK,
że w chwili smutku, gdy smętnie sypie śnieg, nogi same niosą was na ulubione wzgórze.
[Nazywam się Czerwień]*

Antropomorfizacja Stambułu

Stambuł niezwykle często pojawia się w książkach Pamuka stając przeważnie w roli niemego, ale ważnego świadka opisywanych wydarzeń. W *Cevdecie Beju i synach* pisarz ukazał Stambuł jako miejsce o zmieniającym się wizerunku, poddanym europeizacji. Drugi rozdział *Nazywam się Czerwień* otwiera nostalgiczna scena powrotu głównego bohatera do Stambułu jak do dawnego przyjaciela. „Jeśli kochacie jakieś miasto i dużo po nim spacerowaliście, wasze ciało, nie wspominając nawet o duszy, uczy się rozkładu ulic, tak że w chwili smutku, gdy smętnie sypie śnieg, nogi same niosą was na ulubione wzgórze”. W *Muzeum Niewinności* dzielnicami Stambułu, które zdominowały książkę, są Nişantaşı i Çukurcuma. W tej drugiej zlokalizowany był rodzinny dom ukochanej głównego bohatera. Çukurcuma, z ulicą antykwariatów

i urokliwych sklepików ze starociami, stanowi zaciśny dystrykt Stambułu i wchodzi w obręb większej dzielnicy, Beyoğlu. „Dom rodziców Füsün (Keskinów) znajdował się na skrzyżowaniu alei Çukurcuma (biegnącej po pochyłości) i wąziutkiej ulicy Dalgıç. Na planie miasta widać wyraźnie, że idąc krętymi stromymi uliczkami można stąd w ciągu dziesięciu minut dotrzeć do Beyoğlu, do Alei Niepodległości” (İstiklal Caddesi).

Jednak to właśnie w książce *Stambuł. Wspomnienia i miasto* Pamuk uczynił miasto głównym bohaterem. To dzieło literackie stanowi hołd złożony Stambułowi, który gra tu pierwsze skrzypce. Pisarz odnosi się do niego niezwykle personalnie i czule. „Stambuł wydawał mi się miastem czarno-białym, ponieważ jego uroda i historyczna wielkość nie mogły przebić się na powierzchnię, przykryte ubóstwem, starością i zaniedbaniem. Nawet najwspanialsza architektura osmańska ma w sobie skromność i prostotę świadczące o tęsknocie za dawnym

imperium, przypominające o bolesnej kapitulacji wobec poniżającego naporu Europejczyków i wobec odwiecznej biedy, do której trzeba się przyzwyczaić jak do nieuleczalnej choroby. To właśnie tą rezygnacją żywi się zamknięta w sobie dusza Stambułu”.

Doświadczenie miasta

Orhan Pamuk to wnikliwy obserwator miasta. Nie ukrywa swojego silnie emocjonalnego stosunku do Stambułu. Z namaszczeniem opowiada jego historię, a każda kolejna powieść w dorobku pisarza przedłuża ową historię w nieskończoność. „Obserwowanie miejskich widoków to umiejętność łączenia obrazów z uczuciami”, twierdzi. Spacerując po Stambule trudno nie dopuścić do głosu całej palety uczuć: od zachwytu, poprzez zdziwienie, melancholię, na smutku skończywszy. Jednak te wszystkie emocje współgrają ze sobą, wynikają z siebie i tworzą harmonijną całość. Dzięki nim miasto przeżywa się w pełni i równowadze. Stambuł wydaje się miastem, które nie zmienia swojego oblicza specjalnie dla turystów i podróżnych. W całym swym gwarze, rozgardiaszu i niespójności, permanentnie zdaje się być sobą. Przynajmniej ja tak właśnie je postrzegam.

Bibliografia:

Orhan Pamuk, *Stambuł. Wspomnienia i miasto*, Wydawnictwo Literackie 2008.

Orhan Pamuk, *Nazywam się Czerwień*, Wydawnictwo Literackie 2007.

Orhan Pamuk, *Muzeum Niewinności*, Wydawnictwo Literackie 2010.

A potem zobaczy w oddali cały Stambuł
Z JEGO ROZGARDIASZEM:
MECZETAMI, WIEŻAMI, OGRODAMI
i gigantycznymi wieżowcami
[Stambuł. Wspomnienia i miasto]



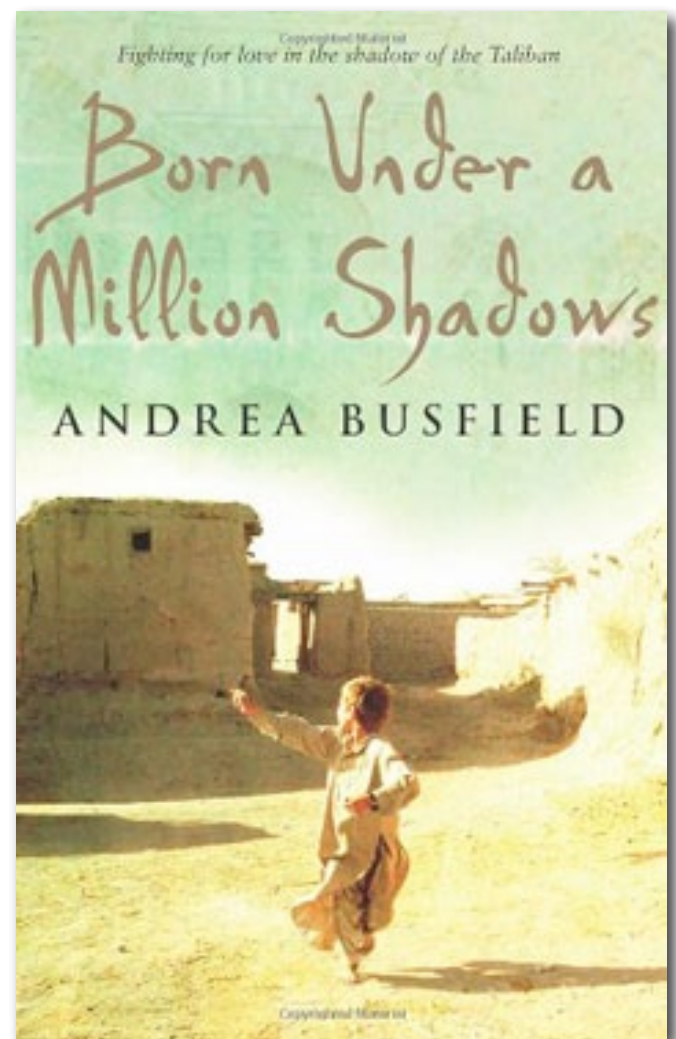
NIEWYDANE W POLSCE

Pod niebem Afganistanu

Joanna Wonko-Jędrzysek

Gdy za pisanie o kraju takim jak Afganistan, fascynującym kulturowo i o dramatycznej historii, bierze się cudzoziemiec, wielu czytelników żywi obawę, że autor nie sprostą zadaniu. Niekiedy są to uzasadnione obawy – osoba spoza danego kręgu kulturowego może nie do końca rozumieć opisywane przez siebie zjawiska, a pragnąc dotrzeć do odbiorcy z rodzimego kraju, czasem ulega pokusie podążania za sensacją i upraszczania faktów, by stały się prostsze w odbiorze dla zachodniego czytelnika. Andrea Busfield unika tych pisarskich niebezpieczeństw. Do Afganistanu trafiła jako reporterka z zadaniem napisania serii artykułów o upadku talibów i zakochała się w tym surowym, lecz pięknym kraju. Wróciła tam następnie w 2005 roku i przez trzy lata mieszkała w Kabulu, pracując jako dziennikarka dla wydawanej przez NATO gazety. Gdy zdecydowała się na wyjazd (podążając za ukochanym kapitanem austriackich sił zbrojnych) pożegnanie z Afganistanem i jego mieszkańcami okazało się niezwykle bolesne. Smutek spowodowany rozstaniem posłużył za jeden z impulsów do napisania debiutanckiej powieści pt. *Born Under a Million Shadows*.

Autorka sprawnie narratorem swojej opowieści uczyniła jedenastoletniego chłopca imieniem Fawad, którego Andrea Busfield opisała, wzorując się na chłopcu o tym samym imieniu poznany na ulicy w Kabulu. Prawdziwy Fawad pragnąc zdobyć trochę pieniędzy mianował się „bodyguardem” Busfield, a dzięki swojemu nieodpartemu wdziękowi i inteligencji szybko zaprzyjaźnił się z pisarką. Jego fikcyjny imiennik również może poszczycić się nieprzeciętną błyskotliwością i pogodnym spojrzeniem na otaczający go świat. Fawad kocha Afganistan i choć przyszło mu żyć w trudnych czasach, w cieniu wojen i rządów talibów, dramatyczne przejścia nie przeszkadzają mu cieszyć się życiem i z nadzieją patrzeć w przyszłość. Wraz z matką mieszka u ciotki. Jego ojciec i bracia zginęli podczas następujących po sobie wojen, a siostra została porwana



Andrea Busfield – *Born Under a Million Shadows*
Black Swan, 2009

przez talibów i słuch o niej zaginął. Fawad wraz z grupką znajomych stara się zarobić kilka groszy usługując na różne sposoby cudzoziemcom lub zwyczajnie okradając ich, co chłopcy nazywają „pożyczaniem”. Pewnego dnia jednak, po kolejnej kłótni z siostrą, matka Fawada postanawia wyprowadzić się do swojej pracodawczyni i prowadzić jej dom. Zabiera ze sobą syna i w ten oto sposób Fawad wkracza w zupełnie nowy dla siebie świat – okazuje się bowiem, że zamieszkają wraz z cudzoziemcami, a chlebodawczynią matki Fawada jest Georgie, charyzmatyczna i atrakcyjna Brytyjka. Zauroczonej nią Fawad szybko zaprzyjaźnia się ze wszystkimi mieszkańcami domu, a przy okazji poznaje nieznaną mu dotąd stronę własnego kraju – Georgie trwa w burzliwym związku z byłym mudżahedinem, Haji Khanem.

Busfield z wielkim wyczuciem opisuje historię widzianą oczami Fawada, umiejętnie w moim odczuciu odwzorowując charakter i spojrzenie na świat jedenastolatka wychowanego w burzliwych czasach. Choć nierzadko sytuacje, w których znajduje się Fawad, są wzruszające lub trudne do zaakceptowania, nie można zapomnieć, że przede wszystkim jest on wciąż dzieckiem, szukającym jasnej strony świata, patrzącym na otaczającą go rzeczywistość z humorem. *Born Under a Million Shadows* to ciepła i zabawna książka traktująca o rzeczach

ważnych, najistotniejszych relacjach i życiu w kraju srogo doświadczonym przez lata wojen. Autorka pisze o Afganistanie z czułością i wielkim szacunkiem, nie brak w jej narracji jednak małych szpilek, które wbija w brak otwartości wielu Afgańczyków na ludzką inność, głównie jeśli chodzi o wiarę w innego boga lub jej całkowity brak.

Czy miłość pod niebem Afganistanu jest w ogóle możliwa? Busfield dobitnie pokazuje, że ludzie wszędzie są tacy sami, a kulturowe różnice nie odgradzają ich od siebie murami nie do przebycia. Kiedy pojawi się prawdziwe uczucie, pozwala ludziom na uczynki, o które wcześniej by się nie podejrzewali. I o tym jest między innymi ta czarująca, słodko-gorzka chwilami powieść.



Uwe Tellkamp – *Der Turm*
Suhrkamp, 2009

Anna Bittner

Blisko tysiącstronicowa, monumentalna i bardzo epicka powieść Tellkampa wymaga niesłychanej uwagi czytelnika. Warto jednak zdobyć się na ten wysiłek i sięgnąć po tę uhonorowaną w 2008 roku nagrodą Deutscher Buchpreis książkę.

Der Turm wydaje się być pierwszą obszerną niemiecką powieścią ukazującą w tak dogłębny sposób schyłek NRD. Akcja rozpoczyna się w 1982 roku, tuż po śmierci Breżniewa, a kończy 9 listopada 1989 roku. Tellkamp umiejscawia ją w mieszczańskiej dzielnicy Drezna, zamieszkałej przez naukowców, lekarzy, literatów. Pod lupę bierze rodzinę Hoffmanów – ojciec Richard jest znanym chirurgiem, matka Anne pielęgniarką, synowie chodzą do szkoły. Starszy Christian – skryty, gorliwy i pilny uczeń stanie się jednym z głównych bohaterów powieści. Brat Anne, Meno, to kolejna ważna postać. Pracuje jako

lektor w jednym z drezdeńskich wydawnictw. Fragmenty jego dziennika, w których komentuje rzeczywistość i aktualne wydarzenia, przeplatają się z akcją powieści.

Tellkamp na pierwszych stronach powieści zapoznaje czytelnika ze wszystkimi postaciami – z okazji pięćdziesiątych urodzin Richarda cała rodzina oraz współpracownicy jubilata zbierają się na uroczystym przyjęciu. Christian przyjeżdża z internatu w Waldbrunn, gdzie uczęszcza do dobrego liceum. Oprócz rodziny Hoffmanów poznajemy kuzynostwo Christiana i Roberta oraz ich rodziców, jak również dziadków chłopców. Autor wyraźnie umieszcza akcję we wschodnioniemieckich realiach – trudno zdobyte specjały zachwycają gości, wyjątkowe prezenty zaskakują jubilata, a siermiężność otoczenia upiększa koncert muzyki klasycznej, jaki dają najmłodsi członkowie rodziny.

Gra na instrumentach, obcowanie z literaturą i malarstwem, wiara w humanizm – czyli sposób myślenia, który w NRD oficjalnie nie istniał – są jednym ze sposobów utrzymania dawnej kultury mieszczańskiej oraz protestem przeciwko socjalizmowi. Każdy z członków rodziny w jakiś sposób dotknięty zostanie jednak przez panujący w NRD system polityczny. Richard boryka się z politycznymi zależnościami od szefa, z brakiem leków, z katastrofalnym stanem szpitala oraz brakiem możliwości rozwoju i dotrzymywania kroku kolegom z zachodu. Równocześnie poddawany jest presji przez Stasi, która chce zmusić go do współpracy, wykorzystując jego grzechy młodości oraz fakt zdrady żony i posiadania drugiej rodziny. Christian stoi u progu dorosłości, tuż przed maturą podejmuje decyzję o wyborze studiów, z czym wiąże się absolutna polityczna poprawność w szkole oraz wymuszona chęć trzyletniej służby w wojsku. Meno natomiast jako lektor próbuje odnaleźć możliwość zadowolenia zarówno autora powieści, jak i cenzora oraz doprowadzić do druku jak najmniej zmienionego dzieła. Dzięki swojej pracy często obcuje z ówczesną „czerwoną” elitą, ma okazję śledzić rozmowy i polityczne posunięcia z pierwszej ręki, co powoduje, iż coraz bardziej zamyka się w sobie i poświęca swoim zoologicznym zainteresowaniom.

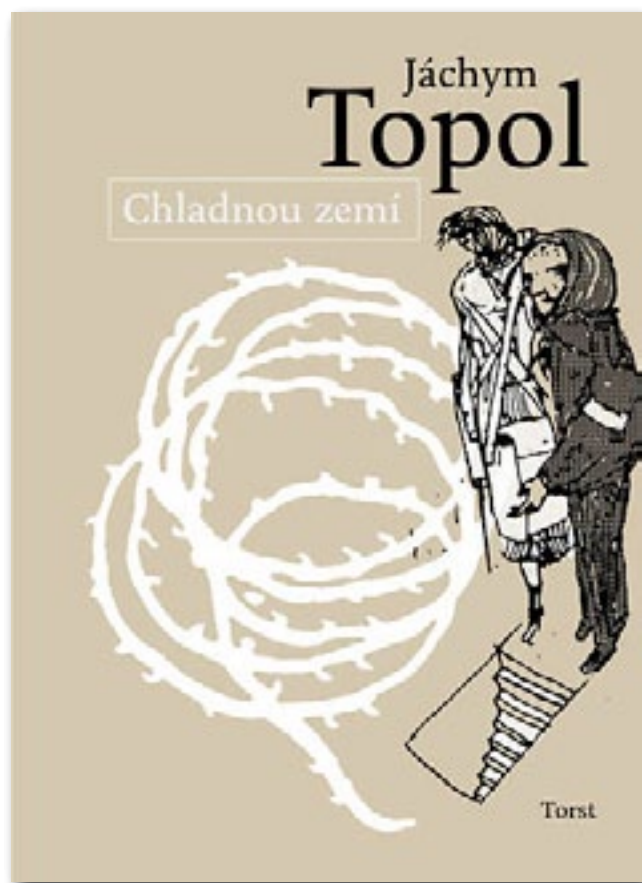
Przedstawiając losy Hoffmanów, Tellkamp wypełnia karty powieści niezwykle wiernymi opisami życia w Dreźnie – przedstawia kolejki, walkę o żywność, ciasnotę w mieszkaniach, brak opału, wizyty w publicznych łaźniach, absurdałne traktowanie przez urzędników oraz piramidalną biurokrację, a przede wszystkim wszechobecną podejrzliwość i obawę przed szpiclami. Ale nie brak tu także niemal idyllicznych opisów dzielnic Drezna – zwłaszcza tych mieszczańskich, pełnych rozpadających się, a jednak urokliwych willi z dzikimi ogrodami, werandami i rzeźbami. Czytając te

opisy czytelnik wyraźnie odczuwa nostalgię za czasami drezdeńskiej przedwojennej świetności. Tellkamp przedstawia także, przy okazji spotkań Meno z wysoko postawionymi urzędnikami, zamkniętą dzielnicę Drezna, zamieszkałą tylko przez partyjnych notabli.

Styl Tellkampa jest zachwycający. Długie, wielokrotnie złożone zdania pełne metafor wymagają od czytelnika skupienia i uwagi. Autor podjął próbę stworzenia powieści prawdziwie epickiej, w duchu jak najlepszych tradycji bildungsromanu – to nie jest książka na dwa wieczory, a raczej lektura na wiele tygodni. Trudno jednak wyzbyć się porównań z najznamienitszymi reprezentantami tego gatunku literackiego – przede wszystkim z *Buddenbrookami* Thomasa Manna, powieścią J.W. Goethego *Lata nauki Wilhelma Meistra* oraz dziełem Gottfrieda Kellera *Zielony Henryk*. Autor

odwołuje się także do własnych doświadczeń. Najbliższą mu postacią jest Christian, który podobnie jak on służy w brygadzie pancerniej NVA (Narodowa Armia Ludowa) oraz pragnie studiować medycynę.

Drobiazgowe, patetyczne opisy na pierwszych stronach mogą odstraszyć od dalszej lektury. Wiele z nich wydaje się być wręcz zbytecznymi, szczególnie trudne w odbiorze są fragmenty dziennika pisanego przez Meno. Warto jednak dać szansę temu, powiedziec by można, eposowi, bo spośród wyrafinowanych opisów zaczyna wyłaniać się fascynująca powieść. Tellkamp poprzez dialogi, różnorodność języka – od dialektu poprzez mowę potoczną po język literacki – i różne miejsca akcji szkicuje niepowtarzalną panoramę wschodnioniemieckiego społeczeństwa.



Jáchym Topol – *Chladnou zemí*
Torst, 2009

Stefania Szostok

Wschodnioeuropejskie panoptikum grozy

Chladnou zemí (*Idąc chłodną ziemią**), najnowsza powieść jednego z najoryginalniejszych czeskich pisarzy średniego pokolenia, nie jest książką realistyczną. Jej tematem są jednak najzupełniej realne zbrodnie wojenne i ludobójstwa XX wieku. Od zarania swej prozatorskiej twórczości Jáchym Topol miesza fakty historyczne i fantazję, tworząc jedyne w swoim rodzaju alternatywne dzieje Czech i Europy Środkowo-Wschodniej.

W topolowskiej wersji zdarzeń wszystko jest bardziej krwawe, brutalne i bezlitosne. Pisarz dla nas „zagęszcza” rzeczywistość: wszystko, co znamy z telewizyjnych wiadomości i uważamy za bardzo odległe, nagle dzieje się tu i teraz, na naszej ulicy, pod naszymi oknami. Czytając jego najnowszą książkę nie mamy gdzie uciec przed grozą i złem.

Terezín – miasto w północnych Czechach, niegdyś c. k. koszary, w czasach II wojny światowej obóz koncentracyjny dla obywateli żydowskich, służący jako ostatni przystanek na drodze do Oświęcimia i innych miejsc zagłady. To tutaj rodzi się główny bohater i zarazem narrator, bezimienny pasterz kóz. Jego ojciec to czechosłowacki wojskowy, przybyły do miasta jako „syn pułku” wraz z wyzwolicielską Armią Czerwoną. Matka bohatera została przez swego przyszłego męża wyciągnięta z dołu pełnego trupów. Poharatana na duszy, nie wychodzi w ogóle z domu i buduje schrony z mebli, poduszek, koców.

Powieściowy Terezín jest zupełnie inny niż jego realny pierwowzór. To miasto duchów, z którego odeszli niemal wszyscy obywatele, i którą władza przeznaczyła do rozbiórki. Pamięć pomordowanych chce ocalić Lebo, charyzmatyczny guru, który przeżył obóz jako niemowlę w pudełku po butach pod pryczą jednej z „ciotek”. Teraz Lebo przemawia do ludu niczym prorok, który wyszedł z pieca ognistego, a jego słowa leczą rany, pokazują jak dalej żyć na zgliszczach iluzji o rodzaju ludzkim. Młodzi depresyjni „poszukiwacze prycz” zaczynają się zjeżdżać z całego świata do dawnego jądra ciemności, by tu, na miejscu śmierci, móc nabrać ochoty do życia. Powstaje komuna zwana Koménium. Bohater pomaga Lebowi robić marketing przedsięwzięcia i zbierać datki od możnych tego świata. Przybywają dziennikarze, turyści, rzecz robi się coraz bardziej zorganizowana i coraz bardziej przypomina biznes. Topol pokazuje bardzo prawdziwie jak w tego typu sytuacjach zawsze rodzi się napięcie

między autentycznością a turystycznym kiczem. Jak bardzo nietrwały żywot mają podobne utopie – albo zamienia się w organizacje banalizujące dawne wydarzenia i czyniące z nich atrakcyjny euroskansen, albo rozgoni je policja, spychacze i armatki wodne. Koménium sprzedaje koszulki i „ghetto pizzę”, pobierane są opłaty za przemówienia Leba, ale motorem działań bohaterów cały czas nie jest chęć zysku, tylko wola przetrwania. Bohaterowie idą w komercję w dobrej wierze, bo według nich to jedyna droga do ocalenia Terezína, ich domu i jedynego miejsca, w którym da się żyć ze zmorami przeszłości.

Jednak spychacze w końcu i tak docierają do miasta. Bezimienny bohater ucieka z cennym Pajączkiem, pamięciową kartą, na której zapisane są wszystkie kontakty, dzięki którym Koménium miało tak bogate konta. Jako „ekspert na cmentarzyska” dociera na Białoruś, gdzie panoptikum potworów, kreatur i biesów gęstnieje. Bohatera zaprasza Białorusin Alex i jego kompani, którzy pragną odkryć zbiorowe groby leżące warstwami w białoruskiej chłodnej ziemi – pomordowanych Żydów, wieśniaków, Niemców, opozycjonistów. Alex już całkiem jawnie chce zrobić na tym interes, choć kierują nim też pewne karykaturalne „szlachetne” pobudki: chce pokazać światu, w czym jego kraj jest wyjątkowy. Nigdzie nie ma tylu zrównanych z ziemią wiosek, tylu ludzi spalonych w stodołach, tylu pomordowanych i pogrzebanych w lasach, tyle bezimiennych grobów, o których nikt nie wie. Alex złości się, że wszyscy jeżdżą do Oświęcimia, Polacy zbijają kasę, a tymczasem prawdziwy „horror trip” jest przecież na Białorusi! I przygotowuje przerażający projekt muzeum pełnego zmumifikowanych ludzi, opowiadających o swych strasznych przeżyciach z taśm. Muzeum Alexa ma się nazywać „Warsztat Szatana”, ale na Topolowskiej Białorusi zbrodnia nie należy do muzealnej przeszłości, tutaj „dábel se ještě sakra činí” (diabeł ciągle pracuje za trzech*). Nawet w imieniu pamięci dawnych ofiar popełniane są nowe zbrodnie.

Bohater i narrator *Chladnou zemí* nie ma imienia, jest swego rodzaju „człowiekiem bez właściwości”. Cała jego rola polega na byciu świadkiem i opowiadaczem. Wszystkie wydarzenia przefiltrowane są przez jego świadomość, której wiarygodność od czasu do czasu sam autor poddaje w wątpliwość (bohater pije różnej maści alkohol, łyka niebieskie pigułki dające euforię, pali czerwoną terezínską trawę... nie mówiąc o tym, że to dziwak, który niemal całe swe dorosłe życie spędził w więzieniu). Ale innego świadka nie mamy.

Cała opowieść toczy się w typowym dla Topola szalonym tempie – fabuła to jedno pasmo ucieczek, szukania kryjówek, wyskakiwania przez okna i przepychania się przez podziemne tunele. Szybki montaż scen, karnawałowe wydarzenia zaprawione czarnym humorem, postaci: zbieranina bezdomnych, półgłówków, pijaków, outsiderów, starych praktycznych ciotek, ludzi pogrążonych

w depresji i ludzi ogarniętych obsesją, wrażenie oralności tekstu, hipnotyczny rytm opowiadania – to wszystko znaki rozpoznawcze topolowskiej narracji, polskiemu czytelnikowi znane z powieści przetłumaczonych przez Leszka Engelkinga i wydanych przez wyd. W.A.B.: *Siostry* (2002), *Nocnej pracy* (2004) i *Strefy cyrkowej* (2008).

Chladnou zemí to moim zdaniem jedna z najlepszych książek Topola. Nie jest przeciążona metaforami, jak np. *Siostra*, fantasmagoryczny świat autora jest niezwykle sugestywny, a czarny humor to tylko maska, jaką autor nasadza szaleństwu i śmierci. Czeski pisarz uczy nas, że przeszłość jest ciągle żywa, nie daje o sobie zapomnieć, pasożytuje na przyszłości. Czy tego chcemy czy nie niesiemy ze sobą zarówno „wielką historię”, dzieje wojen i ludobójstw, jak i prywatne upadki naszych ojców i psychozy naszych matek. Wschodnia Europa to nie region geograficzny, ale metaforyczna strefa śmierci, do której żaden tutejszy naród nie chce się przyznać. Wschód jest wszędzie tam, gdzie pod cienką warstwą ziemi można odnaleźć zbiorowe groby, wszędzie tam, gdzie ciągle powstają nowe.

* Tytuł i cytaty w tłumaczeniu autorki recenzji.



Jaroslav Rudiš – *Konec punku v Helsinkách*
Labyrint 2010

Stefania Szostok

„Helsinki” z tytułu najnowszej powieści Jaroslava Rudiša to zadymiony, otłuczony bar w pewnym bezimiennym wschodnioniemieckim wielkim mieście. To przystań dla pogruchotanych życiem, starzejących się byłych punków, których irokezy posiwiały lub wypadły. To oaza straceńców, którzy podobnie jak właściciel Ole noszą

w sobie bolesne „szklane odłamki” dawnych błędów i straconych iluzji.

Jaroslav Rudiš, czeski pisarz i frontman niemieckiej rockowej grupy U-Bahn, napisał książkę o ostatnim pokoleniu punku i o tym, co z niego zostało dzisiaj. Akcja powieści toczy się na kilku poziomach, i jak to już u Rudiša bywa (co mi osobiście przypomina montaż filmowy znany choćby z filmów Alejandra Gonzáleza Iñárritu), łączy je jedno kluczowe wydarzenie sprzed lat, gdzie wszystkie linie fabularne nagle przecinają się i łączą ze sobą. Tym punktem kulminacyjnym opowieści jest legendarny koncert zachodniemieckiej grupy punkowej Die Toten Hosen w 1987 r. na festiwalu w okolicach Pilzna oraz wydarzenia, które nastąpiły potem, i które zaważyły na całym życiu głównego bohatera.

Pierwsza linia opowieści to współczesne życie samotnika Olego w metropolii, po której jeżdżą stare czechosłowackie tramwaje, a ściany domów pękają z powodu budowanego pod miastem tunelu. Podobnie popękane jest całe życie protagonisty, którego wszystkie związki się rozpadły i który nie potrafi nawiązać kontaktu z dorastającą córką. Odpycha od siebie nawet stałą bywalczynię baru Lenę, która najwyraźniej pragnie się do niego przybliżyć. Jednak pomimo wszystkich prześladowających go duchów przeszłości Ole się trzyma, bo w „Helsinkach” znalazł swoje miejsce na ziemi i względny spokój ducha (w przetrwaniu pomagają mu też litry kawy, alkoholu i tony nikotyny). Dużo gorzej kończy Frank, jego stary przyjaciel i współzałożyciel punkowego zespołu Automat, w którym obaj kiedyś grali. Frank nie śpi, łąduje w sobie najróżniejsze „grzybki” i po całych dniach tworzy tajemniczą „historię świata”. Do „Helsinek” bohaterowie chodzą na piwo i pyszną zupę soljanek jeszcze inne ciekawe indywidua, na przykład Zrób-to-sam, obsesyjny złota rączka, didżej Tom, który ściąga tysiące płyt dziennie i kombinuje, jak do końca życia zdążyć je wszystkie przesłuchać, Lena, która fotografuje martwe ptaki i wielu innych mniej lub bardziej szalonych ludzików, łącznie z kapelą S-Bahn (mrugnięcie okiem w stronę czytelnika, bo Rudiš lubi dawać samemu sobie i swemu zespołowi malutkie role w swych opowieściach).

Kolejna warstwa narracji to dziennik Nancy, zawziętej punkówki żyjącej w szarych latach osiemdziesiątych w zapyziałym czeskim Jeseníku. Są to najlepsze partie książki, pisane jędrnym, wyrazistym i miejscami bardzo zabawnym slangiem, z wielką domieszką germanizmów, bo bohaterka jest potomkinią sudeckich Niemców i dzięki swej „omie” (babci) „szprechuje” po niemiecku. Nancy chodzi w ogromnej skórzanej kurtce,

nosi irokeza, a depresyjne życie w komunistycznym państwie doprowadzają do szaleństwa. W dzień skrobie gary w jadłodajni, a wieczorem „panksnotded”, bitki z milicjantami, trawa, miłość do punka Helmuta, zdarte kasety przemyczone z Polski, dzikie imprezy w wiejskiej chałupie, kłótnie z matką w m3 w wielkiej płycie. Nancy w niczym nie zna umiaru, we wszystkie kłopoty pakuje się aż po uszy, jest wściekła i szczera, bo przecież „no future”. Ale w jej wypadku naprawdę żadnej przyszłości nie widać. Wszystko w Jeseníckim regionie spowija radioaktywna chmura z Czarnobyli, smog i beznadzieja.

Trzecia linia fabularna powieści to prowokacyjny manifest tajemniczej młodej anarchistki, która tak jak jej rodzice w komunizmie, nie potrafi się odnaleźć w nowym, nastawionym na konsumpcję i zysk, a do tego aż niesmacznie fałszywym społeczeństwie. Jej trącące terroryzmem akcje (guerrilla gardening, sprejowanie, zapalanie samochodów) wymierzone są w tzw. „ładnych ludzi” – hipokrytów, którzy wygładzają i upiększają otaczający ich świat, zamiatając cały jego brud i zło pod dywan. „Bio-ludzie” uspokajają sumienie segregacją śmieci, ale każde zimy latają do Tajlandii, a ich samochody przypominają czołgi. Wprowadzają się do dawnych robotniczych dzielnic, dziś modnych rejonów miasta, a staruszki i inni „nieudacznicy” z powodu wzrostu cen czynszu są wypychani na peryferia. Buntownicza chce wstrząsnąć spokojną, uładową egzystencją nowego drobnomieszczaństwa, wprowadzić niepokój w ich zadowolone z siebie, wysportowane ciała, najedzone biomarchewką w multikulti restauracjach. Pokazać im, że świat wcale nie jest tak piękny i miłutki, jakim go sobie tworzą, wyganiając wszystkich, którzy im śmierzdzą, na marginesy życia i miasta. Młoda gniewna bohaterka nie słucha punka, ale elektronicznej muzyki, lecz duch i siła punkowej rewolucji jak najbardziej w niej jest. Punk’s not dead, po prostu.

Powieść Jaroslava Rudiša czyta się jednym tchem. Ma w sobie sporą dawkę smutku i melancholii, ale nie brakuje jej też dowcipu i ironicznego dystansu. Dialogi są cięte, bohaterowie sympatyczni, a pytania zadawane przez autora ważne. Po *Niebie pod Berlinem* (2002, po polsku 2007), *Grandhotelu* (2006, ukaże się niebawem po polsku nakładem wydawnictwa GOOD BOOKS) oraz *Potichu* (2007) to kolejna książka tego autora, która nie boi się naszej pokopanej współczesności, cały czas nawiedzanej przez duchy, które nie dają spać. Rudiš pisze o tym, jak mainstream bezlitośnie pochłania każdy wymierzony w niego bunt, który jednak zawsze powraca jak echo i znajduje sobie nowego wroga. Na pytanie o sens ponadczasowej punkowej rebelii musimy sobie odpowiedzieć sami. Żadnych recept ani osądów w książce czeskiego pisarza nie znajdziemy. I całe szczęście.

STOLICZKU NAKRYJ SIĘ

Takie stwierdzenie można znaleźć na jednej z pierwszych kart książki *Stół jaki jest. Wokół kuchni w Polsce* Wojciecha Nowickiego, która została wydana nakładem Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Już sam wydawca (Muzeum Etnograficzne na placu Wolnica znane jest ze świetnych projektów i wystaw) sprawił, że na książkę spojrzęłam przychylnym okiem. Przyznam – nie zawiodłam się.

Czegóż w tej książce nie ma! Opowieść Wojciecha Nowickiego przybrała formę eseju i, pomimo że nie przepadam za ozdobnymi metaforami, muszę powiedzieć, że narracja płynie niczym rzeka: raz wolno i leniwie, kiedy indziej zaś wartko i szybko. Autor używając pięknej, kwiecistej polszczyzny (przyznam, że musiałam zajrzeć do Słownika Języka Polskiego aby odnaleźć znaczenie słowa „erzac”), snuje swoją opowieść o historii polskiego stołu. Píše zarówno o historii subiektywnej, własnej, intymnej jak i o historii „większej”, którą można poznać przyglądając się zmianom w jadłospisach, książkach kucharskich, w technice.

Autor sprawnie porusza się pomiędzy danymi statystycznymi, fragmentami poezji, wypisami z menu przydrożnych restauracji, cytataми z czasopism branżowych, własnymi spostrzeżeniami. Wszystko to tworzy barwną narrację, której celem jest (przynajmniej moim zdaniem) opisanie kondycji współczesnej kuchni polskiej – jednak bez patosu i nastawienia „i-tak-wszystko-wiem-lepiej”.

Książkę charakteryzuje wielowątkowość, dlatego też tak przyjemnie się ją czyta. Wojciech Nowicki pisze więc o osobistej kuchni, która jest „nasza” ze względu na cały bagaż doświadczeń. Dlaczego smakują nam smaki z dzieciństwa, dlaczego wzdychamy do tego, co teraz prawdopodobnie wydawałoby się nam paskudne? To nasza wybiórcza pamięć – odpowiada autor – łączy te smaki ze smakiem młodości, innego, idyllicznego, lepszego świata.

WARIACJE NA TEMAT POLSKIEGO STOŁU

Kuchnia jest składową częścią życia, na równych prawach co sen, oddychanie; na równych prawach co wszystkie życiowe dylematy, w tym te wyższe, natury etycznej, moralnej – a przez to nie mniej warta uwagi; choć w Polsce mieliśmy mniej szczęścia do uważnych obserwatorów kuchni niż do dyktatorów moralnych

Tekst i fotografie Klaudyna Hebda





Wojciech Nowicki zastanawia się także nad tym, co nadało kształt współczesnej kuchni polskiej. Uważa, że jednym z czynników były fast foody, zwłaszcza McDonald's, które, jako powiew „zagranicy” i „wielkiego świata”, pokazały Polakom zupełnie nową jakość gastronomii, świat ostrej rywalizacji, biznesu i czystych toalet. Opisuje burzliwe lata 90., kiedy upadały i rodziły się nowe biznesy a „chodzenie do restauracji” było nieomal wyznacznikiem statusu i światowości. Z drugiej strony nie zapomina o umiłowaniu do „kuchni staropolskiej”, która przyjmuje raczej obraz przydrożnej karczmy, jedzenia określanego jako „tradycyjne”, „wiejskie”, „swojskie” (w skrócie: dużo mięsa) i z kuchnią staropolską ma niewiele wspólnego. Jednak czy to ważne? Czy autentyczność ma znaczenie? Może dobre jest tylko to, co dobrze smakuje?

Nowicki uważa, że nie powinniśmy iść na łatwiznę i ma nadzieję, że kiedyś wykształcimy „kulinarny regionalizm”, dumę z kulinarnego dziedzictwa, taką jaką przejawiają Włosi (urzekła mnie charakterystyka patriotyzmu kulinarnego Italii: „Moja kuchnia jest moją twierdzą, moje gotowanie jest zawsze najlepsze”). Zgadzam się z autorem, że świadomość kulinarnego dziedzictwa, nawet jeśli dopiero teraz na nowo je tworzymy, jest ważna. Zwłaszcza

w czasach, gdzie z jednej strony media przedstawiają jedzenie jako zmysłową rozkosz, nieomal równą seksowi (a może nawet lepszą od seksu!), wraz z jasnym przekazem „kupuj więcej”, a z drugiej jako groźną siłę (z przekazem: „nie jedz za dużo, bo musisz być piękny i młody, jeśli nie jesteś, kup tabletki na odchudzanie”).

W czasach, kiedy jedzenie „produkuje się przy użyciu najnowszych technologii”, pożywienie się „wytwarza”, jest „produktem”, w czasach, kiedy trudno jest oddzielić to, co w danej chwili jest „zdrowe i ekologiczne” od tego, co „zakazane i zgubne”, warto pochylić się nad naszą kuchnią, nie tylko w historycznym aspekcie, ale po prostu nad tym, co wkładamy do naszego garnka na co dzień. W końcu to my tworzymy kulinarną rzeczywistość.

Jaki jest więc stół w Polsce według Wojciecha Nowickiego? Zróżnicowany, jedną nogą jeszcze w PRLowskiej przeszłości, spragniony tradycyjności i oryginalności, a drugą poszukujący nowinek i powiewu nowości. Kulinarne Polacy są ciekawi świata i powoli włączają nowe smaki, przystosowując je jednak do swojego kulinarnego gustu (dużo mięsa i sporo ziemniaków). Coraz częściej interesujemy się lokalnymi wyrobami, tym skąd pochodzą produkty, sięgamy po „polskie” marki, coraz częściej też szukamy lokalnego dziedzictwa.

Co jeszcze Wojciech Nowicki ma do powiedzenia? Cóż, przekonacie się sięgając po tę lekturę: przyznam, że jest to jedna z najbardziej niezwykłych książek o kulinariach, jaką czytałam (a czytałam sporo) i jeśli tylko interesuje Was temat, z pewnością nie będziecie zawiedzeni.

Słowo o wydaniu: książka opublikowana została w oryginalny sposób, stylistyką nawiązuje do starego, zużytego zeszytu kucharskiego. Format jest poręczny, kartki lekko pożółkłe, przyjemne w dotyku, grube (moim zdaniem nieco zbyt grube). Wewnątrz znajdziemy wiele oryginalnych fotografii (min. z czasów PRLu). Czcionka dość duża, wyraźna. Cały projekt książki jest raczej minimalistyczny, ale ciekawy. Warto zajrzeć do księgarni choćby po to, aby wziąć ją do ręki!

Wojciech Nowicki, *Stół, jaki jest. Wokół kuchni w Polsce*. Muzeum Etnograficzne im. Seweryna Udzieli w Krakowie, Kraków
Stron: 160, cena: 36 złotych.

*

Wojciech Nowicki w swojej książce wspominał o oryginalnych smakach i lokalnych produktach. Jako przykład „dumy regionalnej” podawał lubelskie cebularze. Nie jestem ciekawa, czy lublinianie rzeczywiście są dumni ze swojego smakołyku, ponieważ, jak doniósł mi będący w Lublinie kolega: „Zapytałem Pań w spożywczym, czy jest

tutaj jakaś lokalna potrawa, pokręciły przecząco głową i po krótkiej naradzie stwierdziły, że nie, chyba nie ma niczego specjalnego”.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że cebularz – drożdżowe ciasto z nadzieniem z miękkiej cebulki i maku – jest bardzo mocno promowany. Dodam, że w Białymstoku istnieje podobne pieczywo „białys”, jednak wydaje się, że władze miasta nie są do końca przekonane co do konieczności promocji („Po co, skoro lublinianie mają już podobne bułki?”). Co ciekawe w swojej kultowej książce *Bread* Jeffrey Hamelman, jeden z najlepszych piekarzy, podaje właśnie przepis na białyśy, a nie na cebularze.

Przygotowałam przepis właśnie na cebularze. Nie wiem czy jest autentyczny czy nie. Osobiście podchodzę z dużym dystansem do „autentyczności” i nie lubię wszystkowiedzących ludzi, którzy dysponują „jedynymi autentycznymi przepisami” i twierdzą, że jeśli się do nich

nie zastosujesz, to twoje jedzenie jest nic nie warte. Nie zgadzam się z takim przekonaniem i będę z nim walczyć. „Moja kuchnia jest moją twierdzą”, a co! Moim zdaniem przyjemność z gotowania jest dużo ważniejsza od ścisłego trzymania się przepisu.

Tym razem jednak chciałabym zaproponować cebularze jak najbardziej zbliżone do oryginału, dlatego też przepis, który prezentuję pochodzi z forum restauratorów lubelskich. Mam nadzieję, że osobom mieszkającym z daleka od Lublina przybliży chociaż namiastkę smaku.

Pieczywo jest dość łatwe do wykonania, chrupiące i najlepsze zaraz po wyjęciu z piekarnika. Ja piekłam cebularze na kamieniu do pizzy, ale równie dobrze można użyć zwykłej brytfanny. Oryginalne cebularze mają dużą średnicę, jednak ja wolałam małe bułeczki „na raz”. Zapraszam!

LUBELSKIE CEBULARZE

Źródło: Klaster Restauratorów i Hotelarzy:

<http://www.krih.pl/kuchnia,lubelski-cebularz,10,3.html>

Uwaga: nadzienie przygotowujemy najlepiej dzień wcześniej.

Nadzienie:

2 łyżki czubate maku

2 wielkie cebule pokrojone w grubą kostkę

szczypta soli

2 łyżki oleju

Cebulę do cebularzy przygotowujemy na dzień, dwa przed pieczeniem cebularzy. Pokrojoną w kostkę cebulę obgotowujemy chwilę we wrzątku i odcedzamy. Gorącą wrzucamy do słoika, posypujemy makiem i solą i wlewamy olej. Słoik zakręcamy i wstrząsamy, by wszystko się dokładnie wymieszało. Po ostygnięciu wkładamy do lodówki. Dzięki takiemu potraktowaniu cebula jest słodka i miękka.

Cebularze

(około 12 sporych sztuk)

5 dag drożdży (zmniejszyłam ilość o połowę, K.H.)

łyżka cukru

1/2 kg mąki (najlepiej krupczatki)

szklanka mleka

jedno jajko

łyżeczka soli

6 dag margaryny

1 kg cebuli

3 czubate łyżki maku



Drożdże wymieszamy z cukrem, 2 łyżkami mąki i częścią ciepłego mleka. Pozostawiamy do wyrośnięcia. Rozpuszczamy w garnku margarynę z resztą mleka. Wyrośnięty rozczyń i ciepłe mleko z margaryną dodajemy do mąki z solą. Jajko roztrzepujemy za pomocą widelca i dodajemy do pozostałych składników zostawiając trochę na posmarowanie brzegów cebularzy (około łyżki). Wygniatamy ciasto tak, aby odstawało od ręki, w razie potrzeby dodajemy mąkę. Następnie pozostawiamy do wyrośnięcia.

Gdy ciasto rośnie, przygotowujemy cebulę. Cebulę kroimy w kostkę i podsmażymy na oleju do uzyskania złotego koloru. Do ciepłej jeszcze, ale już zdjętej z ognia cebuli wsypujemy mak oraz doprawiamy solą i pieprzem.

Ciasto dzielimy na dwanaście części. Każdą część wałkujemy na owalne placki. Brzegi placków smarujemy pozostawionym jajkiem. Następnie kładziemy porcje cebuli, rozkładając ją równomiernie po całym placku. Zanim wstawimy do gorącego piekarnika, poczekajmy chwilę, aż znów podrosną. Pieczemy w 200 stopniach do momentu, aż cebularze się zarumienią.

TO SĄ DWA RÓŻNE ŚWIATY

**Ze swoimi rodzicami,
Wandą i Bogusławem Orlińskimi,
rozmawia Zuzanna Orlińska**

Skąd taki pomysł, żeby zająć się ilustracją? Mama studiowała na grafice, w pracowni Szancera, to znaczy, że od początku planowała zająć się projektowaniem książek, ale Ty jesteś przecież absolwentem malarstwa. Czy będąc na studiach zdecydowałeś już, że będziesz robił ilustracje, czy raczej chciałeś malować?

Bogusław Orliński: Chciałem malować. Ale mieszkaliśmy w jednym pokoju, w mieszkaniu rodziców Wandy, nie można tu się było rozwijać malarsko, a o pracowni trudno było nawet marzyć, bo długa kolejka chętnych oczekiwała w Związku Plastyków.

Wanda Orlińska: Był jeszcze jeden powód, że Bogdan zajął się ilustracją. Ponieważ miałam studenckie praktyki zawodowe w Naszej Księgarni, wydawnictwo czuło się w obowiązku od czasu do czasu dać mi jakąś drobną pracę. Pierwsza była „poczytajka”, czyli książeczka z serii „Poczytaj mi mamó”. Do dzisiaj pamiętam jej tytuł: *Jedzie, jedzie mróz*.

Autorką była Halina Pietrusiewicz, a na okładce figurujesz jeszcze jako Wanda Żmihorska.

W.O.: Ponieważ mieszkaliśmy w jednym pokoju i mieliśmy zaledwie półtora stołu do pracy, to jak ja malowałam *Jedzie, jedzie mróz*, Bogdan malował to samo obok mnie. I często było tak, że to, co on namalował, było znacznie bardziej atrakcyjne. Tak, siłą rzeczy, wchodził w ten sposób pracy, bo praca z tekstem była mu dosyć obca, raczej cały czas myślał o malarstwie.

B.O.: Ale zaczynałem od grafiki reklamowej.

Bogusław Orliński, *Krawiec Niteczka*



W.O.: Poszedł na etat do Agpolu chyłkiem... Agpol to była chyba jedyna wówczas, albo jedna z niewielu istniejących agencji reklamowych. Reklamowano statki, stocznie, zakłady przemysłowe, promy – jednym słowem dumę PRL. Tak bardzo się wstydził podjęcia tej pracy, że nawet mi nie mówił dokąd idzie, kiedy wychodził rano...

Taki to był wstyd dla artysty?

B.O.: Tak, takie upokorzenie. Zresztą chcieli mnie tam zatrzymać, podnieść mi pensję, ale ja nie chciałem poświęcić życia reklamie.

Opowiedz, Mamo, o pracowni Szancera.

W.O.: Jan Marcin Szancer to był majster i erudyta, człowiek, który miał kolosalną wiedzę o przedmiocie, o historii kostiumu. W jego pracowni czułam się bezpiecznie. Łączyła mnie z nim wielka sympatia. Lubił to, co ja robiłam, rozumieliśmy się. Zawdzięczam mu ogromnie dużo, bo kiedy byłam na ostatnim roku studiów, wciągnął mnie do Ruchu, gdzie był szefem graficznym. Dawał mi robotę, ale początkowo nie książki, tylko pocztówki. Można powiedzieć, że Szancer opiekował się swoimi studentami. Bardzo nam pomagał. Nie musiał bać się o swoją pozycję, bo był wtedy królem.

Można się było dużo od niego nauczyć?

W.O.: On po prostu nie żałował dla nas czasu. Chętnie opowiadał, dzielił się swoją wiedzą. Np. kiedy robiłam ilustrację do Turgieniewa, na której był fortepian i pani w krynolinie, on pytał, czy byłam w Carskim Siole i czy widziałam tam biały fortepian i tu snuł całą opowieść...

B.O.: Wiesz, to był światowiec, on zdążył poznać całą Europę, a w tych czasach to nie było takie proste.

A jak wtedy zaczynało się pracę po dyplomie?

W.O.: Bardzo trudno było wejść w środowisko i zacząć pracować. Przede wszystkim żyłam z tych kartek pocztowych. Zrobiłam mnóstwo serii pocztówek: palmy ludowe wielkanocne, potem różne wesoło-świąteczne zimowe i wiosenne. Później przyszły karnety z poezją – Gałczyński, Słowacki, Krasiński. Oprócz tego – a to dostałam jakiś rebusik w Świerszczyku do zrobienia, a to Nasza Księgarnia czuła się w obowiązku coś tam dać byłej praktykantce... Tyle, że niestety zostałam zaklasyfikowana „na kreskę”, co wiązało się z tym, że miałam szansę do końca życia nie zrobić kolorowej książki w tym wydawnictwie.

Na kreskę, czyli ilustracje kreskowe, czarno-białe. Wtedy dużo się tego wydawało, byli graficy, którzy się w tym specjalizowali, jak Stanisław Rozwadowski, Andrzej Jurkiewicz, Bogdan Zieleniec. Piękne to były ilustracje i żal, że się już takich nie wydaje.

W.O.: Niemniej u autora pozostawała tęsknota za kolorem... Chciałby kolorową ilustrację zrobić.

Okładki jakieś robiłaś...



Wanda Orlińska, *Most do Terabithii*

W.O.: Okładki wtedy to nie było takie proste jak dzisiaj, pyk i masz tekst – ja siedziałam i pędzelkiem wyciągałam liternictwo. I to szło do druku. Mam takie okładki do dzisiaj.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że w tamtych czasach ilustratorzy mieli większą swobodę twórczą niż obecnie. Wychodziły książki bardzo odważne graficznie, których dziś, z powodów komercyjnych, nie ośmieliłoby się wydać żadne wydawnictwo.

B.O.: To zależało od książki. Jak był taki tekst, że można było zaszaleć, to był pewien margines swobody twórczej. Ale to musiało mieć sens uzasadniony treścią książki.

Ciekawe jest to, że poznaliście dwie strony medalu, bo pracowaliście jako ilustratorzy, a jednocześnie oboje mieliście dosyć długie epizody pracy w wydawnictwie. A jak to było z terminami? Pamiętam, że robiłaś dość długo jedną książkę.

B.O.: Trzeba było przestrzegać terminów, inaczej książka spadała z planu. Wydrukowanie książki trwało nawet czasem pięć lat, bo ona stała w kolejce w drukarni. Nie wydawano książki w miesiąc, tak jak teraz się zdarza. Bardzo trudno było też utrzymać poziom poligraficzny wydawnictwa, bo używano marnego papieru, marnych

Od połowy lipca do końca sierpnia
w BWA w Zamościu można oglądać
przekrojową, wspólną wystawę
WANDY I BOGUSŁAWA ORLIŃSKICH,
na które pokazywane są ich dawne
oraz nowe prace. Więcej szczegółów:
www.bwagaleriazamojska.art.pl



farb, często pasowanie w druku się nie udawało i kolory wychodziły poprzysuwane. Czasem koledzy wyjeżdżali np. do Paryża i brali swoje książeczki, żeby je tam pokazać. W tamtejszych wydawnictwach pytano ich: „Ale co to jest za technika druku?” „No, offset, proszę pana”. „Offset? Ale dlaczego to tak wygląda?”.

Wtedy książki dla dzieci były tanie, takie np. „poczytajki” kosztowały grosze. Ale za to nakłady były bardzo wysokie – 300 000 nakładu nikogo nie dziwiło. I to się sprzedawało, bo było tańsze niż gazeta. Matka szła do kiosku, przy okazji kupowała książeczkę.

W.O.: Wtedy każde dziecko w wózku międlilo książeczkę.

Tamte książki, mimo że tanie i źle drukowane, wywoływały emocje. Dowodzą tego chociażby losy wydanej niedawno książki *Poczytaj mi mamo*, czyli wznowienia w jednym tomie dawnych „poczytajek”. Pierwsze wydanie zniknęło z półek błyskawicznie. To znaczy, że dzisiejsze mamy chcą kupować swoim dzieciom te opowiadania, bo pamiętają je z własnego dzieciństwa.

W.O.: Wiem o tym, bo zwrócono się do mnie z prośbą o ilustracje do tych „poczytajek”, które ja robiłam – będą wydane w kolejnym tomie.

No właśnie – wydaje się wznowienia, ale też wiele osób próbuje odtworzyć swoje księgozbiory z dzieciństwa, kupując książki np. na aukcjach internetowych. Na moim ulubionym forum poświęconym literaturze dla dzieci i młodzieży bez przerwy pojawiają się pytania, o to, czy ktoś pamięta jakąś książeczkę sprzed trzydziestu lat i może podać jej autora i tytuł. Jak myślicie: dlaczego tamte książki tak dobrze pamiętamy, a wydawane współcześnie nie wywołują takich emocji?

W.O.: Pamiętamy, bo nie miały konkurencji internetu, telewizji itp. – wtedy lubiło się czytać, taka też była tradycja w wielu rodzinach.

Patrząc na prace tzw. polskiej szkoły ilustracji z lat 60. czy 70. widać specyficzny styl, ale i świadomość tego, co w tym czasie działo się w ilustracji światowej. Skąd czerpało się tę wiedzę? Czy można było wówczas kupić lub zobaczyć w Polsce książki zachodnich ilustratorów? Pamiętam stojące u Was na półkach roczniki pisma „Graphis” – skąd się brało takie skarby, które do dzisiaj ogląda się z zainteresowaniem?

W.O.: Oknem na świat były Targi Książki, wówczas międzynarodowe. Chodziło się do upadłego od stoiska do stoiska i zamawiało książki w cenach dolarowych, nie mając gwarancji, że się je dostanie. Na „Graphisy” trzeba się było zapisywać w kolejkę. Po jakimś czasie część interesujących pozycji pojawiała się w Empikach.

Macie za sobą przeszło czterdzieści lat pracy w tym zawodzie. Jak oceniacie, co przez te lata się zmieniło?

W.O.: Przede wszystkim widzę różnicę we współpracy z wydawnictwem. Redaktorzy wówczas odnosili się do grafika z większym szacunkiem niż dziś, mieli też dużą wiedzę merytoryczną. Nie przyczepiali się o byle co...

B.O.: No, to było różnie, zdarzały się też i takie panie, które się przyczepiały...

Na przykład te redaktorki, które kazały Ci zamalować krzyżyk?

B.O.: Tak, kiedy namalowałam całe miasteczko, kilkadziesiąt domków, a pomiędzy nimi kościółek tak malutki, że ktoś, kto miał minus jeden, nawet by tego maleńkiego krzyżyka nie dojrzał. A jednak te panie kłuł w oczy.

Ale po roku 1989 chyba już takiej presji na Was nie wywierano?

W.O.: Po roku 1989 niemal z dnia na dzień stało się tak, że zrobione przez nas książki, z których część była już w druku lub leżała w wydawnictwach, wszystko to po prostu przepadło, nie zostało nigdy wydane.

Wydawnictwa upadły?

W.O.: Upadły, zaczęły się przekształcać, zmieniać właścicieli. Przy tej okazji straciłam nawet część oryginałów ilustracji, bo zgubiły się gdzieś w drukarniach. Bogdan został



Wanda Orlińska, *Dyrzymałki*





Bogusław Orliński, *Kotysanka lisków*

z przepiękną książką, nagrodzoną, ale niewydaną – mowa o *Zaczarowanym flecie*. W Wydawnictwie Poznańskim złożył *Baśnie skandynawskie*, które także do dziś nie ujrzały światła dziennego.

Wydawnictwa upadły, ale poza tym lata 90. postrzegam jako straszny upadek książki dziecięcej i ilustracji.

W.O.: Tak, bo rzucono się na książeczki zachodnie, przedruki, które były tańsze i łatwiejsze.

B.O.: Szalenie dużo disneyowskich seryjek, świetnie narysowanych, ale najlepiej sprawdzających się w filmach. I masa disneyopodobnych, bardzo kolorowych, dobrze wydrukowanych, to robiło wrażenie po tych wszystkich szaroburych polskich książkach. Działy handlowe wydawnictw zaczęły sobie życzyć, żeby polska ilustracja tak właśnie wyglądała jak tamte zachodnie przedruki.

Pamiętam, że i Tobie Robinsona Crusoe z okładki kazano przerabiać na mięśniaka z gołym torsem?

B.O.: Pani redaktor powiedziała mi, że w tropikach Robinson nie mógł chodzić w skórach, bo tam jest upał. Ja mówię: „Czytałem tę książkę i tam jest wyraźnie powiedziane, że on ma ubranie uszyte ze skór kozich. Przecież koza w tych skórach wytrzymuje w tropikach. To jest okrycie, które chroni go w dzień przed słońcem, a w nocy przed zimnem”. No, ale musiałem go rozebrać. Poza tym to miało być bardziej zachęcające dla mamus, które kupują książki. Musiał być umięśniony jak kulturysta i półnagi.

Co robi grafik z dużym doświadczeniem i dorobkiem w takich barbarzyńskich czasach? Jak się uratować? Co robiliście wtedy?

B.O.: To był najgorszy okres w moim życiu zawodowym, bo chociaż starałem się pracować na dobrym poziomie technicznym, to, co malowałem, było często pod gust hurtowników, którzy przychodzili i oglądali projekt okładki. Oni wtedy decydowali: o to, to na pewno nie, bo to się nie sprzeda, dzieci nie lubią takich.

W.O.: To był chyba czas, kiedy weszliśmy w podręczniki. Robiliśmy jakieś komiksy do nauki angielskiego. Wydałam też trzy książeczki we Francji z gotowych ilustracji z francuskim tekstem.

B.O.: Myśleliśmy, że to wszystko tak się odwróciło, że trzeba będzie się nauczyć źle malować. Że trzeba pozbyć się ambicji artystycznych, i że to będzie wiecznie trwało.

Moim zdaniem ten najgorszy moment już się skończył i ostatnia dekada to jest okres zdecydowanie lepszy dla książki dziecięcej.

Powstały nowe wydawnictwa, niektóre nawet bardzo małe, ale dzielnie szukające sobie miejsca na rynku. Jak sądzicie?

B.O.: No tak, myślę, że problem finansowy nadal jest, bo małe wydawnictwa przeważnie nie mają pieniędzy, a żeby zrobić ambitną książkę, trzeba włożyć w to naprawdę dużo pracy.

W.O.: Trochę boli to, że cała ta młoda gwardia redaktorów nie ma pojęcia, że my w ogóle żyjemy. A my, całe to starsze pokolenie, przecież jesteśmy w pełni twórczy.

B.O.: Kiedyś słyszałem wywiad z nieżyjącym już dziś panem Erykiem Lipińskim, który się skarżył, że do niego się już wydawnictwa nie zwracają z prośbą o ilustracje, chociaż bardzo lubił je rysować. Boją się, że będzie ciężko odrzucić jego pracę, jeśli się nie będzie podobała. Bo z takim starszym człowiekiem, który ma dorobek i nie można mu zwrócić uwagi, to zawsze jest kłopot.

Mnie się zdaje, że teraz w wydawnictwach pracują młodzi ludzie, którzy po prostu już nie znają tamtych nazwisk.

B.O.: A wiesz, co to znaczy? Że ci ludzie, którzy się przecież urodzili w latach 70. czy 80. nie czytali książeczek dla dzieci, bo przecież by wiedzieli... Chociaż może nie interesowali się tym, kto te książki malował, na to nie zawsze zwraca się uwagę.

Chciałabym, żebyście coś opowiedzieli o środowisku Naszej Księgarni. Bo to było przez wiele lat bardzo ciekawe miejsce, skupiające interesujących ludzi. I o plenerach ilustratorów na Roztoczu, które także gromadziły osoby z tego środowiska.

B.O.: Zacząłem pracować w Naszej Księgarni w latach 80., ale znałem i lubiłem to miejsce już dużo wcześniej. Tam wtedy bywali wszyscy: dyrektorem artystycznym był Zbyszek Rychlicki, Zdzisio Witwicki zajmował się redakcją książek dla dzieci młodszych, Maciek Jędrysik – dzieci starszych, Krysia Michałowska – redakcją baśni, pracowała Jola Marcolla, Ania Stylo-Ginter i wielu innych. A ja na początku objąłem redakcję popularnonaukową. Nad całością, od strony urzędowo-organizacyjnej, czuwała dobra i wszystkim życzliwa Jadzia Gluza. To było wspaniałe środowisko. Przychodzili świetni, zaprzyjaźnieni graficy, panowała rodzinna atmosfera.

 Wanda Orlińska, *Piszę wiersz*



Dobrze wspominał budynek na Powiślu, w którym mieściło się wydawnictwo, jako miejsce z niezwykle atmosferą. No i robiła wrażenie ta ilość książek na półkach, najlepsze książki dla dzieci na wyciągnięcie ręki!

B.O.: Ale oprócz tego była cała biblioteka i ogromne archiwum, m.in. ze zdjęciami. To była świetnie zorganizowana firma z tradycjami. Przychodziła na przykład Olga Siemaszko, po nic zupełnie, po prostu pogadać. Przynosiła bezy z cukierni na ulicy Francuskiej i siedzieliśmy, rozmawialiśmy sobie sympatycznie o ilustracjach, o tym, co kto robi, zaraz zjawiała się następna osoba, potem ktoś trzeci, bez przerwy ktoś przychodził. Redakcja spełniała podobną funkcję jak kawiarnia gdzieś w PIW-ie czy Czytelniku – miejsca wymiany informacji, dyskusji.

O plenerach organizowanych dla ilustratorów przez Grażynę Szpyrę z BWA w Zamościu można powiedzieć, że były przedłużeniem życia tej redakcji.

W.O.: Tak. Zaproszenie na ten plener to była nobilitacja. Rychlicki będący komisarzem pleneru wymyślał pewne obrzędy: każdy, kto pierwszy raz przyjechał musiał jakoś się wkupić – wystąpić, opowiedzieć coś albo pokazać jakąś sztukę.

B.O.: Istniało coś w rodzaju rady starszych: Rychlicki, Mateusz Gawryś, Witwicki – kronikarz pleneru, Janusz Stanny. Dołączali do tego inni: Wilkoń, Andrzejewski, Pokora, Tokarczyk, Flisak. Codziennie wieczorem schodziło się do świetlicy. Tam się odbywały śpiewy, kawały, opowieści. Wszyscy siedzieli razem przy jednym długim stole, przy nim Olga Siemaszko śpiewała rubaszne piosenki, *W Ołomuńcu na fiszplacu* i inne, ludowo-żołnierskie.

W. O.: Kłęła przepięknie. Rychlicki i Gawryś prowadzili te śpiewy, śpiewali na głosy. Pierwsze plenery odbywały się w Suścu, potem zostały przeniesione do Krasnobrodu, zaczęły do nas dołączać następne pokolenia ilustratorów. Ale to już było po śmierci Rychlickiego, który zmarł podczas Biennale w Bratysławie. To była strata niepowetowana, bo on był wspaniałym organizatorem.

Wieczorami kwitło życie towarzyskie, rano chodziło się na grzyby...

W.O.: Ale malować trzeba było, Rychlicki organizował obowiązkowe przeglądy. Robiło się szkice do prac plenerowych.

Tematy plenerów były różne: Leśmian, Kochanowski, ale też „Obrazek do pokoju dziecinnego”. Efekty pleneru pokazywano później na wystawie w BWA Zamość.

Chciałabym jeszcze zapytać, czy macie ulubionych ilustratorów, takich, na których się wzorujecie lub podpatrujecie ich pracę z zazdrością?

W.O.: Ja nie mam – lubię stare angielskie ilustracje, ale bez faworytów.

B.O.: Znam bardzo dużo wspaniałych ilustratorów i wszystkim im zazdroszczę talentu.

Czy ilustracje muszą być ładne?

W.O.: Nie muszą, ale ja lubię jak są ładne.

B.O.: Ja też.

Praca ilustratora jest specyficzna ze względu na związek, tego co robi, z literaturą. Jaki powinien być stosunek ilustracji do tekstu?

W.O.: Tu szkoły są bardzo różne. Od lat studenckich uważam, że ilustracja jest służebna. Poza książką autorską, kiedy jest pół na pół.

Opowiedzcie o Waszym warsztacie pracy. Czy używanie komputera wpłynęło jakoś na Wasz sposób pracy?

W.O.: Nie umiem opowiadać o warsztacie. Mam pewne techniki, w których się czuję lepiej czy swobodniej, ale bez specjalnych preferencji. Komputer pozwala oczyścić pracę, nie martwić się o rodzaj papieru. Ale dla mnie na razie jest za sztywny – nie panuję nad tym narzędziem, za mało jeszcze umiem.

Każde z Was ma inny styl, inne podejście do pracy. Jak to jest, kiedy dwie osoby pod jednym dachem wykonują ten sam zawód? Czy zdarzało się Wam pracować razem?

B.O.: Pracowaliśmy czasem wspólnie, ale rzadko. Robiliśmy wiersze Brzechwy. I wcześniej taką książeczkę *Kto ty jesteś Polak mały*.

Unikaliście takiej pracy?

B.O.: Czasami trudno było tego uniknąć, ale to jest wyjątkowo trudne.

W.O.: Mogło być tak, że ja narysowałam, bo ja szybciej rysowałam, a on to przetransponował po swojemu i namalował. Zrobiliśmy w ten sposób *Pali się Brzechwy*.

Jakie są między Wami różnice w stylu pracy?

W.O.: Bogdan jest absolutną doskonałością techniczną. Ja po prostu nie umiem osiągnąć tego poziomu wyczyszczenia. Pracuję wolno, dużo szkicuję, robi dużo wariantów jednej ilustracji.

Ma te swoje karteczki na biurku i grube szkicowniki,

gdzie je wkleja...

W.O.: Ja nie szkicuję wcale, tylko myślę. A jak wymyślę, to właściwie mam już zrobione. I potem rysuję sobie na kalce, po to, żebym mogła coś przerobić, jak mi nie będzie pasowało. Ale cały czas obracam się w takiej zdecydowanej formie – już wiem, jak ten obrazek ma wyglądać. A zmieniają się tylko detale.

B.O.: Nigdy nie mam pewności, że właśnie to jest najlepszym wariantem. To mi przedłuża pracę, bo robię jeszcze inną wersję, przekomponowuję. Poza tym nie wiem, kiedy skończyć ilustrację, nie mogę się zdecydować.

W.O.: A ja wiem. Wiem, że to już jest skończone, chociaż widzę potem pewne niedostatki, jakąś nonszalancję. Strasznie mu zazdroszczę tej precyzji, do której nie mam cierpliwości.

B.O.: Na Akademii, na malarstwie, profesor Nacht-Samborski mówił: nie rysować z przegubu, nie mieć tej manieri swobodnej, tej łatwości. Tak to do mnie przyłgnęło, że często przesadzam tylko po to, żeby to nie był taki nonszalancki rysunek z gestu, wynikający wyłącznie z pracy

nadgarstka. Uważam, że to grozi banałem, wpadnięciem w manierę takiego szybkiego, zręcznego rysunku. I prawdopodobnie takie podejście przeszkadza mi przy pracy, bo często znacznie łatwiej jest coś namalować w ten sposób. Dawniej mówiło się, że ktoś lubi „wieszać ciastka” – to znaczy na końcu wyefektować pracę, dodać tutaj bliczek, tu coś tam. To Nacht-Samborski u nas tępił, on pokazywał to jako zły przykład traktowania malarstwa. Chodziło mu o to, że trzeba pokazywać prawdę, żeby ten rysunek nie był dla popisu, tylko żeby tam był jakiś poważniejszy problem.

Ja na przykład lubię potrzymać pracę na takim etapie prawie skończonym przez parę dni, później wyciągam ją i wtedy myślę: o rany, jeszcze tu trzeba coś zrobić, spłukać, zmyć, jeszcze raz przemalować. Ale kiedyś trzeba się zdecydować i oddać.

W.O.: A nie masz czasem takiego momentu, że wiesz, że już

skończyłeś?

B.O.: Czasami tak i to są pewnie te najlepsze prace. Ale najczęściej mam wątpliwości, czy to już można oddać, czy jeszcze nie.

My w ogóle nie zaglądamy sobie nawzajem do pracy. Kiedy powiedziałem to ostatnio na plenerze, to nikt mi nie chciał uwierzyć. A ja naprawdę nie wiem, co Wanda zrobiła,



Wanda Orlińska, *Piotrek zgubił dziadka oko*





👉 Wanda i Bogusław Orlińscy,
fotografia z archiwum rodzinnego

w ogóle tego nie widziałem.

W.O.: No chyba, że ja go proszę o zdanie, albo on mnie.

B.O.: Tak się czasem zdarza.

Ale macie dwa oddzielne stoły, dwa miejsca pracy.

W.O.: Ja wolę pracować w oddzielnym pokoju.

B.: Ja też.

Po prostu nie lubicie sobie zaglądać przez ramię?

B.O.: No wiesz, zapędzeni jesteśmy w tej pracy i nie zaglądamy, bo po co. Ja nie zrobię tak jak ona, a ona nie zrobi tak jak ja.

W.O.: Ja wiem, co on potrafi, on wie, co ja potrafię. I to są dwa różne światy.

B.O.: Chyba Wandę łatwiej rozpoznać niż mnie. Po stylu.

Może dlatego, że Ty wiele razy w życiu zmieniałeś styl, raz malowałaś olejnymi pastelami, potem eksperymentowałaś z fakturami...

W.O.: Bo to jest przeciwnik konwencji.

B.O.: Tak, ja nie chcę być taki łatworozpoznawalny.

W.O.: Widzę, że on często robi sobie na przekór, że specjalnie rysuje brzydkiego człowieczka albo coś chropowatego, niezgrabnego. A ja się łatwości nie boję.

A macie jakieś swoje ulubione książki spośród tych, które zilustrowaliście?

B.O.: Gdyby nie zbyt agresywny projekt serii, to te wiersze Papuzińskiej, które ostatnio zrobiłem.

W.O.: Ja też bym wybrała chyba te ostatnie – albo wiersze Zofii Beszczyńskiej, albo Gałczyńskiego, który jeszcze się nie ukazał.

Czyli najbardziej Wam się podobają Wasze ostatnie książki? To bardzo dobrze!

W.O.: Wiesz, może to jest takie zarozumiałstwo, ale uważam, że my jesteśmy w szczytowej formie artystycznej. Póki jeszcze widzimy, ręką jeszcze można ruszać.

WANDA ORLIŃSKA — studiowała na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Dyplom z wyróżnieniem zrobiła w pracowni książki i ilustracji prof. Jana Marcina Szancera w 1967 r. Zajmuje się ilustracją, grafiką wydawniczą i malarstwem. Zilustrowała kilkadziesiąt książek dla dzieci i młodzieży. Brała udział w licznych wystawach w kraju oraz w prezentacjach sztuki polskiej na świecie m.in. w Berlinie, Stuttgarcie, Bratysławie, Belgradzie i Londynie. Jej prace znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą, w muzeum regionalnym w Stalowej Woli oraz Galerii Zamojskiej BWA.

BOGUSŁAW ORLIŃSKI — studiował na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Dyplom z wyróżnieniem zrobił w pracowni prof. Artura Nachta-Samborskiego. Zajmuje się ilustracją, grafiką wydawniczą i malarstwem. Zilustrował ponad sto książek dla dzieci i młodzieży. Wielokrotnie wystawiał swoje prace na Biennale Ilustracji w Bratysławie i Bolonii. Uczestniczył w prezentacjach sztuki polskiej na świecie, m.in. w Hamburgu, Berlinie, Düsseldorfie, Lipsku, Londynie, Tokio, Belgradzie, Sofii, Kopenhadze, Pradze i Rio de Janeiro.

B.O.: Tylko już nie możemy siedzieć, bo nas bolą kręgosłupy.
W.O.: To wstyd tak mówić, ale wiesz: my umiemy wszystko narysować. Mnie się wydaje, że dla nas problem jest już tylko jeden, pomijając jakieś bardzo zaawansowane technicznie rzeczy, to problem polega tylko na wymyśleniu – a wykonanie to nie jest żaden kłopot. Jesteśmy teraz lepsi niż byliśmy.

A nie mieliście pokusy, żeby zrobić książkę autorską?
B.O.: Ja mam, ale nie wiem, czy zdążę.
W.O.: Ja też bym chciała, ale chyba nie dam rady. I chciałabym bardzo zrobić ilustracje do *Lata* Tove Jansson.

A nie mieliście pokusy, żeby zrobić książkę autorską?

B.O.: Ja mam, ale nie wiem, czy zdążę.

W.O.: Ja też bym chciała, ale chyba nie dam rady. I chciałabym bardzo zrobić ilustracje do *Lata* Tove Jansson.

A Ty masz jakąś taką wymarzoną książkę, którą chciałbyś zilustrować?

B.O.: Nie, ja bym zrobił swoją, wspomnieniową, z dzieciństwa.

Dziękuję Wam za rozmowę.



O KAMPANII BIBLIOTEKARZY „OLEJ STADO! BĄDŹ CZARNĄ OWCĄ!”

Podczas Tygodnia Bibliotek, od 8 do 15 maja 2011, w wielu polskich bibliotekach trwała kampania pod hasłem „Olej stado! Bądź czarną owcą”. Warto wyjaśnić, co miała na celu i... dlaczego dobrze jest być czarną owcą.

Marta Górską

Nowelizacja ustawy i protesty środowiska bibliotekarskiego

Sam pomysł narodził się w toku rozmów na EBIB-ie, forum bibliotekarzy. Na początku lutego po przeczytaniu kilku postów o wprowadzaniu zmian w ustawie o działalności kulturalnej i pomyśle zapisów umożliwiających łączenie bibliotek z innymi instytucjami, zareagowałam na forum: „Czytam kolejne nowości z cyklu: usprawnimy polską kulturę i przyznam, że Pan Minister i osoby odpowiedzialne za zmiany w ustawach otwierają powoli furtkę dla władz w każdej gminie do zwolnień pracowniczych w sferze kultury.

O żadne inne oszczędności nie chodzi w łączeniu instytucji. Mniej papieru zużyją? Mniej płynu do mycia podłóg? Łączenie to nie likwidacja siedziby instytucji, bo ta musi gdzieś działać, a likwidacja stanowisk pracy, a tym samym zwiększenia bezrobocia w Polsce. Połączenie dwóch różnych instytucji to zwolnienie przynajmniej jednego z szefów - już sobie władze wybiorą, który im nie po nosie, bo np. marudzi, że mało pieniędzy dostaje na kulturę. Z pewnością będzie się to również odnosiło do księgowości – bo po co dwie główne księgowe, kadrowa też jedna wystarczy... prawda?(...)”.

I potem prowokacyjnie już z mojej strony: „Miałam napisać, że dziwię się, że pracownicy KULTURY



w Polsce (tej prawdziwej KULTURY) jeszcze nie wychodzą na ulice. Ale przez trzy lata pracy w Gminnej Bibliotece Publicznej chyba już mnie nic nie zdziwi. Nie będzie lepiej do momentu, jak nie zaczniecie stanowczo reagować na propozycje takich zmian. Rozumiem, że ciężko kontaktować się ze sobą, bo biblioteki gminne to zazwyczaj obsługa jedno, dwuosobowa – ale tych bibliotek jest najwięcej – a wszystkie posiadają już komputery i dostęp do poczty e-mail. Sporo z nich posiada już serwis internetowy: blog, czy stronę www. W Polsce jest ponad osiem tysięcy bibliotek publicznych. Gdzie Wy się wszyscy podziewacie? Czemu to forum nie grzmi – wpisuje się tylko Pan Tadeusz, Pan Stefan, czasem zajrzy Pan Wołosz i skrobnie parę zdań, może i kilka innych osób. A gdzie pozostali?(...)”.

Dostałam odpowiedź na ową prowokację. Odezwali się bibliotekarze potwierdzający owy brak zrozumienia dla braku aktywności środowiska. Zareagował również Pan Prof. Jacek A. Wojciechowski, bibliotekoznawca i literaturoznawca, pracujący w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej UJ. Napisał: „(...)To nie jest tak, że NIKT NIC NIE ROBI – natomiast niekoniecznie się chwali, bo psiakrew nie ma czym. Osobiście brałem udział w tzw. poważnych rozmowach

na ten temat – w liczbie grubo ponad czterdziestu osób – w tym z wicepremierem, całym wianuszkiem posłów i posłanek oraz innych oficjeli. Otóż oni to wszystko mają w dupie. A ludzie zdają sobie z tego sprawę – dlatego opadają im ręce i milczą. Listów do resortu w sprawie tej zmiany w ustawie było mnóstwo. No i co z tego? To znaczy, że ludzie nie olali sprawy, ale – zostali olani. Próżno gadać, dlaczego tak jest. Środowisko nasze jest istotnie pasywne, ale to nie wzięło się z powietrza. Wszystkie (prawie wszystkie?) drogi interwencji w tej konkretnej sprawie zostały wykorzystane i wyczerpane. Jednak efekt jest zerowy. To radykalnie zniechęca – prawie każdy wobec tego raczej szuka ucieczki z zawodu, niż zechce angażować się raz jeszcze. No bo ile razy można dać się robić w konia? Nie pochwalam tego, ale rozumiem. Pytam przykładowo: co miałbym jeszcze zrobić w tej sprawie? Wciskać się znów na rozmowy (to nie takie łatwe) do tych samych osób i już w pierwszym zdaniu rozumieć, że gada się ze ścianą? Albo podpalić się na dziedzińcu resortu?(...)”.

Kolejna odpowiedź, tym razem Pana Aleksandra Radwańskiego, Kierownika Działu Komputeryzacji we wrocławskim „Ossolineum”, była zaczątkiem wszystkiego, co powstało później: „(...) W moim

odczuciu to nie bibliotekarze mają walczyć o dobre biblioteki. Bibliotekarze powinni dbać o jakość pracy i profesjonalne standardy, bo to leży w ich zasięgu. Zaś o biblioteki jako instytucje powinno walczyć tzw. społeczeństwo i jego przedstawiciele, bo to leży w interesie tegoż społeczeństwa. Daliśmy sobie wcisnąć nie nasz problem i teraz biegamy jak kot za własnym ogonem. Trzeba trochę zmienić sposób myślenia. Zamiast się żalić, jak bardzo jesteśmy niedoceniani, trzeba po prostu generować krótkie komunikaty w rodzaju „słuchajcie barany, bez bibliotek wasze dzieci będą baranami i tanią siłą roboczą na zadupiu Europy”. A jeśli barany tego nie rozumieją, trzeba się z tym po prostu pogodzić. W końcu na bibliotekarstwie świat się nie kończy”.

Zobaczyłam nagle bezradność ludzi, na wysokich stanowiskach w środowisku bibliotekarskim, którym po prostu opadły ręce. W toku tych prowadzonych rozmów na forum, przytoczonych tutaj w dużym skrócie, zaczął rodzić się pomysł, żeby jednak zareagować. Co jeszcze moglibyśmy zrobić? Wyjść na ulice? Nie – nam to nic nie da. Zamkniemy biblioteki i nikomu nic nie grozi – nie ma presji. W przypadku gminnych bibliotek, i ich rozproszenia po całym kraju – pomysł musi być możliwy do zrealizowania, nie dający podstaw włodarzom do ewentualnych zwolnień pracowników.

Zróbmy coś

Wtedy do głowy przyszedł mi pomysł zorganizowania pewnej formy protestu. Miał on polegać na noszeniu koszulek informacyjnych przez cały maj 2011. Z nieco okrojonym hasłem zaproponowanym przez Pana Radwańskiego „Słuchajcie! Bez bibliotek Wasze dzieci będą baranami!”. Poprosiłam znajomą, Magdalenę Pawłowską („Tene”), która wykonuje zawodowo grafikę w jednej z firm warszawskich, o wykonanie logo: zakreconego barana stojącego przy regale z książkami. Szybki skonstruowanie pomysłu. Zamieściłam go na swoim blogu z powyższą propozycją. Blog nagle ożył, kilkadziesiąt komentarzy, dyskusje na forach bibliotekarskich: EBIB, Biblioteka w szkole, grupa BIBLIO na facebooku. Jednak sporo zastrzeżeń się pojawiło: pomysł na akcję – TAK, pomysł na hasło – NIE. Więc zaproponowałam, żeby wypracować to wspólne hasło. Kolejne dyskusje, propozycje hasła, które zaakceptują wszyscy. I moje naciskanie, że ma być prowokacyjne, bo inaczej nie osiągniemy spodziewanego efektu. A efektem ma być zwrócenie uwagi na nasze problemy. Ucieszył mnie ten ruch, wypowiedzi, dyskusje. Bibliotekarze się ocknęli! Bibliotekarze szkolni tak bardzo się w to zaangażowali – mnóstwo pomysłów padło z ich strony. Widać było chęć współpracy, a nie dzielenia bibliotekarzy na publicznych i szkolnych.

I zupełnie przypadkiem, w toku dyskusji, wynikła propozycja innego hasła. Wyszło zupełnym przypadkiem, bo skomentowałam na blogu czyjś pomysł zamieszczony na facebooku: „bibla: (...) mam nadzieję, że potraktujecie ten komentarz jako formę humoru: na FB pojawiła się propozycja hasła: „Nie bądź czarną owcą: czytaj!”... patrząc na wyniki czytelnictwa przedstawione przez BN odwróciłabym to hasło na: „Olej stado! Bądź czarną owcą! – kampania społeczna bibliotekarzy polskich”, bo czarne owce są zawsze w mniejszości, a w tym przypadku przecież 56% nie czyta w ogóle (...)”.

Pierwotny nasz pomysł „Olej stado! Bądź czarną owcą!” znajduje się na blogu: salesguru.pl, a jego autorem jest Pan Artur Kuć. Stamtąd zaczerpnęłam pomysł.

I tak oto spojrzenie na ostatnie badania czytelnictwa i humorystyczny komentarz stały się pomysłem na hasło kampanii bibliotekarskiej: Kampanii Informacyjnej Bibliotekarzy „Olej stado! Bądź czarną owcą”.

„Lubię to!”

Dalsze działania były tak szybkie, że otwierałam oczy coraz szerzej i nie wierzyłam w to, co się działo wokół mnie. Marcin Malinowski (malin.net.pl) szybko założył grupę na FB pod tą samą nazwą, zarejestrował domenę olejstado.pl i ruszył. W ciągu kilku dni fanów strony przybywało. Po czterech godzinach było ich już 250. Powstała oddolna inicjatywa bibliotekarzy. Miała nie tylko promować czytelnictwo, ale przede wszystkim zwrócić uwagę na problemy bibliotek i bibliotekarzy w Polsce. Na stronie facebookowej ponad 2400 osób kliknęło „lubię to!”! Pisały i zachęcały do akcji różne instytucje i portale, biblioteki szkolne, pedagogiczne, publiczne na swoich stronach. Blogosfera też ruszyła, nie tylko ta biblioteczna. Wystarczy wrzucić w Google nasze hasło, aby zobaczyć ile tego jest. Napawa optymizmem fakt, że jednak potrafimy! Że chcemy!

Założenia kampanii

Podczas dyskusji wspólnie wypracowaliśmy cele towarzyszące nam podczas majowej kampanii:

„Według ostatnich badań Biblioteki Narodowej, 56% Polaków nie czyta książek. My, czytający jesteśmy w mniejszości. Jesteśmy czarnymi owcami i podoba się nam bycie poza stadem! Ty też olej stado i bądź czarną owcą! Czytaj!”

Poprzez niniejszą kampanię informacyjną chcemy:

1. Wyrazić dezaprobatę wobec postępowania Ministerstwa Kultury za wprowadzanie nowelizacji ustawy o działalności kulturalnej pozwalającej m.in. na łączenie bibliotek z innymi instytucjami kultury mimo SPRZECIWÓW jakie zgłasza środowisko bibliotekarskie.

Biblioteki potrzebują suwerenności i wsparcia ze strony władz, a nie tłamszenia ich roli w środowisku i spychania gdzieś na bok. I to jest PIERWSZY, NADRZĘDNY CEL akcji.

2. Uświadomić społeczeństwu, że biblioteki to problem wszystkich a nie bibliotekarzy. Bibliotekarze bez bibliotek sobie poradzą, społeczeństwo – nie.

3. Uświadomić społeczeństwu, że trwa wyprowadzanie ze szkół i likwidowanie bibliotek szkolnych, na co nie wyrażamy zgody. Biblioteka szkolna jest biblioteką pierwszego kontaktu i to ona tworzy tzw. „pierwsze wrażenie”. To tutaj odbywa się pierwsze i najważniejsze przysposobienie czytelnicze i informacyjne. Biblioteka szkolna odgrywa trudną do przecenienia we współczesnym świecie rolę wprowadzania młodego człowieka w świat zdobywania, klasyfikowania i przetwarzania informacji, co jest umiejętnością cywilizacyjną. Jesteśmy za tym, by zwiększyć znaczenie roli bibliotekarzy i bibliotek w szkołach.

4. Uświadamiać, że czytanie jest przyjemne, ale i niezbędne w kształtowaniu kolejnych pokoleń. Dlatego tak ważna jest rola bibliotekarza w społeczeństwie.

5. Uświadamiać, że nie wolno utrudniać społeczeństwu dostępu do dóbr kultury, nawet jeśli się samemu z nich nie korzysta.

 Koszulka propagandowa



Czarna owca od zawsze przyciągała uwagę – jest jedna w stadzie. Stanowi wyjątek, więc zwraca na siebie uwagę. Czarna owca korzysta z biblioteki, wie jaka jest rola biblioteki w środowisku i wspiera ją! Jesteś czarną owcą?”

Dzisiaj wiem, że ta akcja miała jeszcze jeden, bardzo ważny cel. Było nim zintegrowanie środowiska bibliotekarzy, bez względu na to, czy pracują w bibliotece szkolnej, pedagogicznej, uczelnianej, publicznej, czy w mieście, czy na wsi. Wsparcie bibliotekarzy i tych najmniejszych instytucji, które często zamiast budowane, są likwidowane na rzecz wielkich molochów, do których dostęp jest utrudniony przede wszystkim przez odległość.

Do akcji przystąpili również pracownicy wydawnictw, czytelnicy, pisarze, osoby niezwiązane bezpośrednio z bibliotekami. I nawet jeśli dla niektórych osób nadal ta kampania kojarzy się przede wszystkim z promocją czytelnictwa – to ma to swoje zalety. Więcej osób ją poparło i więcej osób usłyszało, przeczytało, dowiedziało się o tym, z jakimi problemami borykają się biblioteki w Polsce. Usłyszeli o sprzeciwie dla wprowadzania nowelizacji ustawy, również tych wysyłanych przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, czy Federację Związków Pracowników Kultury i Sztuki.

Biblioteki, to instytucje, z których korzystał KAŻDY mieszkaniec tego kraju i instytucje, o których zapominają dorośli – ci, którzy z nich już nie korzystają. Nie winię ich za to. Proszę tylko o to, aby zaczęli słuchać tych, którzy znają potrzeby środowisk lokalnych i aby nie utrudniali dostępu do bibliotek tym, którzy z nich korzystają nadal. Nie można myśleć w taki sposób: „Nie korzystam, to po co? Łączmy, zamykajmy, likwidujmy”. Nie wolno dawać gminom narzędzi do tego typu działań. Są one wykorzystywane wszędzie tam, gdzie istnieje zupełna nieświadomość roli bibliotek w środowisku lokalnym.

A w maju...

W maju 2011 roku każdy bibliotekarz w Polsce, który chciał zaznaczyć swoją przynależność do środowiska bibliotekarskiego i wyrazić poparcie dla kampanii informacyjnej bibliotekarzy założył koszulkę z naszym logo, wywiesił informację



o akcji w swojej siedzibie i napisał przynajmniej jeden artykuł do prasy lokalnej na temat akcji i działalności swojej biblioteki. Po to, żeby jego środowisko lokalne usłyszało o tym, że w tej gminie jest biblioteka, że jej rola w środowisku jest bardzo ważna i że funkcjonuje, mimo że do tej pory nie było o tej bibliotece słyhać. Podobnie zrobiły biblioteki szkolne i pedagogiczne, przy okazji opisując zadania, jakie są realizowane przez bibliotekarzy w instytucjach, które reprezentują.

Szum medialny? O to chodzi!

Kampania nauczyła bibliotekarzy wychodzić na zewnątrz, poza fora bibliotekarskie, poza portale bibliotekarzy. Ta kampania miała też być powodem do zaistnienia bibliotek i bibliotekarzy w mediach lokalnych. Miała na celu zwrócenie uwagi czytelników – wśród których są często dyrektorzy instytucji, radni, wójtowie, burmistrzowie, ich rodziny, przyjaciele – na potrzeby bibliotek i bibliotekarzy. Bo to, że chcemy nowości w tych bibliotekach, aby zadowolić czytelników, nie ulega wątpliwości. To, że chcemy, aby doceniono naszą pracę odpowiednim wynagrodzeniem – również. Tyle, że ta druga sprawa zawsze jest przez nas skrywana: bo nie wypada, bo ważniejszy czytelnik. Tak. Najważniejszy jest zadowolony czytelnik, który wychodzi z biblioteki z książkami pod pachą i mówi: moja biblioteka jest fajna! Ale w tym sprawianiu innym radości czasami zapominamy o nas, bibliotekarzach – grupie zawodowej cieszącej się największym zaufaniem

w Polsce i ... najbardziej niezauważanej przez władze samorządowe.

Zacznijmy od dołu. To od samorządów tak wiele zależy. Od ludzi, między którymi jesteśmy. Ale nie chodzi o to, żeby ich oceniać, bo rzadko przychodzą do biblioteki. Chodzi o to, żeby wyjść do nich, pokazać „tutaj jestem, zobacz mnie”.

Tak niewiele potrzeba: tylko chęć. Sama jestem przedstawicielką małej, gminnej biblioteki na wsi pięciotysięcznej. Co prawda biblioteka jest zadbana i niedawno wybudowana, z czego jestem ogromnie dumna, ale i u mnie nie brakuje wydarzeń, które przerastają moje możliwości. Wiem co oznacza samotna praca wśród tysięcy książek i z ludźmi, którzy potrafią zaskoczyć decyzjami. Więc z mojej strony ślę ogromnie ciepłe pozdrowienia dla wszystkich bibliotekarzy tych najmniejszych bibliotek gminnych, ich filii, punktów bibliotecznych, rozsianych po całej Polsce. To dla Was w głównej mierze powstał ten pomysł.

Ta akcja była odzewem na bezradność przedstawicieli bibliotekarzy. Wyrażeniem solidarności z nimi i z ich próbami przekonania Ministra Kultury do naszych opinii. Minister Kultury, pan Bogdan Zdrojewski, otrzymał również list bibliotekarzy informujący o Kampanii i jej celach, a także koszulkę firmową kampanii.

Bardzo dziękuję wszystkim, naprawdę wszystkim, którzy wsparli kampanię w jakiegokolwiek formie: nagłośnieniu, wsparciu merytorycznym, duchowym, dobrym słowem, organizacji akcji u siebie w instytucji, podsyłali pomysły i pomagali w ich realizacji.

Jak będą dalsze losy akcji „Olej stado! Bądź czarną owcą!”? To się dopiero okaże, być może zostanie powtórzona podczas przyszłorocznego Tygodnia Bibliotek. Wszystkie informacje na pewno będą się na bieżąco pojawiać na stronie internetowej oraz profilu facebookowym akcji. Ciągłe nie jest za późno, aby nas poprzeć i dołączyć do nas. Zapraszamy!

Marta Górską jest autorką blogu: www.bibla.bloog.pl i dyrektorką Gminnej Biblioteki Publicznej... gdzieś na Mazowszu.

Fotografie dotyczące kampanii pochodzą ze strony olejstado.pl.

olejstado.pl

W tym roku w Polsce po raz ósmy zorganizowano Tydzień Bibliotek – coroczne majowe święto mające promować biblioteki i czytelnictwo. Każdego roku akcja ta odbywa się pod innym hasłem, tym razem brzmiało ono: „Biblioteka zawsze po drodze – nie mijam, wchodzę”.

Miejska Biblioteka Publiczna w Gliwicach zainaugurowała tę imprezę happeningiem urządzonym w centrum miasta. W czwartkowe popołudnie 5 maja na gliwickim Rynku mimo zimnego wiatru około pięćdziesiąt osób usiadło i przez pół godziny w ciszy oddawało się lekturze. W rękach przybyłych osób można było zobaczyć zarówno literaturę piękną, jak i popularnonaukową, a także czasopisma. Jedna z pań słuchała audiobooka.

Osoby, które chciały wziąć udział w akcji, a nie przyniosły ze sobą niczego ciekawego do czytania, mogły skorzystać ze zbiorów biblioteki. Specjalnie na tę okazję na Rynku ustawiono regał z wybranymi pozycjami. Kilkoro chętnych skorzystało z tej okazji i usiadło wśród czytających z książką zabraną z oznakowanego regału.

Akcja miała udowodnić, że wbrew przygnębiającym wynikom badań czytelnictwa przeprowadzanych przez Bibliotekę Narodową, gliwiczanie czytają, a ludzie czytający tworzą pewną, na co dzień być może niewidoczną, wspólnotę. Miała również pokazać, że czytanie może być modne. Na pewno zaciekała osoby przechodzące obok czytających, można było usłyszeć rozmowy osób zastanawiających się, co to za wydarzenie.

Być może jeszcze kiedyś gliwiczcy czytelnicy będą mieli okazję wspólnego celebrowania czytania, bo na przyszły rok został zapowiedziany podobny happening.



HAPPENING CZYTELNICZY W GLIWICACH

Karolina Przybyła
Fotografie Izabela Kochańczyk



WYRÓŻNIENIA LITERACKIE WIOSENNA PORA

Wiosną świat budzi się do życia. W dziedzinie literatury owo przebudzenie widać w ilości przyznawanych w tym okresie literackich wyróżnień. Jest to czas obradający konkursy na całym świecie, i chociaż te najważniejsze nagrody wręczane są właśnie poza granicami naszego kraju, nie można zapomnieć o wiosennej perełce z naszego podwórka – Nagrodzie im. Ryszarda Kapuścińskiego, wręczanej w tym roku po raz drugi. Oto krótki przegląd docenionych na początku drugiej dekady XXI wieku pisarzy oraz książek.

Justyna Kowalczyk

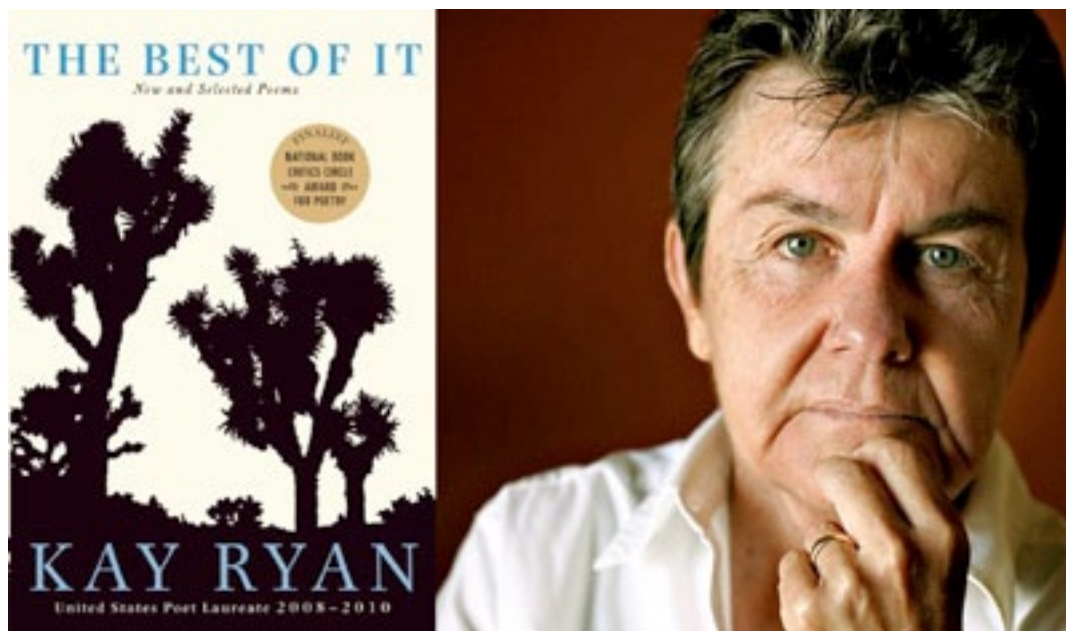
THE PULITZER PRIZE

Nagroda Pulitzera swoim wachlarzem wyróżnień obejmuje aż dwadzieścia jeden kategorii. Wśród nich znajduje się wiele gatunków dziennikarstwa, literatury, dramatu oraz muzyki. W tym roku w kategorii beletrystyki

nagrodę otrzymała Jennifer Egan za powieść *A Visit from the Goon Squad*. Jennifer Egan jest dziennikarką *The New York Times Magazine*, publikuje także w *The New Yorker*, do tej pory wydała jeden zbiór opowiadań oraz cztery powieści. Nagrodzona w tym roku powieść *A Visit from the Goon Squad* doceniona została za oryginalną narrację, śmiały temat oraz różnorodność przedstawionych w niej charakterów. Książka porusza problemy dorastających ludzi, często skorych do buntu, zmieniających przyzwyczajenia w uzależnienia oraz mających problemy z nawiązywaniem i utrzymywaniem trwałych relacji.



W kategorii poezji za najlepszą uznano publikację Kay Ryan *The Best of It: New and Selected Poems*. Ryan wydała do tej pory siedem tomików poezji, które przyniosły jej wiele prestiżowych nagród oraz wyróżnień. Uhonorowany nagrodą Pulitzera tom wierszy stanowi zbiór starych oraz zupełnie nowych liryków, utrzymanych w żywym stylu. Poezja Ryan charakteryzuje się krótkimi strofami, trafnymi spostrzeżeniami oraz głębią przekazu. Nie brak w niej również elementów humorystycznych, utrzymanych w bardzo pozytywnym tonie.



W kategorii literatury faktu zwycięzcą w tym roku został Siddhartha Mukherjee za książkę *The Emperor of All Maladies: A Biography of Cancer*. Mukherjee pochodzi z Indii, jednak swoje wykształcenie zdobył na uniwersytecie w Kalifornii oraz Oksfordzie, gdzie otrzymał tytuł



doktora w dziedzinie immunologii. Nagrodzona w tym roku książka jest istną biografią raka, nowotworu, który wciąż pozbawia życia miliony osób. Mukherjee pokazuje drogę jaką przebyli lekarze, aby osiągnąć obecny poziom profilaktyki oraz leczenia nowotworu. Książka zawiera także wiele naukowych oraz historycznych faktów dotyczących choroby. Przedstawia także relacje jakie zachodzą pomiędzy pacjentami i lekarzami. Ci ostatni zaś bardzo często, niestety, do zaoferowania mają tylko nikły cień nadziei.

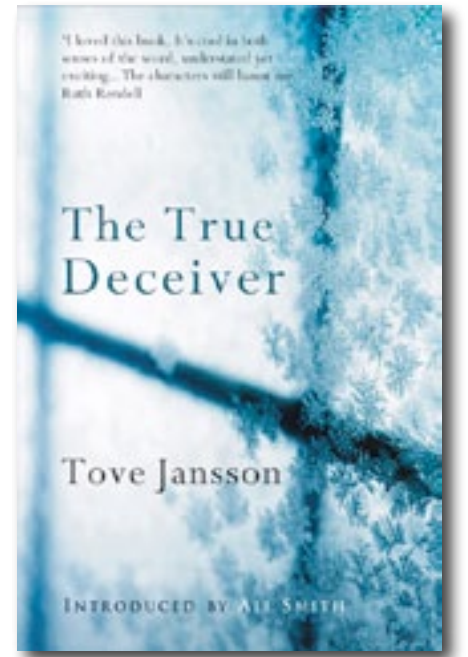
BEST TRANSLATED BOOK AWARD

Od trzech lat mamy okazję śledzić wręczanie nagród dla najlepiej przetłumaczonej na język angielski powieści oraz poezji. W pierwszej z kategorii najlepszym tłumaczem w minionym roku okazał się Thomas Teal oraz jego przekład z języka szwedzkiego na angielski książki *The True Deceiver* Tove Jansson. W kategorii poezji nagrodę otrzymał Brian Henry za przekład z języka słoweńskiego tomiku *The Book of Things* Aleša Štegera. Nagrodę otrzymuje zarówno autor wyróżnionej książki jak i jej tłumacz. Tove Jansson znana jest najbardziej ze stworzenia postaci Muminków, cieszących się popularnością niemal na całym świecie. Oprócz cyklu o Muminkach, Jansson jest także autorką dzieł plastycznych oraz ilustratorką książek. Pod koniec swojego życia zaczęła pisać również książki dla dorosłych. Nagrodzona *The True Deceiver* jest powieścią przedstawiającą relację dwóch kobiet mieszkających w małej społeczności skandynawskiej. Pierwsza z nich jest osobą zimną

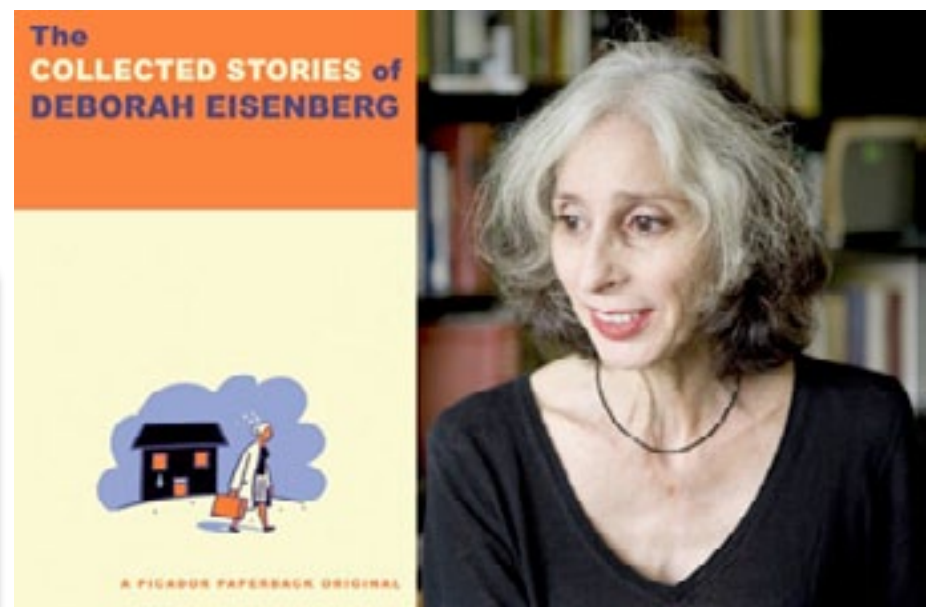


i brutalnie szczerą, podczas gdy druga starszą, infantylną, zajmującą się tworzeniem ilustracji do książek dla dzieci. Proza Jansson jest prosta, jednocześnie delikatna oraz niepokojąca, a sama książka *The True Deceiver* określana jest jako mistrzowskie dzieło opozycji i konfrontacji.

Aleš Šteger, autor tomiku *The Book of Things*, ma na swoim koncie już kilka opublikowanych tomików poezji, przetłumaczonych na kilkanaście języków. Wiersze pochodzące z wyróżnionego w tym roku zbioru traktują o rzeczach codziennego użytku: jajku, płaszczu czy wykałaczce do zębów. Jednakże wiersze Štegera nie są jedynie komicznymi opisami, sięgają znacznie głębiej. Obiekty opisywane w wierszach przedstawiają złożoność naszej osobowości, gorliwość konsumpcji, pęd do racjonalizowania czy też zwykłą uprzejmość. Wiersze Štegera są zarówno męczące jak i zabawne, a przede wszystkim zaś niezwykle bliskie czytelnikowi.



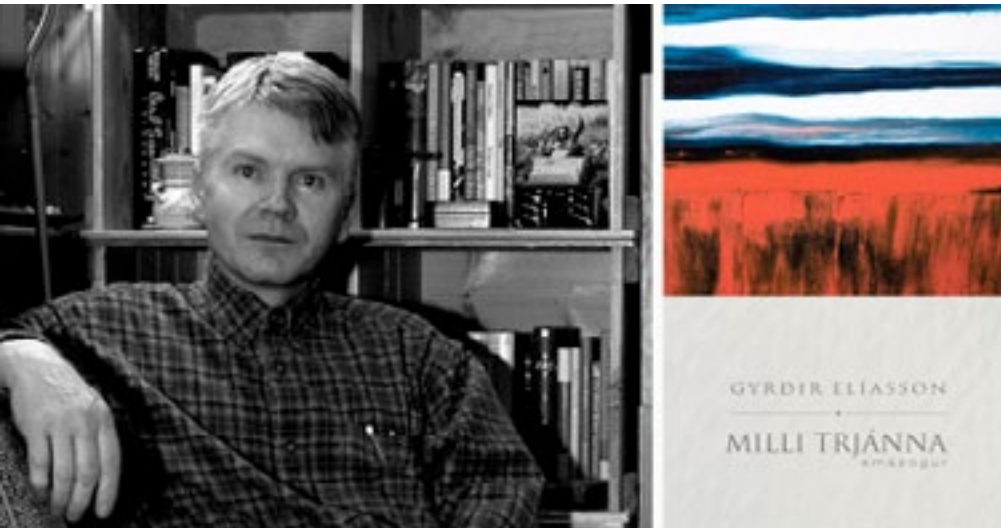
PEN/FAULKNER AWARD FOR FICTION



W tym roku Nagroda Faulknera wręczona została już po raz trzydziesty. Najlepszą amerykańską książką prozatorską okazał się zbiór opowiadań *The Collected Stories of Deborah Eisenberg* autorstwa Deborah Eisenberg. Pisarka wydała do tej pory cztery osobne zbiory opowiadań, które dopiero zebrane razem w jeden duży zbiór otrzymały wyróżnienie Faulknera. Opowiadania Eisenberg podziwiane są za wyjątkowy język, jakim posługuje się pisarka, oraz stopniowe wywoływanie określonych myśli i uczuć u czytelników. Jeden z jurorów konkursu, Laura Furman, podsumowała cały zbiór słowami: „Od pierwszego do ostatniego opowiadania Deborah Eisenberg demonstruje

swoją przenikliwą inteligencję, literacką kreatywność, oraz zrozumienie ludzkich relacji w stanie odosobnienia. Czytelnik prozy Eisenberg ma poczucie, że stworzone przez autorkę postaci nie do końca rozumieją kim są ani jak dotarły do miejsca, w którym obecnie się znajdują. Walka jakiej podejmują się bohaterowie, aby stworzyć całe swoje życie ze skrawków doświadczeń oraz emocji, tworzy moralny rdzeń dzieła Deborah Eisenberg”. Na co dzień Deborah Eisenberg oprócz pisania, zajmuje się także nauczaniem na Uniwersytecie w Wirginii.

THE NORDIC COUNCIL LITERATURE PRIZE



Nagroda literacka Rady Nordyckiej to wyróżnienie przyznawane przez rządy krajów nordyckich już od blisko pięćdziesięciu lat. O nagrodę ubiegać się mogą książki z dziedziny literatury pięknej, napisane w dowolnym języku krajów nordyckich, nie tylko w języku skandynawskim. W tym roku zwycięzcą został islandzki pisarz, Gyrðir Elíasson za zbiór opowiadań *Milli trjáanna*. Gyrðir Elíasson jest autorem dobrze znanym w Islandii, na swoim koncie ma już dziesięć zbiorów poezji oraz pięć powieści. Jego styl określany jest jako wysoce osobisty, a wśród literackich zainteresowań dominują tematy związane z rodzimymi mieszkańcami Ameryki Północnej i Południowej. Wyróżniony w tym roku zbiór opowiadań został określony jako stylistyczne dzieło sztuki przedstawiające wewnętrzne oraz zewnętrzne zagrożenia w dialogu ze światową literaturą.

THE COMMONWEALTH WRITERS' PRIZE

Warunkiem ubiegania się o od 1987 roku corocznie przyznawaną za beletrystyczną książkę nagrodę Commonwealth Writers' Prize jest pochodzenie autora z jednego z krajów Wspólnoty Narodów. Najpierw przez jury w czterech częściach świata (Afryka, Karaiby i Kanada, Południowa Azja i Europa oraz Azja Południowo-Wschodnia i rejon Wysp Pacyfiku) wybierani są laureaci lokalni, z których potem Fundacja Wspólnoty Narodów wybiera zwycięzcę najlepszej książki oraz zwycięzcę pierwszej książki. Nagroda ma przyczyniać się do odkrywania i promowania mało znanych pisarzy, zachęcać do dialogu interkulturowego i pomóc w poznawaniu i rozumieniu odmiennych kultur.



W tym roku nagrodę za najlepszą książkę otrzymała Aminatta Forna za *The Memory of Love* – chwaloną za elegancję, wzruszającą i przepełnioną melancholią powieść, której akcja rozgrywa się po zakończeniu wojny domowej w Sierra Leone. Autorka urodziła się w Szkocji, wychowywała w Zachodniej Afryce, obecnie mieszka w Londynie. Jest autorką kilku powieści, w tym pozytywnie ocenianej także w Polsce książki pt. *Kamienie przodków*. Londyńska gazeta *Independent* napisała o *The Memory of Love*: „*The Memory of Love* prezentuje w najbardziej liryczny sposób, obok zdrady, także podburzające pokolenie afrykańskich intelektualistów z lat 60., wykształconych na Zachodzie, którzy powracają do swych krajów rodzinnych, przepełnieni ambicjami, by uczynić świat lepszym”.

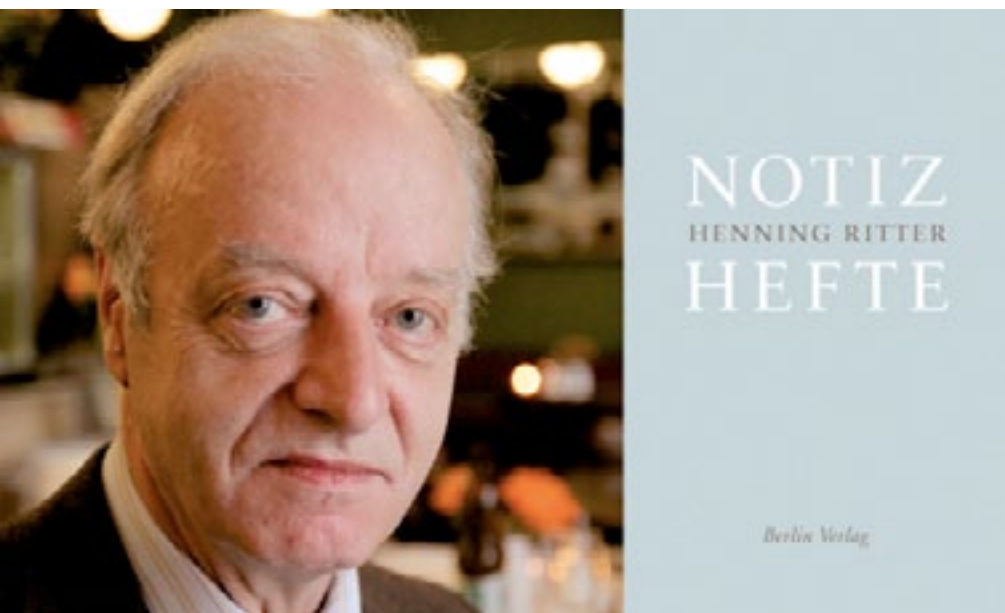
Lauretatem nagrody za najlepszą pierwszą książkę został nowozelandzki pisarz Craig Cliff za zbiór opowiadań pt. *A Man Melting*, dotyczących wielkich tematów: narodzin, dorastania, przemocy, rodzicielstwa, śmierci, alienacji i poczucia przynależności. Opowiadania w opinii jurorów skłaniają do refleksji, a autora podziwia się za brawurę, wielką wyobraźnię i rzadko spotykany zmysł percepcji.



PREIS DER LEIPZIGER BUCHMESSE



Nagroda Lipskich Targów Książkowych przyznawana jest od 2005 roku w pierwszym dniu Targów. Siedmiosobowe jury przyznaje nagrody w trzech kategoriach: beletrystyka, esej/książka popularno-naukowa oraz tłumaczenia. Nagroda wspierana jest przez Saksonię oraz przez Literarisches Colloquium Berlin, a przeznaczona na nią jest suma 45000 euro. W 2011 roku uhonorowano następujące pozycje: *Die Liebe zur Zeit des Mahlstädter Kindes* (beletrystyka) austriackiego pisarza Clemensa J. Setza – opowiadania, które, jak stwierdziło jury, wciągają czytelnika w labirynt czułości, przemocy, miłości i podłości; *Notizhefte* (książka popularno-naukowa/esej) Henninga Rittersa – eseje, aforyzmy i rozważania na najróżniejsze tematy filozofów od czasów Oświecenia po dzisiejsze; oraz nowy przekład *Wojny i pokoju* Barbary Conrad.



MAN ASIAN LITERARY PRIZE

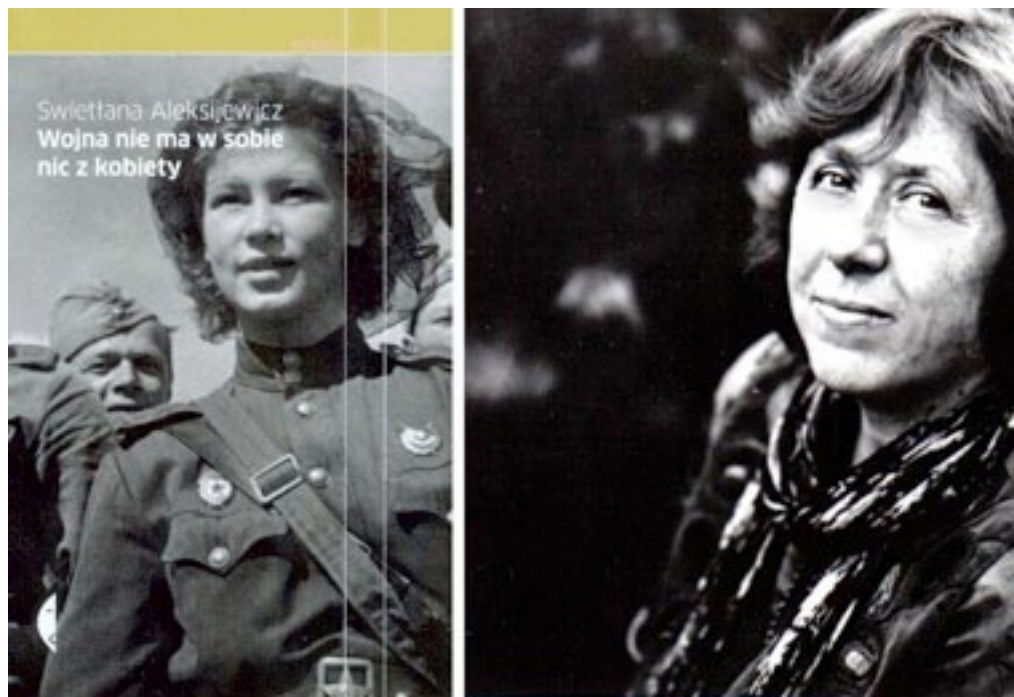
Man Asian Literary Prize jest nagrodą wręczaną azjatyckim autorom od 2007 roku. O wyróżnienie ubiegać mogą się autorzy piszący w języku angielskim lub tłumaczeni na ten język. W tym roku zwycięzcą został pochodzący z Chin Bi Feiyu oraz jego powieść *Three Sisters*. Bi Feiyu jest często nazywany najlepszym chińskim autorem piszącym o kobiecej psychice. Jego proza może sprawiać wrażenie zawilej, jednakże pomimo niezbyt łatwej struktury, zawiera wiele przejmujących i wzruszających fragmentów.



Wyróżniona w tym roku powieść *Three Sisters* opowiada historię trzech kobiet starających się zmienić swoje życie, szukających własnej tożsamości oraz poczucia wartości. Przedstawiona w książce historia osadzona jest w Chinach w drugiej połowie XXI wieku.

NAGRODA IM. RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO

Laureatami drugiej edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki zostali w tym roku Swietłana Aleksijewicz, autorka książki *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* oraz jej tłumacz Jerzy Czech. Aleksijewicz to białoruska pisarka, dziennikarka, autorka licznych sztuk teatralnych oraz filmów, laureatka wielu międzynarodowych nagród. Wymieniana jest również wśród osób nominowanych do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Pisarka słynie z niepowtarzalnego stylu, określanego mianem „opowieści głosów”. Jej książki zostały przetłumaczone na dwadzieścia dwa języki, stając się również inspiracją dla wielu spektakli oraz filmów. Wyróżniona Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego książka *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* to historie kobiet, które brały udział w II wojnie światowej walcząc przeciw hitlerowskiemu Niemcom. Rosjanki, Ukrainki, Białorusinki, wszystkie gotowe zarówno zabijać jak i ginąć, to bohaterki reportażu, w którym autorka ukazuje światu drugą stronę wojny, tą widzianą oczami kobiet. Na podstawie książki powstał już cykl filmów dokumentalnych, wyróżniony m.in. Srebrnym Gołębieniem na Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Animowanych w Lipsku.



ŚWIATOWY DZIEŃ KSIĄŻKI W TRZECH MIASTACH



Studentki w Karaczi czekają na spotkanie w ramach Światowego Dnia Książki
Fot. Asia Kusy

KARACZI, PAKISTAN

— relacjonuje Asia Kusy

Międzynarodowy Dzień Książki obchodzi się tu tak jak w większości krajów na świecie 23 kwietnia. Celebrycje odbyły się w auli wydziału nauk humanistycznych tutejszego uniwersytetu i miały bardzo akademicki i patriotyczny charakter. Zaproszeni goście zobowiązani byli opowiadać o książkach napisanych w urdu, które uważają za ważne. Wybrano powieść *Awaz-e-dost* (*Głos przyjaciela*) Mukthara Masuda, uznanego za jednego z najwybitniejszych twórców literatury w urdu. *Awaz-e-dost* to książka z 1973 r. napisana na podstawie własnych doświadczeń autora przy pracach nad Minar-e-Pakistan w Lahore – minaretem mającym symbolizować nowo powstałe państwo pakistańskie. Masud jest też autorem dziennika z pielgrzymki do Mekki. Jego dzieła przesycane są patriotyzmem i tzw. „wschodnimi” wartościami

muzułmańskimi. Proza Masuda ma bezsprzecznie wielkie walory literackie, nieprzypadkowo jednak jest również zgodna z państwową ideologią, która zakłada, że celem pisania jest budowanie tożsamości narodowej i kreowanie poczucia wspólnoty. Wybór akurat tej powieści mnie nie zdziwił. Spotkanie odbywało się przecież na uniwersytecie państwowym, który nie jest wcale świeckim w europejskim rozumieniu tego słowa. Tutaj wykłady zaczynają się od recytacji wersetów Koranu, a mówcy co chwilę powołują się na Proroka i kalifów, nie wspominając już o studentach, którzy w większości ubrani są w nikaby, hidżaby i abaje.

W obchodach Dnia Książki w Karaczi rozmyśla się gdzieś główna idea święta, czyli popularyzacja czytania. Nie było ani kiermaszu, ani wymiany książek, nie wspominając już o braku dnia otwartego w bibliotece. W kraju,

w którym prawie 45% mieszkańców jest niepiśmiennych, przydałoby się poświętować bez wielkich haseł i pokazać, że czytanie nie tyle jest „patriotyczną powinnością”, co indywidualną przyjemnością.

Jak powiedziała mi organizująca Dzień Książki profesor Malahat Kaleem Sherwani, najwięcej czytają dziś w Pakistanie panie domu wywodzące się z wyższej i zamożnej średniej klasy. Częściej jednak sięgają po magazyny dla kobiet i książki kucharskie niż po literaturę piękną. W kraju pojawia się coraz więcej książek w językach regionalnych (sindhi i pendżabi), literatury dla dzieci, a także literatury religijnej. Nad tą ostatnią bardzo trudno sprawować kontrolę. Większość książek z tej dziedziny jest wydawanych przez organizacje, które mianują się religijnymi lub studenckimi. Są to przede wszystkim dzieła klasyczne, przeznaczone do rozdawania. Brakuje komentarzy i dzieł nowych autorów muzułmańskich. Ten typ literatury przedstawia – wedle mojej rozmówczyni – zniekształcony obraz islamu. Tego typu proza ma jednak wielki wpływ szczególnie na młodych ludzi w Pakistanie.

Obchodom Światowego Dnia Książki towarzyszyły trzydniowe warsztaty dotyczące zarządzania informacją przeznaczone dla studentów i sponsorowane przez UNESCO. Obchodom patronowały Wydział Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej oraz Pakistańskie Stowarzyszenie Bibliotek.

BERLIN, NIEMCY

— relacjonuje Anna Bittner

Światowy Dzień Książki organizowany jest w Niemczech przez Börsenverein des Deutschen Buchhandels (Niemiecki Związek Księgarstwa) oraz przez Stiftung Lesen (Fundacja Czytelnictwa). Obie te organizacje przygotowują program obchodów. W tym roku mottem tego dnia były słowa „Światowy Dzień Książki – Tu. I wszędzie.”. Do udziału w obchodach Światowego Dnia Książki zachęcane są księgarnie oraz szkoły. Dla księgarzy przygotowywane są pakiety materiałów dekoracyjnych, nauczyciele natomiast mogą zamawiać dla uczniów

klas czwartych i piątych bony na książki. Uczniowie wymieniają otrzymane bony na przygotowaną przez wydawnictwo cbj książkę *Ich schenk dir eine Geschichte* (Podaruję ci historię). Ponadto organizowane są liczne spotkania z pisarzami, a ich terminarz umieszczony jest na stronie internetowej Światowego Dnia Książki: www.welttag-des-buches.de. W Berlinie zorganizowana została w tym roku akcja publicznego czytania książek. Bibliofile zachęcani zostali do czytania w parkach i na ławkach. O godzinie 15.00 czytelnicy spotkali się na Potsdamer Platz, by wspólnie czytać.

Także autorzy blogów książkowych uczcili Światowy Dzień Książki organizując maraton czytelniczy. Uczestnicy przez cały dzień relacjonowali na swoich blogach co czytają, jak postępuje lektura oraz wymieniali się wrażeniami.

LONDYN, WIELKA BRYTANIA

— relacjonuje Ania Ready

„Jest milion powodów, by przeczytać książkę” – głosiło hasło reklamujące Światowy Dzień Książki w Wielkiej Brytanii w marcu br. Jak na Wyspy przystało, obchody musiały być nieprawdopodobnie dobrze zorganizowane i wypełnione po brzegi entuzjazmem oraz brytyjskim ekscentryzmem. Wyspiarze zdecydowali, że święto czytania lepiej obchodzi się późną porą, więc zamiast celebrować za dnia, zorganizowano Wielką Noc Książki. Ta Noc dosłownie dostarczyła milion powodów do lektury – kiedy słońce zaszło 4 marca, na Wyspach Brytyjskich dwadzieścia tysięcy wcześniej wybranych wolontariuszy rozpoczęło rozdawanie miliona specjalnie na tę okazję wydrukowanych książek. Akcję przygotowało Stowarzyszenie Wydawców Brytyjskich, BBC oraz duże domy wydawnicze. „Archipelag” też książki rozdawał. W styczniu zostałam wolontariuszką World Book Night i zimną nocą dzieliłam się na londyńskim Trafalgar Square egzemplarzami powieści *A Fine Balance* kanadyjsko-indyjskiego pisarza Rohintona Mistry’ego (w Polsce znana jest tylko jedna jego powieść zatytułowana *Sprawy rodzinne*).

Atmosfera obchodów była niepowtarzalna. Na Trafalgar Square panowała powszechna euforia, której nie można było się nie poddać. Widziałam ludzi rzucających się sobie w ramiona, recytujących fragmenty ulubionych książek i z pasją polecających lekturę wybranej przez siebie powieści. Książki przyniesione na plac przez wolontariuszy szybko zmieniały właścicieli. Moje egzemplarze *A Fine Balance* rozeszły się w ciągu dwóch minut. Nikt z Trafalgar Square nie wychodził z pustymi rękami.

👉 Logo Światowego Dnia Książki w Niemczech



Co więcej, miłośnicy książek mieli też możliwość zobaczyć, jak ich ulubieni autorzy potrafią dzielić się przyjemnością czytania. Na specjalnie przygotowanej scenie, na której nie zabrakło wygodnych kanap i lampek do czytania, pojawili się m.in. Monica Ali, Alan Bennett, Sarah Waters, Mark Haddon, John Le Carré i Philip Pullman. Specjalnie na tę okazję przyjechała z Kanady Margaret Atwood, która przyznała, że było to największe spotkanie z czytelnikami, jakie jej się w życiu zdarzyło (na Trafalgar Square zebrało się kilka tysięcy ludzi). Każdy z pisarzy czytał fragment wybranej książki, przy okazji podkreślając, ile radości sprawia mu branie udziału w świętowaniu Wielkiej Nocy Książki.

Przed rozpoczęciem World Book Night mniejsi wydawcy oraz tzw. *indies*, czyli niezależne księgarnie (*independent bookshops*) były pełne sceptycyzmu co do powodzenia i sensu tak wielkiej akcji rozdawania książek. Nie dziwiły mnie ich obawy. W końcu na rynku nagle pojawiło się milion dodatkowych książek nie w wyniku sprzedaży, ale wielkiej akcji rozdawania. Niezależni sprzedawcy bali się, że taka akcja zepsuje rynek i przyczyni się do dalszego spadku cen. Tymczasem World Book Night ku zaskoczeniu wszystkich miała dokładnie odwrotne skutki.

Książki, które wybrano do akcji i wydrukowano w 40 tys. egzemplarzy, świetnie sprzedawały się w księgarniach. Jak podał Bookseller, po Wielkiej Nocy Książki sprzedaż każdego z tytułów wzrosła o ponad 100%. To tylko potwierdziło fakt, że Brytyjczycy czytają i nabywają książki z prawdziwą pasją. Czytanie jest bezsprzecznie jednym z narodowych sposobów na spędzanie czasu, żeby nie powiedzieć – narodowym sportem. W Wielkiej Brytanii wydaje się najwięcej książek w Europie (206 tys. w 2005 r., dane za Wikipedią). Aż 96% osób deklaruje, że coś przeczytało w minionym tygodniu, a ponad połowa chciałaby napisać własną książkę. Wielka Brytania to prawdziwe Eldorado dla czytających i czytanych.

Obchodom Światowego Dnia Książki towarzyszyły spotkania z pisarzami, maratony czytania i przyjemne obniżki cen książek w księgarniach. W całym kraju przygotowano ponad sto imprez. Trudno mi sobie wyobrazić lepiej zorganizowane i przygotowane z większym rozmachem celebrowanie Dnia Książki. W przyszłym roku Wielką Noc będziemy świętować z podobną pasją. Na milion powodów do czytania nie trzeba jednak czekać do następnej edycji World Book Night.

Światowy Dzień Książki na Trafalgar Square w Londynie
Fot. Kamila Kunda



KONKURS

Dla naszych czytelników mamy jeden egzemplarz powieści Rohintona Mistry'ego *A Fine Balance* w języku angielskim, wydany specjalnie z okazji obchodów Światowego Dnia Książki w Wielkiej Brytanii. Chętnych do otrzymania książki prosimy o opisanie, jak spędzili w tym roku Dzień Książki i wysłanie e-maila z odpowiedzią pod adres: redakcja@archipelag-magazyn.pl, podając w tytule „Światowy Dzień Książki”.

Termin nadsyłania e-maili mija **1 września**. Autora najciekawszej wypowiedzi nagrodzimy powieścią Mistry'ego.

GRA W TYTUŁY

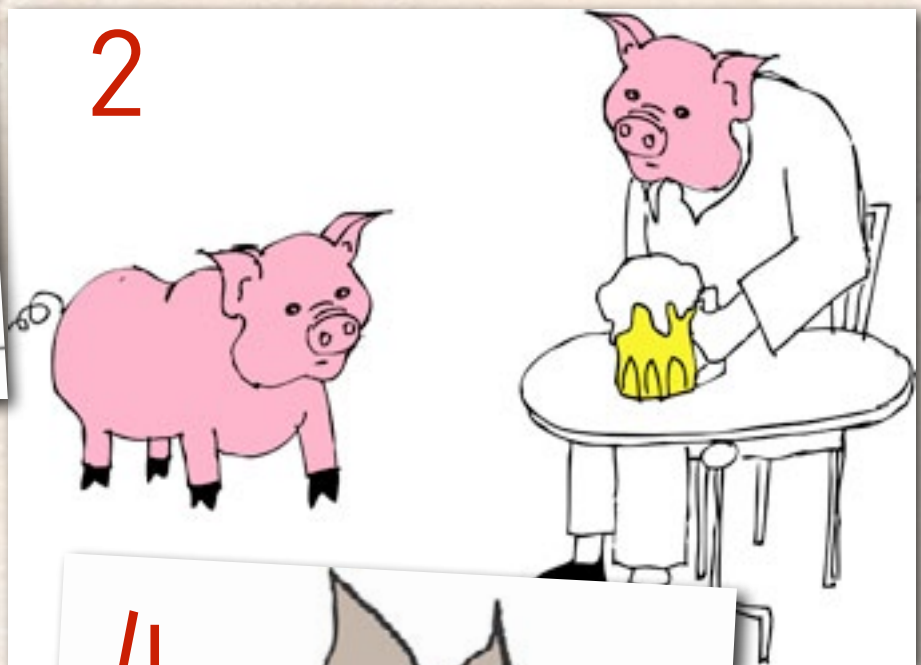
Każda z ilustracji przedstawia tytuł innej książki. Zadanie polega na odgadnięciu, o jaką książkę chodzi. Odpowiedzi prosimy przelać na adres: redakcja@archipelag-magazyn.pl do 1 września 2011 roku. Jako temat e-maila prosimy napisać „Gra w tytuły”. Spośród autorów poprawnych rozwiązań wylosujemy trzy osoby, które nagrodzone zostaną książkami Sylwii Drożdzyk pt. *Identyfikatory*, ufundowanymi przez **Wydawnictwo Prozami**, któremu serdecznie dziękujemy za wsparcie. Laureaci zostaną powiadomieni o wygranej drogą e-mailową, a ich nazwiska zostaną ponadto opublikowane w numerze jesiennym (nr 6, 2011). Regulamin konkursu jest dostępny na naszej stronie internetowej w zakładce Konkursy.

Prozami
LITERATURA INSPIRUJE

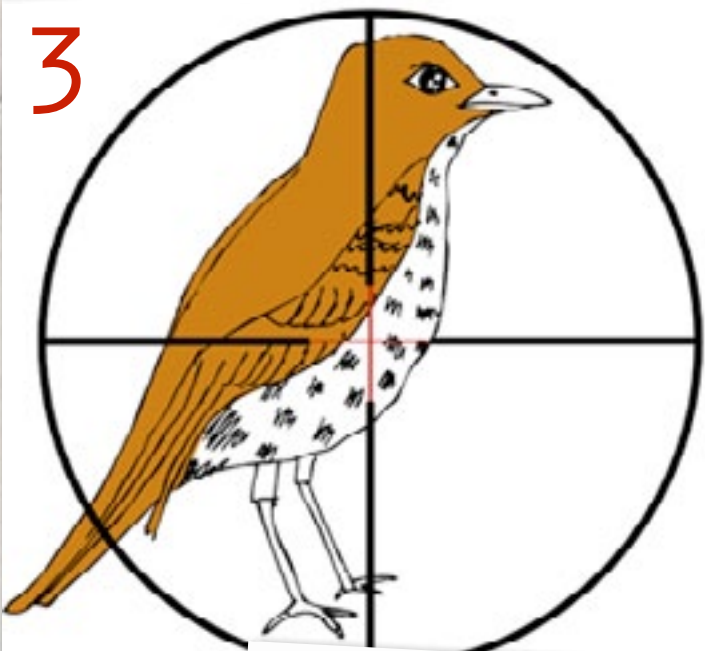
1



2



3



4



5



Ilustracje wykonała Natalia Szatkowska

6



7



Rozwiązanie konkursu z numeru czwartego

„Jak to pora roku?”:

1) Lato; 2) Zima; 3) Wiosna; 4) Zima; 5) Jesień; 6) Lato;
7) Jesień; 8) Wiosna; 9) Jesień/Zima; 10) Jesień; 11)
Wiosna; 12) Jesień; 13) Lato; 14) Zima; 15) Jesień.

Nagrody książkowe wysłane zostały do Barbary Łuszczek, Roberta Florczyka i Katarzyny Jagosz.

Rozwiązanie konkursu poetyckiego z numeru czwartego:

Chodziło o Adama Zagajewskiego. Tomik *Czarny kwadrat* Tadeusza Dąbrowskiego został wysłany do Kamila Wójcika.

8



9



10



